

To, czego szukasz, spoczywa w białej wodzie. Kamień zamieni się w kamień, bezpiecznie ukryty przed zakusami Nieprzyjaciela, który chce go zniszczyć. Szukaj go na północy i wschodzie, piętnaście i dwadzieścia kroków, za zwisającymi cierniami, w wygięciu łuku, w odgłosach spadającej wody.

Wejść z odwagą. Idź przed siebie tak daleko, jak pozwolą ciemności. Przekrocz łuk nocy i wejdź do katedry ukrytej we wnętrzu ziemi. Spójrz na wschodzące i zachodzące słońce, przeniknij przez zasłonę do studni wody żywej, aby znaleźć ukrytą perłę.

Odkryj mnie i żyj, jestem bowiem twoją nadzieją u kresu czasu. Trzymaj mnie tak, jakbyś trzymał niemowlę. Słuchaj niczym głosu kochanka. Zaufaj tak, jak zaufałybyś swojemu bogu, kimkolwiek jest.

Podążaj ścieżką, którą ci wskażę. Staw się wraz ze mną w wyznaczonym miejscu i czasie. Uczyni, jak przepowiedzieli strażnicy nocy. Idź za głosem swojego i mojego serca, stanowią bowiem jedno. Nie zawieźdź mnie, ponieważ gdybyś to uczynił, zawiódłbyś samego siebie i wszystkie czekające światy.

Fragment CO78.1.7 z archiwum Cedrica Owena — pierwszy z dwóch zaszyfrowanych tekstów odnalezionych w księgach Owena przez doktorów O'Connora i Cody wiosną oraz latem 2007 roku.

Tekst obydwu fragmentów oraz cyfrowe kopie oryginalnych ksiąg z podkreśleniem najważniejszych urywków można znaleźć w postaci plików pdf na stronie internetowej college'u:
<http://www.bedescambridge.ac.uk>.

Prolog

*Przez czterdzieści lat na niebie nie pojawi się tęcza. Przez
czterdzieści kolejnych ukazywać się będzie codziennie.
Wyschła ziemia stanie się jeszcze bardziej spieczona, a
później nadejdą wielkie powodzie.*

Czterowiersz 17, Centuria I, Nostradamus

Słowa pozdrowienia dla doktora Barnabasa Tythe'a, profesora gościnnie wykładającego w Balliol College w Oksfordzie, skreślone trzynastego lipca roku Pańskiego tysiąc pięćset pięćdziesiątego szóstego.

Drogi przyjacielu, piszę te słowa w pośpiechu, z wielkim żalem, iż musiałem wyjechać bez należytego pożegnania. W Cambridge aż huczy od oskarżeń o herezję. Nieszczęsny Thom Gillespie został potępiony i skazany na stos za wyrażenie wątpliwości, jakoby modlitewnikiem można byłoby uleczyć pęknięty nadgarstek.

W podobnym niebezpieczeństwie są wszyscy, którzy praktykują sztukę medyczną opierając się na naukowych zasadach, wyrzekając się przesądów, których naucza Kościół. Z powodu tajemnicy, którą mi powierzono, jestem w podwójnym niebezpieczeństwie. Po mieście krąży pamflet głoszący, iż jestem

----- LL

w posiadaniu „błękitnej kamiennej czaszki wykonanej na podobieństwo ludzkiej”, której używam podczas obserwacji gwiazd. W tych okolicznościach wielu chciałoby mnie ujrzeć na stosie, wkrótce też ktoś połączy kamienne serce z leczeniem chorych, co jak mniemam, doprowadzi do zagłady kamienia i mnie.

Z powyższych względów zamierzam opuścić ten kraj wraz z falą wieczornego przypływu, w towarzystwie innych, którzy są w podobnym niebezpieczeństwie. Czekają już na mnie na zewnątrz. Zanim wyschnie atrament, będziemy daleko. Przed wyjazdem chciałbym ci wyznać, że w ciągu trzech ostatnich tygodni zaprzyjaźniłem się z doktorem Johnem Dee, astrologiem księżniczki Elżbiety w czasie jej wygnania w Woodstock. Stał się on moim drugim, po Tobie, nauczycielem.

Od dawna uważam, iż wszelkie sukcesy w sztuce medycznej, jeśli takowe odniosę, tobie jednemu będę zawdzięczał. Przekazałeś mi dokładną wiedzę anatomiczną i nauczyłeś, jak wielkie znaczenie ma uważna obserwacja pacjenta. W ostatnich tygodniach doktor Dee nie żałował trudu, aby udowodnić mi, że połączenie bliźniaczych nauk medycyny i astronomii może przyspieszyć proces leczenia.

Długo i bacznie przypatrywał się błękitnemu kamiennemu sercu, które jest moim rodzinnym dziedzictwem, aby w końcu oznajmić, że starsze jest od najdawniejszych relikwii Kościoła. Sądzi on, że owa czaszka jest jedną z kilku, które istniały w starożytnych pogańskich świątyniach, później zaś zostały posłane w świat dla większego pożytku ludzkości. Wierzy, że są ludzie, którzy obawiają się dobra, jakie owe kamienie sprowadzą w przyszłych latach i dlatego usiłują je zniszczyć. Mam zatem wrogów, o jakich wcześniej nie śniłem, którzy

będą mnie tropić wszędzie, dokądkolwiek pójde, grożąc pozbawieniem życia.

Ze wstydem wyznaję, że chociaż od dziesięciu lat jestem w posiadaniu owego kamienia, nie znam w pełni jego prawdziwej natury. Wiem, że niewiedza ta może doprowadzić do mojej śmierci. Z Anglii wygania mnie więc nie tylko lęk, lecz głód wiedzy — pragnienie odnalezienia ludzi, którzy rzucą światło na przeznaczenie kamienia i moje.

Doktor Dee zbadał mój horoskop i na podstawie ułożenia gwiazdy w dniu mych narodzin zapewnił, iż wrócę do Anglii w przyszłości, kiedy okoliczności będą bardziej sprzyjające.

Pragnę, aby miał rację, tylko w ten sposób bowiem ujrę Cię ponownie. Do tego czasu będę musiał szukać szczęścia we Francji, udając się z listem polecającym do jego przyjaciela, któremu bez wahania poleciłby życie własne i moje.

Nie wiem, dokąd owa przygoda mnie zawiedzie, jednak konstelacje gwiazd dodają mi otuchy. Dzisiejszego dnia Wenus weszła w czwarty stopień znaku Panny, oddalona o sto dwadzieścia stopni od Marsa, tak jak w ranek moich narodzin. Wszystkie szczęśliwe wydarzenia, które mnie spotkały, zawdzięczam pomyślnemu wpływowi tej gwiazdy, a jej obecne położenie z pewnością sprzyja mojej sprawie.

Z tą pociechą opuszczam kraj. Będę tęsknił za Tobą i powrócę do College'u św. Bedy i do Ciebie, Drogi Przyjacielu, gdy tylko czas i siły pozwolą.

Twój naj pokorniej szy sługa, niegodny uczeń i szczerzy przyjaciel,

Cedric Owen, medyk, magister nauk
(College św. Bedy, Cantab 1543) i doktor filozofii (1555)

**Pod wodospadem Ingleborough,
Park Narodowy Yorkshire Dales,
maj 2007**

*Przeznaczenie wywiera na nas wpływ nawet
wówczas, gdy, tak jak dziś, nie znamy jego
natury, to przyszłość bowiem narzuca swoje
prawa teraźniejszości.*

Fryderyk Nietzsche

Stęła, dla której ta wyprawa była ślubnym prezentem, wyczołgała się pierwsza z tunelu. Brudna, przemoczona i drżąca z zimna, a jednocześnie zgrzana po ostatnim pięćdziesięciometrowym podejściu, pełzała na brzuchu, posuwając się w stronę mrocznej przestrzeni przed sobą.

Poruszała się wolno, czując naprężoną linę łączącą ją niczym pepowina z Kitem, najpierw macając dłońmi, aby sprawdzić stabilność podłoża, a następnie czołgając się tak daleko, jak sięgało światło umieszczonej na głowie latarki.

Jaskinia była kredowa, podobnie jak tunel. Dłońmi w rękawiczkach dotykała kamiennej powierzchni wygładzonej przez

cierpliwą, spływającą od wielu wieków wodę. Latarka oświetlała jasne strużki na płaskim, pofałdowanym wapieniu. Poza obszarem żółtego światła kryła się ziemia nieznaną, nieopisana na mapie, niezbadana, mogąca być skalnym występem, za którym znajdował się duży spadek, lub płaską podłogą jaskini.

Zbadała teren sztywnymi, zmarzniętymi palcami, wbiła hak w ścianę u wylotu tunelu, wpięła w niego linę i pociągnęła, dając znak Kitowi, że się zatrzymała i nie potrzebuje jego pomocy. W świetle latarki spojrzęła na kompas i zegarek, oszacowała nachylenie podłoża, a następnie zaznaczyła jego przybliżoną długość i kierunek woskowym ołówkiem na mapie, którą trzymała w kieszeni na piersi, aby nie poszarpała się o ściany tunelu.

Dopiero później rozejrzała się wokół siebie, kierując snop światła w przepastny komin katedry, którą znalazł dla niej Kit.

— Boże... chodź tu i zobacz.

Właściwie wypowiedziała te słowa do siebie — Kit był zbyt daleko, aby mógł ją usłyszeć. Dwukrotnie pociągnęła linę, komunikując to samo przesłanie. Odpowiedział jednym szarpnięciem. Lina nagle opadła, gdy zaczął zmierzać w jej stronę.

Jej dłonie mechanicznie zwijały linę bez żadnego udziału świadomości. Zgasła latarkę i stanęła w ciszy wypełnionej hukiem wody, sycąc się prezentem Kita w całym jego ogromie i mrocznej doskonałości, aby móc zapamiętać go do końca życia.

„Większości ludzi wystarcza samo małżeństwo, ja jednak chciałbym dać ci prezent, który będzie wieczny, o którym będziesz mogła pamiętać, gdy magiczna chwila przeminie,

ustępując miejsca spokojnej codzienności. Czego pragniesz najbardziej na świecie, kochana? Co sprawi, że będziesz mnie kochała całą wieczność?"

Wypowiedział te słowa w Cambridge, w swoim pokoiku nad rzeką, dumnie górującym ponad miastem. W dole płynął przejrzysty zielony nurt. Zapytał ją o to rano, zanim udali się do urzędnika stanu cywilnego w towarzystwie dwóch świadków, aby zalegalizować swój związek.

Znała go nieco ponad rok. On był naukowcem z krwi i kości w College'u św. Bedy, a ona dziewczyną z Yorkshire, posiadającą dyplom jednego z renomowanych uniwersytetów, która jeszcze nie miała zielonego pojęcia o hermetyczności świata nauki. Chociaż na pozór wydawali się krańcowo różni, odkryli dziwne powinowactwo dusz, które sprawiło, że w ciągu czterech przyprawiających o zawrót głowy miesięcy przeszli od dyskusji na temat teorii strun do małżeństwa.

Leżała na łóżku, pogodzona ze sobą i światem, niczego od niego nie pragnąc. Ponieważ dzień był piękny, pomyślała o skałach i o tym, jak jest ich mało na płaskich mokradłach wokół Cambridge.

— Znajdź mi jaskinię — powiedziała, nie mając na myśli niczego konkretnego. — Jaskinię, której nikt wcześniej nie widział. Obdarzę cię za to wieczną miłością.

Uklęknął przy łóżku, aby móc ją widzieć i aby ona mogła widzieć jego głębokie zielono-brązowe oczy. Wtedy były spokojne, bardziej orzechowe niż szmaragdowe, z odcieniem listowia i lata. Pocałował ją w czoło pomiędzy brwiami i powiedział: „A jeśli znajdę ci jaskinię z ukrytym skarbem, do której żaden człowiek nie wszedł od czterystu dziewiętnastu lat? Czy będziesz zadowolona?"

— Od czterystu dziewiętnastu lat...? — Usiadła zbyt szybko jak na upalny dzień.

Zawsze ją zaskakiwał. Właśnie dlatego zamierzała go poślubić.

— Znalazłeś jaskinię Cedrica Owena? Katedrę ukrytą we wnętrzu ziemi? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

— Chciałem się upewnić.

— Czy dziś jesteś tego pewny?

— Na tyle, na ile mogę, nie zapuszczając się do środka. Wskazówki zostały zaszyfrowane w księgach. Zwisające ciernie, zakrzywienie łuku, spadająca rzeka. Owen musiał znać to miejsce jak własną kieszeń. Jedyne, co przychodzi mi do głowy to Ingleborough Hill w Yorkshire. Urodził się na jednym z jego zboczy. Ciernie dawno uschły, lecz odnalazłem wzmianki o nich w starym dzienniku, jest też rzeka, która wpada do Gaping Ghyll.

— Gaping Ghyll? Kit, to najgłębsza jaskinia w całej Anglii. Jej korytarze ciągną się kilometrami.

— Masz rację. Są tam korytarze, które nie zostały jeszcze zbadane. Może odnajdziemy ukrytą we wnętrzu ziemi katedrę, w której nie postąpiła niczyja noga od czasu, gdy Cedric Owen napisał swój wiersz. Chciałabyś się tam wybrać? Potraktować to jako ślubny prezent dla nas dwojga? Może odnajdziemy jaskinię, poszukamy białej wody i zanurzymy się w niej, sięgając po ukrytą perłę?

Stella wiedziała, że będzie to prezent także dla niego. Błękitne kamienne serce Cedrica Owena było miłością jego życia, jego pasją, świętym Graalem, którego poszukiwał od czasu, gdy go poznała. Wielkim skarbem jego college'u od wieków bezskutecznie wypatrywanym przez możnych i bogatych.

Nie wiedzieli, gdzie go szukać. Nie czytali między wierszami, szukając ukrytych słów i fraz jak Kit. Było to jego największe dokonanie i największa tajemnica. Wychodząc za niego, stała się częścią tego przedsięwzięcia.

Mimo to... zmarszczyła brwi, spoglądając przez okno na wzniesiony z piaskowca gmach biblioteki i wielkie trawiaste dziedzińce College'u św. Bedy, troskliwie pielęgnowane od pięciuset lat, obrosłe wieloma legendami. Je również poznała.

— Sądziłam, że czaszka zabiła wszystkich, którzy jej strzegli.

Roześmiał się, kładąc się obok niej na wpół ubrany.

— Tylko dlatego, że ulegli grzechowi pożądania i chciwości. My tego nie zrobimy — powiedział.

Leżeli obok siebie, oko przy oku, nos przy nosie, słysząc bicie serca i oddech drugiego. Czując bliskość jego ciała, spojrzała mu w oczy i wyznała:

— Strasznie chciałabym zdobyć nieodkrytą jaskinię. Nawet nie wiesz, jak cudowny byłby to prezent.

— Wyobrażam sobie. Jesteś grotolazem: dla ciebie byłoby to takim samym przeżyciem, jak dla mnie odnalezienie kamiennego serca Owena. Właśnie dlatego możemy tego dokonać. Ty i ja. Odważnie, ramię w ramię. Wówczas będziemy mogli ogłosić światu, co znaleźliśmy.

Była grotolazem. To do niej należało przekształcenie tego marzenia w rzeczywistość. Właśnie dlatego nie zniechęciła się, gdy natrafili na zagradzający drogę skalny występ, a gdy odkryła przejście prowadzące tam, gdzie pragnęli się znaleźć, ruszyła pierwsza długim, klaustrofobicznym tunelem, w którym musiała zamienić się w węża, a następnie węgorza i robaka, przeciskając się przewężeniami i czołgając centymetr

po centymetrze pięćdziesiąt metrów w górę, żeby dotrzeć do wylotu pieczary.

Lina naprężyła się ponownie, by po chwili opaść, gdy Kit zaczął pokonywać ostatni odcinek. Włączyła latarkę, aby widział, w którą stronę się posuwać.

Chwiejny snop latarki, niczym migoczący na ekranie film, że raz po raz wydobywał z ciemności stalaktyty i stalagmity zaciskające się jak zęby rekina od podłogi po sufit. Wyjęła aparat z plecaka i zatoczyła półkole, wykonując serię zdjęć.

Światło flesza wydobywało barwy z biegnącego w górę tunelu, odsłaniając grudy węglanu wapnia, mieniło się tęczą w połyskującej wodzie, której kropelki migotały niczym brylanty — żywe diamenty, pojawiające się na każdym pęknięciu i załamaniu skały.

Robiła zdjęcia powodowana czystą radością fotografowania, rozkoszując się pięknem jaskini. Dopiero gdy Kit wyłonił się z tunelu i stanął obok, podążyła wzrokiem za dudniącym odgłosem i odwróciła się na zachód, by oświetlić latarką spływające kaskadami masy wody.

— Boże...

— Katedra ukryta we wnętrzu ziemi.

— Mądra dziewczynka. Myślałem, że ta skalna ściana to koniec.

Nie była już sama. Poczowała oddech Kita na swoim uchu. Objął ją ramieniem, pograżając w radości zaprawionej kroplą goryczy. Z trudem zrezygnowała z czystej samotności, chociaż ze wszystkich ludzi na świecie Kit najlepiej rozumiał tę potrzebę i nie obawiał się jej.

Oparła głowę na jego piersi, przywierając do niej i zwracając latarkę ku jego twarzy. Ubrany w czarny neoprenowy kom-

binezon był brudny i w absolutnej euforii. Mężczyzna bliski spełnienia obietnicy.

— Nie wyobrażam sobie, aby Cedric Owen znalazł ten korytarz. Medyk z epoki Tudorów w kaftanie i raj tuzach nie przecisnąłby się takim tunelem.

— Nie dokonałby tego żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach, gdyby nie towarzyszyła mu ukochana. — Kit wykonał dworski ukłon i przesłał jej całusa. — Pani O'Connor, uwielbiam panią, nie mogę cię jednak pocałować, gdy masz tę latarkę na głowie.

Posłał jej całusa, którego pochwyciła jakby w locie.

— Jestem doktor Cody, dopóki nie zostanę profesorem Cody. Nie zapominaj o umowie. — Chociaż byli małżeństwem od nieco ponad czterdziestu ośmiu godzin, dawno uzgodnili, że publicznie zawsze będzie używał jej panińskiego na zwiska.

— Masz magnezową pochodnię? — zapytała. — Trzeba zobaczyć wszystko jak należy.

— Mam. — Zaczął przetrząsać plecak. — Później trzeba będzie ustalić, jak Owen dotarł tu łatwiejszą drogą. Mam nadzieję, że odnajdziemy tunel prowadzący na zewnątrz. Wolalbym nie przeciskać się tym uchem igielnym w odwrotną stronę. Przeciskanie się w dół i w górę, jednocześnie manewrując w krętym tunelu, nie byłoby zabawne.

— Ale możliwe. Nie zapominaj o tym. — Kiedyś Stella została uwięziona w jaskini, z której nie można się było wydostać tą samą drogą. Nadal śniła o niej w nocnych koszmarach, kiedy życie wywierało na nią zbyt silną presję. — Zapal pochodnię. Zobaczmy, czego nie dostrzeżliśmy wcześniej.

— Proście, a będzie wam dane. — Kit umieścił pochodnię w szczelinie, do której ona nie mogłaby dosięgnąć. Dodatkowych piętnaście centymetrów wzrostu czasami się przydaje, a czasami przeszkadza. — Cofnij się.

Zapalił pochodnię, jedną ręką zasłaniając oczy, tak jak go uczyła. Cofnął się, zanim magnez w pełni się rozpałił.

Biała woda!

Ściany pieczary oświetliło ostre żarzące się światło. W jego promieniach stalagmity przybrały nieskazitelną biel śniegu, wodospad przypominał kaskady płynnego lodu, a ponad zaciśniętymi zębami rekina ukazał się sufit pieczary — szarzejący wapienny łuk w połowie drogi do nieba.

— Jak sądzisz, jaką ma wysokość? — zapytał Kit. Jego głos zagłuszył huk i szum wodospadu.

— Sto metrów? Może trochę więcej. Moglibyśmy wspiąć się po jednej ze ścian i to ustalić, jeśli czujesz się na siłach.

— Czy kiedykolwiek czułem się na siłach podnieść nogę, jeśli nie musiałem? — Uśmiechnął się słabo. — Wolałbym raczej odnaleźć czaszkę.

Oparł się plecami o ścianę, ściągnął zębami jedną rękawicę i zaczął szperać w plecaku, by po chwili wyciągnąć starannie zwiniętą kartkę — rozszyfrowany wiersz Cedrica Owena, owoc trzech lat badań.

To, czego szukasz, spoczywa ukryte w białej wodzie. Wodospad jest biały.

— W wodzie jest pełno kamienia osadowego, innej postaci bieli. Przeczytaj jeszcze raz ten fragment o odwadze uczynienia następnego kroku.

Kit miał duszę poety, chociaż na co dzień zaprzętał sobie głowę systemem szesnastkowym i językami programowania.

Odwrócił się tak, by nie zasłaniać kartki swoim cieniem, i odczytał na głos:

Wejdź z odwagą. Idź przed siebie tak daleko, jak pozwolą ciemności. Przekrocz łuk nocy i wejdź do katedry ukrytej we wnętrzu ziemi. Spójrz na wschodzące i zachodzące słońce, przeniknij przez zasłonę do studni wody żywej, aby znaleźć ukrytą perłę.

Opuścił kartkę.

— Dotarliśmy do katedry ukrytej we wnętrzu ziemi — powiedział miękkim głosem.

— Masz rację. Teraz musimy stanąć przodem do wschodzącego i zachodzącego słońca. Nie przeszliśmy przez łuk nocy, żeby tam dotrzeć. Przepisaliśmy się przez tunel, którego nie było w czasach, gdy pół tony skał zasypało drogę Cedrica Owena. Musimy ustalić, którądy się tu dostał, zanim stwierdzimy, dokąd się później udał.

Stella stanęła na krawędzi białego kręgu magnezowego światła i wolno rozejrzała się wokół. Lampa rzucała horyzontalny snop na ściany jaskini, przedzierając się przez stalaktyty, zawadzając o wychodnie, omiatając wysokie plamy ciemności.

— Tam!

Podeszła ostrożnie do wilgotnej skały. Łuk bardziej przypominał poszarpaną i niesymetryczną szczelinę. Nie mogła go dosięgnąć uniesionymi w górę i w bok ramionami. Ostrożnie weszła w mroczną przestrzeń, która za zakrętem przechodziła w zwężające się przejście.

— Stell? — Kit stanął u wejścia i zajrzał do środka.

Odkrzyknęła, składając dłonie, aby przekrzyczeć echo.

— To tutaj. Zasypano korytarz. Skała musi mieć przynajmniej dwadzieścia metrów grubości. Tunel, którym się tu dostaliśmy, zatacza koło i wychodzi w dalszej części pieczary.

Wróciła do niego, oświetlając latarką ściany korytarza. Tu i tam ukazały się barwne smugi ledwie widoczne w promieniu światła.

— Na ścianie są jakieś malowidła. — Wyczuła podziw we własnym głosie. — Trzeba będzie opowiedzieć o tym ludziom.

Wróciła do jaskini i stanęła w miejscu, które było wystarczająco oświetlone, żeby można było obejrzeć wnętrze, rozjeżdżać się, zbadać wysokie ściany w poszukiwaniu innych śladów dawnego życia.

— Boże, Kit... Zabiorę to wszystko ze sobą. Istnieją lepsze rzeczy niż znalezienie jaskini, o której nikt nie słyszał. — Uśmiechnęła się zmysłowo, czując, jak krew gotuje się w jej żyłach.

— Stell?

Pochodnia wypalała się szybko. Kawalki stopionego magnezu z sykiem spadały na ziemię. W żółtym świetle ujrzała, jak Kit zdejmuje z głowy latarkę i ściąga kaptur. W mroku jego włosy błyszczały jak złoto, a pod kapturem przebiegała linia czystej skóry. Błoto pokrywało liczący pół dnia zarost. Wiedziała, co ma zamiar zrobić, i ściągnęła rękawice, a następnie dotknęła swojej twarzy i z przyjemnością stwierdziła, że nie jest czysta.

Pochylił się i zdjął jej latarkę, a następnie zsunął kaptur podobnie jak własny. Miedziane światełka odbijały się od jej włosów i oświetlały wodę. Był blisko. Czowała jego ciepło i zapach potu, lęk i podniecenie. Kochała go.

JA

Całowali się w ciemności. Zgasła pochodnia i światło latarki. Nagle pomyślała, że z tego miejsca w dół prowadzi tylko jedno długie zejście.

Wyczuł zmianę jej nastroju.

— Jesteś gotowa ujrzeć wschód i zachód słońca? — zapytał ochrypłym głosem.

Spojrzała na kompas umieszczony na nadgarstku.

— Według mnie powinniśmy u wylotu tunelu skrócić na wschód, a następnie ruszyć na zachód. Po północnej stronie jaskini jest rzeka. Mógłbyś umieścić tu drugą pochodnię tak, aby oświetlała jednocześnie ścianę jaskini i wodę?

Pozostały im jeszcze trzy. Bardzo rzadko używała kilku podczas jednej wyprawy. Wsunął drugą pochodnię między dwa stalagmity w kanale wydrążonym przez wodę w kredowej ścianie, tam gdzie mu pokazała. Magnez trysnął płomieniem i czarna wstęga rzeki zamieniła się w srebrną nitkę nakreśloną na śniegu.

— Nie wiemy, jak jest głęboka, na dodatek jest zbyt szeroka, żeby skoczyć. Trzeba poszukać jakiegoś pomostu, kamienia, na którym można by stanąć, lub zwężenia, w którym będziemy mogli przekroczyć rzekę.

Kit ruszył przodem, badając teren. Ponownie nasunął neoprenowy kaptur i założył latarkę na głowę. Brudne smugi na policzkach powodowały, że wyglądał na bardziej wymizowanego, niż był.

— Dlaczego mielibyśmy przechodzić na drugą stronę? — zapytał.

— Ponieważ tylko w ten sposób można najpierw podążać na wschód, a później na zachód. Musi istnieć jakieś przejście prowadzące na wschód, żeby można było wrócić na zachód

wzdłuż północnej ściany. Wodospad przypomina zasłonę. U jego podnóża jest jezioro. Pewnie nie uda się nam dotrzeć bliżej studni z wodą żywą. To miejsce jest najbardziej oddalone od łuku nocy. Owen pragnął ukryć kamienne serce, aby ocalić je dla potomności. Nie chciał, żeby jego odnalezienie było łatwe, z drugiej strony zadanie musiało być wykonalne. Dlatego ukrył czaszkę po drugiej stronie rzeki w miejscu, do którego nie trafiłbyś przypadkiem ani nawet z wyboru, chyba że byłbyś do tego zmuszony.

— Przejdziemy tutaj, tak? — zapytał niepewnie Kit. — Po tych kamieniach, które wyglądają jak marmur?

Ponieważ kamienie ruszały się pod stopami, kazała Kitowi zaczekać. Zanim podjęła kolejną próbę, umieściła w ścianie hak i przypięła dwie liny pod odpowiednim kątem. Była zadowolona, że to zrobiła, gdy trzeci kamień się przesunął i poczuła siłę czarnego nurtu.

— Jesteś zmarznięta — zauważył Kit, gdy do niej dołączył.

Zaprzeczyłaby, gdyby jego ręka nie spoczywała na jej drżącym z zimna ramieniu. Trzęsła się mocno, siłą woli powstrzymując szczykanie zębów.

— W jaskiniach zwykle bywa zimno. Rozgrzeję się, gdy ruszymy. To nic złego, że się zamoczyłam, skoro mam zanurkować po czaszkę.

— Nie masz odpowiedniego sprzętu. — Był wyraźnie zaniepokojony. Woda wyprowadziła go z równowagi bardziej, niż się można było spodziewać.

— Mam ciebie. Czy potrzebuję czegoś więcej? — Była to dość tandetna uwaga, ale potrzebowała teraz jakiegoś naj-

prostsze wsparcia. — Nie cofniemy się, prawda? Zaszliśmy za daleko, poza tym za drugim razem żadna jaskinia nie jest już tak niezwykła jak za pierwszym. Mam maskę i podwodną latarkę. Powinno wystarczyć.

— Będzie nam potrzebna trzecia pochodnia.

— Nie. Nie wiemy, co nas czeka. Trzeba będzie stąd wyjść. Chodź, przyjrzymy się wodospadowi. — Nagle poza łową, że rozrzutnie zmarnowała dwie poprzednie pochodnie.

— Spójrz na wschodzące i zachodzące słońce, przeniknij przez zasłonę do studni wody żywej, aby odnaleźć perłę... i tak dalej.

Jej świat ograniczał krąg światła latarki. Obok stał Kit. W ciemności huk wody mówił więcej niż obraz wodospadu — informował o jego wielkości, ilości spadającej wody i głębokości jeziora, które znajdowało się u podstawy.

Przechyliła głowę, żeby spojrzeć w górę na kataraktę i odgadnąć jej wysokość. Promień latarki nie sięgał do miejsca, w którym nie było wody, chociaż u jego kresu dostrzegła zawirowanie i wodną mgiełkę sięgającą w głąb jaskini i tańczącą jak czarodziejskie ogniki, więc uznała, że w tym miejscu powinno być ujście rzeki.

Spojrzała w dół na spienioną lodowatą wodę, która spadała w czarną niezmierną otchłań. Sięgnęła po kamień wielkości pięści i cisnęła. Obrócił się jak liść w gwałtownym nurcie, aby po chwili zniknąć.

— Przeniknij przez zasłonę — powiedział Kit. — Chryste, jak to możliwe?

— Nie mam pojęcia, skoro jednak Cedric Owen dokonał tego czterysta dziewiętnaście lat temu bez magnezowej pochodni i suchego kombinezonu z neoprenu, a na dodatek

wyszedł z tego cało, trzeba przyjąć, że zadanie to nie jest tak przerażające, na jakie wygląda. Gdybyśmy...

— Stell?

— Spójrz na północny kraniec skały, w którym kończy się wodospad. Moglibyśmy...

— Stella...

— Moglibyśmy znaleźć przejście pod wodą, przez które...

Co się stało?

— Nie sądzę, żeby mu się udało — powiedział bezbarwnym, pozbawionym modulacji głosem.

— Komu i co?

— Nie sądzę, żeby Cedric Owen wyszedł stąd żywy. Spójrz na ten szkielet. Duża ilość kamiennego osadu nawet takiemu laikowi jak ja sugeruje, że szczątki spoczywają tu od bardzo długiego czasu.

**U stóp wodospadu Ingleborough,
Park Narodowy Yorkshire Dales,
maj 2007**

*Wolność sięga tak daleko, jak granice naszej
świadomości.
Szkielet był zdumiewająco biały, kości grube i
nierówne od
osadu kredy, który przytwierdził go do podłoża.
Stella uklękła obok łukowato wygiętej kości
miednicy
i oświetliła cały szkielet.
Kość palca połączona z kością stopy. Kość
stopy połączona ...
Potrząsnęła głową.
- Chociaż osad wapienny powoduje, że trudno
mieć pewność, wydaje się, iż wszystkie kości są
całe. Kręgosłup
nie jest uszkodzony, kości nie są wygięte pod
niewłaściwym
kątem.*

Kit stał z drugiej strony, o krok od niej. Jego latarka czołowa oświetlała czaszkę zmarłego. Prawdziwą czaszkę, nie kryształową, której szukali.

— Wydaje się niezwykle spokojny. Spoczywa jak rycerz w grobie, równo ułożony. Dłonie splecione na piersi. Brakuje mu tylko miecza i...

— Myślę, że go miał. Spójrz na to. — Stella nosiła w plecaku wielozadaniowe urządzenie do wspinaczki. Dwa dziesięć centymetrów lekkiego aluminium wystarczająco twardego, by wydłubać uparty sprzęt z zakleszczonego miejsca w skale. Zdrapała ostrym końcem kredę z przedmiotu, który kiedyś mógł być mieczem, lecz teraz był pokryty tak grubym osadem, że nie potrafiła stwierdzić, co to jest. — Może umarł, zanim tu trafił, albo przyszedł do jaskini, żeby umrzeć.

— Formułowanie wniosków na temat jego płci nie jest w twoim stylu. Masz pewność, że zmarły był mężczyzną?

— Nie jestem niczego pewna. Nie naoglądałam się seksownych lekarek patologów w telewizji. Niezależnie od tego, kim był, ma coś na szyi.

Pod przedmiotem przypominającym miecz znajdowało się coś miękkiego, co nie zbutwiało, lecz obrosło wapienną skorupą. Wydostała przedmiot i obróciła go w palcach, aby skruszyć osad.

— To skórzany woreczek wyściełany czymś, co po wstrzymało wodę. — Z trudem rozplatała sakiewkę i wysypała zawartość na dłoń. — Naszyjnik wykonany z brązu lub miedzi. — Starła osad z powierzchni. — To coś dla ciebie. — Podniosła naszyjnik w górę. — Z tyłu wyrzeźbiono znak Wagi.

W innym czasie i miejscu obróciliby wszystko w żart. Jedną z rzeczy, które ich łączyły, była pogarda dla przesądów. Obecność zmarłego spowodowała, że znaleziony przedmiot nabrał wartości.

— Pokaż. — Promień latarki przesunął się wzdłuż jej ramienia.

— Został wydrapany gwoździem lub czubkiem noża. Wi dzisz? Waga umieszczona pomiędzy słońcem i księżycem. Jeśli go odwrócimy... — Stella odwróciła medalion, pocierając kciukiem drugą stronę. — To herb. Jedna ze średniowiecznych tajemnych pieczęci. Sam zobacz.

Wziął medalion do ręki uwolnionej z rękawiczki i zbliżył do światła latarki. Ponieważ nachylił się, aby obejrzeć przedmiot z bliska, dostrzegła, że krew odpłynęła mu z twarzy.

— Co się stało? — zapytała.

— To smok pod wschodzącym półksiężycem. — Mówił z wyraźnym irlandzkim akcentem, jakby cała jego angielskość uleciała w obliczu śmierci. — To herb College'u Świętego Bedy. Widnieje w okiennym witrażu obok mojej sypialni. Jest też umieszczony nad bramą Wielkiego Dziedzińca, ponad hakiem wiodącym na Dziedziniec Lancasterów oraz nad drzwiami do pokojów dziekana. Taki medalion był noszony jedynie przez dziekanów College'u Świętego Bedy lub jego wysłanników w czasach, gdy ich jeszcze mieli.

Naszyjnik kołysał się na jego palcach niczym różaniec. Cień Kita przesuwiał się kolistym ruchem po szkielecie.

— To nie może być Cedric Owen. Nigdy nie był niczym wysłannikiem. — Obrócił się na pięcie, zataczając krąg światłem latarki. — Umarł w bramie college'u w dzień Bożego Narodzenia roku tysiąc pięćset osiemdziesiątego ósmego.

Wszyscy o tym wiedzą. Jestem ciekaw, czy ktoś jeszcze próbował tu dotrzeć, aby odnaleźć kamienną czaszkę?

— Jak? Nikomu przed nami nie udało się odczytać szyfru.

— Nikomu, o kim byśmy wiedzieli. — Oddał naszyjnik, zamykając na nim jej palce. — Zachowasz to? Kiedy wrócimy, spróbujemy ustalić, do kogo należy.

Wyczuła chłód metalu przez rękawicę.

— Jeśli nie są to szczątki Cedrica, ktoś inny zginął w pobliżu kamiennego serca. Dokładnie tak, jak przepowiadały legendy. „Zginie każdy, kto weźmie go w dłonie”. Wspomniałeś o tym, a Tony Bookless powtórzył ostrzeżenie na naszym ślubie. Nie zapamiętałam wiele więcej, lecz to akurat utkwilo mi w pamięci.

— Nadal chcesz go odnaleźć?

— Zdecydowanie. — Oświetliła kataraktę, a następnie przesunęła promień w dół. — Postarajmy się nie powiększyć tej ponurej statystyki.

Była szczęśliwa, kiedy w końcu może zanurkować.

W gęstym mroku jaskini woda okazała się tak zimna, że musiała zacisnąć zęby, żeby się nianie zakrztusić i nie utonąć. Latarka nurkowa umieszczona na czole wysyłała snop szerokości ośmiu centymetrów oświetlający spienioną toń. Kit trzymał linę, lecz rozwijał ją zbyt wolno. Musiała wypłynąć na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza. Bez słowa odwinęła więcej liny, wyrzuciła z płuc cały dwutlenek węgla, wciągnęła powietrze i zanurzyła się ponownie.

W sprzyjających warunkach, w promieniach słońca, potrafiła wstrzymać oddech na nieco ponad trzy minuty. Pod

ziemią, w tak niskiej temperaturze, miała nadzieję wytrzymać o połowę krócej. Przyszła jej do głowy pewna myśl, wiedziała też, że ma dość powietrza, aby ją zrealizować. Skierowała snop światła na zachód, poza krawędź kipieli, gdzie wirujący nurt wyłobił nisze i kotły w skale. Nie widziała nic oprócz ogarniającej ją bieli. Biała woda, biała skała, białe światło. Oddzielała je od siebie wyłącznie faktura, dlatego Stella mogła ufać jedynie własnym dłoniom.

Natrętna myśl nie dawała jej spokoju. Gdy zbliżała się coraz bardziej, czuła, że coś na nią czeka, zaprasza, szepcze, żeby płynęła dalej, prosi, by zdobyła się na odwagę mimo przeraźliwego zimna przenikającego do szpiku kości.

Wynurzyła się trzykrotnie, żeby zaczerpnąć powietrza. Trzy razy silne wiry spychały ją, zanim dotarła do miejsca, w którym toń była dziwnie spokojna, a biała skała rozpościerała się szeroko, okrągła niczym kocioł.

Zawsze kierowała się zasadą: spróbuj trzy razy, a później daj sobie spokój. Dzięki temu przeżyła w jaskiniach, gdzie Jeszcze jedna próba" mogłaby się przerodzić w dziesięć kolejnych, a wyczerpanie niepowodzeniem mogłoby uniemożliwić wyjście na powierzchnię.

Była gotowa dać sobie spokój, lecz cicho szeptała zachętą, obietnicą i pilne naleganie sprawiły, że rozwinęła więcej liny i zanurkowała ponownie, płynąc przez spienioną białą wodę ku mrocznej przestrzeni rozpościerającej się tuż przed nią.

W świetle czołówki i, oszołomiona, ujrzała krawędź za głębienia w skale. Chwyciła ją obiema rękami i pochyliła głowę, by oświetlić wnętrze. Aby przekonać się, co Cedric Owen ukrył tam cztery wieki wcześniej.

Szukali błękitnego kamienia w kształcie ludzkiej czaszki.

W czarnej wodzie ujrzała niewyraźny zarys, zdeformowaną perłę, w której dostrzec można było jedynie cień oczu, nosa i ust sugerujący, że w środku kryje się czaszka. Mimo to uznała ją za piękną. Wygięła się i sięgnęła, żeby ją wyciągnąć.

Błękitna!

Oślepiająca błękitna barwa sprawiła, że zakrztusiła się, chociaż serce skakało jej w piersi jak łosoś. Straciła oddech, zachłysnęła się i wypłynęła na powierzchnię, gwałtownie kaszłąc.

— Stella, byłaś za długo pod wodą. Wychodź na brzeg. Nie warto umierać dla jakiegoś kamienia. Zostawmy go.

Kit stał pochylony nad krawędzią, gotowy wciągnąć linę.

— Nie! — zawołała, machając ręką nad głową. — Ona tam jest! Mogę ją wydostać. Spróbuję ostatni raz...

Ponownie zanurkowała w czarnej wodzie, odpychając się nogami od krawędzi kotła i oświetlając go promieniem latarki. Zesztywniałe z zimna ręce sięgały w dół kipiącej czeluści po bezcenną perłę — kamienną czaszkę Cedrica Owena.

Tak jak oczekiwała, za drugim razem błękitna barwa wydała się mniej intensywna. Kamienna czaszka wylądowała w jej dłoniach, śpiewnie nuąc powitanie.

— Stell, jesteś cała zmarznięta. Musimy się ruszać, wy prowadzić cię stąd, wyjść na słońce.

— Daj mi czekoladę i przytul. Nic mi nie będzie.

Była idiotycznie, nieprzytomnie zziębnięta. Czowała się tak, jakby ktoś zamroził jej szpik. Dłonie całkiem straciły czucie. Z doświadczenia wiedziała, że za dwa dni będzie miała chore



gardło, a za pięć — kaszel. Siedziała w świetle pochodni pozerającej mrok, trzy metry od szkieletu człowieka nieznanej płci, wieku, rasy i imienia, trzymając brzydką, pospolitą bryłę wapienia, którą z wielkim trudem można by uznać za czaszkę. Na dodatek czuła się szczęśliwa jak nigdy w życiu.

Kit oplótł ją ramionami i nogami, ogrzewając własnym ciałem i tak, by karmiło i ochraniało ją jego ciepło.

— Kit?

— Tak? — Był wyraźnie przygnębiony. Nie było mu na prawdę zimno, co czasami bywa gorsze od przemarznięcia. Nawet nie poprosił, żeby pokazała mu kamienną czaszkę, czym ją zaskoczył.

— To najwspanialszy ślubny prezent na świecie — powie działa. — Dziękuję.

— Jeszcze stąd nie wyszliśmy.

— Wyczułam powiew ze wschodu na zachód. Jeśli skręcimy w lewo za wodospadem, tam gdzie jeszcze nie sprawdzaliśmy, na pewno znajdziemy korytarz łączący się z jaskinią White Scar, którą dostaniemy się w pobliże samochodu.

— Gdyby było to takie proste, o tym miejscu wiedziałyby setki ludzi.

Zwolnił uścisk. Teraz dygotali oboje, co można było uznać za pewien postęp. Stella wywinęła się z jego objęć, otworzyła plecak i umieściła kamienną czaszkę w bezpiecznym miejscu obok wykonanego z brązu medalionu, na którym smok rozwijał skrzydła pod stojącym wysoko półksiężycem. Wyciągnęła rękę, milcząco prosząc Kita, aby pomógł jej wstać, i uśmiechnęła się nieśmiało w świetle jego latarki.

— Okay, może czeka nas trochę wspinaczki i przeczołganie się przez wylot tak mały, że nikt nie był na tyle głupi, by tego

spróbować. Pamiętasz słowa: „Odkryj mnie i żyj”? Dokonaliśmy tego.

— Odważnie, ramię w ramię?

Miała nadzieję, że o tym nie wspomni. Ucałowała jego dłoń.

— Oczywiście. Daj spokój. Jeszcze zrobimy z ciebie grotolaza.

Wspinali się i czołgali. Podczas drugiego zejścia Stella usłyszała kamień spadający w ciemności. Stała w punkcie asekuracyjnym, zwijając linę.

Spojrzała w górę, oświetlając latarką buty Kita.

— Słyszałeś?

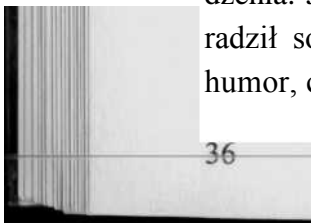
— Słyszę jedynie, jak krew pulsuje mi w uszach, jak szczękam zębami i jak moje ciało spada trzysta metrów w dół, odpadając od tej diabelskiej ściany, którą wyczarowałaś z niczego. Nie. Chciałbym usłyszeć uliczny zgiełk i prawdziwych, żywych ludzi. Tkwimy tu całą wieczność.

— Dwie godziny. Opuściliśmy jaskinię dwie godziny temu. Przed czterema godzinami oglądaliśmy światło dnia. W tych jaskiniach nie ma spadku liczącego trzysta metrów. Największy spadek w Yorkshire ma nie więcej niż sto dwadzieścia.

— Wystarczy, żeby zginąć, jeśli odpadniemy od ściany i uderzymy o dno.

— Nie odpadniemy.

Ściana nie miała stu dwudziestu metrów, ale wspinaczka nie była łatwa, bo zejście w dół jest zawsze trudniejsze od podchodzenia. Jak na zdeklarowanego przeciwnika wspinaczki, Kit radził sobie zdumiewająco dobrze. Odzyskał nawet dobry humor, co można było uznać niemal za cud.



Stella stała z boku skalnej półki, naprężając linę tak, żeby nie oderwać go od ściany. Najpierw ujrzała jego stopy, a później ręce. Staął obok niej.

— Co teraz?

Oświetliła latarką plastikową mapę, którą wyjęła z kieszeni.

— Jeśli mapa jest poprawna, ta półka stanowi fragment zespołu jaskini White Scar, znajduje się jednak znacznie głębiej od pozostałych. Jesteśmy na szlaku, który otworzono zaledwie dziewięć miesięcy temu. Nic dziwnego, że nikt nie znalazł drogi do jaskini. Pokonanie tej półki jest wystarczająco trudne. Potrzeba specjalistycznego sprzętu i zespołu, w którym każdy wie, co robić. Będzie dobrze, jeśli nie zboczymy do Gaping Ghyll.

— Kotła, do którego wpada rzeka?

— Kotła z najwyższym wodospadem w Anglii, największą pieczarą poniżej i zbiornikiem ściekowym znajdującym się jeszcze głębiej. Aby się stamtąd wydostać, trzeba pokonać osiem trudnych odcinków, stawiając czoło masom spadającej wody. Żadne z nas tego nie dokona.

Znała Gaping Ghyll jak własną kieszeń. Tam po raz pierwszy zeszła do jaskini i tam nabrała ochoty na kolejne wyprawy, nie na tyle jednak, by zginąć.

Wykreśliła linię palcem wskazującym.

— Jeśli dobrze rozumiem, ta półka ma długość niecałego kilometra i dochodzi do rozwidlenia, na którym skęcimy w lewo. Później zwęża się i opada. Jeśli będziemy mieli szczęście, znajdziemy haki i liny, których można się trzymać, jednak nawet gdybyśmy ich nie odnaleźli, będzie to dziecinnie łatwe, o ile uda się nam utrzymać z dala od krawędzi.

— Dziecinnie łatwe... — Kit oświetlił latarką boczną

ścianę, skalną półkę i mroczną czeluść bez dna. Na próbę strącił butem kawałek skały. Kamień przez chwilę odbijał się od ścian, a następnie przepadł w absolutnej ciszy, spadając na dno, które było zbyt daleko, by mogli usłyszeć uderzenie.

— Nie wiem, jak możesz to robić dla przyjemności. Stello Cody, jesteś porządnie stuknięta, podobnie jak mężczyzna, który cię poślubił. Przypomnij mi, żebym się z tobą rozwiódł, gdy tylko wyjdziemy na powierzchnię. Psychiczne znęcanie się. Bez dyskusji.

Dotknął jej ramienia i delikatnie ścisnął. Jego akcent był teraz niemal wolny od irlandzkich naleciałości. Nie trząśł się z zimna i ze strachu. Stella próbowała przypomnieć sobie swoją pierwszą jaskinię i to, ile czasu potrzebowała, aby pokochać strach i ciemność.

Wyciągnął butelkę z wodą i pociągnął łyk, a następnie podał jej.

Chlupotanie wody omal nie zagłuszyło dalekiego odgłosu spadającego kamienia.

— Tam! — powiedziała

— Co?

— Spadła skała. — Nie powiedziała nic więcej. Jak miała mu wyjaśnić, że kamienna czaszka ożyła, że zaczęła wy czuwać jej obecność na krawędzi świadomości, że odnotowała nadciągające niebezpieczeństwo? — Wcześniej słyszałam podobny dźwięk — rzekła. — Zanim do mnie zszedłeś.

— Usłyszałaś dźwięk spadającej skały? W środku góry zbudowanej z kamieni ułożonych jeden na drugim? — Oświet lił latarką jej twarz. — Czy to coś niezwykłego?

Jego pogoda ducha była zaraźliwa. Pragnęła unosić się na

niej przez całą drogę do domu. Kamienna czaszka działała jej na nerwy. Uśmiechnęła się, żeby delikatnie sprowadzić go na ziemię.

— Tak. W jaskini słyhać dźwięk spadających skał tylko wówczas, gdy ktoś zepchnie je w dół, tak jak to przed chwilą czyniłeś. Myślę, że mamy towarzystwo.

— Masz coś przeciwko temu?

— Zwykle nie, jednak tym razem jesteśmy w nieznannej części jaskini, która nie została oznaczona na mapie. Na dodatek niedawno zdobyliśmy przedmiot poszukiwany od czterystu lat. Jeśli komuś będzie bardzo na nim zależało, nie zawaha się pozostawić na dnie jaskini dwóch kolejnych szkieletów. W końcu, kto się o tym dowie? Myślę, że powin niśmy iść dalej i robić jak najmniej hałasu.

— Stell, usłyszałem dźwięk poruszonej skały.

— Ja również. Taki jak przed trzydziestoma sekundami.

Półka, którą szli, zwęziła się do szerokości pięćdziesięciu centymetrów. Stella skierowała promień latarki tak, żeby oświetlał jej buty i nie stąpała dalej, niż mogła sięgnąć wzrokiem. Nie zauważyła żadnych haków ani lin, których mogliby się uchwycić. Z prawej strony otwierała się mroczna pustka przyciągająca żywe ciała i zamieniająca je w martwe. Siła ciężenia wsysa. Każdy grotolaz wie, że pod ziemią wsysa z większą siłą. Stella nigdy nie wspomniała o tym Kitowi.

— Ten, kto idzie za nami, nie kryje swojej obecności. Chce, żebyśmy wiedzieli, że tu jest.

— Co zrobimy?

— Czy gdybym ci powiedziała, że kamienna czaszka sądzi,

że powinniśmy zwiewać co sił w nogach, rozwiódłbyś się ze mną po raz drugi?

Teraz to ona mówiła z irlandzkim akcentem. Zawsze powtarzał, że jej akcent przypomina kameleona. Zmieniał się, gdy odczuwała stres, przybierając różne postacie, od akcentu z hrabstwa Yorkshire aż po akcent z okolic Dublina, przesu-
wając się na zachód ze wzrostem poziomu adrenaliny.

— Poddaję się. Zapamiętam to. Czy mówi dlaczego?

Kit z trudem zachowywał spokój. Kochała go za to.

— Nie chce, żebyśmy spotkali tego, kto podąża za nami.

— Poszukiwacza kamiennej czaszki?

— Najgorszego rodzaju.

— Typa, który zostawia szkielety na swoim szlaku?

— Dokładnie.

— W takim razie pobiegnijmy. Ten, kto dotrze na powierzchnię jako drugi, będzie tchórzem. Możemy wyłączyć latarki i liczyć na to, że uda się nam przeżyć?

— Nie ma mowy. Nie możemy biec. Zwyczajnie przyśpieszmy kroku.

— Kit!

Jej głos stłumił neopren. Zasłonił ręką jej usta, drugą wyłączając latarkę. Jego już zgasła. Przywarł całym ciałem do skały. Stali w całkowitej ciemności, w odległości pięćdziesięciu centymetrów od nieznannej głębi. Gdzieś za nimi, za zakrętem po lewej stronie, usłyszeli dźwięk skały spadającej w otchłań.

— Mów szeptem — powiedział jej do ucha. — On nas zagania, wcale nas nie ściga. Chce, abyśmy przyspieszyli.

Czy mamy przed sobą jakąś przeszkodę? A może półka zwyczajnie się skończy i nie będzie ucieczki? Stella знаła mapę na pamięć.

— Za jakieś dwieście metrów jest zwężenie. Z mapy wynika jedynie, że jest to niebezpieczne miejsce. Powinny tam być haki i liny.

— Jeśli będziemy szli zbyt szybko, nie zauważymy ich, a wtedy po nas. — Wargi Kita znajdowały się przy jej czole, poniżej lampy. Miejsce lęku zajął ostry, przenikliwy gniew zdolny przesuwac góry. — Powiem ci, co zrobimy. Wezmę twoją zapasową latarkę, żeby wyglądało, że jest nas dwoje i że idziemy w pośpiechu przed siebie. Poczekaj, aż drań cię minie, i idź za nim. Jeśli będzie próbował nas zepchnąć, nie dostanie dwójki. Jeżeli będziesz miała szczęście, przyjrzyj mu się dokładnie. Nie rób niczego, poczekaj, aż bezpiecznie wyjdziemy na zewnątrz.

— To obłąkany pomysł, Kit. Które z nas jest grotolazem? Jeśli mamy się rozdzielić, powinnam pójść pierwsza.

Potrząsnął głową. Poczula, że drży.

— Wezmę dwie latarki. Zostaniesz w ciemności. — Pochylił się, aby ich głowy się zrównały. Dostrzegła błysk jego oczu.

— Stell, nie ufasz mi?

Usłyszeli odgłos, poruszonego kamienia bliżej niż poprzednio.

— Nie o to chodzi — wyszeptała pośpiesznie.

— W porządku. Masz czaszkę, trzeba ją chronić. „Odkryj mnie i żyj”, pamiętasz? Wdrapiesz się na ścianę i znikniesz z oczu. Nie dokonałbym tego, nawet gdyby moje życie od tego zależało.

Nie odpowiedziała. Ścisnął jej ramię, biorąc milczenie za znak zgody.

— W jakiej odległości od wyjścia jest przewężenie?

— Około jednego kilometra. To łatwa droga. Dojdiesz do głównej jaskini Battlefield. To jedna z największych jaskiń w Anglii. Pełna fluorescencyjnych stalaktytów i prehistorycznych jeziorzek błotnych. Setki turystów pokonuje tę drogę codziennie z zamkniętymi oczami. Wyjdiesz bez trudu.

— W porządku. — Dotknął dłońmi jej twarzy i przyciągnął do siebie. Uderzyli się lampami i pocałowali. — Kocham cię. Daj mi swoją podwodną latarkę. Do zobaczenia w samochodzie.

Kochała go. Oddała mu drugą latarkę i zaczęła nasłuchiwać, jak robi dość hałasu za nich dwoje, gdyby próbowali nie zwracać na siebie uwagi. Miał słuszność. W pojedynkę mógł poruszać się szybciej niż wówczas, gdy siedł za nią. Był mniej ostrożny.

Dźwięk spadających kamieni na chwilę ustał, a później zaczął się nasilać w coraz szybszym tempie. „Wdrapiesz się na ścianę, znikniesz z oczu”, pomyślała.

Obląkany pomysł, lecz konieczny. Po ciemku wymacała szczeliny na dłonie i przybrała postać gekona, wiewiórki, rzekotki drzewnej potrafiącej przywrzeć do mokrego wapienia i nie spaść we wsysającą wszystko mroczną otchłań.

Wyczuła palcami miejsce oparcia dla stóp, żeby po chwili je tam postawić. Małe skalne występy zapraszały neoprenowy kombinezon, utrzymując ją na ścianie. Odwróciła głowę i przywarła policzkiem do ściany, wdychając zapach wilgotnej, twardej skały, jakby sam oddech zdołał ją utrzymać.

Zewsząd otoczyła ją ciemna przestrzeń, a przy życiu utrzymywały ją jedynie cztery występy mokrej skały. Czuła w ustach drobiny piasku i błoto z głębi ziemi pełne soli i szlamu. Nie wypluła go, lecz otworzyła usta, mając nadzieję, że w ten sposób ściślej przywrze do ściany. Wołała nie myśleć jak zejdzie na dół.

Nieznajomy nadszedł po chwili. Wyczuła jego ciało, oddech, woń męskiego potu, zapach neoprenu i błota. Poruszał się pewnie i szybko w słabym świetle latarki.

Nie spojrział w jej stronę nawet wtedy, gdy kamienna czaszka krzyknęła ostrzegawczo i błysnęła czystym błękitnym światłem, dając znak o swoim istnieniu. Przynajmniej tak się jej wydawało.

Odczekała dłuższą chwilę, trzymając się mokrej ściany palcami zaciśniętymi ze strachu i zimna. Dźwięk kroków zamarł. Kit odszedł dawno temu.

Boże, spraw, żeby był bezpieczny, pomyślała.

Odpowiedziała jej cisza. Żadnego dźwięku spadających kamieni.

Dwukrotnie policzyła do tysiąca, a następnie zaryzykowała włączenie latarki. Półka była znacznie węższa, niż sądziła, a chwytły bardzo mizerne. Oprócz tego ogarniał ją jedynie mrok i wsysająca próżnia przyprawiająca o zawrót głowy.

Ugięła palce i wcisnęła je w szczelinę, a następnie opuściła na występ wystarczająco duży, żeby je pomieścić. Stała na półce pochylonej w dół, o szerokości umożliwiającej postawienie jednej stopy obok drugiej. Promień światła sięgający za występ niknął w mroku. Nie dostrzegła niczego. Zaryzykowała pochYLENIE się do przodu, kierując snop światła za krawędź półki. Promień sięgał osiemdziesięciu metrów w dół,

lecz nie docierał do skalnego dna. Skierowała lampę przed siebie i rozpoczęła długą drogę do wyjścia.

Mapa nie kłamała. Zwężenie było trudne do pokonania. Mapa jednak nie wspominała, że półka zwęża się do dwudziestu centymetrów i przechyla na zewnątrz, miękko i delikatnie spychając ją w mroczną otchłań. Na dodatek skalna ściana, którą miała z lewej strony — ściana, która do tej pory była jej sprzymierzeńcem, wsparciem i źródłem bezpieczeństwa na przekór sile grawitacji — zaczęła się na nią przechylać, wypychając jeszcze bardziej na zewnątrz i przesuwając środek ciężkości ciała poza krawędź półki.

Posuwała się naprzód czystym wysiłkiem woli. W końcu musiała opaść na ręce i kolana, a następnie pełzać na czworakach, wyczuwając drogę wzdłuż półki, na której mieściły się jedynie dwa kolana. Zaciskała prawą dłoń na pochyłym brzegu półki. Dwukrotnie ręka poślizgnęła się, powodując przechylenie ciała w bok, na zewnątrz. Czują, jak wsysa ją grawitacja. Przechyliła tułów w drugą stronę. Kamienna czaszka przesunęła się w lewo, aby utrzymać ją na skalnym występie. „Kit... błagam, mam nadzieję, że nie próbowałeś tędy iść”.

Kiedy stąpanie na czworakach okazało się niemożliwe, położyła się na brzuchu, wyciągając ramiona przed siebie. Podparta lewą ręką, posuwała się wzdłuż mrocznej otchłani szepczącej, że łatwo byłoby zrezygnować i stoczyć się delikatnie w niestawiającą oporu próżnię.

„Odkryj mnie i żyj”. Uznała te słowa za obietnicę dla nich obojga.

Dotarła w bezpieczne miejsce i przyklękła, szlochając ze strachu, gniewnie przemawiając do siebie przez zaciśnięte

zęby, które zbyt mocno szczękały, żeby mogła wydobyć z ust artykułowaną mowę.

Wypiła łyk wody i spróbowała się uspokoić. Z trudem wyobraziła sobie Kita całego i zdrowego, czekającego na nią u wylotu jaskini.

Nagle nie wiedzieć czemu myśl o nim sprawiła, że zaczęła płakać.

— Kit... błagam, chcę, żebyś był bezpieczny.

Jego głos powracał echem w jej głowie. „Spotkamy się przy samochodzie”.

Spojrzała na zegarek. Była dopiero czternasta trzydzieści — pięć godzin od czasu, gdy ostatni raz widzieli światło.

— Będę przy samochodzie o piętnastej — powiedziała głośno. — Zjemy późny lunch w hotelu. Nie... zamówię jedzenie. Zostaniemy w pokoju i uczymy nasz ślubny prezent.

Stała w szerokim tunelu. Z żadnej strony nie groziło jej niebezpieczeństwo. Skała była sucha i gładka, pochylona ku górze pod kątem czterech lub pięciu stopni. Daleko przed sobą dostrzegła delikatną szarość wśród mroku. Stella Cody spojrzała na kompas, rzuciła okiem na mapę i zegarek, podciągnęła plecak i zaczęła biec w kierunku światła.

Bardzo cicho, tak cicho, że musiała wyteńczyć słuch, aby to usłyszeć, kamienna czaszka szeptała jej ostrzeżenie.

Paryż, sierpień roku 1556

Król jest zmartwiony odpowiedzią królowej.

Ambasadorzy drżą o swoje życie.

*Chociaż większy z braci w dwójnasób ukryje swe działania,
obaj zginą z powodu zazdrości, nienawiści i gniewu.*

Czterowiersz 85, Centuria I, Nostradamus

Paryż oblewał się potem w letnim upale.

Dymy z domowych palenisk unosiły się niczym zasłona nad pokrytymi dachówką domami, a uliczki zatykał odór rynsztoków. Życie zwolniło tempo tak, że nieomal zamarło. W zaułkach nad brzegami Sekwany można było jedynie oczekiwać na deszcz lub wiatr, a gdyby Bóg okazał miłosierdzie, na jedno i drugie, aby oczyściły powietrze i zmyły ścieki.

Pewne wydarzenia, takie jak narodziny i śmierć, nie przejmowały się skwarem. Cedric Owen, podający się za Davida Montgomery'ego — Szkota niepodzielnie oddanego miłociwie panującemu królowi Francji i papieżowi, który był jego sprzymierzeńcem — ubrudzony po pachy krwią i wodami płodowymi, odbierał trudny poród.

Był to jego czwarty poród od czasu przyjazdu do Francji. Dzięki pierwszemu zyskał sławę dobrego medyka wśród miejskiej gawiedzi, której służył pomocą. Dzięki drugiemu poznał żonę krawca, który kiedyś łątał dziury w rajtuzach pana de Montpellier, będącego drobną figurą na królewskim dworze.

Do trzeciego porodu, w środku nocy, obudził go kawaler, który przybył na koniu i był uzbrojony w miecz. Przeprowadził ze sobą kochankę, która próbowała zatamować krwawienie kawalkiem podartego białego lnianego prześcieradła. To, że przeżyła, uznano za mały cud, w dużym stopniu przypisywany temu, iż Owen wzgardził tradycją i nie przystawił jej pijawek. Kochanek owej niewiasty okazał się być kuzynem pana de Montpellier i osobą dosyć znaczną na dworze.

W ten sposób, wcale tego nie pragnąc ani o to nie zabiegając, a jedynie wykonując swoje powołanie, po południu siedemnastego sierpnia, w mniej niż trzy tygodnie od swojego przyjazdu do Francji, gdy Wenus znajdowała się w połowie znaku Wagi, a Jowisz był oddalony o sto dwadzieścia stopni od Marsa, Cedric Owen odbierał poród pokojówki królowej, która zaczęła rodzić prawie miesiąc przed wyznaczonym terminem. Zaniepokojona i jęcząca posłała po niego służącą, obawiając się, że urodzi zająca lub coś jeszcze gorszego.

Chociaż nie urodziła zająca, jej sytuacja była poważna. Obnażony do pasa Owen leżał na deskach podłogi u stóp łoża. Miał zamknięte oczy, lepiej bowiem widział palcami, które były w głębi jej ciała, w miejscu, w którym znajdowały się dzieci. Miał złe przecucie.

Posługiwał się znośną francuszczyzną, a jego akcent uważano za szkocki i uroczy.

— Wyczuwam dwie główki — powiedział. — Urodzi pani bliźniaki. Nie wiem jeszcze, czy żyją, lecz horoskop sporządzony według najnowszej metody, dla pory dnia pozostającej pod wpływem gwiazdozbioru Bliźniąt, dostarcza pomyślniej wróżby.

Twarz kobiety zasłaniał duży brzuch. Próbował okazać jej współczucie, rozumiejąc intymność chwili, większą od intymności chwili poczęcia. Nie chciał jej naruszyć swymi słowami.

— Niemowlęta są równo ułożone w łonie — powiedział delikatnie. — Będę musiał odsunąć jedno, aby zrobić miejsce drugiemu. Czy pani lub jej mąż zgadzają się, abym wybrał to, które narodzi się jako pierwsze?

Nie było to błahe pytanie. Od kolejności przyjścia na świat mogło zależeć ludzkie życie. Oczekiwał wahania lub pragnienia udziału w podjęciu decyzji. Wyczuł już każdą główkę, badając nadmiar lub brak któregoś z trzech elementów, które należało wziąć pod uwagę, szukając oznak, że któreś z dzieci jest z natury silniejsze.

Uznał, że jeden z noworodków ma wypukłe ciemię, co mogłoby wskazywać na silniejszy aspekt Merkurego. Ten fakt wystarczyłby do dokonania wyboru. Wymacał główkę drugiego, aby upewnić się, że nie popełnił błędu. Nagle wyczuł gęstniejące milczenie, które nie było wynikiem braku decyzji.

Otworzył oczy i stwierdził, że ludzie wokół kreślą nabożnie znak krzyża. Szczególnie gorliwie zęgnął się Charles, młodzieniec, który niedawno wkroczył w wiek męski, i przedstawił się jako ojciec dziecka. Chłopak o ziemistej twarzy oparł się plecami o pobielany mur i niespokojnie czynił znak krzyża.

Owen gardził połączeniem młodości i pieniędzy — plagą, która trapiła wszystkie dwory. W jego głosie pojawił się ton, którego zwykle nie używał w komnacie rodzącej.

— Panie? Bóg może prowadzić mą rękę, zanim jednak cokolwiek uczynię, potrzebuję waszej zgody.

Mógłby to powiedzieć po portugalsku lub angielsku i tak by nie zauważyli.

— W czerwcu królowa urodziła bliźnięta — odparł smutno młody dworzanin. — Dwie dziewczynki. Jedna zmarła podczas porodu, druga, Wiktorina, jest pod opieką najlepszych medyków w kraju. Choć niektórzy powiadają, że przeżyje, większość w to nie wierzy. Nie możemy mieć bliźniąt jak królowa. Król uzna to za zły znak.

Owen wysunął dłoń z ciasnego kanału i powiódł wzrokiem wzdłuż obrzmiałej linii brzucha rodzącej. W oczach kobiety dostrzegł więcej obawy o własne dzieci i lęku przed bólem rodzenia niż strachu wywołanego przesądami panującymi na dworze. Ukrył dłonie tak, aby nie widziała na nich krwi, a jednocześnie próbował jakoś jej ulżyć.

— Może nosi pani trojaczki — powiedział wprost do niej. — Nie wiem tego na pewno. Nawet jeśli jest inaczej, trzeba im pozwolić ujrzeć światło dnia. Król Henryk nie jest znany z nedorzecznych zachowań. Wątpię, czy uzna to za zły znak dla własnego dziecka.

Spostrzegł, że rodząca porusza ustami, nie mogąc wydobyć słowa. Zwilżyła wargi językiem i spróbowała ponownie.

— Róbcie co trzeba. Wybierzcie zgodnie z waszą wiedzą.

Odwaga, którą dostrzegł w jej spojrzeniu, przypomniła mu o jego powołaniu i o tym, co go podtrzymywało mimo wszechobecnej głupoty, przesądów i plag. Z dziwnym, znajo-

mym bólem w piersi posłał najbardziej rozgarniętą ze służek po więcej wrzątku i czystego lnu, a następnie przywołał w myślach błękitny kamień, który wskazywał mu drogę i pomagał w pełnieniu powołania. Czaszka leżała ukryta w jego torbie, owinięta w brązową jutę. Mimo to odczuwał jej wpływ od czasu, gdy zaczął leczyć. Przez krótką chwilę szybował po czystym, błękitnym niebie, spoglądając na świat z góry, skąd cała ludzka krzątanina przypominała mrowisko. Wśród mrówek, cenni niczym złoty pył w czasie żniw, byli pacjenci, którymi się opiekował.

Po chwili Cedric Owen powrócił na ziemię, próbując zachować równowagę pomiędzy bliskością i oddaleniem. Skoncentrował uwagę na kobiecie i dwóch dzieci, które wyczuł palcami.

— Panie Montgomery!

Głos dobiegał z oddali. Siedział na wyszorowanej drewnianej podłodze mokrej od szmat, którymi wycierały je służące, i słuchał, jak żywe niemowlę ssie pierś matki. Koło fortuny pozostało pod wpływem gwiazdozbioru Bliźniąt wystarczająco długo, aby dziecko narodziło się pod szczęśliwym znakiem. Niestety, przesunęło się, zanim drugie wyjrzało na zewnątrz, dlatego zdusiły je kleszcze Raka. Druga z bliźniaczek została owinięta w lniane płótno i odłożona na bok. Wezwano księdza, który odmówił łacińską modlitwę, a następnie powiedział coś po starofrancusku, aby młoda matka zrozumiała, o co chodzi. Kiedy podniósł głowę, ksiądz kreślił na odchodnym znak krzyża.

Owen przeniósł się w inny świat, w którym wyczerpanie i ból wywołany skurczem ramienia zamieniły się w cudowne

uczucie, a bliskość nowego życia stała się darem unoszącym go wysoko ponad lęki, nadzieje i błahe sprawy, które go otaczały. Zamyślił się na chwilę, zapominając o nazwisku, które sobie obrał.

— Panie Montgomery! Królowa pana wzywa.

— Królowa? — Od razu przypomniał sobie, kim jest i gdzie się znajduje. Katarzyna Medycejska była znana ze swej niecierpliwości. — Dlaczego?

Twarz Charlesa, ojca dziewczynek żywej i zmarłej, przybrała odcień chorej szarości. Wyszczrzył zęby w grymasie udającym uśmiech.

— Do Jej Wysokości dotarły wieści o waszej... szczęśliwej ręce. Pragnie poznać młodego szkockiego lekarza, który sprowadził na świat zdrową dziewczynkę.

Bliźnięta były dziewczynkami. Żyjąca została niejako *par force* nazwana Victoire, tak jak dziewczynka, która przyszła na świat, aby dać szczęście królowej Francji Katarzynie i jej mężowi Henrykowi II.

Właśnie w tym tkwił problem. Królewska siostra poślubiła Jakuba V, władcę Szkocji, największego sprzymierzeńca Francji, który najechał Europę, a córka Jakuba, młoda Maria, królowa Szkocji, została zaręczona z najstarszym synem Henryka. Na francuskim dworze było tylu samo Szkotów co Francuzów, a każdy z nich po minucie rozmowy przejrzałby rudowłosego Owena o oczach, które raz wydawały się brązowe, raz zielone, i które wywierały tak silny wpływ na damy. Owena, który zachował tak mało wspomnień o Szkocji, jej ludziach i polityce.

Gdyby odkryli, że jest Anglikiem, mogliby go odesłać do domu, a następnie postawić przed sądem pod zarzutem herezji.

Mogliby też posłać po jednego z wielu przedstawicieli Jego Świątobliwości papieża Pawła IV, aby wybadał go na miejscu. Inkwizycja działała w Paryżu tak samo jak w każdym innym mieście Europy. Tak czy owak, zginąłby na stosie, gdyby miał szczęście, a bez niego przed spaleniem poddano by go torturom.

Zerwał się na równe nogi i sięgnął po koszulę, którą ułożył na skrzyni w bocznej części komnaty. Na francuskim dworze panowała jeszcze większa rozwiązłość niż na dworze Anglii, głównie z powodu obyczajów królowej. Owen spojrzął na siebie. Zawsze stronił od londyńskiej mody, która docierała do naśladowającego dwór Cambridge. Najlepsze, co można było powiedzieć o bryczesach, to to, że były czyste. Uszyte z przyzwoitej tkaniny odznaczały się dobrą jakością jak wszystko, co pochodziło z Cambridge, wydawały się jednak całkiem zwyczajne i z pewnością nie robiły wrażenia na najbardziej rozpustnej szlachcie Europy. Jego peleryna była uszyta z dobrego aksamitu, lecz była podobnie brązowa jak reszta stroju. Przypomniawszy sobie z żalem, że uwierzył córce kupca tekstylnego, która powiedziała, iż ten kolor dobrze pasuje do jego oczu. W każdym razie, pozostawił pelerynę w swym mieszkaniu wraz z kapeluszem.

Podniósł oczy i spostrzegł, że Charles bacznie go obserwuje.

— Królowa zadba o twój strój. Chodzi jej o twe umiejętności, a nie o usługi twego krawca.

Owen skłonił się nisko, było to bowiem łatwiejsze od mówienia, i wskazał drzwi. W progu minęli małą trumnę ze zwłokami dziecka.

Cedric Owen ani razu nie był na żadnym dworze. Teraz szedł takimi korytarzami, że korytarze jego dawnego college'u w Cambridge wydawały się liche, chociaż kiedyś sądził, iż nie mają sobie równych. Po niekończącej się wspinaczce schodami został w końcu wprowadzony do przedpokoju przylegającego do sypialni małej księżniczki — pomieszczenia obitego dębową boazerią — które pachniało siarką i olejkiem rozmarynu oraz słabą wonią wody różanej i choroby. Wąskie okna z jednej strony były zasłonięte okiennicami nieprzepuszczającymi promieni wieczornego słońca. Okiennice z drugiej były otwarte, więc w pokoju, który dało się wyczuć słabiutki powiew wiatru wydał się Owenowi cudem.

W rogu pokoju stała zbita gromadka mężczyzn w średnim wieku, których łączyło przekonanie, że długa broda i czarna szata nadaje człowiekowi pozór wielkiej uczoneści. Owen spojrzął na nich kątem oka, odgadując zagrożenie.

Uwagę skupił na królowej — niewieście ubranej w jedwabną suknię barwy kości słoniowej z żółtymi kokardami w tonacji pierwiosnków w pasie i na kraju oraz z diamentami wartymi bajońskie sumy, którymi ozdobiona była jej szyja i włosy. Jeden rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że płakała, chociaż damy z jej orszaku doskonale to ukryły.

Jako fachowiec podziwiał jej hart ducha. Katarzyna Medycejska zaledwie dwa miesiące temu wyszła z łoża, lecz sądząc po wyglądzie jej ciała i twarzy, można by pomyśleć, iż rodziła dwa lata temu. Wszyscy na dworze wiedzieli, że jej mąż, król Francji, jest zadurzony w swojej kochance, Dianę de Poitiers, i sypia z żoną jedynie tak często, jak tego wymaga obowiązek spłodzenia następcy tronu. Królewski wygląd w tak niesprzyjających okolicznościach potwierdzał, że pochodziła

z rodu Medici. Władza rodzi władzę — pewnie dlatego Medyceusze nigdy nie uskarżali się na jej brak. Promieniująca z niej siła powodowała, że mężczyźni zgromadzeni w komnacie wydawali się mali.

Stojący samotnie Owen uklonił się tak nisko, jak potrafił, a następnie zamarł w niezręcznej pozie ze złożonymi dłońmi i spuszczonej oczyma, nie wiedząc, jak powinien się zachować w obecności królowej.

— Możesz nam się przyjrzeć — oznajmiła po francusku z ledwie wyczuwalnym włoskim akcentem. — A później zbadać naszą córkę. Jak inaczej miałbyś ją wyleczyć?

— Pani... Wasza Wysokość... — Owen wypowiedział formułki w niewłaściwej kolejności. — Znam się na odbieraniu porodu i podawaniu leków. Umiem obserwować ciała niebieskie, poszukując w nich mądrości, oraz analizować element męski i kobiecy, aby przywrócić im równo wagę. Niestety, nie znam się na leczeniu dzieci. Jestem pewien, że Wasza Wysokość ma lekarzy znacznie bardziej uczonych ode mnie.

Medycy przypominający czarne wrony zaszemrali, chociaż jeszcze przed chwilą udawali, że nie słuchają. Owen wiedział, że nie zjednuje sobie wśród nich przyjaciół.

— Naszym medykom nie udało się uwolnić dziecka od gorączki ani go uleczyć. Chcielibyśmy, aby spojrzało na nie świeże oko i czysty umysł. Powiadają, że stawiając diagnozę, nie bierzesz pod uwagę czterech cieczy zwanych humorami*.

Mało brakowało, a ta sporna kwestia uniemożliwiłaby mu

* humory — dawny termin medyczny oznaczający cztery główne płyny organiczne: krew, flegma, żółta i czarna żółć

studia w Cambridge. Atmosfera napięcia stała się tak krucha, jak świeży lód utworzony na krawędziach końskiego kopyta.

W głębi duszy, w sposób niesłyszalny dla innych, Owen usłyszał przeszywający, wysoki jęk — sygnał ostrzegawczy błękitnego kamiennego serca.

Ten dźwięk zawsze oznaczał, że w jego życiu nastąpi zwrot.

Wziął głęboki oddech, otarł spocone dłonie o koszulę i powiedział:

— Wasza Wysokość, uważam, że Paracelsus miał słuszność, twierdząc, że procesy życiowe lepiej opisywać za pomocą równowagi trzech substancji: soli, siarki i rtęci. Chociaż jestem przekonany o słuszności badania sześciu pulsów na każdym nadgarstku, wolę odczytywać ich mowę w nowszym języku. Oczywiście, analiza cieczy jest ważna, lecz nie wyjaśnia wszystkich zjawisk życiowych.

Wiedział, że mężczyźni we wronich szatach znienawidzą go za te słowa. Wyczuwali fałsz równie łatwo jak proces rozkładu. Statystycznie rzecz biorąc, jeden z nich był Szkotem, a zatem potrafił odkryć jego podstęp.

Zaczął się od nich odwracać, gdy jeden z medyków, młodszy o dobre dziesięć lat od pozostałych, spojrział na niego i delikatnie, chociaż bardzo wyraźnie skinął głową na znak, że się zgadza. Królowa to dostrzegła.

— Michel, *mon ami*, masz sprzymierzeńca.

— Jestem z tego rad, pani. — Mężczyzna skłonił się nisko, ukazując zatłuszczenia po palcach na czubku mycki. — Czy moglibyśmy przystąpić do... — przemówił niezwykle delikatnym głosem.

W sypialni dziecka rozległ się płacz, który po chwili przeszedł w pisk. Po chwili usłyszeli kolejny. Królowa od-

wróciła się na pięcie i zadrżała. Buty na wysokim obcasie, które zakładała, by wydać się wyższą, utrudniały szybkie chodzenie.

Niski głos na chwilę uciszył krzyki. Królowa otworzyła drzwi i zebranych ogarnęła ponura atmosfera, która panowała w komnacie dziecka.

Niezrozumiały hałas i zamieszanie wskazywały, że mała księżniczka umarła.

W panującym rozgardiaszu niski mężczyzna o delikatnym głosie niepostrzeżenie stanął obok Owena i pchnął go w stronę przeciwległej ściany.

— Wyjdziemy, gdy tylko nadarzy się okazja. Masz mieszkanie w okolicy?

— Na południowym brzegu, w zajeździe d'Anjou.

— To prosty zajazd, lecz czysty, o ile pamiętam. Dobrze wybrałeś jak na przybysza, który zjawił się niedawno w obcym mieście. Powinniśmy niezwłocznie się tam udać, po drodze wstępując do mojego mieszkania. Mam u siebie pismo od pewnego młodzieńca zawierające list polecający skreślony przez doktora Johna Dee, człowieka wielkiej sławy. Wiesz coś o tym?

Mimo gorącego dnia, Cedric Owen poczuł w gardle coś jak kawał lodu.

— Wysłałem list do znanego lekarza mieszkającego we francuskim Salon — odparł. — Nie adresowałem go do Paryża. — Z radością zauważył, że mówi spokojnym głosem.

Spojrzał w oczy tamtego, które jednocześnie śmiały się i ostrzegały.

— Zostałem tu wezwany trzy dni temu z mojego domu w Salon. Twój list podążył za mną. Otrzymałem także drugi,

w którym mój przyjaciel, doktor Dee, opisuje wielce utalentowanego młodzieńca, który jest w posiadaniu niezwykłego kamienia — odpowiedział Michel de Nostradame, prorok, lekarz i astrolog. — Powinniśmy...

Rozmowę ponownie przerwała dramatyczna sytuacja w królewskiej rodzinie. Królowa wróciła do przedpokoju, wydając polecenia wszystkim, którzy stanęli jej na drodze.

Wydarzenia potoczyły się wartko.

W drzwiach pojawił się służący w niebiesko-złotej liberii, odebrał rozkazy i odszedł.

Przez tłum przemknął ksiądz niczym powiew dawnego wiatru i przyłączył się do dwóch innych, którzy znajdowali się już w komnacie księżniczki. Był odziany w złotą szatę i nosił krucyfiks, który pod względem wartości mógł rywalizować z diamentami królowej.

Po chwili zjawiła się niewiasta z czarną suknią, czarnymi klejnotami, zapinką do włosów z gagatem i czarną koronką. Katarzyna przyjęła je i kazała zanieść do sąsiedniej komnaty.

Nieszczęśni medycy zbili się w trwożną gromadkę, jak bydło przystrojone we wronie peleryny.

Katarzyna Medycejska przesunęła po nich wzrokiem i oświadczyła:

— Pójdziecie z nami. Teraz — oznajmiła lodowatym tonem. — Jej słowa nie brzmiały bynajmniej jak uprzejma propozycja.

Cedric Owen i bez wysokiego, przenikliwego dźwięku w uchu wyczuwał bliskość śmierci. Pomyślnym zrzędzeniem losu lub dzięki zręcznemu manewrowi Michela de Nostradame obaj znaleźli się daleko od ubranych w czarne szaty mężczyzn. Wydawało się, że królowa zapomniała o ich istnieniu.



Owen poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Delikatny głos szepnął:

— Powinniśmy odejść. Podobnie jak ty nie badałem dziecka. Nie mam na rękach krwi księżniczki. Będę czuł się zaszczycony, jeśli napijesz się ze mną wina i zjesz kolację. Możemy porozmawiać w twoim mieszkaniu? Mamy wiele spraw do omówienia i lepiej, abyśmy nie czynili tego publicznie. Chciałbym też zobaczyć kamień, który jest twym rodzinnym dziedzictwem.

— Czy kamień zażąda twojej śmierci?

Michel de Nostradame zadał to pytanie mimochodem, pod koniec posiłku. Błękitne kamienne serce leżało cały czas na stole niczym trzecia osoba przysłuchująca się ciekawej rozmowie, jednocześnie krzepiącej i wprawiającej w zaniepokojenie.

Czerwone wino nie było nadmiernie cierpkie. Pani de Rouen, właścicielka zajazdu d'Anjou, dbała o czystość gospody, podobnie jak o gotowanie. Danie z pieczonych gołębi z migdałami i porto z pewnością dorównywało potrawom podawanym w pałacu. Obsługiwała ich osobiście w pokoju Cedrica Owena na pierwszym piętrze, rozkładając na stole ustawionym na kozłach lniany obrus i podając wino w kielichach wykonanych z dobrze wyprawionej skóry.

Zbliżali się do dna butelki, więc wino było lekko mętne. Cedric Owen, dumając nad pytaniem, obserwował, jak wiruje w jego kielichu. Nie wiedział, jak powinien traktować Nostradamusa. Nieznajomy nie narzucał się, sprawiał wrażenie grzecznego i uprzejmego. Nie był władczy jak John Dee.



Nie lękał się też kamienia ani nie pałał pragnieniem jego posiadania.

Owen odważył się pokazać swój skarb tylko nielicznym, którym powierzyłby również własne życie. Większość z nich, widząc, jak czaszka jest podobna do ich własnej, w pierwszej chwili była zaniepokojona. Niektórzy lękali się jej także później, odsuwając się od niego i unikając rozmowy, inni zaś — ci, których uważał za bardziej niebezpiecznych — spoglądali na nią z namiętnością graniczącą z żądzą, więc musiał trzymać się od nich z daleka.

Lekarz królowej był inny. Nostradamus wyrównał serwetkę, aby Owen mógł położyć na niej kamień, a następnie sprawdził, czy drzwi są zamknięte. Szeroko otworzył zachodnie okiennice, wpuszczając do pokoju chłodne ukośne promienie wieczornego słońca.

Światło sprawiło, że wewnątrz błękitnego kamienia zamigotało, wypełniając puste oczodoły i podkreślając doskonały łuk kości policzkowych. Ożyło świadome siebie na widok ludzi, którzy wyczuli ukrytą w nim mądrość i doświadczenie.

— Mogę jej dotknąć? — zapytał Nostradamus i uczynił to, gdy Owen skinął przyzwalająco głową. Położył palce w miejscu, gdzie łączyła się z karkiem, i milczał przez dłuższą chwilę. Właśnie wtedy, odsuwając dłoń i podnosząc kubek z winem, zadał intrygujące pytanie: — Czy kamień zażąda twojej śmierci?

Owen zamyślił się, szukając odpowiedzi. Nie wyczuwał żadnego niebezpieczeństwa. Przenikliwy jęk, który usłyszał w komnacie królowej, dawno przebrzmiał. Niezależnie od tego, jaki los go czekał, był już postanowiony, a nowa ścieżka została wyznaczona.

— Otrzymałem ten kamień od mojego dziadka — odparł po chwili. — Pierwszą rzeczą, jaką zapamiętałem w tym życiu, była błękitna barwa kamiennego serca. Wzywało mnie, a ja wołałem do niego. Wszystko zostało postanowione. Miałem je otrzymać na dwudzieste pierwsze urodziny, lecz moja babka zginęła z rozkazu doradców króla Henryka, ojca obecnej królowej.

— Za głoszenie herezji? — zapytał delikatnie Nostradamus tonem wyrażającym współczucie.

— A za cóż innego? Miała zostać powieszona, lecz podjęła walkę z mężczyznami, którzy po nią przyszli, i zginęła od ostrza miecza. Miałem wówczas trzynaście lat i obserwowałem wszystko z kryjówki w korytarzu. Mój stryjeczny dziadek, do którego wcześniej należała, zmarł w podobnych okolicznościach, a jego matka została zabita nożem przez złodzieja, który pragnął wejść w posiadanie kamiennej czaszki. Członkowie mojego rodu z jednej strony wiedzieli, że ten, kto strzeże błękitnego kamiennego serca, zginie z tego powodu. Z drugiej mieli pewność, że ich życie będzie długie i ciekawe — żaden nie umarł przed sześćdziesiątym rokiem. Ta czaszka to jednocześnie dar i przekleństwo: obdarza długim i szczęśliwym życiem, które kończy się w gwałtowny sposób.

Nostradamus złożył palce i spojrzał na niego, mrugając powiekami jak sowa. Z troską w głosie powiedział:

— Mimo to troszczysz się o swój kamień, prawda?

Owen nie spodziewał się takiego pytania, dlatego nie był przygotowany do udzielenia odpowiedzi. Przemówił z serca, rezygnując z wewnętrznej cenzury.

— Kamień jest esencją i światłem mojego życia. To moja największa miłość.

Nawet przed samym sobą nie wyraził tego równie jasno. Czując się obnażony, tak jakby był nagi, otoczył dłońmi ukochany kamień.

Kryształ był wielkości i kształtu ludzkiej czaszki, którą tak często oglądał podczas studiów medycznych. Czaszka miała wysokie, szerokie kości policzkowe i głębokie oczodoły, które wydawały się podążać za jego krokami. Dolna szczeka była ruchoma, lecz nie dawała się oddzielić od całości — nie można jej było wyjąć jak ludzkiej kości, na której ją wzorowano, i pod tym względem się od niej różniła.

Jej powierzchnia była idealnie gładka, odporna na kurz, brud i ślady palców. Dziś, w górnym pokoju zajazdu d'Anjou, wydała się ciepła pod jego dotykiem, tak jak raz czy dwa od czasu, gdy stała się jego własnością. Wibrowała pod palcami, a jej pieśń pobrzmiwała mu w uszach.

Błękitna barwa, którą przybrała, zapierała dech — przypominała bladą, przejrzystą i chłodną jasność nieba w porze południa nad otwartym morzem. Oglądanie jej było jak wpatrywanie się w nieskończoność, w miejsce pozbawione ścian i sufitu, wypełnione bezmiernym spokojem.

Owen bez trudu chłonał jej obecność. Czuł się, tak jakby wchodził do wielkiej sali lub czytelni biblioteki, w której czekał go stary przyjaciel. Czaszka zawsze była jego miejscem schronienia. Tym razem wszedł do niej ostrożnie, obawiając się, że w środku może spotkać Nostradamusa. Poczuł ulgę, gdy ten nie wyszedł i nie zostawił go samego z wilgotnymi oczami.

— Nie musisz się wstydzić miłości, którą darzysz ten przedmiot — powiedział Michel de Nostradame. — Jest równie cudowny jak egipskie piramidy, równie stary i mądry

jak one. Z drugiej strony jest bardziej bezbronny, istnieje bowiem w świecie, który może go zniszczyć, aby pozbawić nas obietnicy. Dobrze uczyniłeś, wyjeżdżając tak daleko.

Nikt wcześniej nie dostrzegł tak wyraźnie natury kamienia. Nawet John Dee, mimo całej swej przenikliwości, nie zadawał pytań z takim taktem i nie rozumiał tak dobrze rzeczy, których nie można było wyrazić słowami.

Czując wolność, jakiej nie doświadczył w Cambridge, Owen rzekł:

— Doktor Dee uważa, że podobnych kamieni jest więcej i że wszystkie zostaną zgromadzone w dalekiej przyszłości, aby ochronić świat przed największym złem, jakie może go osiągnąć. Jesteś podobnego zdania?

Mimowolnie zaczęli rozmawiać klasyczną greką, językiem lekarzy znanym nielicznej garstce ludzi. Wzbogaciło to ich rozmowę i wzmocniło szacunek, jakim się wzajemnie darzyli.

Wpatrując się w nieskończony błękit kamiennego serca, Nostradamus powiedział po grecku:

— Mamy jeszcze jedną butelkę wina, którą przyniosła nieoceniona pani de Rouen. Jeśli napełnisz kubki, może obaj zaczniemy mówić o tym, czego nie sposób wyrazić.

Wylali resztkę starego wina do paleniska i napełnili kubki nowym trunkiem pochodzącym z lepszego rocznika niż poprzedni. Owocowa woń wypełniła powietrze, nabierając błękitnego odcienia kamiennej czaszki.

Nostradamus z rozkoszą wdychał ten zapach.

— Zgadza się ze wszystkim, co powiedział doktor Dee, mogę ci jednak przekazać to, czego nauczyłem się od egipskich mędrców. Twój kamień jest jedną z trzynastu kamiennych czaszek stworzonych po potopie, który pochłonął wielkie

miasta Atlantydy. Ci, którzy przeżyli katastrofę, pragnęli ocalić swoją wiedzę przed falą ignorancji ogarniającą ziemię. W tym celu zgromadzili kamienie różnej barwy, z różnych części ziemi, a następnie nadali im piękny kształt, czego dowód masz przed sobą. Dziewięć zabarwiono i ukształtowano tak, aby odpowiadały ludzkim rasom. Cztery wykonano z czystego kryształu na kształt zwierząt, które chodzą, pełzają, ślizgają się i latają. Zapamiętaj moje słowa. Kiedyś będziesz potrzebował tej wiedzy.

Mówił prawdę. Potwierdzał to niezwykle spokojny kamienia. Owen słuchał całym sobą, a jego serce i dusza chłoneły słowa Francuza, łagodnie głoszącego prawdy greką.

— Magia, za sprawą której je wyrzeźbiono, oraz wiedza, którą w nich zawarto, przekracza ludzkie poznanie, jednak właśnie tak się stało. Po wielu pokoleniach, kiedy zadanie zostało wykonane, zostały rozdzielone jak paciorki nanizane na nitkę. Każdy powrócił do miejsca swojego pochodzenia, w którym miał być pieczołowicie strzeżony przez powierników do czasu, aż staną się potrzebne, by zażegnać katastrofę, którą człowiek sprowadzi na bożą ziemię. W każdym kraju jest ród strażników strzegący wiedzy o tym, co należy uczynić z kamieniami u kresu czasu.

Owen zaczął się pocić, mimo że wieczór był chłodny.

— W takim razie już na początku zawiodłem — powiedział. — Babka umarła, zanim zdążyła mi przekazać wszystko, co wiedziała. Wydarzenia nas przytłoczyły. Zbyt wielu członków mojego rodu umarło z powodu kamienia. Nawet jeśli kiedyś posiadali tę wiedzę, nie dotarła ona do mnie, dlatego nie będę mógł przekazać jej dalej.

— Mylisz się! — zawołał Nostradamus, uderzając dłonią

w stół. — To, co zaginęło, można odnaleźć! Na tym polega twoja misja. Wyznaczono ci trzy zadania, Cedricu Owenie: zgłębić wiedzę ukrytą w kamiennym sercu, zapisać ją, by nigdy więcej nie zaginęła, a jednocześnie nie wpadła w niepowołane ręce, a następnie ukryć kamień, aby przed nastaniem końca czasów nikt nie trafił na niego przypadkiem lub wiedziony złym zamiarem.

Początkowo Cedric Owen sądził, że Michel de Nostradame jest dziwakiem i łatwo szermuje słowami. Teraz był odmiennego zdania. Jego twarz pochylona w słabnącym świetle przypominała maskę pełną linii i cieni, a głos przybrał chrapliwy ton. Wyciągnął gorące dłonie i chwycił lodowate ręce Owena.

— Musisz to uczynić! Jeśli jeden z kamieni zaginie przed nadejściem końca, nie powstanie całość, która jest sumą części, a wówczas cały świat pogrąży się w takiej ciemności i niegodziwości, że w porównaniu z nim nasz obecny godny pożalowania stan wyda się niebem.

Puścił ręce Owena i zbliżył dłonie do kamienia, nie dotykając go wszakże, lecz przysuwając tak blisko, jakby przesyłał mu swoje słowa lub odbierał przesłanie za sprawą alchemii, której Owen nie rozumiał. Minęła długa chwila, zanim ponownie przemówił.

— Nie wolno ci popełnić błędu — powiedział. — Ataki wymierzone w twoją rodzinę nie były przypadkowe. Jest siła, która nie chce, aby nasz świat stał się lepszy. Siła, która żywi się śmiercią i zniszczeniem, lękiem i cierpieniem, która pragnie, aby wszystko pogrążyło się w otchłani Armagedonu. Ta siła łamie ludzi swoją wolą— inteligentnych, rozumnych ludzi, którzy wierzą, że mogą przyjąć władzę im ofiarowaną i wykorzystać ją dla samego dobra. Niestety,

natura władzy jest całkiem odmienna: zawsze ich łamie, a jej najwyższym pragnieniem jest, aby trzynaście kamieni nigdy więcej nie połączyło się ze sobą i nie wybawiło naszego świata z niedoli.

— Mówisz o Kościele? — zapytał szeptem Owen.

— Ha! — Prorok królowej wypluł odrobinę wina do paleniska. — Kościołem rządzą niedojrzałe, nikczemne umysły i zazdrość zdradanej królowej. Wiedzą o istnieniu miejsc, do których nie mogą lub nie mają śmiałości wstąpić. Wolą nas raczej spalić na stosie, niż przyznać się do własnej niemożności lub pozwolić tym, którzy wędrują pomiędzy światami, opowiedzieć, co odkryli, bo nie zgadza się to z ich dziecinnym wyobrażeniem wszechświata.

Włosy Nostradamusa nastroszyły się, poruszone siłą bluźnierstwa. Spojrzał dzikim, szalonym wzrokiem na Owena.

— Tak, mówię o Kościele, lecz nie zawsze tak było i nie zawsze tak będzie w przyszłości. Dla tych, którzy pożądamy władzy, Kościół jest narzędziem. W wiekach, które nadejdą, państwo stanie się tak potężne, że przyćmi skamlących kapłanów. Powstaną ludzie mający władzę, o jakiej nam się nie śniło, a twój kamień stanie się jeszcze większym zagrożeniem niż obecnie. Właśnie dlatego linia strażników czaszki musi zostać przerwana, a twoje kamienne serce ukryte przed chciwością ludzi.

— Nie pojmuję.

— Poczekaj. — Prorok uniósł rękę. — Trzeba zamknąć okiennice, aby bezpiecznie rozprawiać o tych sprawach, pierwej jednak wykorzystamy to, że słońce jeszcze świeci. Musisz pojąć, jaki przedmiot posiadasz. Czy doktor Dee pokazał ci, jak kryształ rozszczepia promienie słońca?

— Uczynił to. — Był to ostatni z darów, które odeń otrzymał: nauka poszerzająca horyzonty umysłu i ducha. Owen był nadal pod wrażeniem tego, co wówczas zobaczył.

— Znakomicie. W takim razie możemy przystąpić do pokazu.

Nostradamus miał naturę iluzjonisty. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął mały kawałek czystego kryształu i z teatralnym gestem umieścił go na stole w miejscu, gdzie oświetlały go ostatnie promienie słońca. Cmoknął z niezadowoleniem, przesunął go w inne miejsce i położył na białej serwetce, aby odbijające się światło padało na białą powierzchnię zamiast na pospolity drewniany stół.

Poczekał chwilę, a następnie odsunął dłoń. Na blacie ukazała się jasna, lśniąca tęcza nieprzekraczająca szerokości jego dłoni.

Owen westchnął cicho z zachwytu. Widział to zjawisko już raz, nie należało jednak do tych, którymi człowiek mógłby się znudzić.

— To dowód, że światło słońca składa się z siedmiu barw — oznajmił zadowolony Nostradamus. — Na tej samej zasadzie powstaje tęcza, gdy promienie światła spotykają się z kroplami deszczu, tworząc hak na niebie.

— Piąty kolor to błękit południowego nieba przypominający barwę kamiennego serca. Pokazała mi to babka, gdy byłem mały. Własnością mojej rodziny jest kawałeczek tęczy.

Ponownie ujrzał przed sobą dowód. Piąty kolor tęczy pojawiający się pomiędzy zielenią trawy i nocnym błękitem — kolor kryształowej czaszki przypominający barwę południowego nieba.

— Czy babcia wyjaśniła ci, dlaczego twój kamień jest nazywany sercem świata?

Owen potrząsnął głową. Nostradamus uśmiechnął się, zadowolony, iż wie więcej niż siwowłosa niewiasta.

Zręcznymi palcami wyciągnął z kieszeni kawałek gagatu i biały górski kryształ, umieszczając je na końcu pasma tęczy, czarny przed białym.

— Jest dziewięć kolorów świata. Siedem barw tęczy oraz czerń pozbawiona światła i biel, która całe zawiera. Kolor niebieski jest piątym z dziewięciu — elementem centralnym, osią, wokół której wszystko wiruje, zwornikiem na łuku świata. Wiedzieli o tym starożytni mędrcy, o których zapomniał. Barwa niebieska otrzymała serce bestii i moc wezwania pozostałych dwunastu części swojego ciała i ducha, aby mogły się ze sobą zespolić.

— Jakiej bestii? — zapytał Owen, marszcząc czoło.

— Uroborosa, o którym wspomina Platon. Potężnej bestii posiadającej ogromną moc, która jest ucieleśnieniem ducha ziemi i powstanie w czasie najwyższej potrzeby. Cóż innego mogłoby ocalić świat przed gniewem Armagedonu?

Widząc, że Owen nie rozumie, mały człowiek powstał, aby w ten sposób przydać wagi swoim słowom.

— Cielsko wielkiego węża jest zbudowane z czterech bestii kamieni. Nie znam ich natury ani tego, jak można je ze sobą połączyć. Sam musisz się tego dowiedzieć. Mogę ci jedynie powiedzieć, że życiodajny duch bestii pochodzi z dziewięciu kamieni tęczy, które otaczają ziemię.

— Starożytni znali kanały siły, która przepływa wokół nas niewidoczna i niewyczuwalna. Nakreślili ich plan i na jego podstawie stworzyli wielkie dzieła: piramidy i kamienne kręgi. Grobowce, w których umarli strzegą najgłębszej mocy. W owych dziewięciu punktach są wgłębienia, w których

trzeba umieścić kamienie, aby je zatrzymać na ziemi. W wyznaczonym czasie, gdy na niebie pojawi się pomyślny układ gwiazd, jeśli wszystkie zostaną umieszczone na swoim miejscu, kolorowe kamienie łuku tęczy połączą się z czterema kamieniami bestii, tworząc Uroborosa.

Owen utkwiał wzrok w Nostradamusie, próbując wyobrazić sobie to stworzenie. Prorok pochylił się w jego stronę, kładąc ręce na stole i mrużąc oczy.

— Trzyście kamieni tworzy bestię. Rozumiesz?

— Dlaczego? — zapytał Owen. — W jakim celu? Jakie będzie jej zadanie?

Nostradamus opadł na krzesło, wyraźnie przygnębiony.

— Tego nie wiemy i wiedzieć nie możemy, nie nastąpi bowiem jeszcze okoliczności, które by tego wymagały. Jeśli człowiek jest źródłem wszelkiego zła, może jedynym rozwiązaniem jest uwolnienie ziemi od naszej pożałowania godnej obecności. Chciałbym mieć nadzieję, że tak się nie stanie, że ogromny wąż powstający z ziemi da nadzieję ludzkości i zdoła odwrócić falę zniszczenia. Nie mogę tego jednak stwierdzić z pewnością.

Słońce prawie zaszło. Tęcza zniknęła. Kamienne serce przyciągało światło ognia, rzucając na stół delikatną błękitną poświatę. Wyraźnie przybity Owen powiedział:

— Powiadasz, że w moich rękach jest los świata? Wołałbym o tym nie wiedzieć.

— Możesz go ocalić. Nie wydawaj sądów, nie to jest twoim zadaniem.

Królewski medyk zgarnął kamienie ze stołu, a następnie odwrócił się, by zamknąć okiennice. Z pomocą krzemienia i hubki zapalił dwie wysokie świece stojące na stole. Na

kryształowej czaszce pojawiły się nowe światła i cienie, wykonując taniec ognia w jej wnętrzu.

Gdy atmosfera w pokoju uległa zmianie, Nostradamus ponownie napełnił kubki.

— Pozwól, że powtórzę twoje zadanie w odwrotnej kolejności — powiedział. — Kiedy nadejdzie czas, będziesz musiał ukryć kamień tak, aby znaleziono go dopiero u kresu czasu. Wcześniej będziesz musiał wydobyć z zapomnienia wiedzę swoich przodków i zachować ją dla tych, którzy przyjdą po tobie.

Owen opadł na krzesło, wyraźnie sfrustrowany.

— Jak mam tego dokonać? Któż mnie tego nauczy, gdy cała Europa jest zniewolona przez inkwizycję?

— Opuścisz Europę.

Nostradamus przysunął się z krzesłem do Owena, tak że dotykali się ramionami. Przesunął świeczki aby dwa płomienie przenikały nieskalany błękit czaszki, oświetlając oczodoły.

— Nadszedł czas na niepełne objawienie — zaczął ciężkim głosem. — Cedricu Owene, dziewiąty o tym imieniu, zostałeś wybrany jako pomost między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Nie masz wyboru, podobnie jak ja, który muszę ci o tym powiedzieć. Jak już wiesz, kamień zażąda twej śmierci, lecz w zamian ofiaruje bogate i długie życie pełne wielkiej radości, która zrównoważy ból nieuniknionego kresu.

Oczy proroka stały się niemal czarne, ręce nieruchome jak śmierć i bielsze od kości. Jego głos, dobiegający z innego miejsca pokoju, był potężny, a jednocześnie cichy jak szept. Później Owen nie był nawet pewny, w jakim języku przemawiał. Pomyślał, że Nostradamus zwracał się doń po łacinie.

— Udasz się na południe, do kraju, którym niegdyś władali muzułmanie i gdzie do oceanu wpada rzeka. Tam wsiądziesz na statek płynący do Nowego Świata, aby spotkać ludzi rozumiejących naturę ostatecznych zmaganiań oraz sposoby, dzięki którym będziemy mogli je przetrwać. Ci ludzie znają serce i duszę twojego błękitnego kamienia. Powiedzą ci, jak poznać jego sekrety i utrwalić je dla potomności. W tych sprawach jestem amatorem, przekazuję ci jedynie prorocтва innych. Wiem jednak, że w końcu powrócisz do Anglii, aby znaleźć białą wodę i kamień. Ukryjesz tam swoją tajemnicę, a następnie zadbasz, by ci, którzy przyjdą po tobie, zrozumieli, co posiadają i co mają zrobić.

Owen musiał odczekać dłuższą chwilę, aż w oczach jego rozmówcy ponownie pojawi się życie. Wystarczająco długo, aby zastanowić się, jak dotrzeć na południe do miejsca, w którym rzeka wpada do oceanu. Słyszał krzyk mew i wołania rybaków tak wyraźnie, że nie mógł zakwestionować świadectwa własnych uszu. Podłoga pod jego stopami zamieniła się w pokład, a nozdrza wypełnił cierpki, słonawy zapach morza.

— Dobrze. Wykonało się. Spełniłem swoje zadanie. Zadam ci teraz pytanie, które możesz uznać za dziwne. Jesteś medykiem czy chirurgiem?

— Zawsze byłem medykiem. Nic mnie nie łączy z balwierzami i ludźmi posługującymi się nożem.

— Będziesz musiał zdobyć pewną wiedzę w tej dziedzinie. Mam w mieszkaniu monografię doktora Giovanniego da Vigo, papieskiego chirurga. Posiadam też kilka ksiąg Maura El Zahrawiego, zwanego Albucasisem, który moim zdaniem najlepiej połączył medycynę, chirurgię i astronomię. Znasz hiszpański?

— Tak. Nauczyłem się tego języka. Spędziłem pół życia w Kadyksie, poznając sztukę medyczną Maurów.

— Świetnie, widzę, że masz podstawy, na których będę mógł budować. — Nostradamus skłonił się ponownie, ukazując czubek swojej mycki.

— Upał nie sprzyja podróży, poza rym wkrótce cały Paryż pograży się w żałobie po śmierci małej księżniczki. Nie będziesz mógł wyjechać z miasta przez co najmniej dziesięć dni. Jeśli przyjdiesz do mnie jutro o szóstej rano, przekażę ci księgi. Będziesz mógł się z nimi zapoznać w moim towarzystwie, zadając wszelkie pytania. Dzięki temu posiadasz wystarczającą wiedzę do wykonania zabiegów, które mogą się okazać niezbędne. Szczególnie uważnie powinieneś się zapoznać z metodami amputacji.

Kiedy odwrócił się ponownie przy drzwiach, jego oczy pozostały czarne:

— Zostawię cię do jutra z kamiennym sercem. Życzę powodzenia w twojej misji. Od ciebie zależy los ludzi i światów.

Wzgórze Ingleborough, Park Narodowy Yorkshire Dales, maj 2007

*Przygoda nie czeka na zewnątrz, lecz jest
ukryta w naszym wnętrzu.*

George Eliot

Stella chciała ponownie wejść do jaskini, lecz zatrzymali ją ratownicy.

Kiedy dotarła do samochodu, była za osiemnaście trzecia. Zdjęła suchy kombinezon piankowy, przebrała się w szorty i czysty T-shirt, oczyściła twarz chusteczką kosmetyczną, wypila pół butelki wody, wylała resztę na głowę, znalazła miejsce, w którym się wysusiała i zjadła niezbyt świeże po całym dniu na słońcu kanapki z serem i pomidorem. O trzeciej trzydzieści, kiedy Kit nie dał żadnego znaku życia, zadzwoniła na jego komórkę.

Za piętnaście czwarta, gdy w dalszym ciągu się nie odezwał, zadzwoniła do hotelu, do College'u św. Bedy w Cambridge i do dwóch jego przyjaciół z North Yorkshire, o których wiedziała, że nie spanikują. Powiedziała, że nie może go

znaleźć. Oczywiście, nie wspomniała o czaszce ani nieznanym, który jej szukał.

O czwartej trzydzięci, czując na plecach ciepłe promienie słońca, zdretniałymi z zimna palcami, które z trudem trzymały telefon, zadzwoniła na policję, a ta wezwała specjalistyczną ekipę ratunkową. Przybyli tłumnie: dwunastu mężczyzn i kobiet, którzy żyli tylko po to, by móc schodzić pod ziemię.

Byli sprawni i znakomicie wyposażeni w krótkofalówki, pochyłościomierze, małpy i ósemki, bloki, lonże, kompasy i mapy jaskini White Scar, w porównaniu z którymi jej odręczny szkic sprawiał wrażenie dzieciennego rysunku.

Byli grotołazami i traktowali ją jak jedną z nich.

— To dobrze... naprawdę dobrze. Szliśmy tą trasą w lis topadzie. Istne piekło. Mógł spaść w zwężeniu...

— Czołgałem się wzdłuż półki... jak w jakimś koszmarze... Trzeba było założyć haki. Sądziś, że właśnie tam spadł?

— Urwisko ma ze sto dwadzieścia metrów głębokości. Tam spadł? Na zwężeniu?

— Na dole jaskini jest woda... Może jeszcze żyje...

— Mówisz, że jest przejście w ścianie? Naprawdę? Na ścianach jaskini są malowidła? Może jutro tam pójdziemy. Oczywiście, to ty odkryłaś trasę. Oznaczymy ją na mapie. Andy? Gdzie jest Andy? Czy ktoś widział...?

— Dobrze, że nie byliście połączeni liną. To bardzo rozsądnie. Mówisz, że do wypadku doszło na zwężeniu?

— Nie wiem!

Krzyk rozległ się echem wśród gór, a gdy ustał, zapadło głucho milczenie. Stella czuła, jak patrzą na siebie ponad jej głową, przewracają oczami i ruszają do roboty, pakując sprzęt,

przygotowując się do wyprawy, porozumiewając się gestami dłoni i spojrzeniami.

Zostawili ją pod opieką młodej sierżant policji, która rozmawiała przez radio i zadawała właściwe pytania. Przez cały czas kamienna czaszka leżała w jej plecaku, promieniując jak błyskawica i nieprzerwanie szepcząc ostrzeżenie.

Z powodu kamiennej czaszki i rozpaczliwych sygnałów, które przesyłała, Stella mówiła półprawdy, z których nie wynikało nic konkretnego. Z powodu kamiennej czaszki i Kita, który zaryzykował własne życie, aby ją zdobyć. Zagrożenie było realne, a ona nie wiedziała, czy jest bezpieczny.

Nie powiedziała, dlaczego zeszli do jaskini ani co znaleźli, nie wspomniała też, że nie ma pojęcia, gdzie spadł i czy w ogóle doszło do wypadku, ponieważ była zbyt daleko z tyłu. Ograniczyła się do wskazania, gdzie jej zdaniem może się znajdować, i modliła się, żeby być w błędzie.

— Dotrzemy tam za godzinę. Może zajmie nam to odrobinę dłużej. Wiesz, że powinnaś coś zjeść? — Poczła klepięcie dłoni w neoprenowej rękawicy. Pół tuzina twarzy uśmiechnęło się do niej i zniknęło w mroku, kierowane jej niepełną relacją. Odpowiedziała uśmiechem, starając się nie zrobić histerycznej miny, a następnie wróciła do samochodu.

— Pani O'Connor?

W jej kierunku szedł policjant. Wysoki mężczyzna w płaskiej czapce, lepiej prezentujący się w mundurze od młodej posterunkowej, którą zostawiła u wylotu jaskini. Schodził ze

wzgórza długimi krokami, najwyraźniej mając coś pilnego do przekazania.

— Pani O'Connor...

Nieopodal pasły się owce na wpół ukryte za paprociami. Owce i małe baranki o długich ogonach, które bardziej myślały o zabawie niż o jedzeniu. Po błękitnym niebie szybował myszołów. Kamienna czaszka wydała ostrzegawczy sygnał, jak wówczas, gdy była w jaskini.

Stella pomyślała, że zwariowała, i spojrzała w boczne lusterko samochodu, aby upewnić się, że jest tą samą kobietą, którą tego ranka rozpieła radość. Jej twarz wydawała się zapadnięta, kanciasta, poznaczona zbyt dużą ilością piegów, żeby można było powiedzieć, że jest ładna. Spostrzegła błoto tam, gdzie nie dotarła chusteczka kosmetyczna, oraz brzydkie czerwone linie i sine podkowy pod zmęczonymi oczami. Duch Kita ucałował jej włosy. „Jesteś piękną kobietą. Kocham cię nawet wówczas, gdy taplasz się w błocie”.

— Kit...

— Pani O'Connor...

Oficer dobiegł do niej bez tchu. Pochylił się, opierając dłonie na ugiętych kolanach, próbując złapać oddech.

— Pani O'Connor... musi pani... proszę wejść na wzgórze. Ratownicy... nawiązali z nami łączność radiową. Sądzą, że znaleźli...

Usłyszała dźwięk zatraskiwanych drzwi.

— Ta pani nazywa się Cody. Doktor Stella Cody. Nie wyświadczy pan nikomu przysługi, pomniejszając jej dokonania.

— Tony!

Zadrżała, czując, że uginają się pod nią kolana. Tony



Bookless był wysokim mężczyzną o krótko przystrzyżonych, srebrzystych włosach, ubranym w nienagannie skrojoną marynarkę. Na szczęście chwycił ją za ramię i podtrzymał.

— Nie musiałeś przyjeżdżać... — odzyskała głos. — Nie po to zadzwoniłam... to daleka droga.

Przytulił Stellę tak, że poczuła jego głos rozbrzmiewający głęboko w płucach.

— Nie przyjechałem z Cambridge. Byłem na konferencji w Harrogate. To niedaleko stąd. Zadzwonili do mnie z biura zaraz po twoim telefonie. Wyjechałem najszybciej, jak mogłem. Jak mogę ci pomóc?

Tony Bookless był czterdziestym trzecim dziekanem College[^] św. Bedy w Cambridge i mógłby być jej ojcem. Był człowiekiem opanowanym, godnym zaufania i spolegliwym. Kiedyś służył w wojsku, a potem przez lata doskonalił umysł w swojej wieży z kości słoniowej. Bookless był jednym z dwóch świadków na ich ślubie. Stella złapała ofiarowaną dłoń i po raz pierwszy od wielu godzin poczuła się jakoś ludzko.

— Potrafisz sprawić, aby Kit żył? — Jej głos zabrzmiał ostro w ciszy, która nagle ich ogarnęła.

— Ach! Stello...

Przytulił ją do piersi, sprawiając, że poczuła się bezpieczna. Nie wypuszczając jej z objęcia, wyciągnął dłoń do funkcjonariusza i przedstawił się:

— Profesor Anthony Bookless, dziekan College'u Świętego Bedy w Cambridge. Byłem... jestem pracodawcą doktora O'Connora. Niebawem zatrudnię panią doktor Cody. Służę wszelką pomocą, panie...

— Detektyw inspektor Fleming z policji North Yorkshire.

Zespół ratunkowy rozpoczął akcję zgodnie ze szczegółowymi wskazówkami pani O'Con... przepraszam, pani Cody... Dotarli na miejsce i sądzą, że znaleźli... to, czego szukali.

Sto dwadzieścia metrów. Poczula, że siła grawitacji wsysa ją znowu w głęboką otchłań tak, jakby znalazła się ponownie na pochylej półce ponad nieznanym urwiskiem.

Wystarczy, aby nas zabić, gdybyśmy spadli w dół.

Nie spadniemy.

Sto dwadzieścia metrów.

Podniosła głowę. Mężczyźni spoglądali na nią w napięciu.

— Czego ode mnie chcecie? — zapytała tępo.

Fleming wpatrywał się w czubki butów. Był bystry i wytworny, choć nie miał takich umiejętności jak jego koledzy.

— Trzeba będzie... zidentyfikować ciało. Za jakiś czas... Wszystko wskazuje na to, że popełniono morderstwo. Sierżant Jones powiedziała, że w jaskini ktoś szedł za wami... że doktor O'Connor mógł zostać zepchnięty z półki. Czy właśnie tak pani zeznała?

Mówił wymijająco, posługując się niedopowiedzeniami. Tylko jeden fakt wydawał się jasny.

— Znaleźliście Kita? — zapytała. — Nic mu nie jest?

— Droga pani, bardzo rzadko prosimy o zidentyfikowanie żywej osoby.

Tony Bookless nigdy nie traktował jej z wyższością. Kiedy Fleming zacisnął wargi, myśląc, jak to delikatnie wyrazić, dziekan College'u św. Bedy, opiekun Kita, jego pracodawca i przyjaciel, ujął Stellę pod ramię, odwrócił w drugą stronę i zniżył głowę, aby ich oczy znalazły się na jednym poziomie. Zwyczajne szczere współczucie wyrażone przez ten gest odsłoniło prawdę, której nie potrafiła stawić czoła.

Po raz pierwszy w życiu Stella poczuła, że świat wokół niej się rozpada. Jakaś część jej osoby pozostała na wzgórzu, spoglądając na inspektora policji, który pragnął rozpocząć dochodzenie w sprawie morderstwa. Inna, większa od poprzedniej, stała w ciemności, na wąskiej skalnej półce, obserwując snop światła sięgający poza krawędź. Żyła tylko w tej drugiej.

Patrzyła, jak Tony Bookless otwiera i zamyka usta, niczym zanurzona w wodzie ryba. Z oddali usłyszała pytanie:

— Inspektor Fleming pyta, czy oprócz was ktoś był w jaskini? Człowiek, który mógł chcieć wyrządzić wam krzywdę? Zapamiętałaś coś?

Ta część jej świadomości, która w dalszym ciągu funkcjonowała, odrzekła:

— Widziałam go z góry. Perspektywa płata dziwne figle. Wydawał się duży, jak każdy z was.

— Jest pani pewna, że to był mężczyzna? Widziała go pani? — Fleming wyciągnął notatnik.

Miała po dziurki w nosie inspektora Fleminga i jego klinicznego entuzjazmu. Gniew rozjaśnił jej myśli.

— Nie, nie widziałam go. Tak, sądzę, że był mężczyzną, chociaż nie jestem tego pewna. Wspięłam się na ścianę ponad półką. Kit wziął moją zapasową latarkę i ruszył przodem... ćwiczy bieganie... sądził, że w pojedynkę będzie mógł się szybciej poruszać. Wspięłam się na ścianę nad półką, aby zejść tamtemu z drogi. Przeszedł dołem. Widziałam jedynie jego czołówkę.

— Wspięłaś się po ścianie jaskini w ciemności, bez światła? — Tony Bookless spojrział na nią z podziwem. — Stello, to było... bardzo niebezpieczne.

Faktycznie, można to było uznać za pewien wyczyn. Poczuli, że oblewa się rumieńcem.

— Byłam zdesperowana.

Wywarcie wrażenia na Flemingu okazało się trudniejsze. Stał obok niej, kładąc dłoń na dachu samochodu.

— Z pewnością może mi pani przekazać coś cennego. Od czasu zdarzenia minęły cztery godziny. Z każdą upływającą godziną tracimy cenne dowody. Czy pani to rozumie?

Odwróciła oczy.

— Musiałam zgasić latarkę. Trzymałam się ściany na chylonej pod kątem dziesięciu stopni. Byłam pochłonięta tym, by nie spaść, walczyłam o życie.

— Zobaczę, czy można posłać tam kogoś, żeby pobrał odciski palców, dobrze? — Fleming miał w kieszeni krótko falówkę. Odwrócił się i zaczął prowadzić gorączkową rozmowę.

Tony Bookless westchnął.

— Facet wierzy w to, co pokazuje telewizja — powiedział przyciszonym głosem. — Jestem pewien, że w nocy sprowadzi tu zespół dochodzeniowy w celu dokonania rekonstrukcji zdarzenia. Przekonasz się, że mam słuszność. — Nie odrywał oczu od jej twarzy. — Cieszę się, że chociaż to cię rozbawiło. Nadal nie pojmuję, dlaczego ten człowiek ścigał was w jaskini. Nie wyobrażam sobie, żebyście mogli mieć jakichś wrogów.

— Nie chodziło mu o nas. Znaleźliśmy...

Zdjęła plecak, żeby pokazać mu kamień. Chciała opowiedzieć o odkryciu, którego dokonali, o wyjaśnieniu zagadki, o zwycięstwie, które mógłby w pełni zrozumieć tylko ktoś taki, jak Tony Bookless.

Nie zdążyła tego zrobić, bo błękitny obszar jej umysłu zajmowany przez kamienne serce wykradł jej słowa, zastępując własnymi.

— Kit miał kryształową czaszkę — skłamała gładko. — Błękitne kamienne serce Cedrica Owena. Ukrył ją w swoim plecaku. Tamtemu chodziło o kamień. Jestem tego pewna.

— Miał kamienne serce Cedrica Owena? — Oczy Tony'ego Booklessa przypominały okno jego zbolącej duszy. — Spadła w przepaść razem z nim? Zginęła?

Przytuliła się do niego, aby ukryć twarz.

— Tak mi przykro. Nie wytrzymałaby upadku na skałę z wysokości stu dwudziestu metrów. Miejmy nadzieję, że odnajdą jego plecak. Rozbite kawałki wyjaśnią, dlaczego weszliśmy do środka.

Podobnie jak wszystkie kłamstwa, także to zapuściło korzenie i stało się realne.

Stella wróciła do jaskini w towarzystwie Tony'ego Booklessa i detektywa inspektora Fleminga. Sierżant Ceri Jones występowała w podwójnej roli, utrzymując łączność radiową z ekipą i udzielając wskazówek ratownikom. Stella usiadła niedaleko radiostacji, wsłuchując się w trzaski i piski fal radiowych przekazywanych na powierzchnię, bo mimo zdobyczy współczesnej techniki możliwości komunikowania się z ludźmi pod ziemią pozostały ograniczone.

Słyszała kolejne komunikaty przerywane trzaskami statycznymi, niczym kroplówka powoli karmiące nadzieję i rozpacz.

— *Znaleźli* wodę u podstawy ściany. Nikt tam wcześniej nie dotarł. Nie wiedzieli o jej istnieniu. — Ceri była rzeczowa, otwarta i uprzejma. Zwracała się bezpośrednio do Stelli z pominięciem mężczyzn. Rozmawiały jak grotolaz z grotolazem, jak dwie dziewczyny z Yorkshire, ze znajomym akcentem, który niósł nadzieję.

— Wodę? — zapytała Stella. — Nie skałę?

— Wodę.

Zatem była nadzieja.

Lekki wiaterek owiewał zbocza wzgórza, unosząc kosmyki włosów i promienie słońca. Stella objęła ciało rękami i spojrzała w kierunku wylotu jaskini, lecz niczego nie dostrzegła.

Radiostacja ponownie zatrzeszczała. Ceri pochyliła się, próbując dostroić odbiornik.

— Wciągają go na noszach. Ratownicy podejrzewają... — Spojrzała na nią życzliwie. — Nie obiecuj sobie zbyt wiele.

— Mają jego plecak? — zapytał Tony Bookless, trzymając dłonie na ramionach Stelli. — W tym plecaku jest kamienna czaszka Cedrica Owena.

Ceri Jones spojrzała na niego obojętnym wzrokiem.

— Nie powiedzieli. Przypuszczalnie nie przywiążą do tego większej wagi. Wyjdą za jakieś dziewięćdziesiąt minut. Do tego czasu powinniśmy zachować cierpliwość.

Jones była przede wszystkim grotolazem. Oceniała ludzi pod kątem umiejętności pełzania po nachylonym skalnym występie i wspinania się na ścianę, która znajduje się u jego końca. W jej oczach profesor Anthony Bookless się nie liczył i wcale tego nie kryła.

Po raz pierwszy w życiu Stella spostrzegła, że Tony jest skonsternowany. Odszedł na bok i usiadł na skale, wykręcając ręce.

— Szkoda, że nie wiedziałem, że poszliście po kamień. Mogłem wam pomóc. Przygotować kanapki, utrzymywać łączność radiową na zewnątrz... jakoś się przydać.

— To był ślubny prezent od Kita. Musieliśmy zrobić to razem, sami. Po piątku... — W piątek wzięli ślub, a Tony Bookless obsypywał ich pełnymi garściami ryżu.

— Rozumiem — na jego twarzy pojawił się przelotny, smutny uśmiech. — Osobista sprawa.

— Kit podejrzewał, że się domyślasz, gdy w urzędzie stanu cywilnego powiedziałeś, że strażników kamienia czeka śmierć. Pomyślał, że niebacznie coś chlapanął i zdradził tajemnicę.

— Naprawdę? Przepraszam, nie zwróciłem na to uwagi. Wiedziałem, że oboje szukacie wskazówek o miejscu ukrycia kamiennego serca. Nie sądziłem, że już je znaleźliście. Byłem zadufany, sądząc, że Kit powiedziała mi o tym.

Profesor Anthony Bookless stał się sławny jako współautor biografii Cedrica Owena. Bardziej od innych, bardziej od Kita i znacznie bardziej od Stelli, był łączony z błękitnym kamieniem i wszystkim, co reprezentuje. Ból w jego oczach stał się wyraźnie widoczny.

— Kit chciał odnaleźć kamień i zrobić ci niespodziankę — powiedziała delikatnie. — W swoich pracach na temat dawnych legend wyraźnie wspominasz o niebezpieczeństwach związanych z kamieniem. Kit sądził, że zmienisz zdanie, gdy...

— Stello... — Bookless podniósł się z kamienia i usiadł na

wrzosie obok jej stóp. Ujął jej dłonie i spojrzał na nią poważnym wzrokiem.

Był bardzo uprzejmy i bardzo angielski.

— O co ci chodzi? — zapytała.

Popatrzył na swoje dłonie. Na sygnecie widniał ognisty smok College'u św. Bedy i rycerz bez zbroi, trzymający w ręku kruchy miecz.

— Nie chodzi o zmianę zdania — powiedział. — Chodzi o uczciwość badań naukowych. W osobie Cedrica Owena College Świętego Bedy przybliżył się do świętości. Owen związał swój los z uczelnią. W jej bramach złożył przysięgę krwi, że zapisze uczelni ogromną fortunę. Przekazał jej złoto i diamenty, dzięki którym drugorzędną uczelnię Plantagenetów

podniesiono do poziomu dorównującego Trinity i King's College czy amerykańskich uczelni Ivy League. Na dodatek, pozostawił skrupulatnie prowadzone nieprzerwanie przez trzydzieści dwa lata księgi rachunkowe, które nie mają sobie równych.

— Tony, studiowałam w College'u Świętego Bedy prawie rok. Znam tę historię...

Ponownie uściśnął i puścił jej ramię.

— Wiem o tym, posłuchaj mnie uważnie. Od śmierci Owena nikt nie widział jego kamiennej czaszki. Później sir Francis Walsingham, szpieg Elżbiety Pierwszej, człowiek posiadający najbardziej rozległą sieć informatorów, przezesłał Anglię wzdłuż i wszerz, żeby ją odnaleźć. Na próżno. Nie udało się to także kilkudziesięciu innym, którzy przyszli po nim. Chcesz mi powiedzieć, że Kit odkrył coś, czego nie znaleziono w ciągu czterystu lat poważnych badań naukowych?

Prawda okazała się trudniejsza do wypowiedzenia niż kłamstwo. Stella sięgnęła po butelkę, pociągnęła łyk i zagłębiła się w zakamarkach swojego umysłu, szukając miejsca, w którym kamienna czaszka przysiadła niczym kot, przyparta do muru lub oczekująca na to, co się wydarzy.

Miała brudne paznokcie. Obejrzała swoje palce wskazujące, a następnie zacisnęła dłonie i wsunęła je pod kolana.

— Stello, możesz mi zaufać — powiedział delikatnie Bookless, pewnym głosem profesora z Cambridge. — Cokolwiek to jest, nie może być gorsze od śmierci Kita. Uwierz mi, że gdyby mogło go to ożywić, oddałbym własną krew.

Siedzieli na zboczu wzgórza, było późne popołudnie, a ich rozmowie przysłuchiwały się przynajmniej dwie osoby. Mimo to jej świat skurczył się do tego jednego człowieka i łatwości, z jaką mogła wstrząsnąć całym jego życiem.

Cicho i wyraźnie, ponad trzaskami i świstami radiostacji, powiedziała:

— Rozszyfrowaliśmy księgi Owena. Nie zostały spisane przez Cedrica Owena. Kit sądzi, że uczynił to Francis Walker po jego śmierci.

— Słucham? — Tony Bookless zmarszczył brwi.

— Księgi zostały sfalszowane, Tony. Przynajmniej sześć ostatnich. A jeśli tak, wszystkie mogą być podrobione.

Nie mogła powiedzieć tego uprzejmie, więc nie próbowała. Bookless patrzył na nią uporczywie. W promieniach zachodzącego słońca jego jasnobrązowe oczy przybrały głęboki odcień. Wpatrywał się w jej twarz, jakby można z niej było wyczytać odpowiedź ukrytą w plamach brudu z jaskini.

Mówienie było łatwiejsze od milczenia.

— Kiedy Kit zakończył pisanie programu, postanowił wypróbować go na księgach Owena. Trzydzieści dwa tomy spisane przez jednego mężczyznę na przestrzeni trzydziestu dwóch kolejnych lat. Tekst składał się w równej części z liter i liczb. Kit uznał, że jeśli algorytmy odsłonią jakąś prawidłowość w średniowiecznej księdze rachunkowej, w ciągu kilku sekund będzie można ustalić ich autora na podstawie charakteru pisma.

— Wiem. Prosił mnie o pozwolenie korzystania z archiwum.

Zanim został dziekanem, Tony Bookless był wykładowcą College'u Świętego Bedy. Z całych sił zabiegał, aby świat poznał dzieje uczelni. Spojrzał na Ceri Jones i Fleminga.

— College Świętego Bedy posiada najbardziej nowoczesne archiwum w Europie. Rękopisy Owena to zbiór ksiąg rachunkowych prowadzonych od czasu jego wyjazdu do Nowego Świata. To nasze najcenniejsze źródło naukowe, dlatego trzymamy je w hermetycznym archiwum, w którym można kontrolować temperaturę, wilgotność powietrza oraz inne parametry. Kit miał opracować program komputerowy, umożliwiający analizę i porównanie charakteru pisma dowolnego człowieka w dowolnym okresie jego życia w celu potwierdzenia autentyczności dokumentu. Swoje badania rozpoczął w styczniu bieżącego roku. Od tego czasu bardzo przycichł. Pomyślałem... wybacz, Stello... pomyślałem, że jest zajęty innymi sprawami. Innymi sprawami. Czyli tobą.

Próbowała wyobrazić sobie Kita pozbawionego radości życia, lecz jej się to nie udało.

— Nie — zaprzeczyła, patrząc na Tony'ego Booklessa. — Zastanawiał się, jak ci powiedzieć, że dokumenty uważane za

skarby College'u Świętego Bedy zostały sfalszowane. Księgi powstały w okresie pięciu, a nie trzydziestu lat i zostały sporządzone przez dwóch różnych ludzi. Cedric Owen jest autorem pierwszych dwudziestu czterech tomów, ktoś inny dopisał sześć pozostałych. Ten człowiek próbował naśladować jego charakter pisma. Dla laika tekst wygląda podobnie, jednak gdy Kit przeskanował dokumenty, jego program odsłonił prawdę. Cedric Owen mógł napisać pierwszą część, lecz z pewnością nie jest autorem sześciu ostatnich ksiąg. Charakter pisma, którym je sporządzono, jest taki sam jak ten, który występuje w liście przesłanym do Barnabasa Tythe'a po śmierci Owena i podpisanym przez Francisca Walkera.

— Dlaczego? — Bookless wstał i zaczął wydeptywać ścieżkę między paprociami. — Te księgi to podwalina College'u Świętego Bedy. Owen zdawał sobie z tego sprawę, dlatego ukrył je przed śmiercią, aby nie zostały zniszczone przez ludzi sir Walsinghama. W jakim celu, dlaczego miałby to zrobić uczelni, którą tak kochał?

Kit i Stella zadawali sobie to pytanie, przesiadując samotnie w pokoju nad rzeką, zawieszeni pomiędzy powietrzem i wodą. Dlaczego? Z pytania wyłoniła się odpowiedź.

— Aby ukryć czaszkę w miejscu, w którym zdoła ją odnaleźć tylko ktoś taki jak Kit — odparła zwyczajnie. — W księgach znajdowała się ukryta wiadomość. Na ostatnich dwudziestu stronach końcowego tomu pojawiają się znaki stenograficzne podobne do tych, którymi posługiwał się John Dee, astrolog epoki elżbietańskiej. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że kamienna czaszka spoczywa w katedrze ukrytej we wnętrzu ziemi, w białej wodzie. Zaczęliśmy szukać i znaleź-

liśmy. Kit miał ją ze sobą. Jeśli nie przyniosą jej razem z nim, to znaczy, że przepadła.

Odkryj mnie i żyj, jestem bowiem twoją nadzieją u kresu czasu.

Nie było o czym mówić, więc milczeli. W popołudniowej ciszy radio zaczęło wydawać piski i trzaski. Ceri podniosła słuchawki i odeszła na bok, uśmiechając się niepewnie.

— Są dziesięć minut od wyjścia. Proszą o helikopter. Wyczuwają puls.

Wzgórze Ingleborough, Park Narodowy Yorkshire Dales, maj 2007

*Odwaga jest ceną, której życie żąda
za obdarzenie nas spokojem.*

Amelia Earhart

Przynieśli go do niej w promieniach wieczornego słońca, z rękami, nogami i głową przywiązanymi pasami do aluminiowych noszy. Jego dłonie spoczywały spokojnie na pierśsi. Nogi leżały wyprostowane, tak że nie było widać złamania, o którym wspomniała Ceri. Słońce oświetlało jego twarz, nadając jej barwę tam, gdzie opłukała ją woda. Miał zamknięte oczy. Obtarcie i siniak na policzku oblewała krew sącząca się z zakrwawionych włosów nad lewym uchem.

Chciała go dotknąć, lecz nie potrafiła. Zamiast tego dotknęła zakrzepu. Godziny leżenia w zimnie uczyniły go twardym jak plastik, więc jej palce przesunęły się po jego powierzchni.

— Jak... ? — zapytała, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

W ekipie grotolazów był ratownik, niski mężczyzna w średnim wieku, nieco starszy od pozostałych.

— Sądźmy, że przed upadkiem zawadził głową o ścianę — powiedział, rozcinając piankę Kita i wsuwając pod kombinezon czujniki elektrokardiografu. — Kiedy wpadł do wody, był przypuszczalnie nieprzytomny. Uratował go plecak. Miał w nim plastikowy pojemnik na jedzenie, który był napełniony powietrzem i utrzymał go na powierzchni.

— A kamień? — zapytał z tyłu Tony Bookless.

Ratownik spojrział na niego nieobecny wzrokiem i nie odpowiedział. Podłączył przewody do czujników, a następnie umieścił monitor w nogach noszy. Zielona linia zaczęła pulsować.

Stella spojrzała na nią, zakrztusiła się i zagryzła knykcie.

— Tak jak myślałem. — Ratownik wyciągnął rękę i po klepał ją po ramieniu, uśmiechając się zaciśniętymi wargami. — Twój mąż żyje. Nie wiadomo, czy odzyska przytomność ani kiedy to się stanie. Trzeba go ogrzać, podać tlen i wykonać scyntyografię mózgu. Jeśli doszło do uszkodzenia, wołałabyś, żeby utonął.

— Nie, nie wołałabym. Nigdy bym tego nie pragnęła. — Gdzieś daleko na wzgórzu wirujące śmigła helikoptera wypląsły owce i przygniotły do ziemi liście paproci. — Mogę pojechać z wami do szpitala?

— Oczywiście. — Ratownik spojrział za nią. — Twój ojciec również, jeśli zechce.

Kłamstwo Stelli wyszło na jaw w szpitalu jeszcze tej nocy, lecz dowiedział się o tym jedynie Tony Bookless.

Kit leżał w białym pokoju, przykryty białymi prześcieradłami, zasłonięty białym parawanem. Opleciony pajęczyną przewodów i rurek podłączonych do kroplówek. Zielone linie na monitorach pokazywały pulsujące w nim życie, a liczby informowały o poziomie tlenu, ciśnieniu krwi i akcji serca. Jego twarz była biała z wyjątkiem lewej skroni, na której aż po szczękę rozciągał się wielki, czarny siniak. Do tej pory nie otworzył oczu i nie przemówił ani słowa. Lekarze nie wiedzieli, czy w ogóle to się stanie.

Jakby za sprawą cudu połowa twarzy pozostała nietknięta. Gdyby patrzyła wyłącznie na nią, mogłaby pomyśleć, że zwyczajnie zasnęła. Kiedy Tony Bookless wyszedł na chwilę, żeby zadzwonić, usiadła obok Kita i ujęła go za rękę, koncentrując się na prawej połowie twarzy i przywołując litanię wspólnych wspomnień, od chwili poznania po rozstanie w jaskini.

Najlepiej zapamiętała ich pierwsze spotkanie i może dlatego powróciło do niej, gdy inne odpłynęły. Tamtego dnia też spał, a przynajmniej tak się jej zdawało. Był jednym z pół tuzina doktorantów wylegujących się na słońcu, na placu Jesus Green, w środowe popołudnie, w połowie Wielkiego Postu, otoczony ludźmi grającymi w rounders* i pierwszymi turystami napływającymi do Cambridge.

Stella niedawno przeprowadziła się do miasta i nadal poznawała jego krajobraz oraz lokalne stosunki, kreśląc wewnętrzną mapę pól minowych oficjalnego protokołu i osobistych preferencji. Była zbyt zajęta, aby wylegiwać się na trawie w ciepłe wiosenne popołudnie, zbyt zaaferowana

* rounders — gra przypominająca baseball

jutrzejszą prezentacją, aby w porę dostrzec długie szczupłe ramię, które niepostrzeżenie chwyciło ją za kostkę.

Gdyby coś takiego zdarzyło się w Manchesterze, krzyknęłyby i zaczęła uciekać. W Cambridge zachowała spokój i spojrzała w dół. Była jedenasta rano, mężczyzna leżący u jej stóp był nieogolony i miał zmierzwione włosy, a jego T-shirt był pobrudzony trawą.

— Ostatniego wieczoru byłem na twojej prelekcji w Klubie Grotołazów — powiedział ze śpiewnym irlandzkim akcentem. — Gordon powiedział, że jesteś najlepsza. Czy nauczyłabyś mnie tej sztuki w jeden weekend, gdybym zaprosił cię do Trinity na uroczysty obiad z Martinem Reesem.

Ujął jej głowę, a później przenikliwe spojrzenie i ostatnie słowa, które wypowiedział.

— Z Martinem Reesem? Tym Martinem Reesem? — zapytała z obcym akcentem, podobnie jak on, pochodziła bowiem z tak dalekiej części Yorkshire, że równie dobrze można by uznać, że przyjechała z innego kraju.

— Z Martinem Reesem, królewskim astronomem, profesorem kosmologii i astrofizyki, prezesem Royal Society* i dziekanem Trinity College. Tak jest. W Trinity wydają oficjalne przyjęcie, mogę załatwić zaproszenie. A przynajmniej mogę zdobyć zaproszenie dla siebie i swojej aktualnej partnerki.

— Partnerki? — Poczowała, że wiruje jej w głowie. Okres studiów licencjackich w Manchesterze okazał się akademickim sukcesem, lecz omal nie przyćmiło go pasmo towarzyskich porażek. Wyjeżdżając do Cambridge, ślubowała sobie, że

* Royal Society — brytyjskie towarzystwo naukowe

będą to trzy lata ciężkiej pracy bez żadnych sercowych komplikacji. Ledwie przeszła na drugi semestr.

Kit wzruszył ramionami. Już wówczas potrafiła wiele wyczytać z tego gestu.

— Proponuję przejrzysty układ. Po obiedzie pogadamy o podziemnym alpinizmie. Muszę wyznać, że boję się ciemności. Gordon powiedział, że jesteś najlepsza.

Oboje wiedzieli, że to Gordon jest najlepszym grotolazem w kraju. Jeśli Martin Rees był tym, dla którego przyjechała do Cambridge, Gordon Fraser, którego przypadkowo spotkała w jaskini Cheshire, przyciągnął ją do College'u św. Bedy. W ten sposób, dzięki rekomendacji Kita, została zaproszona na oficjalne przyjęcie i siedziała trzy stoliki od Martina Reesa, ledwie dostrzegając obecność wielkiego człowieka.

W tamten weekend zabrała Kita do małej jaskini, ale więcej tego nie zrobiła przez czternaście kolejnych, niespokojnych, produktywnych, szalonych miesięcy ich znajomości. Aż do tej pory. Po raz pierwszy odkryła, że w jej świecie jest dość miejsca na pracę i miłość oraz że zyskuje na tym jedno i drugie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by mogła stracić miłość i Kita.

A jeśli znajdę ci jaskinię z ukrytym skarbem, do której żaden człowiek nie wszedł od czterystu dziewiętnastu lat? Czy będziesz zadowolona?

Surowa szpitalna biel sprawiła, że przycisnęła jego dłoń do twarzy, czując chłód skóry i nie słysząc, jak Tony Bookless wrócił po zakończeniu rozmowy.

Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

— Zbyt dużo rozmyślasz. Może chciałabyś porozmawiać?

— To ja jestem grotolazem. Nie powinnam była pozwolić, żeby poszedł pierwszy.

— Przecież sądziłaś, że ktoś was ściga. Kit był lepszym biegaczem od ciebie. — Bookless przysunął krzesło. — Mam nadzieję, że jesteś tego pewna. Odnoszę wrażenie, że gorliwy inspektor Fleming próbuje to zakwestionować. Jeśli będziesz miała szczęście, pomyśli, iż zachodzi podejrzenie popełnienia morderstwa. Jeśli nie, uzna to za nieszczęśliwy wypadek, a ciebie przedstawi jako paranoiczną histeryczkę.

— Tam ktoś był, Tony. Polował na kamienną czaszkę Cedrica Owena.

Poczuła się głupio, że to powiedziała, skoro wszystko wokół było tak ascetycznie białe i doskonałe. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kardiograf. Kiedy odwróciła wzrok, zauważyła, że Tony Bookless na nią czeka.

— Jak się zachowywał ten... ścigający?

— Umyślnie zrzucił kamienie, żebyśmy go usłyszeli. W stałych odstępach, co trzydzieści sekund, żebyśmy byli pewni, że to nie przypadek. Kit powiedział, że tamten nas zagania i że jeśli się rozdzielimy, odciągnie go ode mnie. Wziął wodoszczelną latarkę i ruszył przodem. Sądził, że poruszając się bardzo szybko, zdoła dotrzeć w bezpieczne miejsce.

— Na skalnej półce?

— Nie wiedział, że droga jest tak trudna.

— Spadł i zabrał ze sobą czaszkę. To jej kolejna ofiara.

Tony Bookless opadł na krzesło, wyraźnie przybity. Zmienił się nie do poznania od czasu, gdy powiedziała mu, że księgi Owena zostały sfalszowane. Pragnęła go jakoś pocieszyć. Dopijała resztkę kawy, żeby zagłuszyć ostrzegawcze sygnały kamiennej czaszki, i przekazała mu swój jedyny dar.

— Okłamałam cię. Kit spadł, lecz kamień został w moich rękach. O to nam chodziło. Kit posłużył za przynętę.

Potrzebowała ogromnego wysiłku woli, żeby mu to wyznać. Kamienna czaszka wołała tak głośno, że niebawem słyszała jedynie jej krzyk niczym gwóźdź wbijający się w delikatny fragment mózgu.

Objęła dłońmi głowę.

— Co ci jest?

— To czaszka. Stała się częścią mnie. Doprowadza mnie do szaleństwa. Wcześniej miałam wrażenie, że próbuje pomóc Kitowi, gdy badali go metodą rezonansu magnetycznego. Teraz robi taki hałas...

Przycisnęła dłonie do oczu, zatykając palcami uszy. Na próżno.

— Nie powinniśmy byli jej ruszać, Tony. Oszaleję z jej powodu. Na dodatek gdzieś w pobliżu czai się maniak, który tak bardzo jej pragnie, że gotów jest zabić.

Sięgnęła po plecak. Tony Bookless chwycił ją za ramię.

— Nie rób tego. Nie chcę jej widzieć. Jest na niej zbyt dużo krwi, krwi ludzi, których szanuję. Kit jest ostatnim z nich. Nie chcę, żebyś dołączyła do ich grona, nie chcę, żeby ktoś został skrzywdzony dlatego, że ją odnaleziono.

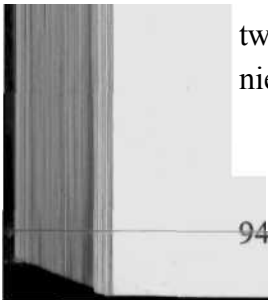
Stella osunęła się na krzesło.

— Co powinnam zrobić?

— Chcesz mojej szczerzej, całkowicie uczciwej rady?

Tony Bookless sprawiał wrażenie zmęczonego. Na jego twarzy pojawiły się plamy, których nie widziała nigdy wcześniej. Uśmiechał się blado.

— To najcenniejszy przedmiot, jaki mógłby się znajdować w zbiorach naszej uczelni. Prawda o księgach Owena stałaby



się przyczynkiem do zwycięstwa, zamiast sromotnej klęski. Niestety, wszyscy, którzy trzymali ją w rękach, zginęli w tragicznych okolicznościach, także Cedric Owen. Ten kamień nie jest wart twojego życia, już teraz jest na nim zbyt wiele krwi. Pozbądź się go, Stello.

— Jak?

— Zejdź do jaskini i wrzuć go dziś po południu do wody tam, gdzie jest jego miejsce. Kiedy to uczynisz, świat będzie bezpieczny. Później wróć do mnie, a zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby zorganizować pomoc. Przewieziemy Kita do kliniki w Addebrooke, gdzie są najlepsi specjaliści od wybudzania ze śpiączki. Później zawiozę cię do Cambridge, żebyś mogła mu towarzyszyć. Pogadam z kolegami z Instytutu Maxa Plancka, żeby załatwili ci stypendium naukowo-badawcze, które pewnie i tak byś otrzymała. Otoczę cię opieką, dopóki Kit nie odzyska zdrowia. — Z tonu jego głosu wyczytała, że może nigdy nie wyzdrowieć, lecz słowa prześlizgnęły się gładko ponad prawdą.

— Nie mogę...

Chwytał jej dłoń.

— Stello, jesteś grotołazem. Możesz zrobić wszystko, co zechcesz. Kiedy wrócisz, Kit będzie tu na ciebie czekał. Mogę przy nim posiedzieć lub pójść razem z tobą...

— Nie o to mi chodziło. Nie mogę tam wrócić dzisiejszej nocy. Nie mam odwagi, Tony. Nie wiem, czy kiedykolwiek tam zejdę.

Okazał się na tyle przyzwoity, że nie nalegał.

— Czy jest tam miejsce, które... wzbudziłoby w tobie mniejszy strach?

— Może Gaping Ghyll. To pierwsza jaskinia, do której

zeszłam w życiu. Najgłębsza jaskinia w Anglii. Wejście jest niedaleko stąd, lecz nie chcę tam iść po ciemku.

— W takim razie zawiozę cię jutro rano. Później wrócimy do Cambridge.

— Nie musisz uczestniczyć w konferencji?

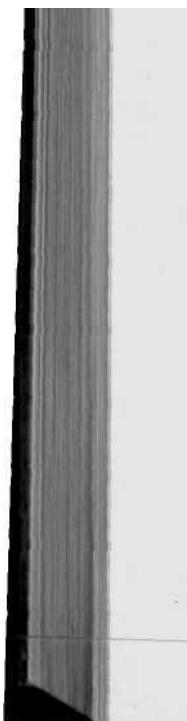
— Formalnie przewodniczę obradom, lecz poradzą sobie beze mnie. Są ważniejsze rzeczy niż słuchanie setki naukowców rozprawiających, w jaki sposób rząd nieprzerwanie ogranicza zakres swobód obywatelskich. Jeśli masz zamiar przy nim czuwać, powinniśmy zorganizować jakieś łóżko. A może wolałabyś przenocować w hotelu?

— Nie powinnam go opuszczać...

Bookless dostrzegł w jej oczach wewnętrzny konflikt. Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. Wsunął jej rękę pod łokieć i pomógł wstać.

— Usuń słowo „powinnam” ze swojego słownika — powiedział delikatnie. — Kit nie obudzi się w ciągu następnych dwunastu godzin. Lekarz dał to wyraźnie do zrozumienia. Nie wyrządzisz mu krzywdy, pozostawiając go samego. Jeśli porządnie się wypiszesz, rano będziesz mogła lepiej podejmować decyzje. Pozwolisz, że odwiozę cię do hotelu?

Uznała, że nie był to czas na spory. Pochyliła się i ucałowała chłodny plastikowy policzek Kita, a następnie pozwoliła, by Tony Bookless odwiózł ją do hotelu i odprowadził do pokoju. Do innego pokoju, ponieważ wcześniej rozmówili się z menedżerem i przenieśli wszystkie rzeczy z dotychczasowego mieszkania do narożnego pokoju na parterze, który był nieco mniejszy, lecz miał lepszy widok na Park Narodowy Dal es, dzięki czemu mogła podziwiać jego krajobraz i czuć się tak, jakby była w domu.



— Do zobaczenia jutro. Nie zapomnij o tym, co ci powiedziałem.

Uścisnął jej ramię, co było bardzo uspokajające i podnoszące na duchu. Po raz pierwszy od wielu miesięcy otworzyła drzwi do pustej sypialni. Z głębi plecaka kamienna czaszka nuciła smutną pieśń, promieniując falami jasnego błękitu.

Sewilla, koniec sierpnia roku 1556

*Krzyż i spokój zapanują dzięki jednemu boskiemu słowu,
Hiszpania i Galia zjednoczą się ze sobą. Później nadejdzie
wielka katastrofa, rozgorzeje zaciepła walka i żadne serce nie
będzie dość twarde, by nie zadrżeć.*

Czterowiersz 5, Centuria IV, Nostradamus

— Senor Owen, mój okręt jest znakomicie wyposażony, gotów do wyruszenia w morze z najbliższą falą przypływu. Zabierze mnie do Nowej Hiszpanii, gdzie mam zamiar poszukać szczęścia. Podczas rejsu będziemy płynęli w małym konwoju, eskortowani przez dwa okręty wojenne, broniące nas przed piratami, dlatego nie będziemy potrzebowali dodatkowej ochrony. Chciałbyś ze mną popłynąć, ale podobnie chciałaby połowa mieszkańców Sewilli. Odmówiłem wzięcia na pokład wszystkim, nawet tym ze szlchetnego rodu, jeśli nie dowiedli mi swej przydatności. Skoro żaden ze szlchetnych synów Hiszpanii nie może mi towarzyszyć, podaj chociaż jeden powód, dla którego ty miałbyś ze mną płynąć.

— Mogę podać trzy — odparł Cedric Owen beznamiętnym głosem. — Sam będziesz mógł zdecydować, który z nich jest dla ciebie najważniejszy.

Był upalny dzień, a w jego winie pływały dwie tłuste, zielone muchy. Cedric Owen doszedł do wniosku, że Fernandez Alberto Garcia de Aguilar jest wystrojonym hiszpańskim fanfaronem, rozmiłowanym w ozdobnych kaftanach i złotej biżuterii, odpowiadających jego wygórowanej opinii na swój temat, czego dowodem był też kolczyk zwisający z lewego ucha.

Wiatr i fala przyływu oraz delikatne poszturchiwania błękitnego kamiennego serca sprowadziły Owena w to miejsce, do stołu tego człowieka, dlatego bez żadnego wyraźnego powodu oczekiwał, że zostanie zabrany na pokład. Był zmęczony słowną argumentacją, zanim jeszcze na dobre się zaczęła. Nie wstał od stołu jedynie z powodu dobrego angielskiego wychowania. Jedwabna markiza w paski osłaniała go przed popołudniowym słońcem. Po prawej stronie to samo słońce odbijało się srebrzyście we wstędze rzeki wpadającej długim ujściem do morza.

Za rzeką wznosiły się wysokie, białe mury twierdzy Maurów, których linia rysująca się na tle błękitnego nieba przypominała wschodnią szablę. Niedawno ktoś wydrapał na kamieniu znak krzyża tak, że jego linie były wciąż wyraźnie widoczne. Sewilla została przywrócona chrześcijańskiemu światu zaledwie trzy wieki temu i nadal była dumna z powodu odniesionych zwycięstw.

Fernandez de Aguilar szczyił się dziejami swojego miasta oraz jego przeszłymi, teraźniejszymi i przyszłymi wojnami. Był też dumny z siebie, swojego rodu i okrętu, przypuszczalnie

w równym stopniu, chociaż Owen odniósł wrażenie, że nade wszystko jest dumny z własnej osoby.

Hiszpan położył palec na doskonałym łuku warg i powiedział:

— Cóż to za trzy powody, senor?

— Po pierwsze... — Owen zanurzył palec w winie i na kreślił znak jedynki na starym dębowym stole. — Jestem dobrym lekarzem, co potwierdza list polecający od Michela de Nostradame, medyka królowej Francji. Na czas naszej podróży będę opiekował się chorymi i rannymi na twym statku, nie pobierając za to żadnej opłaty.

— Naszej podróży?

Hiszpan miał jak jego rodacy nieskazitelną, słonecznooliwkową skórę oraz kruczoczarne włosy opadające kręconymi, przetłuszczonymi kosmykami na ramiona. Od jego krajanów odróżniały go jedynie oczy: były szerokie i szarobłękitne, więc nie sposób było patrzeć na niego bez zdziwienia i nie zastanawiać się nad jego pochodzeniem. Teraz lśniły urażoną godnością.

— Jesteś bezczelny — odparł Fernandez de Aguilar. — Bezczelny i arogancki. Powiadają, że królowa Francji straciła dwie córki w ciągu kilku miesięcy od ich urodzenia. Chociaż poddani największego władcy chrześcijańskiego świata, króla Hiszpanii, mogą być wdzięczni, że ten francuski cap, Henryk, nie spłodził więcej koźląt, to jednak ich zgon nie świadczy dobrze o medykach jego małżonki. Zbyt sobie cenię mych ludzi, aby pozwolić ci ich leczyć. Gdyby się zaś okazało, że bardziej od medyka potrzebują chirurga, twoja umiejętność władania nożem ogranicza się do wątpliwego zabiegu amputacji, w którym uważasz się ledwie za terminatora. Nie przekonałeś mnie. Jaki jest powód drugi?

— Po drugie, ojciec mojej matki służył pod rozkazami admirała sir Edwarda Howarda, który był na służbie Henryka, króla Anglii, ojca naszej ostatniej królowej. Dziadek był z Howardem, gdy ten pojmał szkockiego pirata Andrew Bartona. Pod koniec życia mieszkał niedaleko nas i często o tym wspominał. Jemu to zawdzięczam głębokie poznanie natury morza.

— Może zostaniesz kapitanem na moim okręcie? Od powiem ci, że wuj mojego ojca, Geronimo de Aguilar, żeglował pod rozkazami Juana de Valdivia, noszącego najświętszą sakwę naszego króla. Ich okręt zatonął u wybrzeży Nowej Hiszpanii, a mój stryjeczny dziadek był jednym z dziewięciu rozbitków, którzy ocalili w szalupie. Przez dwa tygodnie usychali w słońcu, zdani na łaskę wiatrów, aż wreszcie przybili do brzegu i zostali pojmani przez dzikusów. Pięciu zostało zjedzonych... zaszokowało cię to, Angliku? Muszę przyznać, że mnie również. Tam gdzie płynie, mieszkają ludożercy. — Fernandez de Aguilar uśmiechnął się szyderczo, błyskając zębami kontrastującymi z brązową skórą. — Stryjeczny dziadek i jeden z jego towarzyszy uniknęli śmierci. Przez osiem lat był niewolnikiem, by w końcu uciec i powrócić na łono chrześcijaństwa, stając się tłumaczem wielkiego Hernana Cortesa, który podbił Azteków i zbił wielką fortunę. Dziadek napisał do nas, członków swojej rodziny, jak jałowa to ziemia i jak ubodzy ludzie na niej mieszkają. Mimo to postanowił tam umrzeć, chociaż mógł wrócić do domu jako bohater. Nie sądzisz, że to dziwne, Angliku? Ja tak uważam. Postanowiłem zbadać, dlaczego dokonał takiego wyboru i zbić majątek na zielonym złocie, które go otaczało. Nie usłyszałem przekonywającego powodu, dla którego powinienem cię zabrać, gdy

odrzucałem tylu szlachetnych i znakomitych mieszkańców mojego miasta.

Hiszpan wyciągnął leniwie długą, dłoń i nalał sobie wina, nie proponując go Owenowi. W Anglii ludzie umierali za mniejsze zniewagi. Choć żaden z nich nie padł z ręki Owena, który był zmorą swojego fechtmistrza i został odprawiony z zaleceniem, aby nigdy nie ważył się stawać do pojedynku.

De Aguilar uśmiechnął się dziko i powiedział:

— Dwa pierwsze powody mnie nie przekonały. Mam nadzieję, że nie zasugerujesz, abym wziął cię na pokład, bo mój król przez dwa ostatnie lata był zaślubiony z tą maskarą, która jest waszą królową? Ten związek to istne błazeństwo. Wszyscy prawdziwi Hiszpanie żałują kajdan, które musi nosić dla poprawy losu swojego narodu.

Cedric Owen podniósł się z miejsca. Zamierzał powiedzieć to samo, ale innymi słowami. Poczł się upokorzony już choćby dlatego, że wpadł na ów pomysł podczas podróży, sądząc, iż będzie mógł go użyć jako żartu w wesołym towarzystwie ludzi światowych lub rodaków zdolnych zrozumieć jego ironię i poczucie humoru.

Owen zdjął kapelusz na początku rozmowy. Teraz wydał mu się nędzny w porównaniu z jedwabnym, ozdobionym piórami cudactwem, które leżało u boku de Aguilara. Skłonił sztywno głowę.

— Senor, marnuję twój czas i czas własny. Znajdę inny sposób dotarcia do jałowej ziemi, którą opisałeś. W odróżnieniu od ciebie słyshałem, że jest ona żyzną krainą, pełną niezwykłych lasów i cywilizowanych ludów. Przepraszam, że oderwałem cię od zajęć i wystawiłem na próbę twoją gościnność. Jeśli pozwolisz, zapłacę za wino...

Nie oczekiwał, że jego propozycja zostanie przyjęta. Niestety, właśnie tak się stało, a właściciel gospody policzył za wino dziesięć razy więcej niż było warte, więc sakiewka Owena została znacznie uszczuplona, on sam zaś pograżył się w paskudnym nastroju.

Kilka godzin później, gdy nastał chłodny wieczór, Cedric Owen znalazł gospodę, w której jego niedoskonały hiszpański został powitany z serdecznością, jakiej oczekiwał, zupa rybna była smaczna i było jej w bród, a zawartość jego sakiewki nie została nadmiernie uszczuplona.

Po posiłku wdał się w rozmowę z akruariuszem, który pracował niegdyś dla bankierów z rodu Medyceuszy. Rozprawiali o różnych sprawach Nowego i Starego Świata, czyniąc liczne dygresje na temat sposobów wzbogacenia się oraz ocalenia zarobionych pieniędzy przed zbójceckimi podatkami i monarchami uważającymi bank za swoją własność.

Nikt nie wspomniał o „zielonym złocie” z marzeń de Aguilara, mimo to, w miarę jak zapadał zmrok, rozmowa stawała się coraz bardziej interesująca i pobudzająca.

Chociaż Owen wypił więcej wina niż powinien, po raz pierwszy od chwili opuszczenia Francji odprężył się w miłej kompanii i opuścił gospodę w radosnym nastroju. I gdy karczmarz wyprowadził go na zewnątrz, powrócił do swojego pokoju w pobliżu murów twierdzy Maurów.

Wolał Sewillę w nocy niż za dnia. Powietrze było ciepłe, lecz nie nazbyt skwarne, a muchy zniknęły. Na niebie migotały gwiazdy, które widać było wyraźniej niż na płaskich mokradłach okalających Cambridge. Owen wspiął się do połowy

wzgórza i przystanął, wyginając plecy i szyję, aby przyjrzeć się ciałom niebieskim. Sklepienie poruszało się wolno i nieprzerwanie, co wydawało się niepokojące, lecz nie zaskakiwało.

— Ratunku! Zabójcy! Ratunku!

Z lewej strony doleciało go rozpaczliwe wołanie. Bez wahania pobiegł w tamtą stronę, skręcił za rogiem i znalazł się w wąskim, pochyłym przejściu, w którym ledwie się mieścił — w miejscu bardziej przypominającym przestrzeń między dwoma sąsiednimi, pobielonymi wapnem domami niż uliczkę. Nie zauważył żadnych świateł ani pochodni. Migotanie gwiazd przesłaniały wystające dachówki domostw.

Mrok wchłonał jego cień, zamieniając ziemię w ciemną otchłań, więc nie potrafił stwierdzić, czy ma przed sobą stały grunt, czy dół lub rozkładające się rybie wnętrze, na których się poślizgnął. Wpadł na stos skrzynek, o których istnieniu nie wiedział, a później na beczkę ze starymi rybami, która przewróciła się do góry dnem, powalając go w końcu na twardą ziemię, tak że zupełnie stracił dech.

- Aj!

Wołanie początkowo brzmiało głucho, lecz szybko przerodziło się w pisk, a następnie gwałtownie ustało, ustępując miejsca głębokiemu milczeniu i odgłosom świadczącym o okładaniu ciała jakimś drewnianym przedmiotem.

Owen zerwał się na nogi, macając dłońmi w poszukiwaniu ściany mogącej mu dać podparcie i wskazać kierunek. Ruszył tak szybko, jak potrafił, w stronę dźwięków dolatujących zza rogu.

Smuga światła z na wpół otwartych drzwi odsłoniła postać skuloną na ziemi i dwie inne, które się nad nią pochylały. Jęki bólu wydawane przez leżącego przypominały odgłosy wyda-

wane przez zwierzęta, więc Owen nie mógł stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta, nie wspominając o rasie. Odgłosy bicia ustały. W słabym świetle błysnęło długie żelazne ostrze.

— Przestańcie! Natychmiast przestańcie!

Mimo liczebnej przewagi przeciwnika oraz faktu, że nie był uzbrojony, nierozsądnie i wbrew zaleceniom fehmistrza Cedric Owen rzucił się na postać trzymającą nóż.

Walka była krótka i bolesna. Pierwszą zdumiewającą rzeczą było to, że Cedric Owen nie skonał natychmiast. Drugą zaś, że gdy leżał w rynsztoku z rozbitą głową i krwią spływającą po twarzy i widział nad sobą ten sam nóż uniesiony do ciosu, nie czuł lęku w obliczu śmierci. Postrzegał ją jako otworzenie drzwi umysłu prowadzących do błękitnego kamiennego serca, przez które ukazała się przyszłość — przyszłość tak piękna, że mógłby wkroczyć w nią ze spokojem, zapominając o brzemieniu, które złożył na jego barkach Nostradamus.

Ostatnią niespodzianką było to, że wzniesione ostrze nie dosięgło celu. Kiedy wpatrywał się w błękitne światło i próbował zebrać myśli, poczuł, że jakaś ręka chwyta go za ramię i sadza na ziemi.

— Intrygująca sprawa, nieprawdaż, senior Owen? Zostałem napadnięty przez rabusiów w rodzinnym mieście i jedyną osobą, która w całej Sewilli odpowiedziała na moje wołanie, był pijany, cuchnący rybą angielski medyk.

Posiniaczona i zakrwawiona twarz Fernandeza Alberta Garcii de Aguilara uśmiechała się do Owena. Jedną ręką Hiszpan pomógł mu wstać, a jego drugie ramię zwisało bezwładnie wzdłuż tułowia z dłonią wykręconą pod nienaturalnym kątem. Po nadgarstku wolno kapąła krew, krzepnąc na ziemi.

Owen ujrzał też krople własnej krwi na kamieniach pod stopami.

— Trzeba ci natychmiast nastawić rękę — powiedział spuchniętymi wargami.

— Czy taki medyk jak ty potrafi tego dokonać?

— Tak, mogę to zrobić. — Milcząco podziękował Nostradamusowi, że nauczył go tej sztuki.

Hiszpan był w doskonałym nastroju, jak człowiek, który stanął do nierównej walki i wygrał na przekór wszystkim. Mimo to jego oczy były spokojne, a kryjąca się za nimi dusza z pewnością nie należała do dandysa, aroganta i fircyka, którego Cedric Owen poznał tego popołudnia.

— Kiedy ją nastawisz, będziemy mogli wrócić do naszej popołudniowej rozmowy. Może twoja królowa wcale nie jest nędznym pomiotem odyńca w rui, a na „Aurorze” znajdzie się dość miejsca dla medyka, który potrafi nastawiać kości i wie, kiedy Księżyc nie jest w opozycji do Marsa. Wypłyniemy za dwa tygodnie. Tym razem ja zapłacę za wino.

***Pokład „Aurory”, trzeciego okrętu
w konwoju Jego Wysokości
króla Hiszpanii, dowodzonego
przez Fernandez de Aguilara.
Ocean Atlantycki, kurs zachodni,
wrzesień roku 1556***

Z powodu burzy cudzoziemski okręt zawita do nieznanego portu.

*Mimo znaku palmowych gałęzi,
za którymi czai się śmierć i grabież.*

Dobra rada nadejdzie za późno.

Czterowiersz 30, Centuria I, Nostradamus

Pozycja okrętu mierzona nocną metodą zamiast sposobem używanym za dnia oraz horoskop, w którym znak Koziorożca zbiegał się ze znakiem Wodnika, tworząc kwadrat z Wenus i Saturnem, dawały podwójny zły omen.

Jakby na potwierdzenie tej przepowiedni bez przerwy padał deszcz i ryby nie brały. Gdy nadszedł Fernandez de Aguilar, Cedric Owen siedział z nogami opartymi na rufie okrętu, trzymając bezużyteczną linkę na ryby, czując mdłości i użalając się nad sobą.

Nie padało zbyt mocno, więc został na pokładzie — deszcz przypominał miękkie, uporczywe bębnienie powodujące, że jego brązowa szata z czesankowej wełny przemokła i zaczęła ocierać skórę.

Nie czuł się też na tyle chory, aby wrócić do kabiny, jak to czynił przez pierwszych dziesięć dni podróży. W początkowym okresie swoich studiów medycznych kilka razy płynął do Francji i Hiszpanii, dlatego uważał się za doświadczonego podróżnika, jednak wypłynięcie na otwarty ocean, na zachód od Sewilli, sprawiło, iż był półprzytomny i wymiotował. Fernandez de Aguilar chciał rozdzielić konwój, w którym płynęło sześć okrętów, aby zawrócić „Aurorę” do brzegu i wysadzić go w najbliższym porcie i nie dopuścić, by wyrzygał własne wnętrzności i skonał na pokładzie.

Owen wymógł na nim, pozwolił mu zostać i płynąć dalej po części dlatego, że duma nie pozwoliłaby mu wrócić, po części dlatego, że jego błękitne serce było szczęśliwe jak nigdy dotąd. Spokojnie sygnalizowało swoją obecność w jego podświadomości, emanując zadowoleniem jak kochanek, który otrzymał największy dar. Nie pozbawiłby go tej szczęśliwości dla czegoś tak banalnego jak własna wygoda.

Wytrwał, starając się pić tyle wody, by sól w jego organizmie nie przeważała rtęci i siarki. Dzięki temu rankiem dziesiątego dnia podróży wyszedł ostrożnie i usiadł na tylnym pokładzie „Aurory”. Oparł nogi na rufie, trzymając w ręku długą linkę i czekając, aż jedna ze smukłych oleistych ryb pływających pod powierzchnią zakosztuje solonej wołowiny, której użył za przynętę. Niestety, ryby nie okazywały nią najmniejszego zainteresowania.

Oczywiście, kapitan de Aguilar nie zdradzał żadnych oznak

choroby i teraz też wyglądał znakomicie. Całkiem odprężony, oparł się łokciami o rufę i prezentując swój doskonały profil, wpatrywał się w długi, srebrny ogon kilwateru.

Owen pomyślał, że bardziej przypomina członka jednego z ludów rzymskich niż Hiszpana — młodego, energicznego Trajana, któremu do utrwalenia władzy brakowało jedynie brody. Długie, gęste włosy zbiły się w wilgotne, opadające na ramiona kosmyki. Gęste kobiece rzęsy osłaniały przenikliwe, szare oczy. Nawet przemoczony do szpiku kości miał w sobie coś królewskiego. Niektórzy mężczyźni mogliby go uznać za pięknego.

Owen widywał takich przelotnie w Cambridge, za wszelką cenę próbując ich unikać. Uderzony nowym odkryciem, pomyślał, czy któryś z członków załogi spojrział w taki sposób na kapitana, odważył się pójść za głosem impulsu i został przyjęty.

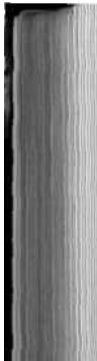
— Teraz, gdy poczułeś się lepiej, powinieneś chodzić boso po pokładzie. To znacznie ułatwia poruszanie się.

Słowa de Aguilara były tak nieoczekiwane, że musiała upłynąć dłuższa chwila, zanim Owen zrozumiał, że zostały skierowane do niego.

— Nie zauważyłem, abyś chodził boso — odparł chłodno.

— Buty i pończochy to pokuta dla kapitana i oficerów. Nie są konieczne w przypadku tych, którzy nie podlegają rygorom starszeństwa. Ty nie jesteś nimi związany. Jeśli ściągniesz trzewiki i kurtkę, to, co pozostanie wystarczy ci z powodzeniem. Dostarczy ciepła na chłodzie, ochłodzi w skwarze i szybko wyschnie, gdy zamoknie. Trzeba tylko co jakiś czas zmieniać koszulę, aby ludzie wiedzieli, że ubierasz się lepiej od nich. W ten sposób nie utracisz godności.

im



— Rozumiem.

Zapadło niezręczne milczenie.

Zamyślony de Aguilar obserwował morze i trzy okręty konwoju podążające w takiej odległości, aby były widziane.

— Nigdy nie odbyłeś dłuższej podróży morskiej, prawda?

— Tak.

Owen miał zamiar zwinąć linkę i zdjąć wierzchnie okrycie, gdy coś dużego chwyciło przynętę i zaczęło szybko ciągnąć.

Nie mógł wypuścić linki, była bowiem pożyczona. Wiedział, że Dominik, chłopak okrętowy, bardzo bolałby z powodu straty. Mógłby siedzieć, obserwując linkę przecinającą fale, lecz nie potrafił się zniżyć do takiej głupoty. Przeklinając, zaczął ciągnąć linkę, kawałek po kawałku, obawiając się nieeleganckich ostatecznych zmagania koniecznych do wciągnięcia zdobyczy na pokład.

— Widzę, że nie sprawia ci to przyjemności — zauważył przytomnie de Aguilar.

— Łowienie ryb czy morska podróż?

— Jedno i drugie. — Kapitan nie zaproponował mu pomocy.

Ryba wynurzyła się z wody, rzucając się rozpaczliwie. Była duża i zwinna, i najwyraźniej nie miała zamiaru opuścić morza. Owen zapał się obiema nogami o balustradę rufy i zaczął wyciągać ją nad pokład, uświadamiając sobie, że cuchnie chorobą, morską solą i potem, w przeciwieństwie do de Aguilara, który za sprawą dziwnej alchemii nie wydawał żadnej ze wspomnianych woni.

Ryba wyskoczyła z wody, walcząc z całych sił. Szamotała się na barierce, długa jak jego ramię, śliska i srebrzysto-niebieska jak księżyc. Haczyk wbił się w policzek poniżej oka.

Owen poczuł żal, że przeniósł niewinną istotę z bezpiecznego miejsca do świata, którego nie znała i który groził jej zagładą.

Mógłby wsunąć palce w skrzela, zdjąć rybę z haczyka i nadzieć na małą rączkę z twardego drewna, którą chłopak pokładowy zostawił pod ręką właśnie w tym celu.

Zamiast tego uczynił rzecz wymagającą większej zręczności: wyjął haczyk i chwycił rybę, jakby miał zamiar ją wyciągnąć na pokład, ta jednak szarpnęła się i uciekła na wolność. Uderzyła w spienioną wodę, wygięła tułów i zniknęła. Owen pomyślał, że przeżyje.

Ciszę przerywał słaby plusk fal uderzających o kadłub okrętu.

— Dobra robota — powiedział w zamyśleniu de Aguilar, wprawiając Owena w zaskoczenie.

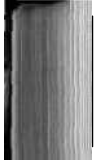
Deszcz przestawał padać, a chmury zaczęły się podnosić. Słońce wyglądało przez otwory w obłokach, tworząc przerywane cienie na rufie. Jakaś cecha światła sprawiła, że przygnębienie Owena zaczęło ustępować. Zwinął linkę na ryby i zaczął rozsupływać szatę związaną w pasie.

Czynność ta przerwała zakłęcie, które ich krępowało. Kapitan odwrócił się niebezpiecznie, opierając tułów o rufę.

— Jeśli barierka pęknie... — zaczął zaniepokojony Owen.

— Będzie to oznaczało, że źle zbudowałem swój okręt. Wypadnę za burtę i spocznę na dnie razem z twoją rybą, ściągnięty przez ciężar złota, które mam na sobie. Pozostaje nam mieć nadzieję, że zbudowałem go solidnie, a złoto, które noszę, dowodzi, że wierzę raczej w niego niż we własną zgubę.

Owen nigdy nie pomyślał, że w zamiłowaniu Hiszpana do złotych ozdób może kryć się coś więcej niż próżność. Okazało



się, że jest zgoła inaczej. Dzięki złotym ozdobom w osobie kapitana załoga mogła upatrywać półboga.

De Aguilar spojrział na niego uważnie i zapytał:

— Gdy rozmawialiśmy o twoim udziale w wyprawie, nie wspomniałeś o rodzinie ani o wpływie, jaki może na nią wyrzucić ta podróż. Czy masz żonę, która oplakuje twoją nieobecność?

— Nie mam żony.

— Taki utalentowany człowiek? Trudno w to uwierzyć. Pewnie masz kochankę, upajającą mocniej niż wino?

Owen uznał to pytanie za zbyt intymne. Rzadko dostawał rumieńców, kiedy jednak się pojawiały, były ogromne, tak jak teraz, gdy gorąca krew przekroczyła linię szyi i załała twarz.

— Nie mam kochanki ani jej nie pragnę — odpowiedział chłodno. — Być może kiedyś się ożenię, lecz ten czas jeszcze nie nadszedł. Tymczasem zachowuję wstrzemięźliwość. Wiem, że nie jest to modne w Hiszpanii, podobnie jak pod koniec panowania króla Henryka. Nie chcę jednak oczekiwać od kobiety intymnego związku, nie obdarzając jej w zamian korzyściami płynącymi z małżeństwa. Jeśli uważasz to za śmieszne, zachowaj ten pogląd dla siebie, dopóki pozostaniemy na statku. Lekarz potrzebuje pewnego szacunku od pacjentów, w przeciwnym razie jego umiejętności staną się bezużyteczne. Oczywiście, ciebie ta zasada nie dotyczy. Od ciebie nie oczekuję żadnego szacunku, nie chcę też, abyś oczekiwał go w zamian ode mnie.

„Niezależnie od tego, co uczynisz, uważaj, by nie doprowadzić do pojedynku, chyba że na słowa. Niechaj twoje zniewagi będą bardziej subtelne od ludzi, których zechcesz obrazić. Tylko w ten sposób zdołasz przeżyć”. Tak mawiał

jego nauczyciel fechtunku. Owen przeprosił go w swoich myślach.

Wiedział, że powinien odejść. Gniew sprawił, że jego palce nabrały zwinności, umożliwiając rozwiązanie liny, którą przytwierdził się do barierki. Zostały mu jedynie dwa ostatnie węzły.

— Przepraszam, że cię uraziłem — odparł ugodowo de Aguilar. — Niewielu jest ludzi takich jak ty. Jesteś szlachcicem w najgłębszym sensie tego słowa. Podejrzałem to już wcześniej, lecz nie byłem pewny. Dziś w nocy nie poślę Dominika do twojej kajuty. Jestem pewien, że dozna ulgi.

— Podobnie jak ten, którego odwiedzi zamiast mnie. Nie mam co do tego wątpliwości. Może chodzi o ciebie? A może to miejsce jest zarezerwowane dla pierwszego oficera, któremu wczoraj nastawiłem ramię? Powinieneś wiedzieć, że zaleciłem Juanowi-Cruzowi, by przez pół miesiąca wstrzymywał się od forsownych ćwiczeń. Przepraszam, jeśli spowodowało to jakieś niedogodności.

Chociaż Juan-Cruz, pierwszy oficer na „Aurorze”, był znakomitym żeglarzem, uległ niegroźnemu wypadkowi na takielunku i zwichnął sobie ramię. Był też najbrzydszym mężczyzną na pokładzie, więc połączenie go w ten sposób z osobą kapitana było dziecinną zniewagą. Owen pożałował swoich słów. Wstał, zwracając się do de Aguilara i drżąc na całym ciele, pewny, że umrze, i równie pewny, iż nic na świecie nie skłoni go do cofnięcia wypowiedzianych słów.

Wściekłość opóźniła jego reakcję, dlatego dopiero po chwili podniósł oczy i zdał sobie sprawę, że nie usłyszał riposty, bowiem Fernandez de Aguilar śmiał się tak gromko, że nie mógł mu jej udzielić.

— Czyżbym powiedział coś zabawnego?

— Nie... tak, oczywiście... tak.

Kapitan otarł wierzchem dłoni swoje piękne szare rekinie oczy. Wyciągnął lnianą chusteczkę z rękawa i wytarł nią kształtny nos.

— Wspomniałeś o forsownych ćwiczeniach? — zapytał, kręcąc głową. — Dobry Boże, spraw, abym nigdy więcej go nie obraził. Juan-Cruz z pewnością powstrzyma się od „forsownych ćwiczeń”, gdy mu powiem, że jest to konieczne, a jeśli tego nie uczyni, nie moja będzie w tym wina. Nikt też, on ani ja, nie obrazi młodego Dominika, chyba że ten jękała trafi na kogoś, kto ma zły dzień i w celach leczniczych zostanie wyrzucony za burtę. Jeśli poinformujesz załogę, że terapia ta nie jest skuteczna, z pewnością jej nie zastosują. Zostałeś zaliczony do grona aniołów przez tych, którzy wierzą w ich istnienie, zaś w poczet bogów przez pozostałych, którzy owej wiary nie podzielają.

— Wolałbym, aby mieli mnie za zwyczajnego człowieka, który stara się ze wszystkich sił, jakże ułomnie, zgłębić sztukę medyczną.

Nadal przemawiał chłodnym głosem, lecz nie mógł temu zaradzić. Kapitan wzruszył ramionami.

— Spóźniłeś się. Lepiej, abyś wiedział, jak cię postrzegają, i cieszył się z tego. Powinieneś też wiedzieć, że nie jesteś przedmiotem niechcianej uwagi. Na moim statku nie zdarzają się takie rzeczy. Uległem twym wyraźnym obawom, za co przepraszam, uważam jednak, że o takich sprawach należy mówić jasno. Jeśli Dominik utraci dziewictwo podczas tego rejsu, z pewnością stanie się to za jego wolą. Myślałem, że wiesz.

De Aguilar skinął przyjaźnie głową, odsunął się od barierki i odszedł.

Owen usiadł ponownie. Został na rufie przez dłuższy czas, obserwując promienie słońca opadające, by ucałować morze. Później wstał i oddalił się do swej kajuty.

Wieczorem zjadł samotnie kawałek gotowanej wołowiny i kiepsko spał. Następnego dnia zrezygnował z noszenia pończoch i butów, stąpając po pokładzie bosymi stopami. Nikt tego nie skomentował, lecz już w południe wiedział, że poruszanie się bez butów jest łatwiejsze, a o zmroku mógł się przechadzać tak, jak to czynił nad brzegami!

Cedric Owen skaleczył sobie wargę na rozkołysanym pokładzie i poczuł palącą sól w lodowatej morskiej wodzie.

Wiadro z pomyjami przewróciło się, a woń odchodów unosiła się wokół kajuty, dopóki fale nie zmyły nieczystości z przegrody, powodując, że wszystko zamokło, stało się lodowate i śmierdziało morskimi wodorostami oraz ostrym, nieznającym miłosierdzia powietrzem.

Przebudził się, ciężko dysząc, i dotknął dłonią ust. Nie poczuł krwi ani bólu. „Aurora” poruszała się delikatnie na falach tak, jak wówczas, gdy kładł się spać. Noc pachniała słodko łagodnym oceanem, całkiem inaczej, niż to sobie wyobrażał. Błękitna kamienna czaszka, z którą dzielił koję, przesunęła się pod wpływem kołysania i leżała oparta o jego żebra — ciepły przedmiot dotykający go podczas chłodnej nocy. Wyczuwał jej obecność jak obecność śpiącej kochanki, ona jednak nie spała, lecz przekazywała wiadomość, która swoją grozą zepsuła mu sen.

Czy kamień zażąda twojej śmierci?

Słowa Nostradamusa cicho pobrzmiwały w jego uszach, gdy wstał i zaczął się ubierać. Palce szukały po omacku guzików i wygładzały koszulę, żeby prezentować się jak przystało na gentlemana. Choć dawno temu zrezygnował z noszenia kaftana, nadal zakładał koszulę, chociaż len nasączony solą był ostry i drażnił skórę pod pachami i przy nadgarstkach.

Ziewnął, skrzywił się i wyszedł na pokład — w szeroką, ciemną noc rozświetloną gwiazdami, których nie potrafił nazwać, i tarczą księżycą zalewającą swoim światłem płaską powierzchnię oceanu.

Za nimi żeglowały dwa inne statki handlowe wielkości „Aurory”, a w oddali, na lewej burcie majaczyła sylwetka wojennego okrętu wyposażonego w działa, który miał swoją obecnością odstraszać korsarzy. Gdzieś daleko płynął podobny, chociaż wszyscy wiedzieli, że piraci napadają na bogate statki powracające do ojczyzny z Nowej Hiszpanii, a nie na te, które płyną w drugą stronę.

Owen od początku uważał okręty wojenne za dodatkowe ubezpieczenie, nie zaś za konieczność. Głos błękitnego kamienia sprawił, że zaczął je postrzegać jako balast, który należało jak najszybciej zrzucić, choć nie wiedział, dlaczego i jak powinno się to uczynić.

— Proszę pana?

Owen delikatnie zapukał do drzwi kapitana. Chlupot fal i skrzypienie takielunku zagłuszył dźwięk pukania. Zapukał nieco głośniejsze.

— Senor Fernandez, jest pan tam?

— Señor Owen? Poczekaj, zaraz do ciebie wyjdę.

Jedną ze zdumiewających cech Fernandeza de Aguilara — a miał takich sporo — była szybkość, z jaką potrafił przywdziać swój strojny kaftan. Najwyraźniej spał ze złotym klejnotem w uchu, musiał jednak zzuć kaftan, ponieważ gdy wyłonił się z kajuty, jego strój był świeży i nienaganny.

Kilka tygodni temu, na początku podróży, Owen obiecał sobie, że podpatrzy, jak kapitan się ubiera. Tej nocy nie była na to odpowiednia pora. Zgodnie z jego oczekiwaniami, na tle nocnego nieba kapitan wydawał się trzeźwy, a w uchu miał jedynie klejnot wart bajońskie sumy.

— Piękna noc — stwierdził de Aguilar, opierając dłoń na barierce sterburty i przypatrując się Anglikowi. — Co cię sprowadza o tak późnej porze? Czemu zawdzięczam to, że znaleźliśmy się tutaj obaj?

— Nadciąga sztorm. — Słowa Owena zabrzmiały niewiarogodnie pod nieskazitelnymi gwiazdami. — Taki, jakiego nie widział żaden z nas. Fale rozproszą konwój i być może poślą nas na dno. Powinniśmy...

Owen nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Chociaż całkiem dobrze znał hiszpański, a po sześciu tygodniach spędzonych na morzu znacznie rozwinął tę umiejętność, w takich okolicznościach miałby problem z wysłowieniem się w każdym języku.

— Trzeba coś zrobić, nie wiem dokładnie co. Wiem tylko, że musisz to zrobić, abyśmy przeżyli.

— Mamy opuścić konwój...? Nie pojmuję.

Wysłuchał go jednak zamiast posłać do kajuty, na uspokojenie zaleciwszy odrobinę laudanum.

— Nie możemy płynąć z innymi okrętami — powiedział Owen. — To zagrażałoby naszemu życiu. Jeśli oddzielimy się

od reszty, będziemy mieli szansę. Na tych wodach nie ma piratów. Musimy wyruszyć do Nowej Hiszpanii samotnie, bez innych, którzy mogliby nam przeszkodzić, zaciemnić nasz osąd.

— Tak? Już raz powiedziałem, że możesz objąć dowództwo nad okrętem. Nie sądziłem, że naprawdę zechcesz to uczynić — rzekł w zamyśleniu de Aquilar, powiedział to jednak bez wyniosłości, do której był zdolny. — Skąd wiesz, że powinniśmy to zrobić?

Tym razem to Owen spojrzął w morze. Nostradamus przestrzegł go, że wspomnianie o błękitnym kryształowym sercu w niewłaściwym towarzystwie może oznaczać wyrok śmierci. Wiedzieli o tym wszyscy, którzy się nim wcześniej opiekowali, przywykli też do używania koniecznych wybiegów.

Mimo to kłamstwo przyszło mu z trudnością i pozostawiło przykry smak w ustach.

— Wspominałem, że mój dziadek żeglował z sir Edwardem Howardem. Kiedy byłem dzieckiem, opowiadał o osobliwym zapachu, który wydziela morze przed sztormem. Zapachu przypominającym woń rozgrzanego do białości żelaza włożonego do wody. Czuję go teraz od strony dziobu. Burza nadciągnie z tamtej strony. Jeśli zaś idzie o resztę, porównałem twój horoskop z obecnym układem ciał niebieskich, starając się jak najdokładniej określić nasze obecne położenie. Powinienem być wcześniej przewidzieć nadejście burzy. Żałuję, iż tego nie uczyniłem.

Przynajmniej ostatnie słowa były prawdą.

— Horoskop na tę noc łączy się z Saturnem, który dzieli zaledwie kwintyl od twojego horoskopu pozostającego w koniunkcji z Księżycem. Jeśli te dwie planety znajdą się

w opozycji, możemy zginąć. Na szczęście leżą w odległości kwintyla od siebie, więc może zdołamy ująć z życiem dzięki twojej odwadze i żeglarskiemu instynktowi.

De Aguilar wyrzwał za barierkę sterburty. Milczał przez dłuższą chwilę, czując, jak kołyszają ich fale.

— Mam nadzieję, że pewnego dnia zaszczycisz mnie wyznaniem prawdy. Tymczasem uwierzę w twoje zapewnienia, że nadciąga sztorm. Obudzę Juana-Cruza i jego ludzi, każę zwinąć takielunek i zawiadomię pozostałe okręty, aby uczyniły podobnie. Jeśli okaże się, że to, co powiedziałeś, nie jest prawdą, zwołam załogę wszystkich sześciu okrętów, abyś mógł im opowiedzieć historyjkę o twym dziadku, który tak wiernie służył temu rabusiowi królowi Henrykowi, i jeśli nie przypadnie im do gustu, pozwolę, aby wyrzucili cię za burtę.

Mówiąc to, nie przestawał się uśmiechać. Można było pomyśleć, że żartował.

Okręt zbudził się niezwykle szybko. Juan-Cruz był już prawie ubrany, najwyraźniej ostrzeżony przed nadciągającym niebezpieczeństwem za sprawą nadnaturalnej więzi, która łączyła go z de Aguilarem i żaglowcem. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, gdy słuchał zmyślonej historyjki Owena. Wykonał obrót zdrowiejącym ramieniem wokół głowy i ruszył na pokład, aby przygotować „Aurorę” zgodnie z rozkazami kapitana.

Kilka chwil później wśród takielunku dało się słyszeć pogwizdywanie, zaczęto też wciągać chorągiewki na sztag, wyraźnie widoczne w nocnym świetle księżyca. Śpiący żeglarze przebudzili się z drzeniem. Hiszpańskie śpiewne wołania

doleciały z rei pół tuzina okrętów, przeklinając noc i obłąkanego Anglika, bacząc jednak, aby nie przekląć kapitana.

Nie mając nic więcej do roboty, Cedric Owen wrócił do swojej kajuty i usiadł na koi. Błękitne kamienne serce leżało pod pledem u jego boku. Ponownie wyczuł ostrzeżenie podobne do warczenia ogara, które słyszy się podczas nocnego polowania, kiedy pies dostrzega królika, którego myśliwy widzi dopiero wówczas, gdy ma go w ręce, miękkiego, ciepłego i zupełnie martwego.

— Nigdy nie odmówiłem ci niczego, teraz jednak chodzi o życie wielu ludzi. Czy doprowadzisz nas bezpiecznie na ląd tak, jak im obiecałem? — zapytał.

Kamień nie odpowiedział. Nigdy tego nie czynił, lecz błękitne światło w jego umyśle sprawiło, że ogarnął go spokój, tak jakby już się tam znajdował, jakby wrócił do domu po długiej i męczącej podróży. Ułożył się na boku, obserwując światło księżyca wpadające do środka przez szpary w drzwiach.

Wkrótce w takielunku zaczął huczeć wiatr.

8

Wodospad Ingleborough, Park Narodowy Yorkshire Dales, maj 2007

*Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie,
albowiem jestem zespolony z ludzkością. Przeto
nigdy nie pytaj, komu bije dzwon: bije on tobie.*

John Donne

Stella była sama z owcami i kamienną czaszką na zboczu w pobliżu wodospadu Ingleborough.

Noc była chłodna, lecz nie zimna. Pasma chmur kreśliły delikatne linie pomiędzy gwiazdami. Wysoko w górze wodospad Fell Beck toczył swoje ciemne wody w mroczną otchłań Gaping Ghyll. Czaszka, którą miała w plecaku, wydawała się lekka. Zaczęła wyraźnie wyczuwać jej sygnały. Teraz żadne z nich nie było zagrożone.

Dolna ścieżka biegnąca wzdłuż strumienia dochodziła do pnącego się w górę szlaku odchodzącego z lewej strony. Stella stąpała lekko przez paprocie, które niosły ją przed siebie od chwili, gdy przebudziła się w hotelowym pokoju, nieprzerwanie słysząc w uszach słowa Tony'ego Booklessa.



„Ten kamień nie jest wart twojego życia... Pozbądź się go, Stello”.

Słyszała jego głos, gdy kładła się spać, i usłyszała go ponownie, kiedy przebudziła się w mrocznym sercu nocy. Czaszka nie protestowała. Stella nie dostrzegła błękitnego światła ani bólu przeszywającego głowę, kiedy wstała, ubrała się i ruszyła nieoświetloną drogą w kierunku parkingu obok wioski znajdującej się na początku szlaku.



Teraz wspinała się z pustą głową, czując na skórze chłodne nocne powietrze i ból mięśni nadwyreżonych wysiłkiem poprzedniego dnia. Wysoko ponad wioską powietrze pachniało nocną rosą, paprociami i owczym tłuszczem. Szum spływającej kaskadami wody stawał się coraz głośniejszy. Stapała ostrożnie, badając kamienie stopą i sprawdzając stopień nachylenia, zanim oparła na nich ciężar całego ciała.

„Nie mogę tam wrócić dzisiejszej nocy”... Yorkshire było jej domem. Odwiedziła Ghyll więcej razy, niż mogła zliczyć, lecz zawsze za dnia, kiedy ścieżka była wyraźna, a grzmiąca piana wodospadu dobrze widoczna. Nie miała zamiaru spaść i powiększyć liczby ofiar czaszki.

Owce sennie schodziły jej z drogi, kiedy pokonywała ostatnie strome podejście. Obeszła zakole i dotarła na płaskowyż. Szum i huk wodospadu przyzywał ją do siebie. Przypomniała sobie ogrodzenie owiec, zatrzymała się i cofnęła. Przed jej stopami wrzosowisko raptownie się urywało. Wody wodospadu Fell Beck spadały w otchłań rozciągającej się w dole jaskini.

Usiadła na zboczu, na pokrytej trawą ziemi, z dala od krawędzi jaskini, otoczona szarością i głęboką czernią. Wi-

doczny w oddali wodospad posyłał w rozgwieżdżone niebo kropelki wody — jedyny srebrny akcent.

Wyjęła kamienną czaszkę z plecaka i wzięła ją do rąk — pierwszy raz od chwili, gdy drząc z zimna w podziemnej katedrze poczuła błękitny promień przeszywający jej umysł.

Teraz było znacznie ciszej. Wapienno-kredowa warstwa starła się nieco w plecaku, więc czaszka wydawała się gładsza i oświetlała jej dłonie błyskami. Światło gwiazd kładło na niej słabe cienie. Stella obrysowała palcem zarys oczu, ust i niewyraźny trójkąt nosa.

W przyćmionym, białym świetle czaszka przypominała posiniaczoną, zmaltretowaną twarz Kita, co sprawiło, że zaczęła jej szczerze nienawidzić, podobnie jak nieszczęść, które spowodowała. Szept Tony'ego Booklessa zlewał się z szumem wody. „Jest na niej zbyt dużo krwi. Pozbądź się jej”.-.

A jednak...

Nie potrafiła zapomnieć o uczuciu, którego doświadczyła, gdy pierwszy raz wzięła ją do rąk. Nawet gdy była pod wodą, zziębnięta i bliska utonięcia, przytłaczała ją świadomość powrotu do domu, powitania, dawno zapomnianej umowy, o której sobie przypominała. Jej ślady pozostały w silnie wyostrzonych zmysłach.

Nocny wietrzyk unosił kropelki wody, rozpryskując je na jej twarzy i dłoniach. Zerwała źdźbło trawy i zaczęła rzuć. Poczowała, jak pęknięta łądyga łaskocze jej język. Ostry, słodki sok wzmógł wydzielanie śliny.

Zamknęła oczy, szukając znaków obecności kamiennego serca, wskazówki, co może ofiarować w zamian za śmierć, która ją otacza. Czaszka towarzyszyła jej w plecaku przez

całą drogę. Teraz w niewyjaśniony sposób odeszła, tak cicho, że tego nie poczuła.

Ponownie otworzyła powieki. Światło sprawiło, że w białym wapieniu znowu dostrzegła twarz Kita, poturbowaną i nieobecną, plastikową, jak twarz lalki. Głos Tony'ego Booklessa grzmiał głośno, lecz przesuwany się cień przywołał wspomnienie mężczyzny, który przeszedł obok niej w jaskini, pragnąc doprowadzić do śmierci Kita. Jej umysł wzdrygnął się na tę myśl, chociaż ciało nie odważyło się tego uczynić.

„Pozbądź się jej!”.

U jej stóp rozpościerała się czeluść Gaping Ghyll. Fell Beck to najdłuższy wodospad w całej Wielkiej Brytanii, tłoczący wodę do rozciągającej się w dole jaskini, do podziemnego zbiornika, na widok którego bledli nawet doświadczeni nurkowie jaskiniowi.

Przez chwilę pieściła kamienną czaszkę w dłoniach, myśląc, by ją rzucić.

Promień błękitnego światła obecny w jej umyśle wydawał się tak daleki, tak słaby, tak stary i utrudzony, że jego zdolność wołania niemal się wyczerpała. Z drugiej strony przypominała małą owieczkę, która odłączyła się od matki w chłodną zimową noc i nie została nakarmiona, chociaż wołała z całych sił, a teraz osłabła od rozpaczliwego beczenia.

Opuściła ramiona. Z nieoczekiwaną troskliwością ułożyła kamień na piersi, czując chropawy wapień przez cienki T-shirt. Jej serce biło dla niej tak, jak biło dla Kita, jednak nieco inaczej. Nigdy nie chciała chronić Kita w taki sposób, jak pragnęła chronić tę bryłę wapienia.

— Powinnam cię oczyścić, abyś odzyskała dawny blask — powiedziała na głos.

Czaszka zamigotała błękitną iskierką jak świeczka, która została osłonięta przed wiatrem, który groził jej zgaszeniem. Stella przytuliła ją do siebie, wstała i rozejrzała się wokół.

Nadchodził świt. Owce zaczęły się budzić. Niebo było jaśniejsze niż wcześniej. Czern Gaping Ghyll pogłębiła się, chociaż potok opadał tak szybko jak wcześniej. Owce czekały z tą samą pradawną mądrością co kamień, który trzymała. Instykt podpowiadał im, że muszą zacząć się paść.

Włożyła kamień do plecaka, owinęła w ręcznik, a następnie na polu wystrzyżonym przez owce zaczęła szukać głazu podobnej wielkości i kształtu.

Przesadziła druciane ogrodzenie i zatoczyła szerokie koło na wrzosowisku, aż znalazła to, czego szukała, i wróciła nad wodospad.

Wrzosowisko nabrało zielonkawej barwy, a srebrzyste odbłaski zaczęły słabnąć. Jedynie mroczna otchłań jaskini pozostała czarna. Promienie wschodzącego słońca, które miała za plecami, rzucały jej cień na wodę. Podniosła rękę i cisnęła kamień w środek czeluści.

Zniknął z zatrważającą szybkością. Po chwili doleciał do niej dźwięk pękającej skały.

— Dobra robota — usłyszała głos Tony'ego Booklessa. — Nie byłem pewny, czy zdołasz to uczynić.

Stała nieruchomo, obserwując, jak schodzi. Jego cień stopił się z jej cieniem, powiększając go i powodując, że na wodzie położył się kształt bliźniaczej głowy.

— Śnił mi się Kit — powiedziała. — Odniosłam wrażenie, że kamień... że powinien się tu znaleźć. — W zakamarku umysłu kamień, który stał się jej częścią, wstrzymał oddech w niespokojnym oczekiwaniu.

— Usłyszałem, jak się obudziłaś — wyjaśnił. — Kiedy nie wróciłaś, pomyślałem, że możesz potrzebować pomocy.

— Dziękuję. — Ponownie zaczęła kłamać, lecz tym razem to nie kamień ją do tego skłonił. Nie miała wyrzutów sumienia.

Bookless podniósł telefon.

— Przed chwilą dzwonili ze szpitala. Kit odzyskał przytomność. Pytał o ciebie. Pojedziesz ze mną do niego?

**„Aurora” żegluj samotnie
po Morzu Karaibskim, oddalona
o pół dnia drogi od Zamy
w Nowej Hiszpanii,
październik roku 1556**

*Sionce zasłonięte przez Merkurego
zajmie drugie miejsce na niebie:
Wulkan Hermesa stanie się pokarmem,
a jasne słońce nabierze czerwonej i złotej barwy.*

Czterowiersz 29, Centuria VI, Nostradamus

Morze było spokojne po raz pierwszy od tygodnia, gdy rozpoczął się sztorm. Na „Aurorze” rozstawiono pełny takielunek i okręt mknął lekko w powiewach wiatru. W powietrzu słychać było pęd i szum fal uderzających od dziobu, łopot żagli rozpiętych na trzech masztach oraz skrzypienie lin i sztagu. Z oddali dolatywał rozpaczliwy krzyk morskiego ptaka.

Cedric Owen wstał przed świtem i stał oparty plecami o fokmaszt tak, żeby bryza zwiewała mu włosy z twarzy.

Dziób okrętu na przemian pogrążał się w falach i unosił, odrzucając białą pianę w kierunku steru.

Ostatnia noc była podobna do pierwszej nocy sztormu, teraz jednak płynęli samotnie, pozbawieni towarzystwa innych okrętów. Tak jak przepowiedziało błękitne kamienne serce, „Aurora” oddzieliła się od pozostałych statków konwoju, pośród huraganu i nawałnicy, które zatopiły przynajmniej jedną z łodzi.

Załoga „Aurory” obserwowała zatonięcie jednego okrętu, reszta zniknęła z oczu w strugach deszczu i wicherze. Na przekór wszystkiemu de Aguilar przez dwa dni pływał po niebezpiecznych wodach, szukając flagi lub żagla, próbując odnaleźć rozbitków wśród coraz mniejszych kawałków kadłuba tańczących na falach.

Gdy nie udało im się odnaleźć nikogo żywego, miotani wiatrem grożącym połamaniem masztów, niechętnie obrali kurs na zachód, nie wiedząc, czy inne statki nadal ich szukają, czy uległy gniewowi oceanu. Wszyscy odczuwali ból rozstania bardziej dotkliwie niż wówczas, gdy wypływali z portu w Sewilli sześć tygodni temu.

Samotna żegluga przypominała stąpanie wzdłuż krawędzi urwiska podczas wichury, bez barierki, której można by się uchwycić dla bezpieczeństwa. Początkowo świadomość izolacji denerwowała Owena, jednak po upływie tygodnia spokój i pewność siebie kapitana de Aguilara sprawiły, że ustąpiła miejsca radosnemu podnieceniu, poczuciu wolności oraz pragnieniu, aby ich samotność nigdy się nie skończyła.

Tylko błękitny kamień pragnął czegoś więcej. Jego wołanie zbudziło go przed świtem i zawiodło na top masztu, gdzie mógł przeczesywać mroczny przestwór oceanu i nieba, aż do

nieokreślonego miejsca na horyzoncie, w którym obie od-
chłania zlewały się ze sobą.

Nigdy wcześniej nie przeżył takiej nocy. Mroczne światło
na granicy horyzontu zniknęło, powodując, że woda i niebo
stopiły się w jedno. Nieskończone gwiazdozbiory odbijały się
w tafli oceanu, aby ponownie trafić w niebo. Owen był
otoczony punkcikami światła pogrążonymi w bezkresnej
ciemności.

Tylko jedno miejsce różniło się od pozostałych — przed
nimi na lewej burcie lśniło światelko, które wydawało się
bardziej pomarańczowe od gwiazd i co jakiś czas migotało,
jakby naśladowało ognisko.

Obserwował je, dumając, jaka jest jego natura, kiedy mrok
rozdarł pierwszy promień słońca padający na fale. Owen
zamarł w podziw, obserwując samotnie chwilę, w której
morze porzuciło atramentową tajemnicę nocy, ustępując ośle-
piającej niebieskości i złocistości poranka.

Piękno tej sceny sprawiło, że zamarło w nim serce. Nie
mając boga, którego mógłby uczcić za jego dobroć, Cedric
Owen poszedł za swoim starym zwyczajem i złożył dzięk-
czynienie błękitnemu kamieniowi, który sprowadził go w to
miejsce mimo wszelkich przeciwności.

— Dla takiego widoku warto było cierpieć, nie sądzisz? —
usłyszał miękki hiszpański głos dolatujący z lewej strony, tam
gdzie nie sięgało światło poranka. Fernandez de Aguilar
potrafił niezwykle cicho stąpać po pokładzie swojego statku.

Owen przestraszył się, a po chwili uspokoił, odkrywając,
że nie jest nieszczęśliwy dlatego, iż musi dzielić z kimś tę
chwilę.

— Gdybym musiał zginąć po ujrzaniu takiego widoku, nie

miałbym poczucia, że moje życie zostało zbyt szybko przerwane — powiedział.

De Aguilar zacisnął usta z wyrazem lekkiej reprimendy.

— Powinieneś zważać na słowa. Nie kuś śmierci, przed zmrokiem wsiądziemy na brzeg.

— Tak sądziłem. Wiesz, dokąd płyniemy, chociaż burza odrzuciła nas tak daleko z obranego kursu?

— Byłbym kiepskim kapitanem, gdybym nie wiedział, dokąd kieruję mój statek.

Hiszpan oparł się plecami o maszt i usiadł, podciągając kolana do klatki piersiowej. Owen nigdy wcześniej nie widział, aby de Aguilar był tak swobodnie ubrany. Poły białej koszuli zwisały luźno, a kołnierz był szeroko rozchylony. Nadal oszczędzał swoje złamane ramię, lecz bandaże były cieńsze niż kiedyś. Owen sądził, że będzie je można całkowicie zdjąć przed upływem miesiąca.

— Zmierzaaliśmy do portu w Campeche — ciągnął de Aguilar. — Na północ stąd, po zachodniej stronie półwyspu. Nie mieliśmy dość prowiantu i wody, aby dotrzeć tak daleko, więc obraliśmy kurs na miasto Tulum nazwane tak przez mojego stryjecznego dziadka z powodu ogromnego muru, który je otacza. Nocą mieszkańcy pilnują wybrzeża, ostrzegając żeglarzy przed niebezpiecznymi skałami. Gdybyś spojrział na lewo od dziobu, ujrzałbyś ogień płonący na wieży spoglądającej w morze.

— To ognisko? Byłem ciekaw, co to takiego. Nie sądziłem, że dzikie ludy budują latarnie morskie.

— Chociaż na podstawie tego, co się o nich opowiada, trudno było się domyślać, jak wielką mają wiedzę. Król lubi ich przedstawiać jako prymitywnych dzikusów, z których

można drwić do woli. Mój stryjeczny dziadek uważał ich za bezrozumne zwierzęta, które w chrześcijańskim świecie mogą odgrywać jedynie rolę niewolników. Jego towarzysz, Gonzalo de Guerrero, najszybciej zrozumiał swój błąd i przez trzydzieści lat walczył przeciwko Hiszpanii u boku tubylców.

— Mimo to przybyłeś, aby ich podbić?

De Aguilar potrząsnął głową.

— Nigdy w życiu. Przybyłem, aby uczynić nas i ich bogatszymi w nowym świecie, który zastąpi stary. Ci, których nazwałeś dzikusami, nie są głupi. Chociaż pomalowali całe miasto czerwoną farbą przypominającą krew, ostrzegając w ten sposób sąsiadów, aby nie ośmielili się ich napaść, dbają o bezpieczeństwo żeglugi, wznosząc wieże, na których widok nasi budowniczowie zapłonęliby zawiścią. Latarnia, której światło widziałeś, nie jest prymitywną budowlą, jak kopce u wybrzeży Anglii i Hiszpanii, lecz piramidą o czworokątnej podstawie, pod względem wielkości i piękna dorównującą każdej z naszych katedr. Ich rzeźby i malowidła ścienne swoją złożonością przewyższają dzieła Egiptu, a pismo jest dla nas tak samo niezrozumiałe, jak hieroglify na ścianach piramid. Najwspanialsze jest to, że ludzie ci żyją i mogą nam wyjaśnić znaczenie swych rzeźb, podczas gdy dzieła starożytnego Egiptu znajdują się poza zasięgiem naszego poznania.

— Naprawdę gotowi są to uczynić? A może wypowiedzą nam wojnę jak Hernanowi Cortesowi?

De Aguilar usunął srebrzysty piasek spod paznokcia, uniósł głowę i powiedział:

— Liczę, że nie wypowiedzą nam wojny, nie mam jednak pewności. Zama leży na brzegu oceanu i spogląda na wschód, więc jej mieszkańcy każdego ranka widzą to, co ujrzeliśmy

przed chwilą. Tuszę, że człowiek, który każdego ranka kąpie się w świetle takiego wschodu słońca, przedkłada zadumę i uprawę roli ponad prowadzenie wojny. Mogę się jednak mylić.

— Na wypadek gdybyś się mylił, powinniśmy zrobić najlepszy użytek z tego, co posiadamy.

Hiszpan osunął się plecami po maszcie i usiadł twarzą w kierunku słońca. Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy, spoglądając w znajomy błękit. Szeroki, rozległy wewnętrzny błękit kamiennego serca promieniował na zewnątrz, nabierając nieznacznego czerwonego zabarwienia na krawędziach, które było dość wyraźne, aby posłużyć za ostrzeżenie.

— Niezależnie od tego, jakimi barwami malują swe mury, nie sądzę, aby byli dla nas jedynym zagrożeniem — powie dział z zamkniętymi oczami.

— Zgadzam się z tobą. Jeśli moje informacje są prawdziwe, w Zamie jest zakonnik, który w pragnieniu sprowadzenia inkwizycji do Nowej Hiszpanii ustępuje jedynie biskupowi Jukatanu. To jezuita, który lęka się, że pozycja Kościoła

w Europie osłabnie bowiem Niemcy, Holendrzy i Anglicy łupią klasztory, wykradając zgromadzone w nich złoto. Zabiega o to, aby napęłnić kościelne szkatuły skarbami Nowego Świata. Oczywiście, nie czyni tego otwarcie, lecz w listach do domu wspomina, iż stara się o pozyskanie dusz pogan dla Boga, by ocalić je przed wiecznym ogniem piekielnym. W tym celu gotów jest spalić w doczesnych płomieniach tyłu, ilu będzie trzeba.

Przerwał na chwilę. Owen usłyszał szelest tkaniny, gdy de Aguilar odwrócił się w jego stronę i powiedział cicho i dobitnie:

— Powinieneś na siebie uważać, przyjacielu. Niewielu z tych, którzy zginęli na stosie, miało czaszkę z czystego kryształu.

Czaszka nie przesłała mu żadnego sygnału ostrzegawczego. Owen otworzył oczy i spojrzał w niewiarygodnie błękitne niebo.

— Od jak dawna wiedziałeś? — zapytał po krótkiej przerwie.

— Od tygodnia. Jak pewnie pamiętasz, mieliśmy spokojną noc przed drugim, gwałtowniejszym uderzeniem tajfunu. Wymówiłem się od obiadu. Nie oczekuję twojego przebaczenia, musisz jednak wiedzieć, że nie zaryzykowałem zabrania okrętu i załogi w nieplanowaną podróż, nie upewniwszy się pierwszej, dla kogo lub czego to czynię.

— Poszedłeś do mojej kajuty i znalazłeś kamień?

— Leżał na widoku, czekając, żebym go odnalazł. Nie dotknąłem go. Uznałem, że byłoby to świętokradztwem, choć poczułem jego zaproszenie. Miałem tylko raz podobne uczucie, gdy poznałem Głuchego Pedra, który nauczył mnie wszystkiego, co wiem o morzu. Człowiek ten nadal zaprasza mnie do swojego domu jako umiłowanego wnuka, gdy wracam, by mu złożyć wizytę.

Owen odwrócił głowę, aby lepiej widzieć de Aguilara.

— Każdy człowiek, którego spotkałem, z wyjątkiem Nostadamusa, albo lękał się kamienia, albo pragnął go osiąść.

Czyżbyś stanowił kolejny wyjątek? A może czaszka utraciła swoją moc wpływania na ludzki umysł?

Zapadło milczenie, tak że słyhać było jedynie uderzenia fal o kadłub okrętu.

— Czy gdybym miał żonę niezwyklej mądrości i urody,

będącą spełnieniem wszystkich twoich pragnień, chciałbyś mi ją odebrać? — spytał de Aguilar.

— Nie pozbawiłbym cię niczego, a szczególnie tego szczerego daru miłości, którym zostałeś obdarzony.

— Dlaczego ja miałbym postąpić inaczej? Ten kamień jest twoją własnością pod każdym względem. Nie zaprzeczam, że jest godny pożądania, lecz postanowiłem go nie pragnąć.

— Twoja prawość mnie zawstydzła — powiedział Owen. — Jesteś kapitanem tego okrętu, zawdzięczam ci życie. Widzę, jak traktujesz swoich ludzi. Powiedziałbym ci, lecz...

— Nie wiadomo komu można zaufać. Wiem. Może nie chciałeś obarczać takim ciężarem przyjaciela?

Owen nie uważał Fernandez de Aguilara za przyjaciela, nie oczekiwał też, że kapitan odwzajemni jego przyjaźń. Kiedy de Aguilar powiedział to głośno, po tym wszystkim, co wspólnie przeżyli, zrozumiał, jak ich przyjaźń rodziła się podczas szeregu pozornie błahych rozmów, które teraz nabrały znaczenia i wartości. Darzył de Aguilara, głębokim szacunkiem.

Kiedyś Hiszpan zabiegał o jego względy, budząc w nim lęk. Teraz, kiedy mu uległ, wcale tego nie żałował.

— Dlaczego to powiedziałeś? — zapytał. Był wdzięczny, że de Aguilar nie udaje, iż źle go zrozumiał.

— Ocaliłeś mi życie, czy nie jest to wystarczający powód? — odparł Hiszpan, wzruszając ramionami. — Twoja naiwność sprawia, że łatwo ci uwierzyć, jednak kryje się w niej siła więcej warta niż wszystkie marności tego świata.

— Nigdy nie pokocham cię tak, jak mężczyzna kocha kobietę.

— Wiem. Nie poprosiłbym cię o to. Szczerze mówiąc, wcale tego nie pragnę. Ja również pewnego dnia znajdę sobie żonę. Wierzę w spotkanie dwóch mężów o równej dzielności — spotkanie, które ma taką samą wartość, co cielesne zespolenie, i może okazać się trwalsze od upojnych chwili, zmysłowej miłości. Miałem nadzieję, że uda mi się znaleźć w tobie pokrewną duszę i że będziesz mógł mi wyjawić historię błękitnego kamienia w takim stopniu, jaki uznasz za bezpieczny.

— Mógłbym... faktycznie mógłbym... — Owen przesunął dłonią po twarzy, nie mając pojęcia, jak młodym go to uczyniło i jaki wyraz niepewności pojawił się na jego obliczu. — Przez całe życie dźwigam brzemień kamienia. Kocham go i wszystko, co jest z nim związane, lecz lekkomyślnie nie obciążę nim barków drugiej osoby, szczególnie człowieka, którego po dziwiam. Mimo to... owej nocy, gdy zszedłem na obiad, nie pozostawiłem czaszki na widoku... była schowana jak zawsze.

— Czyżby kamień sam pozwolił, abym go ujrzał?

— Na to wygląda.

Zamilkli na chwilę, wsłuchując się w odgłosy statku przecinającego fale, czując unoszenie się kadłuba i kołysanie morza. Ponownie usłyszeli wołanie morskich ptaków, głośniejsze niż przedtem, choć one same ledwie majaczyły na horyzoncie.

De Aguilar sięgnął do koszuli i z wewnętrznej kieszeni wyjął jakiś złoty przedmiot.

— W Zamie kapłańską posługę pełni ojciec Gonzalez Calderón. Słyszałem, że to fanatyk znajdujący upodobanie w cierpieniu innych. Powinieneś postępować ostrożnie w jego obecności. Udawaj człowieka pobożnego. Jeśli cię to nie urazi, przyjmij ten przedmiot. — Z palców de Aguilara zwiisał

mały złoty krucyfiks niezwykle misternej roboty. — Należał do mojej matki, lecz może go nosić mężczyzna — dodał zwyczajnie.

Promienie słońca oświetliły krzyżyk obracający się wolno pod wpływem rzeźkiej bryzy, a odbijające się w nim światło lśniło mocniej niż metal, z którego go wykonano. Cedric Owen wziął go do ręki, a błękitny kamień, który wzdrygał się, ilekroć dotykał przedmiotu jakiegoś kultu, tym razem nie zareagował.

— Dziękuję — odpowiedział. — Czuję się wielce zaszczycony twoim darem.



10

Za ma, Nowa Hiszpania, październik roku 1556

*Biada, potężny naród pogrąży się w wielkiej niedoli
A święte prawo, w całkowitej ruinie.
Chrześcijaństwo [będzie poddane] innym prawom,
Kiedy odkryte zostanie nowe źródło złota i srebra.*

Czterowiersz 53, Centuria I, Nostradamus

Po spokojnej wodzie, lśniącej w promieniach południowego słońca, „Aurora” wolno wpływała do małej naturalnej zatoki, nad którą górowało miasto Zama.

Wysokie ściany urwiska z białego wapienia piętrzyły się, przypominając wartowników strzegących nieskazitelności, wiodąc ich ku miastu wzniesionemu z kamienia o barwie krwi. Miasto otoczone było murami z trzech stron, z czwartej zaś graniczyło z ogromną czerwoną wieżą przypominającą piramidę, która w nocy pełniła rolę latarni morskiej.

Żeglarze stali na lewej i prawej burcie, od dziobu po rufę, sondując głębokość ciężarkiem i badając dno.

Sztafeta cichych głosów przekazywała raport do de Aguilara, który stał razem z Juanem-Cruzem za sterem okrętu:

— Prawa rufa, trzeci człowiek, pięć sążni, piasek.

— Lewa burta, czwarty człowiek, cztery i pół sążnia. Nie ma piasku, pewnie skaliste podłoże.

— Prawa sterburtka, pierwszy człowiek, trzy sążnie, zielsko i muł.

Posuwając się niepewnie, metr po metrze, kapitan w końcu bezpiecznie zacumował okręt i spuścił na wodę małą szalupę dla siebie i wybranej garstki towarzyszy, by wraz z nimi ruszyć na brzeg.

Ich przybycie nie było zaskoczeniem. Przez cztery ostatnie godziny mogli obserwować zatokę, widzieli też gęstniejący tłum oczekujących na ich przybycie tubylców ubranych w jasne stroje niczym ptaki, z zielonymi piórami wetkniętymi w koronę słomkowych kapeluszy. Cedric Owen, który zbyt długo przebywał na morzu, naiwnie wziął ich za kobiety, a przedmioty, które przynieśli, za towary na wymianę.

Gdy podpłynęli bliżej, porzucił te przypuszczenia. Okazało się, że oczekujący to mężczyźni, a przedmioty, które trzymają, to broń. Tuzin stojących w pierwszym szeregu trzymało muszkiety w sposób zdradzający, że wiedzą, jak ich używać. Pozostali mieli dzidy i długie drewniane pałki o czarnych krawędziach.

— Nazywają je *maquahuitls* — wyjaśnił cicho de Aguilar. Stał obok Owena na dziobie małej łódki, trzymając w dłoni zwiniętą linę, gotów wyskoczyć na brzeg. Sześciu marynarzy równo poruszało wiosłami. — Stryjeczny dziadek mówił, że to najpotężniejsza broń ręczna, jaką widział. Pałki są wykonane z twardego drewna, na krawędziach zaś znajdują się ostrza z obsydianu. Wojownicy Majów nie są szczególnie rośli, więc

trzymają je obiema rękami, co pozwala zatoczyć szerszy łuk i nadaje większą siłę uderzeniu. Jednym ciosem takiej pałki odrąbano łeb rumakowi Pedra de Morona, który walczył u boku Cortesa. Cortes dał tubylcom, którzy złożyli mu hołd lenny, żelazne miecze, lecz ci uznali, że ich obsydian jest ostrzejszy i bardziej wytrzymały. Dopiero gdy ujrzał martwego konia, przekonał się, że mieli rację.

— Czyżby nam również chcieli tego dowieść? — zapytał Cedric. — Trudno zliczyć ludzi w takiej ciżbie, sądzę jednak, że jest ich trzy razy więcej od nas. Chociaż mają na sobie jaskrawe szaty i pióra, nie wyglądają przyjacielsko.

De Aguilar skinął spokojnie głową.

— W takim razie zginiemy wkrótce po ujrzeniu tego cudownego poranka. Wolę to od śmierci na stosie. Widzę wśród nich męża w czarnym stroju, ze srebrnym klejnotem na piersi. To ojciec Gonzalez Calderón. Jeśli okażą nam wrogość, mam nadzieję, że jego obecność oznacza, iż zginiemy zgodnie z tutejszym zwyczajem, od szybkiego uderzenia czarnego kamienia, zamiast po europejsku, w torturach i ogniu. Co mówi twój błękitny kamień?

— Że jest blisko domu i że nie może się doczekać, aż staniemy na ziemi — odpowiedział Owen, który miał problem z myśleniem z powodu dzikiego śpiewu rozlegającego się w jego głowie. — Nie mówi, jak zostaniemy przyjęci, gdy wyjdziemy na brzeg. Rzucisz linę księdzu?

— A komu innemu? — zapytał de Aguilar, uśmiechając się. — Obserwuj bacznie i ucz się, jak delikatnie przemawiać do tubylców.

Drewniane molo było nowe, tak że pale nie obrosły jeszcze pąklami. Stojący na końcu pomostu ksiądz ubrany w czarne szaty, zręcznie chwycił linę, którą mu rzucili. Za nim przystanęli dwaj tubylcy w odległości jednego lub dwóch kroków. W odróżnieniu od innych mieli na sobie zwyczajne spodnie i koszule zamiast barwnych strojów i broni.

Ksiądz cofnął się, napinając linę. Wykorzystując siłę rozpędu, Fernandez de Aguilar wskoczył lekko na drewniany pomost i stanął niepewnie, przez chwilę kołysząc się na nogach, jakby to morze w dalszym ciągu nim kołysało. Następnie złożył najgłębszy i najbardziej uniżony pokłon, jaki Cedric Owen widział w życiu.

— Do waszych usług, panie. Jestem Fernandez de Aguilar, kapitan tej lichej łajby. Mam ze sobą seniora Cedrica Owena, lekarza okrętowego i najbardziej przenikliwego astrologa. Przybywa z osobistym listem polecającym od Katarzyny Medycejskiej, królowej Francji. Polecam go tobie i twym przyjaciółom. Zgaduję, że jesteś waszmośc ojcem Gonzalezem Calderónem, kapłanem naszej Matki Kościoła w Zamie, w Nowej Hiszpanii. Rozmawialiśmy o tobie dzisiaj rano, wspominając, z jaką radością spotkasz się z moim czcigodnym pasażerem. Za chwilę położymy trap, aby nasz dobry doktor mógł wysiąść na brzeg.

— Nie.

W ciszy, która zapanowała po tych słowach, nie słychać było nawet krzyku mew.

Kapłan był potężnie zbudowany, miał szerokie ramiona i tors, a jego ciało składało się z samych ścięgien i mięśni. Na karku miał grube fałdy skóry. Na szerokiej, czarnej piersi

wisiał krucyfiks z litego srebra największy i najcięższy, jaki Cedric Owen kiedykolwiek oglądał na oczy.

Jedno słowo Gonzaleza Calderóna sprawiło, że cała zatoka zamarła. Obserwowany przez wszystkich ludzi na łodzi, statku i ładzie, zwinął linę i rzucił ją zgrabnie do stóp Cedrica Owena.

Donośnym głosem, tak aby go wszyscy słyszeli, oznajmił:

— Nie słyszeliście, że to miasto nawiedziła ospa wietrzna? Zaraza minęła, lecz Bóg zabrał do siebie połowę mężczyzn, kobiet i dzieci. Jesteśmy nieufni wobec przybyszów, którzy mogą ją tu przywlec ponownie lub sprowadzić na nas jeszcze gorszą plagę. Czy twój wielce szanowany medyk może mi przysiąc na Boga, że nie przywozicie ze sobą żadnych chorób?

Ksiądz zwracał się do de Aguilara, lecz jego wzrok spoczywał na Owenie, gorący i gniewny, jakby wietrzna ospa zniewoliła mu umysł.

Nagły krzyk, który rozległ się w umyśle Owena, miał inną barwę niż do tej pory. Pragnąc umknąć przed spojrzeniem księdza, Cedric przesunął wzrok na dwóch tubylców, stojących tuż za nim... i zamarł, bo myśl, która go nawiedziła, wydała się niemożliwa do zniesienia.

Dwaj mężczyźni, stojący za kapłanem, mieli na sobie zwyczajne spodnie i koszule z niebielonej bawełny. Obaj byli starannie ogoleni, mieli szerokie twarze, duże oczy i proste gęste czarne włosy opadające na ramiona. Ten z lewej obracał w palcach mały drewniany krzyżyk wiszący na piersi, bez większego zainteresowania spoglądając na „Aurorę” i jej załogę.

Ten z prawej stał naprzeciw Cedrica i świdrował go wzrokiem przenikającym do błękitnego kamiennego serca.



Nigdy wcześniej Owen nie został tak szybko i skutecznie zdemaskowany. Ostry wiatr smagał jego ciało, jakby zdarto z niego ubranie wraz z połową skóry.

Sparaliżowany przez lęk, zauważył, że w odróżnieniu od jego towarzysza tubylec ma postawę i wygląd wojownika. Wzdłuż lewego policzka biegła celowo zrobiona szeroka zygzakowata blizna. Nie odrywając wzroku od Owena, położył dwa palce w poprzek dłoni i odwrócił głowę.

Kiedy przeszywające spojrzenie ustało, krzyk rozlegający się w uszach Owena zamarł. Ponownie mógł słyszeć dźwięki napływające z zewnętrznego świata, wśród których na pierwszy plan wybijało się pytanie księdza:

— Señor Owen? Jesteś medykiem i astrologiem, panie. Czy możesz przysiąc na Boga, że wasz statek nie przywiózł żadnych chorób?

Cień księdza był wielki niczym góra. Owen patrzył na jego roslą sylwetkę i myślał o grożącym mu niebezpieczeństwie, zapominając, że przed chwilą został obnażony i ponownie odziany za sprawą jednego spojrzenia dzikusa z blizną na twarzy.

Czekali na jego odpowiedź.

— Nie — odparł Cedric Owen. — Nie mogę niczego obiecać, z pewnością nie przysięgnę na Boga. Mogę jedynie zaświadczyć, że byłem z tymi ludźmi przez dwa miesiące i że w tym okresie nie wydarzyło się nic prócz typowej niestrawności oraz jednego przypadku nadwyreżenia ramienia, które stwierdziłem u człowieka zbyt długo trzymającego talrep. Mogę też dodać, że zatrzymaliśmy się w Panamie, aby zaopatrzyć się w żywność i wodę, oraz że przyjęliśmy młodego

tubylca, który chciał odbyć podróż drogą morską. Jestem przekonany, że gdybyśmy przywieźli jakieś choroby na pokładzie, dawno bylibyśmy chorzy. Jedyne co mogę zrobić to przysiąc, na co zechcesz, że nie zauważyłem niczego, co wskazywałoby na chorobę. Jeśli pragniesz wysłać nas ponownie w morze, chociaż w naszych ładowniach jest dużo broni i prochu, ołowiu i stali, odpłyniemy. Jestem pewien, że poddani króla Filipa w Campche powitają nas z szeroko otwartymi ramionami.

Nie miał zamiaru mówić nic więcej. Jego usta wypowiadały słowa, które słyszał tak, jak pozostali, z równym co oni zaskoczeniem.

Fernandez de Aguilar spojrział na niego ze zdumieniem, lecz po chwili zmienił wyraz twarzy, gdy ksiądz skłonił głowę jak do modlitwy i rzekł:

— Dobrze odpowiedziałeś, Angliku. Gdybyś przysiągł na Boga, że twoi ludzie są czysti, zastrzeliłbym ciebie, a twój statek spalił na otwartym morzu. Molo zostałoby zniszczone, tak jak poprzednie, którym dotarła tu zaraza.

— Nic byś w ten sposób nie zyskał — odparł Owen. — Stałeś wystarczająco blisko don Fernandeza, aby zarazić pozostałych, gdyby ten był chory, jak się obawiasz. Wróciłbyś do swoich i zaczął roznosić plagę.

— Nie uczyniłbym tego, nie chodziłbym bowiem wśród nich. Mój pomocnik, Diego — skinął ręką w stronę tubylca z blizną na twarzy — otrzymał rozkaz, by poderżnąć mi gardło, a następnie własne. Domingo — wskazał cichszego z pomocników — poszedłby w morze, ponieważ taki rodzaj śmierci wybrał. Po naszej śmierci najważniejszy z wojowników kazałby ostrzelać wasz statek zapalonymi strzałami.

Żadne dziecko dobrowolnie nie zabiłoby ojca, oni jednak uczyniliby to na moje polecenie. Na tyle im wierzę.

Owen spostrzegł, że rysy twarzy Fernandeza de Aguilara wyostrzyły się.

— Ci ludzie uważają cię za ojca? — zapytał.

Oblicze Gonzaleza Calderóna pozostało nieprzeniknione.

— W obliczu Boga sam uważam się za ich ojca — powie dział. — Jeśli im powiem, że nie przywozicie wietrznej ospy, lecz dary i wiedzę, która pomoże nam podnieść się po doznanej stracie, pozwolą wam wysiąść na ląd. To, co się później wydarzy, jest w ręku Boga. Nie mogę wam zagwarantować bezpieczeństwa, podobnie jak ten lekarz nie może przysiąc, że jesteście zdrowi.

11

College św. Bedy, Cambridge, czerwiec roku 2007

*Gdybym mniej cię kochała, potrafiłabym
więcej o tym mówić.*

Jane Austen

Na niskim stoliku z jesionu, stojącym w mieszkaniu Kita nad rzeką, ze ślubnych dekoracji pozostała tylko jedna łądoga białych lilii.

Budowniczy z epoki Tudorów dokonali nie lada sztuki, ponieważ ponad połowa długości pokoju wisiała nad rzeką Cam. Okna umieszczone po trzech stronach wpuszczały do środka promienie silnego letniego słońca. Dołem płynął zielony nurt rzeki. Przez otwarte okno wpadał do środka zapach leniwie płynącej wody, mieszając się z bardziej intensywnej wonią krótkotrwałych bukietów kwiatów przesłanych przez przyjaciół, pragnących uczcić jego powrót ze szpitala.

Ponieważ byli jego przyjaciółmi, wiedzieli, że nie powinni tu być, gdy wróci do domu. Pozwolili, by Stella pomogła mu wysiąść z karetki o dwóch laskach i wprowadziła go po

schodach do przestronnego, jasnego pomieszczenia, które było jego domem.

Stał na chwiejnych nogach obok stolika z kwiatami, lecz to rzeka przepływająca pod oknem przykuła jego uwagę. Powolny, szarozielony nurt, ruch powietrza oraz migotanie światła i szkła sprawiały wrażenie, jakby część pokoju znajdująca się nad rzeką była większa niż w rzeczywistości, jakby unosiła się w powietrzu, zawieszona „pomiędzy niebem i wodą”, jak tego pragnęli architekci epoki Tudorów.

Wykonał obrót, przypatrując się niebu, cienkim paskom obłoków i wysuszonej trawie przed Midsummer Common. Na rzece pełno było turystów, siedzących w płaskodennych łodziach, i spóźnionych studentów, którzy świętowali zdane egzaminy. Spojrzał na starannie wypielęgnowany trawnik otoczonego krążkami Dziedzińca Lancasterów i wykonany z brązu posąg Edwarda III, króla z dynastii Plantagenetów, którego syn założył College św. Bedy w dowód synowskiego oddania, żeby uczcić zwycięstwo ojca nad Francją pod Crecy w roku 1346.

Stella obserwowała, jak Kit powraca do swojego domu i do zdrowia. Jak odzyskuje pamięć o tym, kim był i kim jest obecnie. Laski zachwiały się i stanęły. Poczowała spojrzenie jego oczu, zielonobrazowych, niespokojnych, pełnych nowych namiętności, których nie potrafiła odczytać.

— Pamiętam te lilie — powiedział.

— Kit...

Nie mogła się poruszyć, czując na plecach rozszerzającą się plamę lodowatego potu. Od chwili, gdy ujrzała go w szpitalu, wydawał się chłodny i daleki, inny od tego, którego znała.

Czuła, że zbiera się do wygłoszenia kwestii, którą wcześniej przygotował, a której ona nie chciała słuchać.

Jego twarz przypominała oblicze Arlekina: jedna strona była zielonkawa od siniaka i nieruchoma, druga, ożywiona, biała i ruchliwa. Mógł się uśmiechać tylko jedną połową twarzy.

— Powinnaś mnie zostawić. Zrób to teraz, gdy łączą nas jedynie dobre wspomnienia.

Jego piękny głos łamał się i drżał. Skrzywił się na dźwięk własnych słów, nie spuszczać jej z oczu.

— Nie... — Zaczęła płakać, chociaż obiecywała sobie, że tego nie zrobi. — Nie opuszczę cię. Nie możesz mnie do tego zmusić.

— Mogę cię poprosić. Dla dobra nas obojga.

— Nie mówisz poważnie. Ożeniłeś się ze mną niecały miesiąc temu. Poślubiłam cię. Nie wolno nam się teraz poddawać.

Zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Niepewnie oparł dłonie na laskach. Chciała zrobić krok w jego stronę, złapać go, podać mu krzesło. Przysunąć elektryczny wózek inwalidzki, siedzieć, spać, ponownie mieszkać we własnym domu i nie odczuwać zmartwień. Niestety, nie mogła zrobić żadnej z tych rzeczy, dopóki nie podjęli decyzji w sprawie swojej przyszłości.

Jego ciało nie zareagowało tak, jak tego chciał. Wzruszył zdrowym ramieniem:

— Chcę być z tobą tak samo, jak kiedyś.

— Boże, Kit... — Otarła twarz ręką, szukając chusteczki w kieszeni szortów.

Nie miała wątpliwości, że się zmienił, nie było z nim jednak tak źle, jak powiedzieli lekarze po pierwszym badaniu.

To, że mógł chodzić, było cudem współczesnej nauki i dowodem leczniczej wartości podawanego dożylnie deksametazonu w ilości, która wystarczyłaby dla słonia. Tak przynajmniej powiedział jej specjalista w szpitalu w Yorkshire. Swój wkład mieli też neurologi ze szpitala w Addenbrooke, w Cambridge, którzy wykonali własne badanie metodą rezonansu magnetycznego i tomografię komputerową, dochodząc do wniosku, że albo przesłano im niewłaściwe filmy, albo bogowie grotołazów byli niezwykle łaskawi, doprowadzając do wybudzenia ze śpiączki doktora Christiana O'Connora tak szybko i w tak dobrym stanie.

Niestety, lekarze nie potrafili dokonać kolejnych cudów i zwrócić go jej w pełnym zdrowiu. Odesłali go do domu na wpeł wyleczonego, potrafiącego zasnąć bez ostrzeżenia, mogącego się uśmiechać tylko połową twarzy, niemającego pełnej władzy w nogach i posiadającego jedynie częściowo sprawne lewe ramię. Przywieźli go z laskami i wózkiem inwalidzkim, zalecając fizjoterapię i jakieś zajęcie, które pomoże odzyskać zdrowie. Uważali, że po pewnym czasie będzie mógł chodzić o lasce.

Nie umieli powiedzieć, czy i kiedy zacznie normalnie chodzić i biegać lub kiedy pełny uśmiech zastąpi plastikową maskę zasłaniającą lewą połowę twarzy.

Nie byli również w stanie obiecać, czy kiedykolwiek odzyska pamięć o tym, co wydarzyło się w podziemnej katedrze: o białej wapiennej czaszce, którą znaleźli, o tym, jak biegł i pełznął z dwoma latarkami oraz o upadku, w stopniu wystarczającym do przekonania detektywa inspektora Fleminga, by ponownie wznowił śledztwo w sprawie usiłowania zabójstwa. W tej chwili ledwie pamiętał szczegóły własnego ślubu.

Pamiętam te lilie.

Żywe pozostały jedynie jego oczy. Chociaż Stella nigdy nie potrafiła w nich czytać, kiedyś były przenikliwe i pełne ironicznego humoru, który tak lubiła. Teraz przypominały tarczę, zatrzymującą ją na zewnątrz. Spoglądała mu w oczy i nie miała pojęcia, o czym myśli.

— Wiesz, że mam rację — powiedziała.

— Nie.

Zrozpaczona sięgnęła po plecak, który wsunęła pod stół. Wcześniej miała inny plan.

Jedną ręką odpięła zamek i wyciągnęła kruszejący biały kamień, którego poszukiwał przez całe życie, kładąc go na stole. Zwyczajny brzydki przedmiot, obsypujący drewniany blat kredowym łupieżem.

Nic nie czuła. Jej umysłu nie przeniknęło błękitne światło, nie wyczuwała nowo narodzonej, a jednocześnie pradawnej bezbronności, która tak ją poruszyła na wrzosowisku w pobliżu Gaping Ghyll. Przez trzy tygodnie marniał w jej plecaku, niewidoczny i niesłyszalny. Nie potrafiła na niego spojrzeć. Teraz wcale nie czuła się lepiej.

— Nie wyrzuciłam go — powiedziała.

— Widzę.

Na jego twarzy pojawił się spokój, nadając jej wyraz symetrii.

— Może powinienem usiąść? — Zachwiał się na łaskach, zaklął i na sztywnych nogach ruszył w kierunku wózka.

Pragnęła, żeby docenił jej pomoc, lecz on z trudem ją przyjmował, pozwalając, żeby podprowadziła go do wózka i usadowiła w nim, jak ją uczyli w szpitalu. Nie sprzeciwiał

się, gdy położyła mu czaszkę na kolanach. Długo spoglądał na nią i poprzez nią, pogrążony w lodowatym milczeniu.

W chwili, gdy myślała, że napięcie zabije ich oboje, podniósł głowę i podjechał na skrzypiącym nowością wózku do okna, skąd można było patrzeć na wodę.

Oddzielał ich stół z jesionu — prezent ślubny kupiony w minionej epoce, gdy byli innymi ludźmi. Usiadła na jego krawędzi.

— Jeśli tak jej nienawidzisz, możemy ją wyrzucić przez okno.

— Czy stalibyśmy się przez to bezpieczni?

— Czy o to w tym wszystkim chodzi? O nasze bezpieczeństwo? Myślę, że chodzi o coś więcej.

Na jego twarzy pojawił się grymas.

— Ktoś próbował mnie zabić z jej powodu, Stell. Po potrzebujesz czegoś więcej?

— W takim razie ją wyrzucić.

— Powiedziałaś, że już to zrobiłaś.

Nie kłócili się nigdy wcześniej. Ostre starcie było czymś nowym, nieoczekiwanym i przerażającym.

Zauważyła, że zacisnęła dłonie w pięści i musiała się zmusić do ich rozluźnienia.

— Tony Bookless namawiał mnie do tego — powiedziała. — Próbowałam, lecz nie potrafiłam tego uczynić.

— Mimo to przekonałaś i jego, i mnie, że to zrobiłaś.

— Na domiar złego jestem kłamcą. — Odwróciła się. — Sądziłam, że będziesz zadowolony. Chciałam ci zrobić nie spodziankę, gdy wrócisz do domu. Chcesz mnie zostawić z tego powodu?

Nie potrafiła usiedzieć. Chodziła wzdłuż okna, odwrócona

do niego plecami, obserwując studentów na błoniach, grających w rounders w promieniach słońca. Żałowała, że nie może cofnąć czasu i sprawić, aby ich życie potoczyło się inaczej. Przeszła trzy odcinki po dwanaście kroków, zanim przemówił.

— Jesteś kiepskim kłamcą. Nie uwierzył ci, gdy powie działaś, że ją wyrzuciłaś. Sądzi, że pokochałaś ten kamień. Najwyraźniej w taki sposób działa na ludzi. Właśnie dlatego umierają.

Zaalarmowały ją nie tyle słowa, co dźwięk jego głosu. Miękki gardłowy ton, którego nie słyszała nigdy przedtem. Odwróciła się. Miał czerwone oczy. Zmusił się, żeby na nią spojrzeć.

— Płaczesz?

— Próbuję się powstrzymać.

— Chryste, Kit...

Musiała podnieść go z wózka, aby móc go objąć. W długiej, pozbawionej słów ciszy było więcej serdeczności, niż zdołali sobie przekazać w ciągu trzech tygodni, poprzedzających wypadek.

Przez woń szpitala poczuła jego znajomy zapach. Rozpięła mu koszulę i przycisnęła nos do miękkiej skóry pod obojczykiem, przemawiając do ciała i kości oraz kryjącego się pod nimi serca:

— Kiedy Tony ci powiedział?

— Ostatniej nocy. Wrócił, kiedy poszłaś do domu. — Pieścił dłonią włosy, przycięte na jego powrót. Były krótsze niż kiedyś, miały niecały palec długości na czubku. Zmierzył je i pocałował. Czowała, że połowa jego ust zachowuje się prawidłowo.

— Obiecałem mu, że skłonię cię do tego, byś ją zniszczyła.

— Kit, ja...

— Głupio postąpiłem. Wiem, że wcześniej powinienem był porozmawiać z tobą. Nie chcę, żebyś zginęła, Stell. Zbyt wiele straciłem, próbując zrealizować własne mrzonki. Nie chcę stracić także ciebie. Nie zniósłbym tego.

Podniosła głowę z jego piersi.

— Dlaczego miałbyś mnie stracić?

— Ponieważ słowa Cedrica Owena nie są zwyczajnym wierszem. Dostarczają wskazówki i przestrogi.

Zamknął oczy i zacytował z pamięci:

Odkryj mnie i żyj, jestem bowiem twoją nadzieją u kresu czasu. Trzymaj mnie tak, jakbyś trzymał niemowlę. Słuchaj niczym głosu kochanka. Zaufaj tak, jak zaufałyś swojemu bogu, kimkolwiek jest.

Otworzył oczy. Jego spojrzenie stało się mętne, nabrało zielonobrazowej barwy.

— „Trzymaj mnie tak, jakbyś trzymał niemowlę. Słuchaj niczym głosu kochanka”. Czy tak postępujesz?

Nie odpowiedziała, bo nie było takiej potrzeby. Kit potrafił czytać w jej oczach, chociaż ona nie potrafiła przeniknąć jego spojrzenia. Chwycił jej dłoń, przyciągnął do siebie i trzymał tak, żeby widziała jedynie jego szczere spojrzenie.

— Stell, każdy, kto trzymał ten kamień i kto się nim opiekował, zginął. Ja też bym zginął, gdyby na dnie jaskini nie było wody. Tobie grozi większe niebezpieczeństwo. Po kochałaś go.

Przyciągnął ją bliżej i przesunął końcem palca po łuku jej ucha w sposób, który wywołał u niej dreszcz przenikający wzdłuż kręgosłupa do wnętrza.

W ciągu trzech ostatnich tygodni oddałaby wszystko za to uczucie. Ujęła jego nadgarstek i zatrzymała w dłoni.

— Posłuchaj mnie, Kit. To nie kamień zabija. Robią to ludzie, którzy pragną go posiadać lub zniszczyć.

— Jacy ludzie? — Jego dłoń nie poruszyła się.

— Nie mam pojęcia. Pewnie jedni i drudzy. Ten, który nas ścigał w jaskini, chciał zniszczyć czaszkę, nie ciebie. Jestem o tym przekonana. — Obraz przed jej oczami stał się zamazany. Wyglądała przez okno i widziała jedynie zielone plamy w różnych odcieniach.

— Policja nam nie wierzy. Sądzą, że był to wypadek. Ratownicy opisali nas jako parę turystów, którzy zabłądzili w niedawno odkrytej jaskini.

Uśmiechnęła się nerwowo.

— Ten, kto to zrobił, nadal jest na wolności. Wie, kim jesteśmy, a my nie mamy zielonego pojęcia o nim. Chryste, kiepsko to obmyśliłem, prawda?

— Nie...

— Tak. Pozwoliłem, żeby do tego doszło. To była moja mrzonka, moje pragnienie, mój pomysł na prezent ślubny. Błagam, nie kłóćmy się o to. Jeśli chcesz wziąć na siebie całą winę, zrób to, lecz do tej pory to ja byłem za wszystko odpowiedzialny. Zgoda?

— Zgoda.

— Dziękuję. — Odwrócił ją niezgrabnie, tak że oboje stanęli przodem do okna, a następnie przytulił.

W dole student w słomkowym kapeluszu wioślarza płynął

łodzią z turystami wzdłuż brzegu rzeki. W jednej ręce trzymał pych, w drugiej butelkę szampana. Głosy Amerykanów unoszące się w górę były komentarzem do tego, co działo się w pokoju nad rzeką, pod którym przepływali.

Zapanowała długa cisza. Stella myślała o jedynych słowach Kita, których mogła się uchwycić. „Zbyt wiele straciłem, próbując zrealizować własne mrzonki. Nie chcę stracić także ciebie. Nie zniósłbym tego”.

Płaskodenna łódź odpłynęła, a głosy nieznajomych cichły. W pobrzmiwającym echu tych głosów Stella poczuła lodowaty skurcz w żołądku.

— Jeśli tu zostaniesz, a ja rozpocznę poszukiwania, by rozwiązać zagadkę kamiennej czaszki, nie będzie to oznaczać, że cię nie kocham — powiedziała. — Nie będzie też oznaczać, że mnie straciłeś. Wiesz o tym, prawda?

— Wiem. A ty wiesz, że jeśli z tobą pojedę, nie oznacza to, iż jestem zazdrosny z powodu kamienia.

W jego głosie pojawiła się iskierka humoru i czegoś innego, co wyłowiła z najwyższym trudem. Pocałował ją w czubek głowy.

— Jesteś odważną kobietą. Czy wspomniałem o tym, że cię kocham?

— Ani razu od czasu, gdy byliśmy w jaskini.

Przysunęła policzek do jego piersi. Czowała bicie jego serca. Podniosła głowę. Jego twarz była ponad jej twarzą. Powoli, nie całkiem precyzyjnie, pochylił się, by ją pocałować.

Chwilę później zasnął na wózku inwalidzkim z wyrazem dzieciennego spokoju na twarzy. Stella usiadła po turecku na

dębowych deskach podłogi, spoglądając na rzekę i starając się o niczym nie myśleć. Kamienna czaszka leżała na niskim stole z jesionu, który ich rozdzielał. Niepozorna, nieciekawa bryła, która mogła przypominać ludzką czaszkę.

Mogła być też kamieniem wydobytym z wapiennego jeziora na dnie podziemnej jaskini.

Umysł Stelli stał się ponownie jej wyłączną własnością. Słabe poczucie czyjejś obecności, które opuściło ją u wejścia do jaskini w Yorkshire, stało się wspomnieniem i tak osłabło, że mogłoby być dziełem jej wyobraźni wywołanym przez strach w jaskini.

Postawiła czaszkę w promieniach letniego słońca, w miejscu, gdzie stała się bardziej wyraźna. Południowa bryza niosła w górę zapach leniwej rzeki, nawoływanie krzyżówek i rzeczowy głos młodego przewodnika oprowadzającego grupę wizytujących uczelnię naukowców.

— ...pokoje rzeczne, które wydają się zawieszane nad wodami Cam, to unikalny przykład skrajności cechującej styl architektów z epoki Tudorów. W takim pomieszczeniu przez jakiś czas mieszkał doktor Cedric Owen, największy dobroczyńca college'u, autor ksiąg Owena. Pokoje były później zajmowane przez dramaturga i szpiega Christophera Marlowe'a. Krążyły pogłoski, że przez osiem dni ukrywał się w nich król Karol Pierwszy pod koniec wojny domowej. Udamy się teraz do małego kamienia w bramie zewnętrznej wiodącej na Wielki Dziedziniec. Kamień ten upamiętnia miejsce, w którym Owen zmarł w dzień Bożego Narodzenia roku tysiąc pięćset osiemdziesiątego ósmego. Został pochowany w grobie dla biedoty w pobliżu zbiorowej mogiły ofiar zarazy, jednak przed śmiercią...

Głos przewodnika przycichł, stapiając się w jedno ze szmerem popołudnia. Stella oparła łokcie na kolanach, a brodeę na kołysce ze splecionych palców tak, że jej oczy znalazły się na wysokości czaszki.

— Przed śmiercią Cedric Owen ukrył cię w miejscu, w którym czas i twarda woda mogły cię pogrzebać na zawsze. Komuś jednak tak bardzo zależało na tym, żebyśmy cię odnaleźli, że podszyl się pod Owena i w jego księdze umieścił zaszyfrowane przesłanie. „To, czego szukasz, spoczywa w białej wodzie”. Dlaczego to zrobił?

Dlaczego?

Kit zadał to pytanie jako pierwszy, kiedy zbadał księgi i odkrył, że są dziełem dwóch autorów. W ciągu ich rocznej znajomości nigdy nie widziała go tak zaniepokojonego, przemierzającego pokój wzdłuż dużego okna, przeczesującego włosy palcami.

Dlaczego? Z tego, co wiemy o Cedricu Owenie, wynika, że był szlachetnym, uczciwym człowiekiem. Wszystko starannie zaplanował. Ukrył pieniądze i księgi, pozostawiając jedynie list do prawnika, który miał zostać otwarty sto lat po jego śmierci, by Korona nie mogła skonfiskować majątku. Kiedy jego sprowadzenie do college'u stało się bezpieczne, odczytano polecenie, aby księgi były cały czas dostępne dla ludzi, „zabezpieczone przed szkodą, udostępnione darmo dla pragnących je przejrzeć w celach osobistych lub dla potrzeb badań naukowych”. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo podniosą pozycję naukową uczelni. Jeśli wszystkie zostały sfalszowane, musiał istnieć jakiś powód.

Był deszczowy dzień, nad rzeką Cam zalegała gęsta mgła.

— W tekście musi się kryć coś więcej — powiedziała bez większego zastanowienia. — Jesteś kryptografem. Przechowujesz mnóstwo informacji na dysku komputera. Wrzuć te liczby do programu i zobacz, co z nich wyniknie.

Podszedł sprężystym krokiem i ucałował ją w czoło. Suche ciepło jego warg pozostało z nią dłużej niż wesoly irlandzki akcent. Czy wspomniałem o tym, że jesteś geniuszem? — pomyślał Kit.

Chociaż znała go wówczas od niemal dwunastu miesięcy i kochała od sześciu, ale dopiero teraz zaczynała poznawać mężczyznę, który przemawiał tym głosem i rozumieć umysł ukryty za jego wzrokiem. Zaofiarowała się, że pomoże mu w analizie szyfru, w równym stopniu pragnąc poznać jego samego, co ukryte przesłanie.

Była astronomem i nie miała pojęcia o historii. Właśnie oddała rozprawę doktorską i czekała na wyznaczenie daty obrony. Chociaż jej czas był ograniczony, w kolejnych tygodniach dowiedziała się więcej o historii Anglii niż podczas szkolnych zajęć słuchanych jednym uchem. Odkryła, że ją lubi. Kiedy Kit próbował odczytać sens liczb zapisanych w księdze, zamówiła kopię dokumentów i nauczyła się sztuki czytania zawilego rękopisu.

Po kilku tygodniach bezowocnych badań, kiedy za każdym razem, gdy zamknęła oczy, zaczynało migać jej pod powiekami gęste elżbietańskie pismo, dostrzegła, że na ostatnich kartach końcowej księgi nie ma plam i błędów będących wynikiem pisania na pokładzie statku, a jedynie celowe naśladowanie znanych znaków stenograficznych.

Potrzebowała niecałych dwóch godzin, aby przepisać tekst, i pół godziny pracy w bibliotece, aby znaleźć notatki, które

doprowadziły ją do odczytania znaków stenograficznych stosowanych przez Johna Dee.

To, czego szukasz, spoczywa w białej wodzie...

Stella odnalazła tekst, lecz to Kit odkrył, że zawarte w nim wskazówki prowadzą do zaginionego kamiennego serca Cedrica Owena. Poświęcił wiele dni, aby przestudiować biografię Cedrica Owena i znaleźć miejsca, do których mogą się odnosić zaszyfrowane słowa. Odnalazł stare plany i szczegółowe mapy wojskowe. Tak długo przeglądał Internet za pomocą wyszukiwarki Google, że jego oczy stały się kwadratowe. Kit zaplanował ich podróż, doprowadził do jej realizacji i wziął na siebie odpowiedzialność, kiedy w oczy zajrzała im śmierć.

Jednak to ona zanurkowała w białej wodzie i wyciągnęła na powierzchnię niepozorną bryłę białego wapienia. To ona się nią zaopiekowała i pozostawiła bez odpowiedzi pytania, które nie pozwalały jej spać i prześladowały ją po całych dniach. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem.

— Co przeoczyłam?

Laptop Kita leżał pod niskim stołem z jesionu. Na jego twardym dysku było całe archiwum Owena oraz setki plików zawierających nieudane próby rozszyfrowania ich treści oraz jedną, która zakończyła się powodzeniem. Otworzyła dokument i spojrzała na fragment zapamiętany przez Kita.

...jestem bowiem twoją nadzieją u kresu czasu. Trzymaj mnie tak, jakbyś trzymał niemowie. Słuchaj niczym głosu kochanka. Zaufaj tak, jak zaufałyś swojemu bogu, kimkolwiek jest.

Podążaj ścieżką, którą ci wskażą. Staw się wraz ze mną w wyznaczonym miejscu i czasie. Uczyn, jak przepowiedzieli strażnicy nocy. Idź za głosem swojego i mojego serca, stanowią bowiem jedno. Nie zawieźdź mnie, ponieważ gdybyś to uczynił, zawiódlbyś samego siebie i wszystkie czekające światy.

Zaczęła rozmyślać nad ostatnimi słowami.

— Trzymałam cię jak dziecko. Słuchałam, jak potrafiłam. Jestem gotowa ci zaufać, jeśli dostarczysz mi punktu oparcia. Nie wrzuciłam cię do Gaping Ghyll, co oznacza, że musi nas coś łączyć. Podążałabym twoją ścieżką, gdybym miała choćby najmniejsze pojęcie, co chcesz mi wskazać...

Jej umysłu nie oświeciło błękitne światło, a jedynie promień myśli.

— Stello Cody, jesteś idiotką. Byłaś ślepa.

Zerwała się na równe nogi i podbiegła do biurka w przeciwnym końcu pokoju, gdzie Kit przechowywał swoje pliki w niemal chorobliwie pedantycznym porządku. Oznaczało to, że mogła znaleźć wszystko, jeśli wiedziała, czego szukać.

Teraz wiedziała. Wyciągnęła pudło z kopią pierwszych trzech ksiąg, notatnik i nowy ołówek, i zaniósła to wszystko do okna, zatrzymując się w przelocie, by ucałować dłoń Kita.

— Jeśli kiedykolwiek oskarżę cię o to, że jesteś przeźliwym, patentowanym dupkiem, proszę, przypomnij mi o tym.

Przez całe popołudnie pracowała w ciszy, nie zauważywszy, żeby się obudził. Otoczona stosami kartek i zeskanowanych

obrazów, zadała sobie pytanie, którego nie postawiła nigdy wcześniej i odkryła, że być może kryje się w nim początek odpowiedzi.

— Halo! Jest tam kto?

Słońce zaczęło zachodzić, oświetlając tafłę rzeki bursztynowym blaskiem. Wiatr stał się chłodniejszy i bardziej suchy. Przewodnik i naukowcy zniknęli. Kaczki odpłynęły w górę rzeki, gdzie karmili je turyści siedzący w kafejkach przy Magdalenę Bridge. Stella siedziała po turecku, w ciszy wieczoru, gryząc ołówek i zapisując swoje spostrzeżenia w notatniku.

— Czyżbym był niepożądanym gościem? — W drzwiach pojawiła się zwalista figura, wpuszczając do środka powiew wiatru, który uniósł róg papieru.

— Gordon! Zawsze jesteś tu mile widziany. Wejdz, proszę...

Profesor Gordon Fraser miał tytuł licencjata i magistra w dziedzinie nauk ścisłych oraz członka Towarzystwa Geologicznego i Królewskiego Towarzystwa Nauk. Był też głównym kandydatem na stanowisko dziekana College'u św. Bedy, gdyby jakimś cudem Tony Bookless zrzekł się tego urzędu. Na dodatek specjalizował się w geologii sedymentacyjnej i był grotolazem o światowej sławie. W końcu był jednym z najbliższych przyjaciół Stelli w Cambridge.

Niski, przysadzisty mężczyzna miał rzadką brodę, która sterczała jak skalna półka zawieszona u dolnej wargi, i wyraźnie zarysowane ścięgna biegnące wzdłuż ramion niczym powrozy. Włosy wiły mu się dzikimi lokami, których mogłaby mu pozazdrościć każda kobieta. Miał na sobie koszulkę

z napisem „Cambridge Climbing and Caving Club” (Klub Wspinaczy i Grotołazów Cambridge) z datami pierwszych zejść, w które mogłaby nie uwierzyć, gdyby nie towarzyszyła mu w ostatniej wyprawie i nie wiedziała, że pozostałe też się odbyły.

Mówił z akcentem mieszkańców północno-zachodniej Szkocji i był znany z tego, że nosi kilt, chociaż Stella widziała go w tym stroju tylko raz, trzy tygodnie temu, kiedy Gordon Karzeł był drugim ze świadków na ich ślubie.

Teraz stał niezgrabnie w progu, trzymając w dłoni bukiet frezji i zaglądając do środka przez drzwi. Kamienna czaszka nie znajdowała się na linii jego wzroku. Stella zasłoniła ją plecakiem, zanim wstała.

— Najmocniej przepraszam, zagubiłam się w tych księgach. Pozwól, że zaparzę ci kawy, a później zobaczymy, czy Kit zechce się obudzić.

— Już się obudził! — zawołał z wózka przy oknie.

Leniwe mamrotanie powodowało, że trudno było stwierdzić, czy nadal jest w półśnie, czy też czuwał przez trzy ostatnie godziny. Napędzane przez akumulator koła odwróciły wózek. Kit poruszył zdrowym ramieniem.

— Przepraszam. — A widząc pytający wyraz jej twarzy, dodał: — Powinienem być się wcześniej odezwać. Miło było patrzeć, jak pracujesz.

Jego zaspane oczy spotkały się z jej oczami, mówiąc, że on również cieszył się samotnością, że pragnął zwyczajnie siedzieć i że pewne myśli chciał zachować tylko dla siebie, choć było mu przykro z tego powodu.

— Muszę zrobić siusiu — powiedział swobodnie. — Jeśli nastawisz kawę, może uda mi się skończyć do czasu, gdy

będzie gotowa. Będziesz mogła nam wtedy pokazać, co takiego odkryłaś w księgach Cedrica Owena.

Ich kuchnia była w rzeczywistości aneksem kuchennym umieszczonym w rogu pokoju — pozostałością po architektach epoki Tudorów, którzy uznali, że nie ma sensu umieszczać kuchennego paleniska z dala od sypialni lub gabinetu.

Kiedy odjechał, Stella zabrała się wolno do parzenia kawy, prosząc Gordona, aby zmielił ziarenka, podczas gdy ona gotowała mleko w rondlu o grubym dnie. Rozmawiali o jaskiniach, które znali oboje, omijając temat wypadku. Tę sprawę obgadali przy łóżku Kita trzy tygodnie przed jego powrotem do domu.

W tym czasie inni grotolazi przeszli tę drogę w obie strony i sporządzili mapę. Zdjęcia umieszczone w Internecie przedstawiały podziemną katedrę z kamiennymi kandelabrami stalaktytów. Antropolodzy badali jaskiniowe malowidła, nadawali im nazwy, klasyfikowali i próbowali rozwikłać ich tajemnicę.

Wózek inwalidzki Kita wyjechał z łazienki za sypialnią. Zauważyła, że zmienił koszulkę i skropił włosy wodą, pozostawiając je w nieładzie, bardziej brązowe niż złociste. Chociaż zrobił to tak jak kiedyś, tym razem spojrzała na niego z nową troską.

— I co? — Znalazł sobie miejsce przy trzyczęściowym oknie, przysuwając sobie stolik za nogę. — Przez trzy godziny studiowałaś księgi Cedrica Owena. Co odkryłaś?

Nie była gotowa, żeby o tym mówić. Drzemiący w niej naukowiec pragnął dokończyć badania, skwantyfikować rezultaty i, być może, rozszyfrować zawarte w nich przesłanie.

Czekali cierpliwie, dwaj z trzech mężczyzn, którym ufała najbardziej na świecie.

— Powinien tu być Tony Bookless, chociaż nie wiem, jak spojrzę mu w oczy.

Mimo że wiedział, że go okłamała, przyznał jej stypendium naukowe w tydzień po powrocie do domu. Wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju.

— Jest na spotkaniu w Old School — powiedział Gordon. — Będzie wolny dopiero po uroczystej kolacji. — Oplótł grubymi palcami kubek, który mu podała, i wetknął brodę w jej notatnik. — Obserwowałem cię przez okno, gdy szedłem przez Jesus Green. Byłaś pochłonięta sprawą niecierpiącą zwłoki. — Kiedy nie odpowiedziała, zapytał wprost: — Co odkryłaś, dziewczyno?

Zamieszała kawę, spojrzała na Kita i postanowiła zapomnieć o Tonym Booklessie.

— Odkryłam drugi szyfr w księgach Owena. „Ten, który został w nich ukazany”.

Powinna była to oznajmić w błysku fleszy, przy dźwiękach fanfar. Niestety, mogła liczyć jedynie na chór krzyżówek atakujących kaczkę i cienki, wysoki pisk dziecka, które zgubiło się nad brzegiem rzeki.

I Kita uśmiechającego się szeroko jedną połową twarzy, nad którą miał władzę.

— Właśnie dlatego Owen pozostawił trzydzieści trzy tomy zamiast jednego. Jesteś mądrą dziewczynką. Pomyślałem, że trudno uznać jeden kiepski wiersz za szczególne dokonanie dwóch mężczyzn. Czego się dowiedziałaś?

— Sama nie wiem. To piktogramy. Spędziłam pół dnia w Internecie, próbując odczytać ich znaczenie. Spójrz sam...

Zebrała notatki i ułożyła je na stole.

— Ten zapis przypomina stenogram. Na każdej stronie jest pół tuzina znaków, które wyglądają jak przypadkowe kreski spowodowane osunięciem się pióra, te są jednak bardziej ukryte, końcowe przesłanie zaś wydaje się zawile. Pojawiają się we wszystkich księgach. Spójrz tu, u dołu strony... — Wybrała przypadkową kartkę i wskazała palcem linię.

21 sierpnia roku 1573. Dla Imagia, syna Diega, za 2 upolowane ptaki: 2d

— Jeśli przyjrzesz się bliżej cyfrze „3” w dacie oraz literom „s” i „y” w słowie „syn”, dostrzeżesz kreski i zawijasy. Teraz wystarczy odrysować je na innej stronie... — Stella przyłożyła arkusz cienkiej bibuły i skopiowała kreski — ...a następnie powtórzyć tę czynność w kolejnej linii...

22 sierpnia roku 1573, dla o. Calderóna, czynsz za 2 osoby, za mnie i don Fernandezę.

Mówiąc, wskazywała znaki i kopiowała je na bibule.

— Na tym strona się kończy. Nie otrzymałam jeszcze zbyt spójnego obrazu.

— To nie ma sensu. — Kit podniósł arkusz, odsunął go na odległość wyciągniętego ramienia i zmarszczył czoło. — Te znaki nie mają żadnego z wyróżników pisma stenograficznego. — Już nie bełkotał tak jak po przebudzeniu.

— Wiesz dlaczego? Bo to nie jest pismo stenograficzne. — Stella odłożyła kartkę i podniosła trzy kolejne. — To fragment większej całości. Jeśli połączymy arkusze po cztery i dopasujemy kropki w lewym dolnym rogu... — Przygryzła język i złożyła strony — otrzymamy istne arcydzieło ludzkiej komunikacji. Widzisz?

Cztery arkusze bibuły po złożeniu odsłoniły ciąg niezrozu-

miałych kolistych hieroglifów przedstawiających ludzi o wybałuszonych oczach i zwierzęta, otwarte usta oraz słońca, drzewa, księżycy, zwinięte węże i jaguary.

— Chryste.

Stella nigdy nie widziała, żeby Gordonowi odebrało mowę. Warto to było zobaczyć.

— Na każdej stronie tomu, od pierwszego do ostatniego, są znaki i kropki umożliwiające zestawienie kartek. Nie wiem, jak mogliśmy ich nie zauważyć.

— Nie szukaliśmy — odpowiedział Kit. — Teraz będzie my, a przynajmniej ty będziesz. — Pochylił się niebezpiecznie do przodu, wertując kartki na niskim stoliku. — Najwyraźniej mam zbyt przytępiony umysł, żeby dostrzec to, co oczywiste. Nic z tego nie pojmuję. Jestem pewien, że Gordon, który jest wielkim mędrce i któremu nie poplątało się w głowie, z pewnością lepiej sobie poradzi. Co o tym sądzisz, Gordonie?

Zręcznie podsunął cztery kartki zakłopotanemu Szkotowi, który zaczął je przeglądać jedna po drugiej.

— Może tak, a może nie. — Gordon zwrócił Stelli kartki. — Możesz mi to pokazać jeszcze raz?

Wybrała cztery kolejne strony z innymi znakami, które bezbłędnie wykryła. Grubym piórem skopiowała je szybko na bibule, a następnie zestawiała i nakreśliła ostateczny kształt piktogramów.

— Są uporządkowane w grupy liczące po dwanaście znaków — powiedziała. — Zeskanowałam je, przeniosłam do laptopa i poszukałam w Internecie. Sądzę, że to dawne piktogramy Majów. Być może Olmeków, jeśli chcielibyśmy być bardziej dokładni. Cedric Owen spędził tam trzydzieści dwa lata, więc jestem tego pewna.

— Potrafisz je odczytać? — zapytał Gordon.

— Żartujesz? Nie ma mowy. Mogłabym się nauczyć, lecz przypuszczalnie zajęłoby mi to wiele lat. Potrzebujemy kogoś, kto się na tym zna.

— Pewnie zaufanych ludzi, którzy nie ogłosiliby nowiny całemu światu przed zakończeniem badań jest nieliczna garstka na świecie, a jeszcze mniej w Anglii. — Kit spojrział na nią wzrokiem, który dobrze zapamiętała. — Jestem pewien, że znalazłaś już kogoś takiego, prawda?

Uśmiechnęła się.

— Być może. Otworzyłam wyszukiwarkę Google, a następnie wpisałam słowa „czaszka” i „Majowie”. W rezultacie otrzymałam pół miliona trafień... w większości różnych bzdur o końcu świata. Kiedy dodałam „Cedric Owen”, liczba trafień zmniejszyła się do dwóch. Każda z nich odsyłała do profesor Ursuli Walker z Instytutu Badań nad Kulturą Majów w Oxford University. Ta kobieta jest niesamowita. Założyła instytut we własnym domu — wiejskiej rezydencji w stylu Tudorów, w hrabstwie Oxfordshire. Posiadłość ta była własnością jej rodziny od czasu *Domesday Book**. Tak się składa, że właśnie tam znaleziono księgi Owena, więc można by powiedzieć, że jest tym niejako rodzinnie zainteresowana. Zrobiła magisterium z antropologii...

— W College'u Świętego Bedy? — zapytał Kit.

— Oczywiście, później, jeśli informacje podane w Google są prawdziwe, przez cztery lata wspólnie z Tonym Booklesssem pisała doktorat na temat życia Owena...

Gordon stuknął się w czoło.

* *Księga Dnia Sądu Ostatecznego*, kataster gruntowy spisany na rozkaz Wilhelma Zdobywcy po podbiciu Anglii

— Wiedziałem, że gdzieś słyszałem to nazwisko.

— Właśnie. Ponieważ wyjechała z Cambridge, wszyscy o niej zapomnieli. Oboje zrobili doktorat, a następnie ich drogi się rozeszły. Tony wstąpił do wojska i został historykiem wojskowości, ona zajęła się antropologią. Na podstawie jej dorobku wnioskuję, że znacznie dłużej od nas szukała kamiennej czaszki i próbowała ustalić, czemu miała służyć. Niestety, wygląda na to, że w międzyczasie przyjęła zwyczaje pierwotnych ludów.

Kit przewrócił oczami.

— Jakie?

— Wszystkie. Wymień dowolny, a możesz być pewny, że go zbadała. O ile wiem, ponad połowę życia spędza na badaniach w terenie. Spójrzcie na to...

Stella odwróciła laptop tak, aby obaj mogli zobaczyć. Z ekranu spoglądała na nich sześćdziesięcikilkuletnia kobieta o żywych oczach i skórze opalanej przez wiatr. Za nią rozciągał się zielony krajobraz.

Gordon przekrzywił ekran, żeby lepiej widzieć.

— To miejsce bardziej przypomina dżunglę niż pole.

— Zdjęcie wykonano podczas jej ostatniej wyprawy na Jukatan w czerwcu dwutysięcznego piątego roku — wyjaśniła Stella. — Niestety, nie udało mi się znaleźć żadnego zdjęcia z zimy dwa tysiące szóstego roku, którą spędziła na lodowych pustkowiach arktycznej tundry, odurzając się moczem renifera razem z Lapończykami.

— Stella? — Kit roześmiał się po raz pierwszy od czasu, gdy byli w jaskini. Jej serce podskoczyło z radości.

— To fakt dobrze znany współczesnej antropologii kulturowej — dodała poważnie. — Renifer zjada grzybki halu-

cynogenne i sika wysokooktanowym moczem. Pasterze pilnujący zwierząt jedzą zażółcony śnieg, a następnie ich szamani robią co trzeba, żeby wszyscy byli szczęśliwi. — Przerwała, uśmiechając się od ucha do ucha. — Co można robić, jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin słońce świeci zaledwie trzydzieści sekund, a temperatura jest tak niska, że kotu odmarzłyby jaja?

— Można zostać w domu, gdzie jest ciepło i bezpiecznie? Tak jak pozostali z nas? — podsunął nieśmiało Gordon.

Roześmiała się lekkomyślnym, głupim śmiechem, lecz wcale się tym nie przejęła.

— Człowiek, który wszedł samotnie na najwyższy próg Greasepaint Chimney nie powinien mówić o pozostaniu w bezpiecznym domowym zaciszu, Gordonie Fraserze.

— Słusznie. — Gordon przygryzł koniuszek kciuka. — Myślisz, że pomoże nam odczytać nowy szyfr, jeśli nie będzie pod działaniem tego nektaru szczęśliwości?

— Tak sądzę. Wysłałam jej e-maila. Zaprosiła nas na jutro. W jej instytucie odbywa się konferencja, lecz zakończy się do południa.

Użyła formy my. Wypowiadając te słowa, uważnie obserwowała Kita. Mimo wybuchu śmiechu nie potrafiła go rozszyfrować. Widział, jak spogląda na niego, uśmiechając się niepewnie. Ostrożnie pochylił się nad stołem i zerwał jeden kwiat z łodygi białych lilii.

Siedziała nieruchomo, gdy podjechał na wózku i wsunął jej kwiat za ucho. Oparł dłoń na jej ramieniu i powiedział:

— „Podążaj ścieżką, którą ci wskażę. Staw się wraz ze mną w wyznaczonym miejscu i czasie”. Dotarliśmy do tego punktu. Czy chcemy się znaleźć w wyznaczonym miejscu i czasie?

Chciała się głośno roześmiać.

— Najpierw musimy je ustalić — powiedziała. — Właśnie w tym celu pojedziemy do Ursuli Walker.

— Mając świadomość, że ktoś cały czas depcze nam po piętach?

— Musimy być ostrożni. Wiemy o zagrożeniu. Jeśli pojawi się prawdziwe niebezpieczeństwo, kamień nas ostrzeże. Musimy w to wierzyć.

Nigdy wcześniej nie wspomniała o kamieniu w tym gronie. Kit spojrział na nią zdumiony.

— W takim razie... może pokażemy Gordonowi, co mamy?

— Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy tego zrobić. Gordon, chcielibyśmy ci coś pokazać — powiedziała ostrożnie.

Zapadła krótka chwila ciszy. Gordon zachował milczenie, a Stella zamarła w oczekiwaniu na pisk protestu kamiennej czaszki, który się nie rozległ.

Wręcz przeciwnie, w dalekim błękanie letniego wieczoru poczuła pierwszy sygnał nawiązania więzi: świadomości dopiero co obudzonej, słabej i niepewnej miłości.

— Kurczę... to przypomina czaszkę.

Gordon siedział na podłodze naprzeciw niej, tak że dotykali się kolanami. Nie wyciągnął jednak ręki i nie dotknął kamiennej czaszki. Podniosła ją jak nowo narodzone dziecko i odwróciła, żeby mógł obejrzeć każdą jej część. Nie pozwoliła mu jej dotknąć. Nowe poczucie więzi było na to zbyt kruche. Gordon nie próbował tego zrobić, lecz oparł brodę na dłoniach, przypatrując się kamieniowi w niemym podziwieniu.

i

— Mógłbyś ją oczyścić? — zapytała. — Mógłbyś usunąć kamienny osad, aby odzyskała wygląd, jaki miała w czasach Cedrica Owena? Nie niszcząc kamiennego serca, które jest w środku?

Gordon spojrział na nią spod gęstych brwi przypominających gaśienice.

— Spróbuję. Pamiętaj, że będzie ją wtedy trudniej ukryć, chociaż sprawi większą radość dla oka.

Popatrzył na zegarek, a następnie na słońce i ich dwoje, by w końcu zwrócić się jedynie do Stelli:

— Moglibyśmy pójść do laboratorium teraz, gdy wszyscy wyszli.

12

Wydział geologii, Cambridge University, czerwiec roku 2007


*Człowiek bardzo rzadko może poznać prawdę
absolutną. Bardzo często prawda pozostaje
lekko zakryta, nie do końca zrozumiana.*

Jane Austen

Późnym popołudniem na wydziale geologii panowała cisza. Stella zeszła za Gordonem trzy piętra w dół do suchego klimatyzowanego pomieszczenia, które pachniało jak wszystkie laboratoria na całym świecie — bliżej nieokreślonymi kwasami i zasadami oraz żelazem chromatograficznym — zapachami zupełnie obcymi zapachom naturalnym.

Podziemnymi, sterylnymi korytarzami dotarli do laboratorium o ścianach wyłożonych białymi płytkami, ze stalowymi ławami pod ścianą i szafą z ery kosmicznej, wyposażoną w elektroniczną konsolę, która mogłaby równie dobrze się znajdować w kabinie odrzutowca.

— To Maisie. Jest naprawdę niezła. — Gordon czule pogładził szklany front. Jego akcent, który nigdy nie był



angielski, teraz nabrał szkockiej melodyjności. — Gdybyśmy nie mieli tej bestii, musielibyśmy czekać sześć miesięcy, aż wapno rozpuści się w roztworze kwasu. Znacznie bardziej ekscytujące jest obserwowanie schnącej farby. Dzięki temu małństwu, dziełu kilku moich genialnych kolegów, umieścimy twojego przyjaciela w naszej nowej, lśniącej gablocie i uzyskamy efekt w mgnieniu oka. Chcesz włożyć czaszkę do środka?

Otworzył szklane drzwiczki i pozwolił Stelli ułożyć kamienną czaszkę na plastikowej podstawie na dnie szafy otoczonej siecią nachylonych pod różnym kątem cienkich dysz. Kiedy cofnęła ręce, kawałki wapienia odłupały się od bryły, lecz zanim upadły na podłogę, zostały wessane przez system centralnego odkurzania. W białym świetle kamienna czaszka przypominała przedmiot należący do innej epoki.

Gordon czuł się w laboratorium jak w swoim żywiole. Gwizdał przez zęby, lecz bardziej przypominało to świst niż jakąś rozpoznawalną melodię.

— Przekonamy się, co mogą zdziałać ultradźwięki i kwas wystrzeliwany pod wysokim ciśnieniem w temperaturze dwustu stopni Celsjusza? Pozbędziemy się całej tej skorupy? To eksperyment, rozumiesz? Jeszcze nie pochwaliliśmy się tym urządzeniem, nie sądzę jednak, żeby wyrządziło jakąś szkodę bryle kwarcu.

— Sądzisz, że właśnie to kryje się w środku? — zapytała Stella.

— Tak. Jeśli ten przedmiot jest kamiennym sercem Cedrica Owena, w środku nie może być nic innego.

Przednia część szafy zamknęła się z pneumatycznym sykiem. Gordon zaczął przesuwać palcami po przyrządach

reagujących na nacisk. Lampki zabłyśły. Dysze przysunęły się do kamiennej czaszki. W uszach Stelli rozległ się przesywający dźwięk. Oprócz niego usłyszała słaby, śpiewny pomruk. Kamień był teraz bardziej rozbudzony. Błękitna przestrzeń w jej umyśle została ponownie zajęta, stała się czujna i postawiona w stan pogotowia. Kiedy strumienie kwasu zaczęły uderzać w bryłę, przez chwilę czuła obcy lęk. Poprosiła o spokój i została wysłuchana.

— Ile czasu to zajmie? — zapytała.

— Być może kilka godzin.

— Mogę wrócić do Kita? Jeśli to możliwe, chciałabym go tu sprowadzić, żeby zobaczył końcowy rezultat.

— Zadzwoń. Można go będzie zwieźć windą. Sam z niej nie korzystam, jest zbyt klaustrofobiczna — wyjaśnił mężczyzna, który przeszedł najtrudniejsze podziemne jaskinie Anglii.

Kiedy wróciła, Kit spał. Zrobiła sałatkę i pokroiła kilka truskawek, odstawiając jedzenie, żeby było gotowe, gdy się obudzi.

Siedziała na dębowej podłodze przy stole z jesionu, pijąc zieloną herbatę i obserwując słońce złocące drzewa Midsummer Common, kiedy na jej komórkę zadzwoniła sierżant Ceri Jones, młoda operatorka radiostacji, która rozmawiała z członkami ekipy ratowniczej w jaskini.

— Jestem w Ingelborough Fell. — Z odległości ponad trzystu kilometrów jej akcent wydawał się wyraźniej szy niż wówczas, gdy rozmawiały osobiście. — W końcu udało się nam ściągnąć zespół dochodzeniowy do twojej zabójczej jaskini. Właśnie wrócili. Pomyślałam, że chciałabyś wiedzieć.

— Dzięki.

— Co z Kitem?

Stella odwróciła się, by na niego spojrzeć. We śnie jego twarz miała lepszy kolor i wydawała się symetryczna.

— Dziś rano wypisali go do domu. Lepiej być nie może.

— Cieszę się. — Ceri przerwała na chwilę i Stella usłyszała wiatr wiejący od wrzosowiska, porykiwanie krów i odgłosy samochodów. — Mam kamerę internetową, jesteś podłączona do sieci? — zapytała.

— Mogę być.

Laptop Kita miał kamerę w obudowie monitora, dzięki czemu mogła nawiązać połączenie wideo. Na ekranie ukazała się Ceri. Smagana wiatrem i niestrudzona, miała smugi błota na twarzy, a mokre, kręcone czarne włosy oblepiały jej głowę. Patrzyła w kamerę przenikliwym wzrokiem, ledwie nad sobą panując.

— Co znaleźliście? — zapytała Stella.

— Dwie rzeczy. Pierwsza i łatwiejsza to szkielet. Jak wiesz, w jaskini z rysunkami z epoki lodowcowej były zwłoki człowieka trzymającego miecz.

— W podziemnej katedrze? W życiu nie widziałam czegoś równie pięknego. Zjechało się tam pełno antropologów.

Ceri uśmiechnęła się.

— Chodzili jak grzyby po deszczu. Badacze zastanawiają się, jak powiększyć przejście, żeby móc oglądać rysunki bez konieczności pełzania na brzuchu. W naszym zespole mieliśmy patologa sądowego, więc mogę ci powiedzieć, że twój szkielet należy do mężczyzny mającego sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. W chwili śmierci miał sześćdziesiąt kilka lat. Co ważniejsze, zdaniem specjalistów szkielet ma

przynajmniej czterysta lat, a zatem facet zmarł w czasach Cedrica Owena. Sama zobacz...

Ekran mrugnął i Ceri zniknęła. Zamiast niej ukazało się zdjęcie miecza sfotografowanego na tle białawej ściany. Rękojeść była wykonana z brązu lub mosiądzu, a głownia z pokrytego rdzą żelaza. Drugie zdjęcie, przesłane w chwilę później, przedstawiało niewyraźne zbliżenie elementu poprzecznego, na którym widać było jakieś znaki.

— To inicjały na rękojeści?

Na ekranie ponownie pojawiła się twarz Ceri.

— To litery RM oraz rzymska liczba dwanaście.

— Dwunastym dziekanem College'u Świętego Bedy był Robert Maplethorpe — powiedziała Stella. — To nie może być Maplethorpe. Maplethorpe zginął w bramie uczelni, w dzień Bożego Narodzenia roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym ósmym, broniąc Cedrica Owena.

— Okay. Pozostawimy tę kwestię otwartą, dopóki nie znajdziemy lepszej odpowiedzi. Zwyczajnie myślałam, że chciałabyś wiedzieć.

- Dzięki. Jeśli to była łatwa sprawa, co jest trudniejszą?

Ceri zmarszczyła czoło i rozejrzała się dokoła.

— Byliśmy ponownie na tej koszarnej półce — zaczęła powoli, starannie dobierając słowa. — Założyliśmy haki i liny, więc teraz jest tam bezpiecznie, musieliśmy jednak przejść trasę dwukrotnie, żeby to zrobić. Najpierw się czołgaliśmy, a później było jeszcze gorzej. W żadnym miejscu nie natrafiliśmy na skałę, w którą można by uderzyć głową tak mocno jak Kit.

Przerwała, czekając na jej reakcję. Kiedy Stella nie odpowiedziała, stwierdziła:

— To oznacza, że miałaś rację. W jaskini był ktoś oprócz was.

— Czy Kit mógł się uderzyć podczas upadku?

— Nie. Ściana obok półki, z której spadł, jest przewieszona. To niemożliwe, żeby uderzył się w głowę podczas spadania. Nasz patolog sądowy jest pewny, że nie był to wypadek. W każdym razie, gdy inni byli zajęci robieniem zdjęć, poszłam w górę rozwidlenia prowadzącego do Gaping Ghyll, aby się rozejrzeć. Znalazłam to...

Ekran ponownie zamigotał. Na krótko pojawiła się głowa Ceri, a po chwili Stella ujrzała jej brudną rękę z plastikową butelką.

Sekundę później Ceri była znowu na wizji.

— Kupiono ją na stacji benzynowej przy autostradzie M-Sześć. Z boku jest nadruk z datą, więc możemy zawęzić przedział czasowy. Gdybyśmy mieli forsz, zbadalibyśmy ją na obecność śliny i sprawdzili ślady DNA, by porównać je z tymi, które mamy w bazie danych. Niestety, nie stać nas na to. W tej chwili można jedynie stwierdzić, że we wspomnianym czasie w jaskini był ktoś oprócz was. Zachodzimy w głowę, co mogłoby być motywem usiłowania zabójstwa. Gdybyśmy znali motyw, moglibyśmy skłonić przełożonych, do sprawdzenia zapisu z kamer wideo na stacji benzynowej, żeby ustalić, kto kupował wodę w dniu wypadku Kita.

Właściwie w jej słowach kryło się coś więcej niż pytanie. Stella rozłożyła szeroko ręce.

— Jeśli przyjdzie nam do głowy jakiś sensowny powód, dla którego ktoś mógłby chcieć zamordować Kita, detektyw inspektor Fleming pierwszy się o tym dowie. Możesz mu to powiedzieć.

— Przekażę. Dzięki. Prześlę ci e-mailem wszystko, co znajdziemy.

Przerwały połączenie. Słońce zamieniło się w czerwoną kulę wiszącą na zachodzie. Do życia zaczęły się budzić bary i puby w okolicy Magdalenę Bridge, rzucając wielobarwne światła na wodę. Kaczki spały na brzegu. W jakiś czas później jej telefon zadzwonił ponownie.

— Twój tycki kamień jest gotów — powiedział niespokojnie Gordon Fraser. — Mam nadzieję, że ty również.

Absolutnie nie była gotowa.

Niezwykłe powściągliwy Gordon powitał ją i Kita w drzwiach windy, a następnie zaprosił do laboratorium pełnego ciszy i fluorescencyjnego światła.

Kit jechał pierwszy. Sunął korytarzem w wózku inwalidzkim, ostro biorąc zakręty. Stella biegła tuż za nim, lecz wyprzedził ją na ostatniej prostej.

— Dobry Boże... — wyszeptał ochryłym głosem, pełnym podziwu lub lęku.

Stella nie wiedziała, którego z tych uczuć doświadcza. Potknęła się o tylne koło wózka i rzuciła przekleństwo, by chwilę później stanąć nieruchomo jak on.

— Chryste.

Błękit. Widziała jedynie krystaliczny, doskonały błękit nieba — tak piękny, że język nie mógł tego wyrazić. Podeszła bliżej, przyciskając nos do szyby.

Gordon nie zdjął kamienia z małego plastikowego cokołu, na którym go umieściła.

Laboratorium wypełniał gęsty, oślepiający błękit, który

przyćmiewał poranne niebo, docierając we wszystkie kąty, usuwając z pola widzenia kurz i nowoczesną technologię.

Stella przykucnęła, by kamień znalazł się na wysokości jej oczu. Uwolniona z wapiennej skorupy czaszka była doskonała — wykonana z nieskazitelnego kryształu pochłaniającego światło — migotała miękkim, delikatnym blaskiem.

Z przodu gładki łuk sklepienia czaszki przechodził w dwa zagłębienia oczodołów ponad ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Otwór nosowy tworzył wyraźny trójkąt. Dolna szczeka sprawiała wrażenie wykonanej z oddzielnego kawałka, więc czaszka mogła otworzyć usta i krzyknąć, gdyby ktoś chciał zrobić komuś kawał.

Stella nie miała ochoty na żarty.

— Kit, masz torbę? — zapytała cichym głosem.

— Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Tym, który zadał to pytanie, był Gordon. Stał w przeciwnym końcu sali, poblady, z szeroko otwartymi oczami. Nie zbliżył się do niej.

— Osobiście wolałbym się wcześniej upewnić, czy zdołam nad nią zapanować — powiedział tym samym drżącym głosem, którym mówił przez telefon.

— O co ci chodzi?

— Sam nie wiem. Ta czaszka może wykraść człowiekowi duszę, a nie jestem pewny, czy chcę, aby mnie to spotkało. Jest zbyt piękna. Prosi, by ją podnieść, lecz gdy to zrobisz, nie sądzę, żebyś zdołała ją zostawić. Powiem otwarcie, myślę, że byłoby bezpieczniej umieścić ją pod kafarem. Mamy tu jeden, gdybyś potrzebowała.

Zapadła cisza. Stella zamiast na kamień spojrzała na Kita.

— Co ty na to?

Wzruszył zdrowym ramieniem.

— Tony twierdzi, że czaszka zabije każdego, kto jej do tknie. Wszystko zawsze sprowadza się do tego samego. Albo uwierzysz, że jest śmiertelnie groźna i uznasz, że żaden kamień nie jest wart tego, żeby oddać za niego życie, albo uwierzysz, iż ta czaszka może nas czegoś nauczyć i że warto zaryzykować. Rozmawialiśmy już o tym. Jeśli zmienisz zdanie, chętnie włożę ją pod kafar.

— Sądzisz, że czaszka wykradła mi duszę?

— Szczerze? — Dostrzegła krótkie wahanie, którego nie zdołał ukryć. Próbował sformułować trzeźwą opinię, z czym kiedyś nie miał najmniejszego problemu. — Myślę, że jesteś silniejsza od niego — powiedział z wymuszonym uśmiechem. — Gdyby było inaczej, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy.

— Nie obawiasz się jej? — zapytał Gordon.

Kit wydał wargi.

— Nie zauważyłem. To... to niezwykle, lecz nie wiem, czego mielibyśmy się obawiać.

— W takim razie jesteś silniejszy ode mnie. Może w głębi duszy jestem mięczakiem. — Gordon rozluźnił ramiona, jakby za chwilę mieli rozpocząć trudne podejście. Ruszył, by otworzyć szafę. — Jeśli chcesz usłyszeć garść naukowych bredni, by uszczęśliwić księgowych, powiem, że ta twoja błyskotka została wykonana z jednego kawałka błękitnego kwarcytu, znanego jako szafir — oznajmił bardziej normalnym głosem.

— Co?!

Na jego brodatej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Przedmiot, na który patrzysz, to przypuszczalnie największy kamień jubilerski, jaki znaleziono na północnej półkuli.

— Jaką ma wartość? — zapytał Kit.

— Poddaję się. Więcej, niż zdołałbym zarobić na uniwersytecie przez długi, długi czas. Jeśli szukasz motywu zabójstwa, nie sądzę, by ktoś chciał go ukraść a następnie pociąć na mniejsze kawałki i sprzedać żonom piłkarzy. Ten klejnot ma w sobie coś, co budzi dreszcz i powoduje, że człowiek chciałby zatrzymać wszystko dla siebie. Teraz jest cały twój...

Otworzył drzwi szafy, a Stella uniosła kamień, czując, jak ogarnia ją błękitne światło. Poczula zaproszenie, uczucie powrotu do domu, więź nowej przyjaźni.

— Skąd pochodzi? — usłyszała w oddali pytanie Kita.

— Ze Szkocji — odpowiedział Gordon. — Widziałem jeden lub dwa kamienie tej barwy w złożach bazaltu w Loch Roag na wyspie Lewis, żaden nie był jednak tak duży i bez skaz. Gdybyście chcieli, mógłbym wykonać skan i przeanalizować pasma światła. W ten sposób dowiemy się, skąd pochodzi, chociaż nie można stwierdzić, czy czaszkę wykończono tutaj. Kryształ mógł zostać przewieziony na drugi koniec świata, zanim ktokolwiek go dotknął. Tak czy owak, oszlifowano go w poprzek żyłkowania kryształu, czego trudno dokonać, nie rozbijając go na tysiąc małych kawałków. Z pewnością nie jest to jakaś niemiecka podróbka. Oni nie wiedzą, jak to zrobić, żeby nie zniszczyć kamienia.

Stella słuchała go jednym uchem, całą uwagę skupiając na kamiennej czaszce, którą ułożyła w zgięciu łokcia.

Jestem bowiem twoją nadzieją u kresu czasu. Trzymaj mnie tak, jakbyś trzymał niemowlę. Słuchaj niczym głosu kochanka. Zaufaj tak, jak zaufałyś swojemu bogu, kimkolwiek jest.

Gordon miał słuszność, kamień posiadał jej duszę. Z drugiej strony pomylił się, nie było bowiem w tym nic groźnego. Zaufała kamieniowi tak, jak on zaufał jej. Łącząca ich więź była teraz bardziej spokojna, jakby usunięcie wapiennej skorupy otworzyło kanał, pozwalający kamieniowi odwzajemnić się równą troską.

W nowym miejscu jej umysłu pojawiła się przestrzeń otwartego nieba, ofiarowując spokój, którego wcześniej nie знаła. Stella wkroczyła do niego tak, jak weszła do jaskini, z tą samą potrzebą odkrywania i, podobnie jak wówczas, nie wiedząc, co może ją spotkać.

Kit musiał zadać inne pytanie, bo Gordon zaczął udzielać odpowiedzi.

— Niemcy są mistrzami w cięciu kwarcu. — Zamknął szafę i zgasił światło. We wnętrzu czaszki płonął głęboki błękitny płomień. — W najczarniejszej części Szwarzwaldu jest wioska, w której wykonują kryształowe czaszki, żeby sprzedawać je łatwowiernym jankesom. Ta jest inna. Po stawilibym na to całą moją naukową karierę.

Wskazał palcem kamień leżący na ręce Stelli i powiedział:

— Widzisz, jak łuki jarzmowe wyginają się w promieniach światła? Oczodoły pełnią rolę soczewek skupiających je we wnętrzu czaszki. Ludzie dwudziestego pierwszego wieku nie znają się na takiej robocie. Nie pozostał nikt, kto wiedziałby, jak tego dokonać.

Przeszedł na drugą stronę sali i stanął przy komputerze, przebierając wielkimi paluchami po klawiaturze.

— W takich sprawach wszystko zależy od pochodzenia, więc pozwoliłem sobie wykonać kilka zdjęć przed rozpoczęciem procedury. Spójrzcie na duży ekran — mówiąc to, wskazał ścianę laboratorium, na której umieszczono szeroki ekran kinowy — a ujrzycie szczeliny w skale.

Szczelina w białej kredzie była błękitna u podstawy. Jakość obrazu zapierała dech w piersi. Na zbliżeniu, w wysokiej rozdzielczości, nawet wapień prezentował się imponująco. Gordon sięgnął po laserowy wskaźnik. Na wielowarstwowym tworzywie ekranu ukazała się wirująca czerwona kropka.

— To kolejne warstwy osadu. Gęstość i szerokość zależy od powtarzających się cyklicznie okresów. W takiej rozdzielczości nie można tego dokładnie pokazać, jeśli jednak wybaczycie mi toporne przybliżenie, można bezpiecznie stwierdzić, że twoja kamienna czaszka spoczywała w wodzie o wysokiej zawartości węglanu wapnia przez jakieś czterysta dwadzieścia lat plus minus pięć procent.

— Zatem należała do Owena — stwierdził Kit.

— To ten przedział czasowy. Tyle mówi geologia. Nie wiem jak ty uważasz, nie sądzę jednak, żeby były w tej kwestii większe wątpliwości.

— Nie posunęliśmy się do przodu, prawda? Będziemy próbowali przeżyć dostatecznie długo, by ustalić wyznaczony czas i miejsce... oczywiście, jeśli uzyskamy wskazówkę, o co chodzi — zauważył Kit. — To trywialne.

— Najpierw musimy ustalić, do kogo należała — powiedziała Stella z podłogi.

— Poznaję ten głos. — Kit podjechał na wózku, żeby

lepiej ją widzieć. Z jego twarzy zniknął uśmiech. — O co chodzi?

Stella potrząsnęła głową.

— Sama nie wiem. — Miała problem z wyjaśnieniem. Niezwykle połączenie mgiełki, płomienia i światła oraz kryształu wydawało się bardziej naturalne od nich samych. — Ciągłe widzę jakąś twarz, lecz bardzo niewyraźnie. Powraca i znika, kiedy spoglądam na kamień.

— Twarz czaszki?

— Tak mi się wydaje. Takie mam wrażenie. Czy znamy kogoś zaufanego, kto mógłby pokryć ją ciałem?

— To nie moja działka. — Kit spojrzał na przyjaciela. — Gordon, znasz kogoś takiego?

— Przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba. — Mały Szkot spojrzał niepewnie na Kita. — Znasz Davy'ego Lawa? Davy'ego Lawa, który zaczął studiować antropologię medycyno-sądową po wyjeździe z Cambridge?

Na chwilę zapadła niezręczna cisza, której Stella nie rozumiała.

— Nie, tylko nie on! — zaprotestował Kit.

Gordon poczerwieniał, co było równie zaskakujące.

— To absolwent College'u Świętego Bedy, umie zachować dyskrecję.

— Błagam.

— O co chodzi? — zapytała Stella, spoglądając na jednego i drugiego. Poczula ostrzegawczy sygnał u podstawy czaszki, każący zapomnieć o twarzy i mgielce, która ją spowijała.

Kit westchnął głęboko.

— David Law studiował medycynę, lecz zrezygnował z nauki, żeby zająć się czymś mniej uciążliwym. To cherlawy gnojek

o zębach nutrii nafaszerowanej sterydami i włosach jak szczurze ogony. Kiedy był sternikiem osady, reprezentacja college'u po raz pierwszy w historii przyplęnęła na metę ostatnia. Stella wyprostowała się, wybuchając śmiechem.

— Trudno to uznać za przestępstwo zasługujące na powieszenie.

— Napastował jedną z zawodniczek żeńskiej osady w noc poprzedzającą wyścig.

— Co? — Postawa Stelli uległa zmianie. — Czy to prawda, Gordon?

— To pomówienie. Christianie O'Connor, powinieneś wiedzieć, jak było naprawdę.

Gordon był rozgniewany, a jego twarz płonęła rumieńcem. Spojrzał na podłogę, by po chwili ponownie podnieść głowę.

— Krążyły różne plotki, lecz nie było dowodów. Mimo to pogłoski wystarczyły, by zniszczyć mu karierę. Zrezygnował z dalszej nauki i wyjechał, przyłączając się do organizacji Lekarze bez Granic. Opatrywał rany po kulach i leczył przypadki biegunki u dzieci w palestyńskich obozach dla uchodźców. Po powrocie pracował jako antropolog sądowy.

— Zajmuje się badaniem zmarłych? — Kit zaśmiał się głucho. — To coś w sam raz dla niego.

Gordon spojrzał na Kita gniewnym wzrokiem.

— Przez pięć ostatnich lat drażnił turecki rząd w Ankarze, nadając imiona i twarze kościom Kurdów pochowanych w zbiorowych mogiłach. Nie każdego byłoby na to stać. Obecnie prowadzi zakład patologii sądowej w szpitalu Radcliffe w Oksfordzie. Możesz pozostać przy swoich uprzedzeniach, lecz jeśli Stella chce znaleźć kogoś, kto zachowa milczenie, a jednocześnie zrekonstruuje twarz maski, to jest

nim Davy. To jeden z niewielu, którzy nie będą się jej lękać, a jednocześnie nie zechcą cię zabić, aby ją posiadać. Trudno ci będzie znaleźć kogoś takiego jak on.

Kit zmierzwił włosy zdrową ręką. Przez chwilę wyglądał tak, jakby miał zamiar się spierać, lecz w końcu potrząsnął głową z rezygnacją.

— To nie moja sprawa. Co robimy, Stell?

Chciała pójść za słabym ostrzeżeniem, które pojawiło się w jej umyśle, lecz zniknęło chwilę po tym, jak się pojawiło. Włożyła kamienną czaszkę do plecaka i zamknęła go. Kiedy kamień zniknął, laboratorium wydało się ponure. Wstała, poprawiając ją na plecach, jak tamtego dnia w jaskini.

— Tony powinien już wrócić — powiedziała. — Czas najwyższy oczyścić sumienie. Moglibyśmy pójść do niego i opowiedzieć wszystko, czego się dowiedzieliśmy? Napisał biografię Cedrica Owena razem z Ursulą Walker, poza tym będzie wiedział, co naprawdę przydarzyło się Davy'emu Lawowi. Jeśli uzna, że zwrócenie się do Lawa to zły pomysł, damy sobie spokój. Jeżeli nie, pojedziemy do niego jutro rano, a następnie złożymy wizytę Ursuli. Umowa stoi?

Szli wolnym krokiem rozgrzany ulicami Cambridge. Wieczorem studenci, którzy nie wyjechali na wakacje, mieszały się z napływającymi turystami, kawiarnie otwierały się na ulice, a taksówki pędziły w obie strony jednokierunkowymi uliczkami, przylegającymi do strefy zamkniętej dla ruchu kołowego.

Żeby Kit mógł się sprawniej poruszać na wózku, wybrali mniej zatłoczoną trasę przebiegającą obok słynnych colle-

ge'ów King's, Trinity i John's, skręcając w lewo przed Round Church, a następnie w prawo, przed Magdalene Bridge, na ścieżkę biegnącą wzdłuż brzegu rzeki. Czarna toń była spokojna, głęboka i nieruchoma z wyjątkiem miejsc, w których kładły się na niej różnobarwne refleksy świateł pubów i barów przy moście.

Kit uczył się obsługiwania wózka. Z dala od miasta był bardziej śmiały, odważył się bardziej rozpędzić wózek, by uciec przed światłem i zgiełkiem. Przeszli obrzeżem Jesus Creek, gdzie nieliczne pary przytulały się do siebie na szarzielonej trawie. W pobliżu Midsummer Common stanęli pod drzewami.

— Nie ma go — powiedziała Stella.

Wykonane z piaskowca i granitu zabudowania College'u św. Bedy leżały po drugiej stronie rzeki — utrzymane w ekstrawaganckim stylu epoki Tudorów, a jednocześnie cechujące się georgiańską prostotą. Gmach biblioteki przytłaczał kaplicę, niknąc w cieniu kwadratowej wieży, w której znajdowały się pokoje dziekana.

Tu i tam zza zaciągniętych kotar przebijało przyćmione światło, lecz w gabinecie Tony'ego Booklessa było ciemno.

Kit ujął ją za rękę. Cienie wydobywane przez światło gwiazd i księżyca łączyły się ze sobą, usuwając z jego twarzy sińce Arlekina. Wyglądał teraz na młodszego i nieskalanego. Ucałowała jego kciuk.

— Chodźmy na geometryczny most Johna Dee. Poczekamy na Tony'ego. Będzie tamtędy przechodził, wracając z Old School.

Drewniany, jednoprzęsłowy pozbawiony metalowych sworzni i bolców most rozpościerał się pojedynczym łukiem nad

rzeką, podtrzymywany prawami czystej geometrii. Dla Kita miejsce to było świątynią pod gołym niebem, punktem równowagi, w którym ład wznosił się ponad wodą w sposób doskonalszy niż w jego pokoju, gdzie potęga umysłu spotkała się z potrzebą serca, tworząc formę w równym stopniu piękną, co funkcjonalną.

Było to miejsce idealne do tego, by uleczyć dawne rany, odnowić zerwane więzi lub zwyczajnie siedzieć w milczeniu, co zawsze robili, gdy nie czuli potrzeby rozwikływania zagadek z przeszłości.

Kiedyś nie czaiły się potwory rzucające tak silny cień na teraźniejszość.

Stella usiadła, przekładając nogi przez drewnianą barierkę, by swobodnie zwisały ponad czarną, atlasową wodą. Kamien- na czaszka kołysała się delikatnie na jej plecach. Usłyszała ostrzegawczy sygnał. W jej umyśle zaczęły tańczyć żółte światełka zapowiadające burzę.

— Jeśli mamy odwiedzić Davy'ego Lawa, muszę wiedzieć o nim coś więcej — powiedziała.

Kit nie odrywał oczu od okien gabinetu Tony'ego Booklessa.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia. Wyjechał i nigdy nie wrócił.

— A wcześniej?

— Wcześniej zaprzepaścił swoją karierę. To wszystko.

— I był sternikiem osady, która dopłynęła ostatnia.

— Tak, to również.

Przysunął wózek do barierki haku, by móc spoglądać w dół na wodę. Chwilę później odwrócił się i pogładził dłonią jej krótkie włosy. Zmarszczyła pytająco brwi:

— I?

— Nie warto tego drażnić, Stell. To brudne, stare sprawy. Może Gordon ma rację. Może Davy Law się zmienił. Poprze stańmy na tym i zobaczmy, jaki obrót przybierze jutrzejsze spotkanie.

— Jeśli w ogóle do niego dojdzie. Tony może nam je odradzić.

— Nie zrobi tego. Powie to samo co Gordon. Oznajmi, że to absolwent College'u Świętego Bedy, a taki facet wie, co robi.

— Czy tak wielka jest lojalność łącząca absolwentów college'u?

— Silniejsza niż krew. Jeśli jeszcze o tym nie wiesz, poślubiłem niewłaściwą kobietę. — Uścisnął jej dłoń, uśmiechając się. — Ktoś musi być na portierni. Na pewno wie o wszystkim. Oczywiście, nie może podać rozkładu zajęć dziekana nikomu z wyjątkiem policji, założę się jednak o wszystko, poczynając od pocałunku po kawę, że jeśli pokażę mu swoje sińce i wózek inwalidzki, wszystko mi wyjawia. Portierzy wiedzą o wszystkim.

Przytuliła go i posłuchała mimo ostrzegawczych sygnałów kamienia.

— Jeśli okaże się, że masz rację, dostanę pocałunek czy kawę?

— Jedno i drugie. — Opadł na siedzenie. — Ścigamy się do portierni?

— Kit, nie! — Próbowwała złapać za rączki wózka, lecz Kit już wystartował. Dopiero wtedy odkryła, jak szybko można się poruszać na wózku inwalidzkim. Wygrał.

Z powodu siniaków, wózka inwalidzkiego i opinii, jaką się cieszył w college'u, portierzy faktycznie przekazali mu wszystkie informacje, których potrzebowali. Dziekan miał wrócić pół godziny temu, lecz do tej pory się nie pojawił. Nie mieli pojęcia, co go zatrzymało.

Zaproponowali im kawę lub herbatę wraz z możliwością wysłuchania najnowszych plotek. W ich towarzystwie Kit wydawał się rozluźniony, otwarty i wylewny. Opowiadał o wydarzeniach w jaskini, tak jakby była to przyprawiająca o zawrót głowy przygoda, jakby potrzebował tygodnia lub dwóch, by dojść do siebie, wrócić tam i ponownie przejść całą trasę.

Stella mogłaby go słuchać całą noc, gdyby kamienna czaszka pozwoliła jej na to. Wytrzymała tyle, ile zdołała. Alarmujące, przenikliwe promienie lęku stały się tak oślepiające, że musiała dotknąć jego nadgarstka.

— Co się stało?

Potrząsnęła głową, żeby mu to powiedzieć, lecz nie potrafiła.

— Coś jest nie tak, sama nie wiem co. To dlatego, że jesteśmy tutaj zamiast... — W tym momencie nabrała pewności. Wstała. — Powinniśmy wrócić do pokoju nad rzeką. Natychmiast.

Ponieważ Kit nie mógł biec, Stella zostawiła go pod opieką portierów i ruszyła sama, przynaglana przez kamienną czaszkę, spoczywającą w plecaku.

Przebiegając obok krążganków w stronę pokoju nad rzeką, pozdrowiła ręką brązowy posąg Edwarda III, przekroczyła trawnik, którym nie wolno było chodzić, a następnie przemknęła przez łuk bramy Dziedzińca Lancasterów prowadzący

ku schodom, by w końcu wpaść na podest przed pokojem Kita, gdzie w blasku półksiężyca na szklanym witrażu rycerz bez zbroi stał naprzeciw smoka.

W świetle dnia potrafiła godzinami obserwować tęczę migoczącą w witrażu, śledząc detale zawilej sztuki Tudorów. Teraz smoka oświetlały jedynie bezbarwne promienie ulicznej lampy, a blask księżyca wpadał na korytarz tam, gdzie Christopher Marlowe wyrył swoje imię na poręczy schodów.

Kiedyś Kit pokazał jej, jak wyczuć czubkiem palca literę imienia poety, co podobno przynosi szczęście. Tej nocy trudno było mówić o szczęściu. Gdy pędziła po schodach, żółte światełka w jej głowie przerodziły się w lawinę spadających gwiazd. Wyłamany zamek, i otwarte drzwi były niepotrzebnym ostrzeżeniem. Wiedziała co znajdzie w środku.

Zamknęła oczy, oparła się o framugę drzwi i poczekała, aż mdły smak w ustach i wściekłość z powodu bezsensownego zniszczenia pięknego, zabytkowego miejsca osłabną.

Tak mi przykro, Kit...

— Stell? — Kit stał przy niej, podczas gdy portierzy czekali na dole. Ujął jej dłonie. — Co on zrobił?

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie zdołała tego zrobić. Poczowała zawroty głowy, ucisk za oczami i żyły występujące na szyi.

— Stell? — Ponownie wyciągnął rękę, żeby po chwili ją opuścić. — Co się stało?

Kamienna czaszka zamilkła, dając jej okazję do zastanowienia.

Zawsze lubiła pokój Kita nad rzeką i czuła się w nim jak w domu. Teraz odczuwała jedynie wściekłość i przerażenie.

Stała wśród powyrywanych szuflad, rozrzuconych ziarenek kawy i papierów. Pokój Kita, przybytek ładu i porządku, został zbezczeszczonej z furją, która przeraziła ją tak samo, jak cicha groźba człowieka idącego za nimi w jaskini.

— On cię zna — powiedziała. — Mógł to zrobić jedynie człowiek, który cię zna.

— I nienawidzi — dodał Kit. Stella usłyszała pisk wózka i chwyciła jego rękę. Objęli się bez słów, milcząco wyrażając przerażenie i współczucie.

Uścisnęła i puściła jego dłoń. Zaczęła łączyć fakty w większy obraz.

— Nie szukał jedynie kamienia. Zniknął twój komputer ze wszystkimi plikami. Cała praca dzisiejszego popołudnia.

Twarz Kita pobladła pod siniakami. Wykonał obrót krzesłem.

— Firma ubezpieczeniowa zapłaci za PowerBook.

— Po co, skoro straciliśmy wszystkie materiały? Księgi zniknęły. Zniknął zaszyfrowany tekst i stenogram. Wszystko.

Kit uniósł zdrową brew i uśmiechnął się połową twarzy.

— Kochanie, rozmawiasz z komputerowym maniakiem. Mój komputer trzy razy w ciągu doby zapisuje kopie bez pieczęstwa na serwerze w bibliotece i raz dziennie robi backup w trybie offside. Mamy kopie zapasowe wszystkich dokumentów. Dysponujemy też kopiami kopii. Rano mogę załadować najnowszą wersję z mojej strony i będziemy mogli zabrać ją ze sobą do Oksfordu. — Spojrzał w bok. — Nadal tam jedziemy?

— Oczywiście. — Opanowała gniew, czując, że przestał ją paraliżować. Jego miejsce zajął rozlewający się coraz szerzej ocean lęku. — Dziś wieczorem, w tej chwili, zadzwonimy na

policję i zobaczymy, czy potraktują nas poważnie. Jutro pojedziemy do Oksfordu dowiedzieć się czegoś więcej o kamiennej czaszce.

Policjanci pracowali z cichą skutecznością, jakby tym razem potraktowali ich poważnie. Nie udało się znaleźć żadnych odcisków palców ani śladów wskazujących na tożsamość intruza. Opieczętowali pokój i poczekali, aż Kit zadzwoni na portiernię, żeby znaleźć sobie jakieś miejsce do spania. Później wyrazili mu współczucie i zrozumienie oraz podali numer do terapeuty. Obiecali skontaktować się z policją z North Yorkshire i zawiadomić ich o tym, co zaszło. Niestety, nie robili im większej nadziei, że uda się odnaleźć sprawcę.

Stella trzęsła się ze strachu po raz pierwszy od czasu wypadku, gdy późną nocą leżeli w obcym pokoju. Mieli oddzielne łóżka w pomieszczeniu, które portierzy znaleźli w części budynku przeznaczony dla gości. Sądziła, że Kit śpi, i zrozumiała, iż się myliła dopiero wówczas, gdy podjechał wolno na wózku i dotknął jej zdrową ręką.

— Stell?

— Mmm?

— Gordon miał słusność.

— W jakiej sprawie?

— Czaszka opanowała część twojej duszy. Nie jesteś kobietą, z którą się ożeniłem.

Objęła go, nie panując nad drżeniem. Błękit w jej świadomości był jedynym obszarem spokoju.

— Czy to źle? — zapytała.

— Nie wiem. — Pocałował ją w delikatną skórę na karku. — Jesteś piękna, gdy czujesz w sobie morderczy gniew. Martwię się o ciebie.

— Ten kij ma dwa końce. Ty też nie jesteś mężczyzną, którego poślubiłam. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie to martwi.

Wyczuła połowiczny uśmiech, który teraz stał się niemal normalny.

— Nie musisz mi tego mówić. Masz to wypisane dużymi literami na czole. Doznałem jedynie fizycznej szkody i jeśli nie powrócę do zdrowia, świat się zawali. Myślę, że w twoim przypadku może być inaczej.

— Świat może się zawalić?

— Koniec twojego świata może oznaczać koniec mojego. Czy możesz złożyć mi jeszcze jedną obietnicę? Czy przyrzekniesz, że nigdy nie pójdziesz tam, skąd nie ma powrotu?

Nie była to wielka prośba. Przytuliła go i pocałowała, dostając w zamian całusa. Kiedy drzenie osłabło, powiedziała:

— Obiecuję, że nigdy nie pójdę tam, skąd uznam, że nie zdołam wrócić.

Chociaż nie odpowiadało to dokładnie jego prośbie, uznała, że jest jej wystarczająco bliskie. Kit zaczął zapadać w drzemkę. Przyciągnął ją do piersi i pogładził włosy zdrową ręką, by po chwili zasnąć w tej pozycji. Dopiero gdy uniosła się wysoko w nieskazitelnym błękicie snu, dostrzegła otchłań dzielącą to, o co ją prosił, od tego, co mu obiecała. Było już jednak za późno, żeby to zmienić.

Zama, Nowa Hiszpania, październik roku 1556

*Kiedy Słońce przyćmi Wenus, Za ich
wspaniałością pojawi się ukryty kształt:
Merkury pogrąży je w ogniu, Znieważając
wojennym zgiełkiem.*

Czterowiersz 28, Centuria IV, Nostradamus

— W swojej ignorancji moje dziatki wierzą, że nie jesteśmy pierwszymi ludźmi, lecz piątą i ostatnią rasą mieszkańców ziemi. Mają o tym świadczyć takie ich dzieła, jak ów przybytek, który macie przed oczami. Zachowałem go w takim stanie, w jakim go znalazłem, gdym pierwszy raz postawił tu stopę i obrał tę świątynię za swój dom. To ubogie miejsce wydaje się pałacem w porównaniu z domostwami, które zamieszkuje moja trzódka. Mimo upału, panującego na zewnątrz, jest w niej chłodno. Czy wejdziecie do środka? Diego poda nam wino, chyba że zechcecie podzielić się własnym...?

Było jasne, że chociaż ojciec Gonzalez Calderón, ksiądz sprawujący opiekę nad mieszkańcami Zamy, ma powierz-

chowność najemnego zbira, skrywa pod nią umysł i maniery prałata. Równie jasne stało się też to, że zaprosił kapitana „Aurory” i jego medyka z obowiązku, nie zaś dla przyjemności. Chociaż ściany zdobiło wiele obrazów, przedstawiających ukrzyżowanego Chrystusa i Jego mękę, wystarczyło rzucić okiem na sprzęty, aby stwierdzić, że ojczulek nie był człowiekiem hołdującym przyjemnościom ciała.

Dość pechowo, nie był zachwycony krzykliwością de Aguilara; Hiszpan wydawał się być w szczególnie wylewnym nastroju. Wyrażał entuzjazm od chwili, gdy rzucił linę z „Aurory” i zachował ów nastrój do czasu, kiedy w domu księdza, będącego niegdyś świątynią, pochylił się, by obejrzeć barwne mozaiki, zajmujące dużą część podłogi, oraz wydając okrzyki podziwu i zachwytu nad tym, co widzi.

Czynił to, aby odwrócić uwagę gospodarza od medyka „Aurory” i własnej osoby, i trzeba przyznać, że mu się to udało. Owen obserwował, jak ksiądz odwraca wzrok od ostentacyjnie prostackich kolczyków de Aguilara, czując żal z powodu wyrażonych wcześniej uprzedzeń.

Jeśli to, co słyszeli o Gonzalezie Calderonie, było prawdą, żywiołowość kapitana mogła sprowadzić na nich niebezpieczeństwo, a Owen nie chciał, by przyjaciel doznał szkody, stając w jego obronie. Pragnąc rozpocząć niewinną konwersację, zauważył:

— Budowla ta nie została pomalowana na czerwono, jak pozostałe. Czy ojciec wie dlaczego?

— Oczywiście. Poprosiłem Diega i Dominga, aby pobielili je wapnem wedle mojego przepisu. Czynią to co roku, tego samego dnia.

— Mimo to w dalszym ciągu malują domy na czerwony kolor, przypominający krew. Czyżby robili to na pamiątkę krwawych ofiar z ludzi...

Powiedział to całkiem niewinnie, powtarzając to, o czym wiedzieli wszyscy w Hiszpanii, lecz natychmiast pożałował swoich słów, bowiem twarz kapłana nagle pociemniała.

— Moje dziatki nigdy nie zabijały ludzi, aby przebłagać swoich bogów. Choć są niewykształceni, nigdy nawet o tym nie pomyśleli — odpowiedział cichym głosem pełnym jadu. — Nie są barbarzyńcami w przeciwieństwie do swych wrogów mieszkających na północ i na zachód stąd, na terenie Culhua-Mexica, których przybysze nazywają Aztekami. Cortes sprawił, że stali się posłuszni Bogu, a złoto, które do nich należało, stało się własnością najpotężniejszego króla Hiszpanii.

Dwanaście lat pobytu w Cambridge nauczyło Owena, że w obliczu ludzi, którzy sądzą, iż wiedzą wszystko lepiej od innych, najlepiej przybrać pozę szczerej nieświadomości. Pukając się palcem w czoło, zapytał:

— Czemu zatem wybrali tak niespokojny kolor do ozdoby swych domostw?

Kapłan spojrział na niego niechętnie, a wielki srebrny krucyfiks zafalował na jego piersi.

— Jako bardziej skłonni do refleksji i mniej dzicy od swych sąsiadów mieszkańcy Zamy doszli do wniosku, że jeśli pomalują domy czerwoną farbą, będą przypominały świątynie barbarzyńców oddających cześć diabłu, których stopnie ociekają ludzką krwią. Naśladując ich, moje dziatki miały nadzieję odstraszyć potencjalnych napastników, którzy mogliby... dziękuję, Diego... Proszę, wejdź do środka.

Na rozkaz księdza tubylec ze szramą na twarzy, imieniem Diego — choć Owen nie wierzył, by faktycznie tak się nazywał — prześlizgnął się niczym cień przez wykonaną z trawy zasłonę wiszącą w drzwiach, niosąc tacę z trzema glinianymi kubkami oraz otwartą butelką wina.

Ksiądz traktował Indianina jak pan sługę — niczym uparte dziecko, które powinno być widziane, lecz żadną miarą nie powinno być słyszane. Cedric Owen chętnie uczyniłby podobnie, lecz przeszywające oczy tamtego przenikały jego duszę, wzbudzając ogłuszającą pieśń błękitnego kamienia.

Z wysiłkiem podniósł kubek, spojrzął na księdza i zapytał: — Czy okazało się to skuteczne? Mam na myśli pomalowanie domów czerwoną farbą?

— Jestem tu od niemal dziesięciu lat, a jedynym wrogiem, któremu musieliśmy stawić czoło, była wietrzna ospa. Wnioskuje z tego, że chyba tak — odparł ksiądz, popisując się błyskotliwą logiką. — Trzeba będzie poprosić twojego kapitana, aby wstał z klęczek, w przeciwnym razie nie będzie gdzie postawić stołu. Rozwiązałeś już zagadkę tej mozaiki, senor?

— Żałuję, lecz mi się to nie udało. — Fernandez de Aguilar podniósł się z widoczną niechęcią. Jego oczy lśniły zachwytem, który był tylko trochę przesadzony. Odsunął się od rysunku na podłodze i powiedział: — Myślę, że coś mi świta, lecz rozwiązanie nadal pozostaje niejasne. Senor Owen, nagnijże swoją lekarską logikę, aby rozwikłać dla mnie tę łamigłówkę, zanim uczyni to nasz gospodarz.

W ten sposób całkiem mimowolnie, zaniepokojony groźnym spojrzeniem tubylca, Cedric Owen stanął przed obrazem, który miał na zawsze zmienić trajektorię jego życia.

Z odległości mozaika przypominała dziecinny rysunek namalowany na kamieniu — przypadkowy zbiór kamyków wybranych z powodu jaskrawej barwy, a następnie ułożonych w obrazy na powierzchni około czterech metrów kwadratowych. Ludzkie postacie o wybałuszonych oczach i fantastyczne bestie zastygły w śmiertelnych, przerysowanych zmaganiach, z płonącymi oczyma, zgrzytającymi zębami i członkami splecionymi w odwiecznej walce.

Po bliższym przyjrzeniu okazało się, że kształty są znacznie bardziej skomplikowane. W centralnej części mozaiki za pomocą czerwonych i żółtych kamyków realistycznie przedstawiono ogień otoczony pierścieniem gęsto splecionych liści. Na obrzeżu znajdował się głęboki, szeroki pas przypominający mapę nieba, z gwiazdozbiorami i planetami ułożonymi w sposób, który obiecywał ludziom pragnącym dokładniej go zbadać głębokie poznanie.

W środku, pomiędzy ogniem i niebem, znajdowała się dwojaka przyszłość człowieka uchwycona w stanie wiecznej równowagi. Z jednej strony konflikt, wojna i niedola przedstawione w postaci gwałtownych, wojowniczych postaci, z drugiej przeciwieństwo wojny: letnia łąka pokryta dywanem kwiatów zbyt pięknych, aby można je było nazwać, i zbyt licznych, by dało się je policzyć. Wśród nich klęczało dziecko spokojne w swojej samotności.

Dwa bieguny oddzielała boska linia — szereg czarnych i białych kamyków oraz nić okazałych, barwnych pereł w siedmiu kolorach tęczy z czarnym kamikiem na jednym i białym na drugim końcu.

Kolorów świata jest dziewięć. Siedem barw tęczy oraz czerń pozbawiona światła i biel, która całe zawiera. Barwa

niebieska otrzymała serce bestii i moc wezwania pozostałych dwunastu części swojego ciała i ducha, aby mogły się ze sobą zespolić.

Dawne wspomnienie sprawiło, że Owen nieopatrznie podniósł wzrok. Indianin imieniem Diego, z blizną na twarzy, stał w kącie pokoju niczym niewidoczny cień, uzbrojony w bezlitosne oczy przypominające sztylety, które lśniły i połyskiwały jak elementy mozaiki.

Spojrzenie jego oczu sprawiło, że nie mógł nie dostrzec prawdy.

— Dobry Boże...

Obraz, który miał przed sobą, nie był dziecinnym rysunkiem. W krótkiej chwili serce w nim zamarło, a mozaika skrzystalizowała się w coś zupełnie innego.

— Co widzisz, przyjacielu?

Fernandez de Aguilar zadał to pytanie cichym głosem, tym samym, którym przemówił do niego rano na pokładzie statku. Gdyby kapłan to dostrzegł, gdyby zastanowił się nad zmianą, która zaszła w Hiszpanie i jego angielskim medyku, i gdyby skazał ich za to na stos, żaden by się tym nie przejął.

Pytanie de Aguilara uwolniło słowa Owena.

— To chwila poprzedzająca koniec świata, niczym wstrzymanie oddechu przed początkiem Armagedonu. Widzę mapę nieba, która wskazuje dokładną datę tego wydarzenia. Widzę też nadzieję na odwrócenie ostatecznego zła.

Spojrzał na Gonzaleza Calderóna. W Europie zostałby spalony na stosie za tak niebaczne słowa. Czarne oczy ojca były zamyślane, lecz nie kryło się w nich pragnienie zemsty. Uniósł w górę srebrny krucyfiks i ucałował go.

— Módlcie się bez ustanku.

Owen wziął głęboki oddech.

— Widzę pierwsze słońce, największe ze wszystkich światła, opromieniające długi, mroczny tunel prowadzący do miejsca, w którym narodziła się materia. Widzę Wenus, Gwiazdę Poranną, w szerokich objęciach Merkurego, Posłańca. Widzę jak tańczą w opozycji do Jowisza, Złotego Dobroczyńcy. Jowisz jest w apeksie do Palca Bożego, którym jest Saturn, Wielki Powstrzymujący, drugie ramię zaś...

Słowa uwięzły mu w gardle.

— Widzę planety i gwiazdozbiory w układzie, który nie zajdzie za dni mojego życia ani wielu następnych.

Indianin z blizną obserwował go z zapartym tchem, lecz to ojciec Gonzalez Calderón zapytał miękim głosem:

— Ten obraz nie pojawi się na niebie przez najbliższych czterysta pięćdziesiąt sześć lat. Co zwiastują gwiazdy i planety?

Owen pochylił się przed nim w zadziwieniu.

— Mozaika ukazuje chwilę zatrzymaną w czasie, świat, który zamarł na krawędzi katastrofy. Na szczęście, dostrzegam cień nadziei, że uda się go ocalić. Na zachodzie ukazano konflikt, prowadzący do ostatecznej zagłady, walkę ludzi z całym stworzeniem, ludzi ogarniętych chciwością, żądzą, zazdrością i brakiem troski o innych. Ludzi gotowych zadawać cierpienie innym, a nawet czerpać z tego przyjemność, obojętnych na los bliźniego i depczących wszystko, co istnieje. Owa siła doprowadzi do zniszczenia wszelkiego dobra i zagłady świata.

— Czy nie ma szansy na odkupienie? — zapytał ksiądz.

— Odkupienie jest możliwe, bowiem obok przerażających scen umieszczono obraz spokoju. — Mówiąc to, Owen wska-

zał południowy kwadrant mozaiki. — Na wschodzie, na letniej łące, klęczy mała dziewczynka. Gra w kości, trzymając prawą dłoń naprzeciw lewej. Jej postać jest ucieleśnieniem niewinności, nieskażonej duszy, która może zostać zbawiona, a zatem przynieść nadzieję światu.

— Jesteś pewien, że to dziewczynka, a nie chłopiec?

— Tak mi się wydaje.

— W takim razie nie jest to mały Chrystus. Najwyraźniej popełnili błąd. Pewnego dnia trzeba będzie to zmienić.

Ksiądz ujął w dłoń srebrny krucyfiks w taki sposób, że zamienił się we wskaźnik. Pokazał jedną, a następnie drugą stronę mozaiki:

— Wyjaśniłeś jedynie tło rysunku. Co przedstawiają cztery bestie umieszczone w centralnej części obrazu?

— Ach... — Cóż mógł powiedzieć na ich temat? Owen nie dostrzegł ich wcześniej, niezwykłość kompozycji bowiem polegała na tym, że w jednych obrazach kryły się kolejne. Ich zarysy zaczęły się wyłaniać dopiero pod wpływem spojrzenia okaleczonego Indianina. Nagle cztery bestie oślepiły go swoją niezwykłością i mocą. Kryła się w nich energia, potęga, światło zdolne rozjaśnić najciemniejszy ze światów. Zaczął mówić wolno, próbując wyrazić wspaniałość obrazu, który ujrzał:

— Wspomniałem, że w opisanym obrazie pojawia się nie nadziei. Jej manifestację stanowi główna część mozaiki. Cztery bestie są ze sobą splecione, a jednak odrębne. W północno-wschodnim rogu mamy cętkowanego lwa, myśliwego, który nie ma sobie równych, bestię o lśniącej skórze i błyszczących ślepiach. Obok niego, na południowym wschodzie, spoczywa wąż w szmaragdowe i rubinowe pasy, długi niczym okręt i gruby jak tułów mężczyzny. Po przeciwnej stronie, w części

północno-zachodniej, widzimy orła z rozpiętymi skrzydłami stanowiącymi jego dom, zdolnego unieść w szponach wilka, o przenikliwych oczach barwy złota. Na koniec, w południowo zachodnim rogu widnieje jaszczurka wielka niczym koń, o zębach zdolnych przeciąć człowieka na pół. Gdy te cztery połączą się ze sobą...

Kiedy wypowiadała te słowa, odniósł wrażenie, że bestie ożyły, jakby płaski kamień nie zdołał objąć ich potęgi. Zespoliły się ze sobą gwałtownie. Nogi splotły się ze skrzydłami, głowy z sercami, szpony z ogonami.

W jednej olśniewającej, zapierającej dech w piersi chwili cztery stały się jednym, tworząc bestię nieskończenie potężniejszą od tych, które ją utworzyły.

Obraz był tak olśniewający, że Owen zamknął oczy. Kiedy je otworzył, wąż ziemi zniknął wraz z czterema bestiami, z których powstał.

Mozaika stała się ponownie dziecinnym rysunkiem. Oszołomiony, ukląkł na pasie stanowiącym mapę nieba, bacząc, by nie dotknąć obrazu, który przebiegał pod jego dłońmi w poprzek szeregu barwnych kamieni, jakby oczekiwał, że pod jego palcami uderzą błyskawice lub błękitny kamień zanuci swoją pieśń.

Musiał się rozczarować, ponieważ jeśli nawet w mozaice kryło się jakieś życie, teraz zniknęło. Odważył się spojrzeć w mrok, za księdza, by bez zaskoczenia odkryć, że Indianin z blizną zniknął. W miejscu, gdzie stał, leżało na podłodze jaskrawozielone pióro, wskazując płomień znajdujący się w centrum mozaiki.

Owen stał, czując, że wiruje mu w głowie. Zrobiło mu się głupio. De Aguilar spoglądał na niego w milczeniu, przenik-

liwym wzrokiem, którego Owen wcześniej nie widział. Obie postacie przeciął cień, przerywając napiętą atmosferę. Ojciec Calderón stanął w drzwiach, blokując wejście i wyjście. Złożył ręce na piersi, jak wówczas, gdy stał na pomoście.

— Czy czeka nas śmierć, ojczy? — zapytał spokojnie de Aguilar.

— Być może, lecz nie z mojej ręki. Przynajmniej nie teraz. Może nigdy się to nie stanie. Ojciec Bernardino de Saguin przykazał nam, swoim dziatkom, abyśmy poznali wierzenia Indian, by móc ich lepiej nauczać drogi Chrystusa. Mieszkam w Zamie prawie siedem lat, a ta świątynia jest mym domem od czterech, lecz dopiero niedawno zacząłem pojmować to, co twój medyk tak wyraźnie dostrzegł w pierwszej chwili, gdy ujrzał mozaikę.

— Z tego, co wiem, cętkowana bestia nie jest lwem, lecz jaguarem, zwierzęciem, które Majowie uważają za święte. Jeśli zaś idzie o trzy pozostałe: orzeł symbolizuje powietrze, wąż ogień, a krokodyl wodę. Oczywiście, jaguar ma władzę nad ziemią. Indianie wierzą, że u kresu czasu, który tak wyraźnie dostrzegłeś w ich kamiennej mozaice, bestie połączą się ze sobą, tworząc jedno. Wyobrażasz sobie, co powstałoby z zespolenia tych czterech?

Wspomnienie Nostradamusa ostudziło intensywne światło w umyśle Owena tak, że mógł spokojnie wyjaśnić, co widział.

— Platon nazywał ową bestię Uroborosem — odpowiedział. — Wielobarwnym wężem, który opasuje ziemię nie skończonym współczuciem i pożera własny ogon, aby nigdy nie został od niego oddzielony. W mojej ojczyźnie stwór ten jest uważany za smoka lub dwunożnego skrzydlatego potwora — bestię z cielskiem i pazurami jaguara, głową krokodyla,

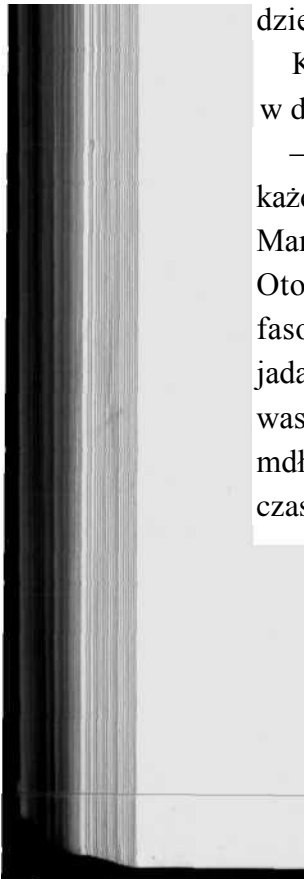
ogonem węża oraz skrzydłami i zwinnością orła. Wysłano mnie tutaj, abym ustalił, w jaki sposób te cztery mogą połączyć się w jedno, a teraz, gdym to ujrzał, nie zdołałem spamiętać.

— Może bestia powstanie niczym feniks z popiołów? — zasugerował de Aguilar. Spojrzał na Owena i wiedział, że ten nie żartuje.

— Być może — odparł ksiądz, nieznacznie się uśmiechając. — Może Pan zwyczajnie poddaje swojej władzy. Nie do nas należy wiedza o tych sprawach, chociaż możemy wielbić za nie Boga. Na ziemiach, które zamieszkują moje działki, jedna bestia utworzona z czterech to pierzasty lub tęczyowy wąż nazywany Kukulkanem lub Quetzalcoatlem. Ta bestia mogłaby być wierzchowcem godnym Chrystusa, gdy przyjdzie, aby wybawić nas od zagłady.

Ksiądz uklonił się każdemu z nich, robiąc przejście w drzwiach.

— Skoro wypowiedziałem równie wielką herezję, jak każdy z was, jesteście sobie w równym stopniu zobowiązani. Mam nadzieję, że ta świadomość uprzyjemni wam wieczór. Oto Domingo z naszym posiłkiem. Tutejsi Indianie jadają fasolę z pikantną papryką i chili. Po prostej strawie, którą jadaliście na morzu, wyda się wam bardzo ostra. Zapewniam was jednak, że jeśli jej skosztujecie, inne jedzenie stanie się mdłe i pozbawione smaku. Tymczasem radzę pić wodę pod czas jedzenia.



14

Za ma, Nowa Hiszpania, październik roku 1556

*Wężę otoczą ołtarz,
a Hiszpanie przeleją krew Trojan.
Z ich powodu wielka liczba zostanie pomniejszona,
wódz zaś ucieknie, ukrywając się na podmokłych trzęsawiskach.*

Czterowiersz 19, Centuria I, Nostradamus

— Oto zielone złoto, przyjacielu, które uczyni nas najbogatszymi ludźmi w Europie, a po nas nasze wnuki i prawnuki.

Fernandez de Aguilar przykucnął w pyle i piasku pośród jałowego pustkowia. Muł stał przed nim, strzygąc uszami i opędzając się od much ogonem. Zwierzę było darem, a przynajmniej zostało im użyzione przez Gonzaleza Calderóna wraz z siodłem, uzdą i lejcami wykonanymi z miejscowej skóry, ze srebrnymi nitami w miejscu połączeń i małym obrazkiem pośrodku piersi, przedstawiającym ukrzyżowanego Chrystusa.

Cedric Owen pochylił się, oglądając uważnie roślinę wska-

zana przez towarzysza. Wyglądem nie różniła się od innych, które rosły na suchej pustyni wokół nich. Garść drugich, łykowatych liści w kształcie przypominającym miecz wyrastała z grubej łodygi. Roślina, którą wskazał de Aguilar, wydawała się mała— sięgała zaledwie kolan, chociaż niektóre dorastały głowy, więc chodzenie pośród nich groziło wydłubaniem oka przez ostre miecze liści.

Cedric Owen skorzystał z okazji, aby zejść ze swego wierzchowca, i stanął w cieniu otrzymanego w darze muła. Na otwartej przestrzeni było mniej much i więcej pyłu niż w mieście. Usiadł na płaskiej skale, tyłem do ściany i zaczął rzucać kamyczki w kierunku pustyni, bezskutecznie próbując sobie wyobrazić, że jest bogaty.

— Jak? — zapytał. Upał nauczył go sztuki oszczędzania słów, której nie zdołał opanować w Cambridge.

De Aguilar był ponownie w radosnym nastroju. Zatoczył ręką szeroki łuk i zapytał:

— Widzisz, aby rosło tu coś więcej?

Owen przyjrzał się uważnie jałowemu pustkowiu. Długo spoglądał w każdą stronę, lecz widział jedynie pył i skały. Tu i tam pojawiały się rośliny o liściach przypominających miecz, budzące taki zachwyt de Aguilara.

— Niewiele — odparł oschłym głosem.

— Pewnie dlatego, że masz kiepski wzrok lub nie posiadasz odpowiedniego przygotowania. Na szczęście posiadam oby dwa przymioty.

Hiszpan wstał, uśmiechając się szeroko i otrzepując pył z nóg rondem kapelusza.

— Przez większą część życia stryjeczny dziadek uważał, że pobyt w Nowej Hiszpanii przyniósł mu więcej cierpienia

niż zysku. Sądził, że dzicy nigdy nie pozwolą nam tu mieszkać w pokoju, ziemia zaś będzie wydawała jedynie pył, paprykę i chili, którymi poczęstował nas ksiądz wczorajszego wieczoru i które tak nadwyrężyły twój język. Nie ma tu srebra ani złota. Wszystkie skarby są na południu lub w głębi lądu, w zasobach Azteków, poza tym Cortes zagrabił większość z nich. Sztuka Indian jest piękna, lecz zdobi ściany budowli lub jest wyryta w kamieniu, na dodatek zawiera błuźnierstwa, dlatego Kościół nie zawahałby się jej zniszczyć, by nie miała na nas wpływu. Wszyscy członkowie mojej rodziny wzięli sobie do serca słowa stryjecznego dziadka i żaden nie wyruszył tu z Sewilli.

— Żaden oprócz ciebie — przytaknął Owen. — Dlaczego?

— Umieć czytać między wierszami i dostrzegam rzeczy, o których mój przodek nie wspomniał, gdy opowiadał o roślinach z liśćmi w kształcie miecza, które rosną na pustyni. Są ich dwa rodzaje, przyjacielu. Z jednego można przyrządzić odurzający napój, silniejszy od najmocniejszej brandy. Jedna szklanka czyni człowieka niewrażliwym, dwie zaś sprawiają, że zaczyna żałować, iż się urodził. Z drugiego miejscowi wytwarzają powrozy, podobnie jak my z konopi. Cortes używał ich na swoich okrętach, gdy wracał do domu.

De Aguilar podszedł do muła i podniósł zwiniętą linę, która wisiała na łąku.

— Można z niej robić takie przedmioty. Indianie nazywają ją sizalem. Sam *zobacz*...

Zwyczajny powróż. Cedric Owen nie potrafił dostrzec w nim niczego szczególnego. Przesunął linę między palcami.

— Jest dobry? — zapytał.

— Najlepszy. Sizal przewyższa konopie pod każdym względem. Jest mocniejszy, bardziej szorstki i twardszy.

Nadaje się na liny do okrętów lepiej od lin wytwarzanych w Europie. Będziemy go uprawiać tak, jak tubylcy uprawiają fasolę, i będziemy wytwarzać z niego liny dla całego chrześcijańskiego świata i innych krain. Staniemy się najbogatszymi ludźmi na starym kontynencie, zaufaj mi. Zbadaj mój horoskop, a odkryjesz, że narodziłem się, aby być wielki.

Tylko człowiek niezwykle pewny siebie odważyłby się kusić los tak nieposkromioną pychą. Horoskop de Aguilara był rzeczywiście wyjątkowy, rzucała na niego cień jedynie bliskość Merkurego i Jowisza, w rogu trzeciego domu. Koniunkcja Słońca i Wenus w znaku Barana znajdowała się zaledwie jeden stopień ponad ascendentem, co ratowało ten kwadrat przed nieszczęściem.

Indianie posiadali rozległą wiedzę z dziedziny astrologii. Owen odkrył, że w odniesieniu do Wenus posługiwali się formą męską, nazywali ją też Gwiazdą Poranną, którą uważali za wojownika. Gdyby miał więcej czasu, zapytałby ich o opinię na temat jej pozycji w horoskopie Fernandezza. Ponieważ go nie posiadał, mógł rozporządzać jedynie tradycyjną wiedzą doktora Dee i Nostradamusa, którzy uważali, że taki układ gwiazd wskazuje na lekkomyślność oraz powołanie do wielkości, jeśli człowiek zdoła powściągnąć miotające nim impulsy.

Owen nie wspomniał głośno o żadnej z tych rzeczy, nie miał też takiego zamiaru. Oparł się o skałę, zsuwając kapelusz na oczy i zasłaniając je przed słońcem, niebem oraz daleką, denerwującą czerwoną barwą miasta.

— Słuchaj, Fernandez, powierzyłem ci własne życie, lecz nie pieniądze. Aby uprawiać tę roślinę na skałę, jaka ci się marzy, trzeba całych potoków wody, a tych tu nie dostrzegam.

Dziś rano, gdy rozładowywałeś towary ze statku, obszedłem pola rozciągające się wokół miasta. Ci ludzie mają zaledwie tyle wody, by papryka nie uschła na pieprz.

— Mylisz się, przyjacielu. To dlatego, że nie mieli za doradcę mego stryjecznego dziadka. Kiedy był w niewoli, przemierzył całą tę krainę. Opowiedział mi rzeczy, o których zapomnieli Indianie. W głębi lądu, tam gdzie dżungla zarosła miasta i na obrzeżach jałowej równiny, ich przodkowie zakładali siedziby obok podziemnych zbiorników wody. Dolną ich warstwę tworzyła kreda, dzięki czemu powstawał wodny rezerwar. Dziadek nigdy nie połączył tych dwóch faktów — wody i roślin, z których Indianie wytwarzają powrozy. Nie zrobił tego również żaden z członków mojej rodziny.

Skala była ciepła, lecz nie nadmiernie gorąca. Owen rozciągnął się leniwie, wygładzając zagniecenia na plecach.

— To brzmi obiecująco — odparł przytomnie. — Będzie my mogli używać wody do nawożenia upraw, a jeśli ojciec Gonzalez przyzna nam monopol na handel powrozami w całej Nowej Hiszpanii, będziemy mogli...

— Cedric! Nie ruszaj się!

Po raz pierwszy od chwili poznania de Aguilar zwrócił się do niego po imieniu. Owen zamarł, wpatrując się w rondo swojego kapelusza. Czuł, jak krople potu spływają po skroniach, nasączając koszulę tak gwałtownie, że wilgoć ochłodziła mu piersi.

— Co się stało?

— Za skalą jest wąż — odparł spokojnie Fernandez. — Jeden z tych, o których ojciec Gonzalez wspominał ostatniej nocy. Najbardziej niebezpieczny, w czerwone, żółte i białe pasy. Nie dostrzegł cię. Jeśli będziesz leżał nieruchomo, zabije

go mieczem... nie oddychaj, przyjacielu, a nic ci się nie stanie... Na szczęście moje ramię jest zdrowe, będę mógł użyć broni... nie ruszaj się... wyjmę miecz z pochwy... a następnie... Nie! Co robisz?!

— Fernandez! — Owen skoczył na równe nogi i spojrzął za siebie.

„Czerwono-żółta zmora zabije senora". Wczorajszej nocy, zanim się rozstali, ojciec Gonzalez ostrzegł ich przed tymi wężami. Nawet ułożył rymowaną, aby lepiej to zapamiętali.

Kiedy zostali sami, Owen zaczął z niego pokpiwać. Teraz tego żałował. Żałował wielu rzeczy, lecz najbardziej miejsca, w którym nieopatrznie usiadł. Wąż miał koralową barwę oraz żółto-czarne paski. Wisiał sycząc, wbity zębami w śnieżnobiałe lniany mankiet koszuli Hiszpana podwinięty niedbale do połowy niegdyś złamanego ramienia. Na tkaninie dostrzegł małe krople czerwonej krwi niczym owoce jarzębiny. Zęby jadowe przedziurawiły nie tylko len, ale i ciało.

De Aguilar stał nieruchomo z pobielętymi oczami. Wypuścił miecz, który głośno upadł na ziemię.

Jad powoduje, że mięśnie przestają funkcjonować. Najpierw człowiek mamrocze, a później nie może jeść. Po pewnym czasie nie może chodzić ani stać. Później piersi przestają się poruszać i serce ustaje. Nie można temu zapobiec. Jedynym sposobem uniknięcia śmierci jest amputowanie kończyny. Kilku tego doświadczyło... Dziękuję, Diego... Jeśli skończyłście jeść, możemy pójść na przechadzkę, ciesząc się chłodem wieczoru...

Owen chwycił miecz. Tym razem nie rozległ się w jego głowie głos starego fehmistrza, przypominający, by tego nie czynił.

Nie zastanawiając się nad własnym bezpieczeństwem, wysoko uniósł miecz i uderzył tak blisko ramienia de Aguilara, że obciął połowę lnianego rękawa.

Co ważniejsze, rozplątał głowę zmii. Tułów upadł na ziemię, wijąc się i krwawiąc rzadką, ciemną krwią. Przednia część łba z zębami jadowymi wisiała u nadgarstka de Aguilara poniżej cienkiego lnianego bandaża, który w dalszym ciągu oplatał jego starą ranę.

— Fernandez, możesz usiąść? Nie zdołam jej zdjąć, jeśli będziesz stał. Musisz nisko opuścić ramię, tak jakbym musiał wyjąć z niego grot strzały. Usiądź, proszę.

Jak człowiek poruszający drewnianą lalką, której członki połączono końskim ścięgmem, zaprowadził de Aguilara do skały. Używając jako skalpela zwykłego kuchennego noża i paska rozdartego lnu w charakterze opaski uciskowej, przystąpił do wykonania zabiegu, o którym czytał w księgach Nostradamusa, choć wówczas nie sądził, że ta wiedza będzie mu kiedykolwiek potrzebna.

Waż głęboko zatopił zęby w przedramieniu Hiszpana. Owen rozciął zuchwę, aby je usunąć, wbijając czubek noża w fałdę skóry poniżej martwego oka, a następnie poruszając nim w górę i w dół, by rozdzielić górną i dolną szczękę. Musiał się mocno napocić, by tego dokonać.

De Aguilar siedział z pobladłą twarzą. W końcu spojrzał na cztery głębokie ugryzienia na ramieniu.

— Jestem trupem — powiedział spokojnie. Jego spojrzenie było jasne i przytomne. Skóra na twarzy stała się trupio biała, z żółtym odcieniem w kącikach ust. — Powinniśmy wrócić do Zamy. Trzeba omówić kilka spraw, skoro nie będę kapitanem „Aurory” w drodze powrotnej do domu. Jeśli opis

działania jadu przytoczony przez ojca Gonzaleza jest prawdziwy, będę przytomny jeszcze pół dnia. Nie możemy zmarnować tego czasu. Juan-Cruz może kierować okrętem za dnia, lecz nie ma wystarczająco dobrego wzroku. Mógłbyś zostać kapitanem, lecz nie sądzę, aby kamień pozwolił ci opuścić to miejsce. Okręt powinien płynąć szybko, kiedy ludzie mają jeszcze zapał... Później rozstrzygniemy tę kwestię. Mam jeszcze jeden dzień życia. Jutro... — Zamilkł, spoglądając na morze za wapiennymi skałami. — Chciałbym jeszcze raz zobaczyć świt. Indianie powiadają, że w pogodny dzień z wieży można dostrzec krańce świata. Cedricu Owenie, czy zechcesz mi towarzyszyć w ostatni poranek?

— Nie. — Owen płakał. Nie zdarzyło mu się to od czasu, gdy w wieku trzynastu lat odziedziczył błękitny kamień. Kopnął nieruchome ciało żmii i przyciągnął opierającego się muła do de Aguilara.

— Nie będzie to twój ostatni wschód słońca. Ojciec Gonzalez powiedział, że amputacja może ocalić życie.

— A później dodał, że jeszcze nikt nie przeżył tego zabiegu.

— Tak twierdzą miejscowi. Nie ma wśród nich medyków, którzy pobierali nauki w Cambridge.

— Zawsze powtarzałeś, że nie jesteś chirurgiem. — Wy powiedział te słowa delikatnie, bez urazy, jak starszy brat, który gani młodszego za nadmierny zapał.

Owen ponownie rzucił przekleństwo.

— Nie rozumiesz. Nostradamus zmusił mnie do zapoznania się z jego księgami. Przez dziesięć dni żałoby po śmierci francuskiej księżniczki tkwiłem w jego obskurnym zajeździe, czytając księgi poświęcone chirurgii i zadając pytania, chociaż nie sądziłem, aby ta wiedza była mi kiedykolwiek potrzebna.

Nostradamus przeczuwał, co się wydarzy, lecz nie wspomniał, że będę miał złamane serce. Dlatego przeprowadzę operację, a ty nie umrzesz.

— Słuchaj, Cedricu... z całym szacunkiem...

— Nie. Nic nie mów. Wsadzę cię na muła i wrócimy do miasta. Może stracisz prawe ramię, lecz nie pozwolę, abyś stracił życie. Nie teraz, gdy obiecałeś, że uczynisz mnie jednym z dwóch najbogatszych ludzi w Europie.

Laboratorium medycyny sądowej Davy'ego Lawa, Oksford, czerwiec roku 2007

*Zrezygnowałam z bezpiecznej wygody
pewników powodowana miłością do prawdy i
prawda mi to wynagrodziła.*

Simone de Beauvoir

Stella szła betonowym korytarzem pokrytym białymi kafelkami, prowadzącym do aluminiowych drzwi. Za drzwiami znajdowały się stalowe stoły i szklane gabloty cuchnące chemikaliami, papierosami i śmiercią.

Doktor Davy Law powitał ją w drzwiach. Nie wyglądał tak paskudnie, jak go opisał Kit, chociaż cechy, o których wspominał, drzemały w nim w załączku, wystarczając do nakreślenia karykatury. Naprzeciw niej stał mały, żylasty mężczyzna o potarganych, zlepionych w strąki włosach, które przypominały mysie ogony, oraz wystających siekaczach wypychających do przodu górną wargę. Trzeba dodać, że były to typowo angielskie zęby o brązowym odcieniu, którego nabrały z po-

wodu wielu lat picia herbaty i palenia tytoniu, więc gdy Law się uśmiechał, jego oddech go poprzedzał, przedostając się na korytarz.

— Pani doktor Cody? — Otarł dłoń w biały fartuch i wyciągnął w jej stronę. — Profesor Fraser zadzwonił do mnie, mówiąc, że jest pani w drodze. Chętnie witam każdego przyjaciela Gordona.

Uścisk jego dłoni okazał się mocniejszy, niż sądziła, co świadczy o ukrytej sile, która pomogła mu spędzić pięć lat na ekshumowaniu zbiorowych mogił Kurdów. Dodatkowym dowodem, który to potwierdzał, były zdjęcia wiszące na ścianach laboratorium. Na fotografiach widniały ludzkie kości ułożone w rzędach, uporządkowane i ponumerowane, z fragmentami włosów i ubrań oraz złotymi i srebrnymi przedmiotami dyndającymi na pozbawionych ciała kończynach lub wystającymi z pustych oczodołów.

Na większości fotografii Davy Law był ubrany w obcięte dzinsy i brudny T-shirt, z papierosem zwisającym w kąciku ust lub w palcach. Wydawał się lepiej pasować do jałowych wzgórz Turcji niż do laboratorium w Oxfordshire.

Spojrzał na nią i powiedział:

— Może nie jest to najprzyjemniejsza robota, lecz ktoś musi ją wykonywać. — Spojrzał za nią, szukając kogoś w korytarzu. — Nie ma z tobą Kita?

— Śpi w samochodzie — odpowiedziała. Chociaż faktycznie tak było, jej słowa zabrzmiały jak wymówka.

— Rozumiem. — Law zacisnął wąskie wargi, otwierając drzwi prowadzące do laboratorium. Spojrzał na nią przelotnie, lecz ich oczy się nie spotkały.

— Gordon powiedział, że masz czaszkę i chcesz, abym na

jej podstawie zrekonstruował twarz. Dobrze zrozumiałem? — zapytał, odsuwając się od niej.

Odwrócił się i spojrzał wymownie na jej plecak, w którym cicho drzemała kamienna czaszka. Od wczorajszego wieczoru była spokojna. Stella sięgnęła do środka, chociaż niczego nie czuła — żadnego przeczucia podpowiadającego, by wyszła lub została. Zniknął również obraz twarzy, który ją tu doprowadził. Na chwilę wbiła wzrok w podłogę, nie wiedząc, co robić.

Weszła za nim do środka, nie mówiąc ani słowa. Law podszedł do gabloty o szklanym froncie, stojącej w przeciwnym końcu pokoju — mniejszej wersji urządzenia, które znajdowało się w laboratorium wydziału geologii.

— Nie jest to naturalna czaszka. Została wyrzeźbiona z kwarcytu. Gordon powiedział, że potrafisz dochować tajemnicy.

— Tak powiedział? To wstrząsające.

Oparł się ramieniem o ścianę, zakłósał i zapalił papierosa. Błękitny dym wypełnił rozdzielającą ich przestrzeń zapachem tytoniu. Niepokój, którego przed chwilą doświadczał, zastąpiło przenikliwe, bezkompromisowe spojrzenie, które przeszywało Stellę na wylot, jakby nie dostrzegało jej obecności.

Zrozumiała, że ten człowiek mógł poddawać próbie granice wytyczone przez władzę, dopóki jedno z nich nie uległo. Zdała sobie sprawę, dlaczego Gordon mu wierzył, a Kit nim pogardzał.

Zdjęła plecak i otworzyła go. Bez większych ceregieli uniosła błękitną kamienną czaszkę, pokazując ją w ostrym świetle laboratorium. Kamień nie krzyczał przeraźliwie ani nie przeszywał jej mózgu promieniami żółtego światła. Milczał

od czasu, gdy weszli do pokoju Kita nad rzeką. Teraz był spokojny i czujny, wyostrając wszystkie jej zmysły.

Stella trzymała go w wyciągniętej ręce, a błękitna poświata nappełniła klinicznie chłodne pomieszczenie.

— Zobacz, co znaleźliśmy — powiedziała. — W księgach Cedrica Owena znajdowała się zaszyfrowana wiadomość, która nam w tym pomogła.

Sądziła, że na widok kamienia Law przeżyje szok i wstrzyma oddech, a po chwili odzyska równowagę. Nie spodziewała się wybuchu wściekłości, bólu lub cierpienia, nie była bowiem pewna, które ze wspomnianych uczuć pojawiło się na groteskowej twarzy Davy'ego Lawa, gdy jego oczy mignęły pomiędzy kamieniem i jej twarzą. Nie oczekiwała też dzikiego požądania, które się w nich ukazało.

— Doktorze Law?

— Odsuń się!

Davy Law pobiegł w przeciwny koniec pokoju i usiadł na podłodze przy ścianie, podciągając kolana do piersi i obejmując ramionami drżący tułów. Przez dłuższą chwilę jedynym dźwiękiem rozlegającym się w pokoju był jego chrapliwy oddech, przeszywający powietrze.

— Mam wyjść? — zapytała w końcu.

— Chyba tak.

Davy Law utkwiał wzrok w podłodze. Kiedy minął czas, w którym powinna była wyjść lub coś powiedzieć, spojrział na nią udręczonymi, nabiegłymi krwią oczami, przesuwając wzrok w górę i zatrzymując go na jej twarzy.

— Zostałaś. Dziękuję. — Uśmiechnął się nieznacznie zaciśniętymi wargami. — Kto jeszcze to widział?

— Oprócz mnie i Kita? Jedyne Gordon. Tony nie chciał na nią patrzeć. Powiedział, że jest na niej krew zbyt wielu ludzi, których szanuje.

— Jak Gordon... Czy powiedział, jak się czuje?

Przypomniała sobie cichy, ochrypły głos Szkota, kiedy zadzwonił do niej po raz pierwszy. „Twój kamyczek jest gotowy. Mam nadzieję, że ty również”. A później: „Jest taka piękna. Prosi, aby ją podnieść”...

— Powiedział, że powinnam ją rozbić kafarem. Zapropo nował, że mi pomoże.

— Mądry gość. — Na twarzy Lawa pojawił się szerszy uśmiech pełen gorzkiej ironii. — Nie powiedział mi, co przyniesiesz. Niewielu potrafiłoby zatrzymać ten sekret dla siebie.

— To dobry przyjaciel.

— W świecie pozbawionym przyjaźni ktoś taki ma ogromną wartość.

Law zgubił papierosa podczas swojego pospiesznego wycofywania się, więc wyciągnął drugiego i zapalił drżącymi palcami, wpatrując się w czerwony koniec.

— To błękitne kamienne serce Cedrica Owena, prawda?

— Tak sądzimy.

Po raz pierwszy spojrział jej w oczy.

— Ludzie są gotowi zabić, żeby je zdobyć, Stello. Zabili Cedrica Owena, jego babkę i każdego, kto go trzymał... wszystkich jego przodków. — Wydał wargi, nie spuszczając jej z oczu. — Czy podczas drogi ktoś was śledził?

— Nie sądzę. Z drugiej strony, nie wiem, czy potrafiłabym to zauważyć.

— Stello! — Był na nią zły, lecz nie wiedział, czy ma jej to

okazać. Przygryzł papierosa wargami. — Czy zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które ci grozi?

— Z twojej strony?

— Nie. — Jego nerwowy śmiech zakończył się kaszlem. — Nie teraz. Widziałem piękno i sięgnąłem po nie raz w życiu. Nie zamierzam popełnić tego błędu ponownie.

Wyczuła napięcie w jego głosie podobnie jak wcześniej w głosie Kita.

— Czy właśnie z tego powodu pokłóciliście się z Kitem? — zapytała ostrożnie.

Chciał udzielić szczerzej odpowiedzi, lecz ugryzł się w język, zanim zdążył wypowiedzieć słowa. Wzruszył ramionami.

— Jest twoim mężem. Nie mogę za niego odpowiadać.

— Kiedyś był twoim przyjacielem? Dobrym przyjacielem?

— Tak, ale teraz już nim nie jest.

Jego nabiegłe krwią oczy były twarde, lecz nie mrugały pod wpływem jej wzroku. Spojrzał na fotografie, które wisiały na ścianie za jej plecami.

— Wszędzie na świecie są ludzie, którzy widzą to, co chcą widzieć, i uważają, że zdołają to znieść. Nie przejmują się konsekwencjami swojego postępowania. Zwykle mężczyźni biorą, co im się podoba, a płacą kobiety i dzieci.

— To bardzo seksistowski pogląd, doktorze Law.

— Być może, jednak do tej pory nie badałem jeszcze żadnej zbiorowej mogiły, w której leżałyby ciała ludzi pomordowanych przez kobietę. Obiecuję, że jeśli tak się stanie, wiadomość ta pojawi się na czołówkach gazet.

Kiedy poruszał się w kręgu znanych sobie spraw, lepiej nad sobą panował. Oparł się o ścianę i wypuścił obłok dymu

w dzielącą ich przestrzeń. Spojrzał na kamień po raz pierwszy od czasu, gdy Stella go wyjęła.

— Kamienna czaszka kryje w sobie serce świata. Czy jest człowiek, który nie byłby gotów zabić, żeby ją posiadać? Ta bryła błękitnego kryształu kryje w sobie wszystko, czego kiedykolwiek pragnęliśmy: wspaniałość, szlachetność i na miętność. Pragnie, aby ktoś ją podniósł, wziął w posiadanie i uznał za własną, dlatego tylko najsilniejsi z ludzi lub najbardziej złamani potrafią się od niej odwrócić. Ci, którzy mają zajęte serce, pragną ją zniszczyć — unicestwić przedmiot, nad którym nie mają kontroli. Ludzie o wilczym sercu chcą ją posiadać, zdobyć wszystko, co jest w niej zawarte, nie rozumiejąc, że nigdy nie zdołają tego zrobić. Jeśli ten kamień jest faktycznie tym, za co go uważam, tylko nieliczni znają jego moc i chcą go powstrzymać, przejmując na własność. Jednym z nich był Francis Walsingham, szpieg królowej Elżbiety. Po nim przyszli następni. Jestem pewien, że także teraz jeden lub dwóch takich kręci się w pobliżu.

— Na czym polega jego moc? Co pragną powstrzymać? — Słuchała, czując jak cierpnie jej skóra i zasycha w gardle.

— Nie jestem pewny. Mogę się mylić. — Papieros Lawa zamienił się w poziomą kolumnę popiołu. Strząsnął go do pustego kubka po kawie i skrzyżował ręce na piersi. — Czy ona mówi do ciebie?

Nawet Kit nie zadał jej wcześniej tego pytania.

— Śpiewa... odbieram sygnały, które mi przekazuje. Wiem, że potrzebuje mojej opieki i otacza mnie swoją.

— Opieki?

— Miłości. — Uśmiechnęła się słabo. — Jest coś jeszcze. Posiada... — przerwała, próbując znaleźć odpowiednie sło-

wo. — Posiada wiedzę, o której nie mam pojęcia. Tak jakby postrzegala świat w sposób, który jest... niedostępny dla moich zmysłów. Dzięki niej widzę bardziej wyraźnie, słyszę rzeczy, których zwykle bym nie słyszała, i czuję ubranie ocierające się o moje ciało. To tak, jakbym była jednocześnie dzieckiem i starcem. Podobnie jest z kamieniem: kryje się w nim starożytna mądrość, jak w posągu Buddy, który jego wyznawcy wyrzeźbili w skale na wzgórzu — mądrość, która oglądała życie, którego myśmy nie widzieli. Z drugiej strony przypomina małą owieczkę, która straciła matkę, a ja jestem wszystkim, co jej pozostało. — Przycisnęła dłonie do twarzy. — Dlaczego właśnie ja? Nie mam pojęcia, jak się nią opiekować.

— Nie masz wyboru — odpowiedział Davy Law, uśmiechając się ponuro. — Jesteś jej prawowitym strażnikiem, jak Cedric Owen. Pozostali z nas muszą to zaakceptować, nawet jeśli chcieliby, żeby było inaczej.

— Sądziłam, że nie chciałbyś jej mieć.

Roześmiał się delikatnie, słysząc jej słowa.

— Kiedyś tego pragnąłem, lecz teraz już nie. Myślę, że nie stanowią dla ciebie zagrożenia. Młoda kobieta imieniem Jessica Warren nauczyła mnie tyle, że nigdy nie zdołam się jej odwdzięczyć.

Kiedy się podniósł, jego postać nabrała bardziej profesjonalnego wyglądu.

— Ta czaszka należy do kobiety rasy kaukaskiej — powiedział. — Chcesz wiedzieć więcej?

— Jeśli to możliwe. Ciągle widzę tę twarz... niejasno... Sądzę, że to ważne, żebyśmy zobaczyła ją wyraźnie. Jeśli potrafisz tego dokonać...

— Co wtedy? — Nie miał już problemu z patrzeniem jej w oczy.

— Będę bliższa zrozumienia, dlaczego warto dla niej zabić oraz kto próbuje nas zamordować.

— j7

Zrozumiał to, czego nie powiedziała. Nie mając żadnego lepszego, zaufała mu z tego powodu.

— Dzięki tej twarzy poukładałam wszystko w swojej głowie.

— W porządku. — Davy Law wyjął papierosa i umieścił go ostrożnie w kieszeni na piersi swojego laboratoryjnego fartucha. — Spróbujmy zrekonstruować twarz i zobaczmy, czy ci się to spodoba.

Po raz kolejny w ciągu dwóch ostatnich dni kamienna czaszka została umieszczona na małym cokole w szklanej szafie i oświetlona reflektorami, skierowanymi pod różnym kątem. Tym razem oświetlenie tła było mniej intensywne niż w laboratorium geologicznym Gordona Frasera, nie użyto też kwasu pod wysokim ciśnieniem, lecz cienkich promieni czerwonego światła, które przecinały ją pod wszelkimi możliwymi kątami, w każdej możliwej płaszczyźnie.

Doktor Davy Law w goglach i cienkich rękawicach umieścił w środku suchy lód, aby promienie stały się widoczne i można je było właściwie skierować.

— Całą robotę wykonają lasery — wyjaśnił Stelli, zaglądującej mu przez ramię. — Skan będzie trwał pół godziny, chociaż większość czasu zajmie nam odpowiednie ustawienie parametrów. Z powodu struktury kwarcu procedura może potrwać nieco dłużej. Wcześniej stosowałem tę metodę jedynie

do badania kości. Nie jestem pewny, jaki wpływ będzie miała półprzezroczystość materiału na indeksy refrakcji. Kit mógłby w ciągu kilku minut napisać nowy program, pozwalający obejść ten problem. Ponieważ nie może nam pomóc, miejmy nadzieję, że istniejące oprogramowanie sobie poradzi. Niebawem się o tym przekonamy.

Starannie zamknął drzwi i zdjął gogle.

— Ekran jest na moim biurku w gabinecie obok. Mam maszynę do robienia espresso. Oczywiście, kawa nie smakuje tak jak w Starbucksie, lecz nadaje się do picia. Jeśli chcesz, możesz poczekać w samochodzie.

Nie była to propozycja ani prośba, a jedynie czyste stwierdzenie faktu. Stella odkryła, że zaczyna lubić wyluzowaną postawę Davy'ego Lawa, odmawiającego przestrzegania społecznych konwenansów.

— Chętnie napiję się kawy — powiedziała.

Uśmiechnął się, odsłaniając wystające zęby.

— Dzięki.

Miał rację. Kawy nie można było porównać z tą, którą dawali w Starbucksie, lecz była mu za nią wdzięczna. Zapach prażonych ziaren mieszał się z wonią starego tytoniu, niemal tłumiąc odór formaldehydu.

Gabinet Davy'ego Lawa był mały — mieściły się w nim jedynie dwa fotele i biurko, na którym stały dwa duże monitory komputerowe i telefon. Na ścianach wisiały fotografie przedstawiające kolejne dowody ludobójstwa. Nie były to jedynie ofiary tureckiego rządu. Zdjęcia z Bośni zajmowały połowę ściany przylegającej do drzwi, resztę zaś poświęcono foto-

grafiom z Ruandy i Darfuru. Jedno zdjęcie przedstawiało zbiorowy grób odkopany w Iraku.

Stella stała z kubkiem w dłoni, przypatrując się kościom.

— Niektóre szkielety mają złamania, które zaczęły się zrastać.

— Gordon nie wspominał, że jesteś lekarzem.

— Bo nim nie jestem. Jestem astronomem. Dokładnie mówiąc, astrofizykiem. Znam podstawy patologii na tyle, żeby móc stwierdzić, że w miejscu złamania powstało stwardnienie.

Siedząc przed ekranem komputera, Davy Law przypalił kolejnego papierosa. Słodki, lepki dym drażnił jej gardło. Usunął kawałek tytoniu z języka i powiedział:

— W Iraku jest dużo gniewu. Niektórzy ludzie długo umierają.

Wytrzymała jego spojrzenie, co zaskoczyło ich oboje. Davy pierwszy odwrócił wzrok.

— Nie powinnam pytać?

— Wszystko mi jedno, pod warunkiem, że zdołasz znieść odpowiedź.

— Czy będzie podobnie, gdy ujrzę twarz kamiennej czaszki?

— Być może.

— Wiesz, jak wygląda?

Odchylił fotel do tyłu i zaplótł palce za głowę, tak długo milcząc i przyglądając się jej, że pomyślała, iż nie udzieli odpowiedzi.

— Mogę się mylić — odparł w końcu. Zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, pochylił się do przodu i sięgnął do komputera. — Nie sądzę, żebym był w błędzie. Mam obsesję

na punkcie czaszek. Skoro oboje musimy poczekać na rekonstrukcję twarzy, może porozmawiamy o tym, co mówią najbardziej interesujące legendy o czaszkach z całego świata. Znasz proroctwa Majów dotyczące roku dwa tysiące dwunastego?

Nie spodziewała się takiego pytania. Postawiła kubek na biurku i usiadła.

— Uzyskałam wczoraj pół miliona trafień, gdy wpisałam słowa „Majowie” i „czaszka” do przeglądarki Google. Większość artykułów miała w tytule rok dwa tysiące dwunasty. Te teksty nie miały większego sensu.

Law uniósł sznurze brwi i powiedział:

— Kulturowy imperializm wyrządził mnóstwo zła.

Wydmuchnął obłok dymu i rzucił okiem na ekran. Kamienna czaszka obracała się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Nie była już błękitna, lecz przybrała szarą barwę na jasnym tle, przecinana tysiącami stycznych linii o odcieniach od jasnej czerwieni krwi tętnicznej przez kolor fuksji po intensywne zielenie i żółcie. Szarą, matową powierzchnię powoli wypełniało ciało pojawiające się między cienkimi liniami.

— Czerwone krzyżujące się linie oznaczają wgłębienia, a żółte wypukłości? — zapytała, głośno myśląc.

— Zielone to powierzchnie neutralne. Rozumiesz? — Law pochylił się do tyłu, wydychając dym przez ramię. Przez chwilę obserwował ekran, a następnie powiedział: — Większość ludzi potrzebuje pół dnia, żeby się tego domyślić. Jeśli odgadniesz, kto to jest, dam ci pracę.

— Kobieta? Rasy białej? Z czasów Cedrica Owena? — Zadowolona z komplementu, sięgnęła po imię postaci z kart historii. — Królowa Elżbieta Pierwsza?

Uśmiechnął się jak lis.

— Interesujące przypuszczenie.

— Nie dostanę roboty?

Pokręcił głową.

— Niestety. Czaszki powstały co najmniej trzysta lat przed narodzeniem Elżbiety. Oczywiście nie oznacza to, że twarz nie może jej przypominać. Ludzkie twarze zachowują podobieństwo przez całe pokolenia z zadziwiającą wiernością. Z drugiej strony wiemy, że wszystkie dzieci Henryka Ósmego miały wysokie czoła, były niemal pozbawione brwi i posiadały wąskie podbródki. To nie ona.

— Czaszki? — Stella obróciła się na krześle. — Powiedziałaś: „Czaszki powstały...”. Użyłaś liczby mnogiej. Czy są inne?

— Podobno.

— Skąd wiesz?

— Skończyłem antropologię, kiedy zaprzepąciłem swoją medyczną karierę. Te studia zaprowadziły mnie w różne dziwne miejsca.

— Nabawiłeś się obsesji na punkcie czaszek?

— Ta towarzyszyła mi od zawsze.

— Musiałeś mieć bardzo interesujące dzieciństwo. —

Spojrzała ponownie na ekran. Twarz ledwie przypominała ludzką. Na pustym niebieskim tle zaczęły się ukazywać zamazane rysy. Nie potrafiła jeszcze określić kształtu podbródka ani koloru oczu.

Law podjechał do drugiego komputera i włączył go, żeby mogła śledzić proces rekonstrukcji na ekranie. Jego oczy były brązowe, przenikliwe i całkiem poważne.

— Jeszcze możesz wyjść — powiedział. — Tak będzie łatwiej.

Zmiana tonu wytrąciła ją z równowagi.

— David, ktoś próbował zamordować Kita w jaskini, w której znaleźliśmy kamień. Ktoś inny lub ta sama osoba przetrząsnął jego pokój ostatniej nocy, próbując nas zastraszyć. Nie mogę odejść, jakby nic się nie stało. Chociaż powiedziałeś, że ta czaszka może być najbardziej niebezpiecznym przedmiotem na tej planecie, nie jestem gotowa jej zniszczyć.

— Davy, nie David — powiedział nieobecny głos. — Davy. Nie rezygnuj z tego zbyt pochopnie. Kiedy stawką w grze jest twoje życie, zawsze warto zaplanować drogę ucieczki.

Dokończył kawę i papierosa, wykonując obrót na krześle.

— Powiedz mi, co wiesz na ten temat.

Obrócił ekran w jej stronę. Myślała, że pokaże jej mandale, bóstwa Majów lub inne czaszki. Zamiast nich ujrzała piktoqramy — rzędy tekstu wypełnione niezrozumiałym pismem, dokładnie takim, jakie odkryła w księgach Cedrica Owena.

Pochyliła się do przodu, kładąc dłonie na blacie.

— Skąd to masz?

— Z Internetu. Znam stronę, z której można je ściągnąć w formie jpegów. — Davy Law obrócił krzesło, żeby widzieć jednocześnie Stellę i ekran.

— To Kodeks Drezdeński. Jeden ze świętych tekstów Majów. Z powodu wandalizmu jezuitów przetrwały tylko cztery spośród tysięcy, jakie spisali w ciągu setek lat. Ten trafił do Sachsische Landesbibliothek w Dreźnie, gdzie leżał sobie spokojnie, gromadząc kurz, aż w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku ktoś zrozumiał, o czym mówi. Oczywiście, można było poprosić o wyjaśnienie mieszkańców Ameryki Środkowej, lecz wówczas niemal wszyscy, którzy potrafili

odczytać pismo, już nie żyli, dlatego nadano mu nazwę od miejsca, w którym dokonano przekładu, zamiast od ludzi, którzy go spisali.

— Czyżby był kolejny przykład skutków kulturowego imperializmu?

— Tak bym to określił. Oprócz niego są trzy inne: Kodeks Madrycki, Kodeks Paryski i Kodeks Groliera, chociaż ten ostatni mógł zostać sfałszowany. To jedyne pozostałości cywilizacji, w porównaniu z którą nasza wydaje się dziecinną. Z tego dokumentu wynika, że świat czeka koniec dwudziestego pierwszego grudnia dwa tysiące dwunastego roku.

— Bardzo zabawne. — Poczula w ustach dziwny metaliczny smak. Odwróciła się w fotelu.

Chwycił za poręcz i odwrócił ją do siebie.

— Posłuchaj, to nie są żarty. Ten kodeks jest dziełem cywilizacji, która potrafiła tworzyć mapy nieba z dokładnością, która powoduje, że naukowcy z NASA zielenią z zazdrości.

— Jestem astronomem. Nie próbuj mydlić mi oczu nauką. — Nie chciała prychnąć, lecz nie zdołała się powstrzymać.

— Stello, próbuję otworzyć ci oczy. Spójrz na to...

Zaczął pisać na klawiaturze, otwierając inne strony.

— Jesteś astronomem. Kodeks Drezdeński to nic innego, jak tablica progresji Wenus i Marsa, tak dokładna, że mogliśmy ją opracować dopiero niedawno. Stanowi podstawę kalendarza Majów, w porównaniu z którym nasz wygląda dziecinnie. W czasach Cedrica Owena, kiedy nadal debatowaliśmy nad przejściem od kalendarza juliańskiego do gregoriańskiego, próbując stworzyć system, który nie wyznaczy świąt Bożego Narodzenia w połowie lata, Majowie od tysięcy lat posługiwali się kalendarzem, na podstawie którego można było przewi-

dzieć zaćmienie Księżyca z dokładnością do siedmiu dziesięciotysięcznych sekundy na tysiące lat w jedną i drugą stronę. Kiedy mogliśmy dokonać czegoś takiego? Dwanaście, najwyżej osiemnaście miesięcy temu?

— Od roku dwutysięcznego możemy to robić z łatwością. — Stella usadowiła się w fotelu i nalała sobie kawy. — Co to ma wspólnego z dziecinnymi prorocत्वami na temat Armagedonu?

Kiedy spojrzała w bok, odwrócił się i zapalił kolejnego papierosa. Spojrzał na nią przez obłok dymu.

— Kodeks Drezdeński stanowi klucz do zrozumienia kosmologii Majów. Majowie dzielili czas na okresy liczące po pięć tysięcy sto dwadzieścia pięć lat. Żyjemy w piątym okresie. Zgodnie z podaniami Majów każdy z czterech poprzednich okresów zakończył się kataklizmem, który zniszczył rodzaj ludzki. Ogień, trzęsienie ziemi, morska burza i, ostatni kataklizm, wielki potop.

— Cytujesz mi to jak biblijne wersety?

— Nie. Oprócz podania, w którym do arki weszły pary zwierząt, istnieje sto trzydzieści siedem odrębnych kulturowo relacji o potopie. Każda z obecnych ziemskich cywilizacji pamięta, że narodziła się z wód potopu, jednak Majowie są jedynymi, którzy wyznaczyli datę następnego kataklizmu. Koniec piątego okresu nie będzie taki, jak poprzednie. Nie będzie to jedynie koniec okresu, lecz koniec całej ery zdefiniowany przez szereg kolejnych pór zrównania dnia z nocą. Każda era trwa około dwudziestu sześciu tysięcy lat. Jej początek i koniec wyznacza moment, w którym Słońce znajdzie się w centralnym punkcie galaktyki, Sagittariusie A*, w miejscu, które Majowie nazywali *Xibalba be*, „Drogą do

podziemnego świata". Kiedy Słońce podąży tą ścieżką, będziemy zgubieni. Ziemię spotka katastrofa niespotykanych rozmiarów. Nie będzie to jakiś mały kataklizm w rodzaju potopu lub ognia, lecz całkowita zagłada. Nazywasz to Armagedonem. Koniec będzie dziełem człowieka, a nie natury, jak poprzednie. Data ta pojawia się w przekładzie Kodeksu Drezdeńskiego. W kalendarzu Majów jest to trzynasty dzień baktun, trzynaście, zero zero zero zero.

Davy Law umoczył czubek palca w fusach i zaczął pisać na stole.

— W naszym kalendarzu odpowiada to dwudziestemu pierwszemu grudnia dwutysięcznego dwunastego roku.

Zgasił papierosa, splótł dłonie za głową i spojrzał na nią nieruchomym wzrokiem.

Wypiła łyk kawy i po chwili zapytała:

— Co to będzie? Globalne ocieplenie? Katastrofa ekologiczna? Nuklearna zagłada?

— Wszystko razem. Majowie zniszczyli swoją kulturę w ciągu zaledwie pięćdziesięciu lat. Całą kulturę spotkała zagłada z powodu wojny i nadmiernego eksploatowania zasobów naturalnych. My robimy podobnie, tylko na skalę globalną, jednak rezultat końcowy będzie taki sam.

— Nie rozumiem, jaki to ma związek z czaszkami.

— Legendy Majów, a dokładniej ich przodków z końca czwartego okresu, czyli z trzeciego tysiąclecia przed naszą erą, głoszą, że ludzie stworzyli trzynaście kryształowych czaszek, których zgromadzenie może pomóc w uniknięciu katastrofy, którą sobie szykujemy. Masz jedną z nich.

— Czaszki mają zapobiec Armagedonowi? — zapytała z niedowierzaniem.

— Nie zapobiegną, lecz pomogą nam znaleźć rozwiązanie. Wytyczą drogę, wskażą wyjście, jeśli wolisz tak to nazywać.

— Naprawdę w to wierzysz? — Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, z niczym nieusprawiedliwionym niedowierzaniem.

Law nie uśmiechnął się, a jedynie wzruszył ramionami i zaczął pisać coś na klawiaturze.

— Przekazuję ci jedynie to, co zapisano w starożytnych tekstach. Ci, którzy je spisali, byli o tym przekonani.

— Nie rób uników, Davy.

Odwrócił się w fotelu i uniósł rękę w na wpół przeproszającym geście.

— Tak, wierzę w to. Ci ludzie wiedzieli o sprawach, o których zapomnieliśmy dawno temu, kiedy skęciliśmy w złą stronę. Nie tylko ja w to wierzę. Wielu sądzi podobnie.

— Na Boga! — Stella wstała z krzesła i zaczęła przemierzać pokój.—Wiem, że wielu wierzy w powtórne przyjście Chrystusa, w nocne wróżki obdarowujące dzieci w zamian za wypadnięty ząbek oraz w to, że Saddam Hussajn miał broń masowej zagłady na pustyni w Iraku. Wszystko to są brednie. Co się stało z naszym poczuciem realizmu? Z nauką opartą na faktach? Na Boga, jesteś lekarzem. Masz do czynienia z ciałem, kośćmi i krwią, a nie jakimiś... niedorzecznymi transcendentnymi bredniami.

Zatrzymała się przed zdjęciem z Bośni. Czaszki leżały w równych szeregach za ponuro uśmiechniętym Davym Lawem. Zamknęła oczy, lecz obraz nie zniknął.

Usłyszała za sobą cichy głos:

— Niedopieczonym lekarzem. Nie skończyłem studiów.

Gniew ustąpił równie szybko, jak się pojawił. Ponownie usiadła w fotelu naprzeciw niego.

— Przykro mi.

— Nie musisz mnie żałować. To bez znaczenia. Stello, dlaczego do mnie przysłaś? — Wiedziała, że nie żartuje. Patrzył na nią twardym wzrokiem.

— Chciałam zobaczyć twarz czaszki.

— Przecież już ją widziałas. Czy nie dlatego mnie od wiedziałas? Pamiętasz: „Ciagle widzę tę twarz”. To twoje słowa. Słyszysz śpiew czaszki. Słyszysz głos kamienia w swojej głowie. Czy nie są to niedorzeczne transcendentalne brednie?

Nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pochyliła się do przodu, zaciskając dłonie na poręczach fotela. Jego twarz znajdowała się kilka centymetrów od niej.

— Co jeszcze? Jeśli sprowadziła cię tu kamienna czaszka, czy jest to jedyna rzecz, której dokonała? Czy nie dostrzegasz niczego, co sprawiałoby, że jest czymś więcej niż tylko pięknym kawałkiem kryształu, dla którego ludzie gotowi są zabijać?

Patrzyła obok niego na ekran komputera. Piktogramy łączyły się ze sobą i rozmazywały, nie tworząc żadnej sensownej całości.

— Czaszka ostrzegła mnie w jaskini — powiedziała tępym głosem. — Dlatego rozdzieliliśmy się z Kitem i dlatego ktoś zepchnął go ze skalnej półki, gdy mnie przy nim nie było. Ostatniej nocy ostrzegła mnie, że ktoś jest w pokoju Kita. Ale ja nie zrozumiałam jej w porę... W księgach Cedrica Owena kryje się zaszyfrowane przesłanie. Sądziłam, że tylko ja je dostrzegłam. Znaki wyglądają podobnie jak te. — Wskazała na ekran. — To strony z piktogramami Majów. Kolejny kodeks.

— Czyżby w księgach Cedrica Owena znajdował się nie-

znany kodeks Majów? — W innych okolicznościach wyraz tęsknoty na twarzy Davy'ego Lawa mógłby się wydać komiczny. — Stello, błagam, musisz mi to pokazać...

Był na tyle blisko, że czuła ciepło jego twarzy. Położył rękę na jej dłoni. Słowa uwięzły mu w gardle. Było ich zbyt wiele, zbyt pilnych i zbyt rozpaczliwych, żeby zdołał je uporządkować i wypowiedzieć.

Zanim zdążyła je usłyszeć, o framugę drzwi uderzyło coś metalowego.

Napięty, opryskliwy głos powiedział:

— Czyżbym przeszkodził wam w czymś ważnym? Po wiedźcie. Jeśli chcecie, mogę odejść.

— Kit?

Stał w drzwiach, opierając się na dwóch laskach. Stella jeszcze nigdy nie widziała takiego grymasu na jego twarzy. Spoglądał ponad nią na Davy'ego Lawa.

— Dobrze się bawisz?

— Kit! On próbuje mi pomóc.

— Widzę. O jaką pomoc chodzi tym razem, Davy?

— Nie jest tak, jak sądzisz.

Law wycofał się do swojej połowy laboratorium. Stella zauważyła, że wziął oddech, zatrzymał powietrze, a następnie wolno wypuścił przez nos.

Podniósł głowę, skinął w jej stronę i powiedział chłodno:

— Już wychodźcie? Może wcześniej chcielibyście usłyszeć, jak wypadła rekonstrukcja twarzy kamiennej czaszki?

Drugi monitor był odwrócony, dlatego nie widziało go żadne z nich. Law przeszedł za fotelami, żeby je odwrócić, zamiast sięgać obok niej. Dzięki temu była sama, gdy ujrzała twarz spoglądającą na nią z ekranu.

— To niemożliwe. — Potrząsnęła głową i poruszała nią dalej, nie mogąc powstrzymać drżenia. Po chwili zaczęła dygotać, próbując nie zwymiotować.

— Co się stało?

Kit nie mógł podejść dostatecznie szybko, aby ją podtrzymać. Davy Law obrócił ekran tak, aby oboje mogli go zobaczyć.

Kit nie zniósł tego lepiej od niej. Dwukrotnie przeniósł wzrok ze Stelli na ekran, ponownie zatrzymując go na monitorze.

— To jakiś żart?

— Program nie ma poczucia humoru — powiedział Davy Law. — Jeśli okryjesz czaszkę ciałem, otrzymasz taki obraz.

Nie było żadnych wątpliwości. Z ekranu patrzyła na nich twarz Stelli, plastikowa i nieruchoma, jakby pogrążona we śnie. Przypomniała sobie, jak Davy Law rzucił okiem na kamień, a następnie na jej twarz, by ponownie skupić wzrok na czaszce.

Odwróciła się do niego.

— Wiedziałeś, że to ja, od chwili, gdy pokazałam ci czaszkę.

Uśmiechnął się pusto.

— Zajmuję się tym od dłuższego czasu.

— Dodałeś włosy i oczy. Nie ma dowodu, że są takie same.

— Oczywiście. Jeśli chcesz, możesz mieć czarne włosy i błękitne oczy, nadal jednak będziesz to ty.

Wcisnął trzy klawisze. Jej włosy zmieniły kolor z miedzianego na czarny, a zielone oczy stały się błękitne. Efekt był niepokojący, lecz nie zmienił podstawowego faktu: twarz, która na nią patrzyła, była jej twarzą.

— Mogę wam załatwić drugą i trzecią ekspertyzę, lecz gwarantuję, że rezultat będzie podobny. Ten, kto wykonał czaszkę, oparł jej kształt na kimś, kto miał identyczną strukturę kostną jak ty. Ponieważ rysy twarzy są w dużym stopniu dziedziczne, powiedziałbym, że ta kobieta jest twoim odległym przodkiem. Wszyscy ich mamy, to nic szczególnego. Gdybyś cofnęła się w czasie do końca poprzedniego wieku, mogłabyś wybierać spośród kilku tysięcy.

Stella poruszyła głowę, dając znak, aby zamilkł. Potrzebowała czasu i spokoju, żeby się zastanowić, a nie miała ani jednego, ani drugiego. Spojrzała na Kita, który poblądł pod wpływem szoku i gniewu.

— Co mam robić, Davy?

Wzruszył słabo ramionami. Nie patrzył jej w oczy, udając, że szuka czegoś na biurku. Była zaskoczona tym, jak bardzo ją to zabolowało.

— Ukryj czaszkę. Pilnuj jej i siebie — powiedział w końcu.

— Mam zamiar spotkać się z Ursulą Walker. Czy to bezpieczne?

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał jej w oczy.

— Tak jak spotkanie z każdym innym. — Roześmiał się. — Możesz pokazać jej czaszkę, jeśli o to ci chodzi. Należy do grona nielicznych, którzy widzieli jedną z pozostałych.

Przecisnął się między nimi i otworzył drzwi.

— Pomogę wam wyjść. Po tym, co się stało, najlepiej będzie, jeśli sobie pójdziecie.

Stella zawracała samochód na parkingu. Kit siedział obok w milczeniu, gdy z budynku wybiegł Davy Law. Zwolniła.

Biały fartuch łopotał na wietrze, gdy biegł w ich stronę. Pochylił się nad szybą, wydychając do środka gorzką woń kawy i tytoniu. W rękach trzymał wizytówkę ze swoim nazwiskiem i trzema numerami telefonów.

— Masz tu mój numer stacjonarny, komórkowy i satelitar-ny. Będę w kraju przez trzy następne tygodnie. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebować.

Zawahała się, obracając w palcach wizytówkę.

— Komu to ma służyć? Mnie czy tobie?

— Zwyczajnie ją weź, Stello. Nie musisz robić z niej użytku.

16

Za ma, Nowa Hiszpania, październik roku 1556

*Z Hiszpanii ucieknie jeden z największych, krwawiąc
z rozległej rany:
wojska przejdą przez wysokie góry,
niszcząc wszystko na swojej drodze.
Później zapanuje pokój.*

Czterowiersz 54, Centuria III, Nostradamus

— Nie mamy lodu — powiedział Owen. — Nie ma też korzenia mandragory, nasion sałaty i cykuty ani żadnej z rzeczy, które według Ibn Sina są potrzebne, aby wprawić chorego w stan umożliwiający bezpieczne usunięcie kończyny.

— Przecież masz opium, które dostałeś od Nostradamusa? Może to wystarczy.

Fernandez de Aguilar siedział w chłodnym jednoizbowym mieszkaniu ojca Gonzaleza Calderóna zaadaptowanym z indiańskiej świątyni, otoczony obrazami przedstawiającymi ukrzyżowanego Chrystusa. Owen uznał, że pomieszczenie to będzie najlepsze do przeprowadzenia operacji dlatego, iż było

Domem Bożym, a zatem miejscem uświęconym, oraz, co ważniejsze, miało kamienną posadzkę i ściany, które można było starannie umyć, co Maur El Zahrawi nakazywał czynić przed każdą poważniejszą operacją.

I wreszcie wewnątrz było pobielone, więc miało najwięcej światła. Dwa szerokie okna wychodziły na część zajmowaną przez księdza. Na prośbę Owena miejscowi rozebrali kawałek dachu, żeby na stół operacyjny padało dość światła, jednocześnie nie nagzewając go zbyt.

Nikt nie wspomniał o mozaice na posadzce przedstawiającej jaguara. Cedric Owen zapomniał o niej, całą uwagę skupiając na pacjencie. De Aguilar obejmował pokąsaną ramię, które nieznacznie spuchło, więc gdyby nie przestrogi księdza, mogliby sądzić, że ugryzienie będzie miało podobne skutki jak ukłucie komara.

Owen przeglądał swoje notatki, potrząsając głową.

— Nie pojmuję. Wenus jest w pomyślnej pozycji, co ma kluczowe znaczenie dla twojego losu. Horoskop w znaku Skorpiona, w siódmym domu. Nie mogłoby być lepiej. A jednak nie mamy wszystkiego, co potrzebne. Nostradamus miał mandragorę w swoich zapasach, lecz wysłał mnie w drogę jedynie z opium. Będziemy potrzebowali jednego i drugiego oraz lodu. Maurowie piszą, że zabieg ten należy przeprowadzić delikatnie i taktownie, bez pośpiechu. W tym czasie twój umysł i dusza muszą przebywać bezpiecznie w innym miejscu. Jeśli tego zaniedbamy, operacja przerodzi się w tortury, jakie zadają chirurdzy rzeźnicy. Ludzie ci uważają, że najlepszą metodą jest odcięcie kończyny w pół minuty i tracą dziewięciu pacjentów z dziesięciu. Nie potraktuję cię jak oni.

— Nie chciałbym, abyś żył z moją krwią na rękach. — De

Aguilar wstał. Rozebrany do pasa, na nogi naciągnął luźne bawełniane spodnie Dominga. Najdziwniejszą rzeczą było to, że jego twarz odzyskała symetrię, uwolniona od złotego kolczyka, który zwykle nosił w uchu.

Podszedł do stołu z poczuciem równowagi wyszkolonego szermierza. Jad nie osłabił jeszcze jego mózgu i zdolności poruszania.

— Zrealizujmy mój wcześniejszy plan. Zjedźmy wspólnie kolację, a później przesiedźmy noc w wielkiej kwadratowej wieży, aby obserwować słońce wschodzące nad Zamą w całej swojej chwale. Nie wyobrażam sobie lepszego sposobu dokonania żywota.

— Fernandezie, nie trać wiary.

Cedric Owen zakrył twarz dłońmi, wpatrując się w ciemność. Pod wpływem wysiłku czerń nabrała błękitnej barwy, a w jego uszach rozległ się słaby śpiew kamiennego serca. Już miał po nie sięgnąć, kiedy usłyszał szmer dolatujący z kąta.

W jasnym pobielonym pokoju ojca Gonzaleza udekorowanym obrazami i mozaikami tylko jeden kąt pozostał ciemny. Owen w samą porę opuścił ręce, widząc postać przyodzianą w jasną szatę z niebielonej bawełny, która podniosła się z podłogi i zrobiła krok w jego stronę.

— Diego... nie wiedziałem, że tu jesteś.

Indianin z blizną na twarzy uniósł dłoń, odrzekł lakonicznie „poczekaj” i wyszedł.

— Tygrys umie mówić — powiedział de Aguilar z lekkim zdumieniem. — Tak myślałem.

— Czułbym się pewniej, gdyby powiedział, o co mu chodzi — odparł poważnie Owen. Schylił się pod niskim nadprożem, wyjrzał na zewnątrz, na popołudniowe słońce, i szyb-

ko wrócił do środka. — Poszedł po księdza. Zgodzisz się przyjąć ostatnie namaszczenie?

Fernandez de Aguilar zaczął badać wierzch swoich dłoni.

— W tych okolicznościach nie odmówię. Jeśli obaj się mylimy, a ksiądz ma rację, bardzo mi się to przyda. Jeśli mamy słuszność, a ojciec Gonzalez i cały Kościół się mylą, nie wyobrażam sobie, aby wyrządziło mi to więcej szkody od skalania duszy odrobiną obłudy, a od tej nie jestem wszak wolny. Moja niewiara nie jest tak wielka, by... Ojczy Gon-
zalezie! — De Aguilar rzucił się do stóp zakonnika. — Właśnie o tobie mówiliśmy, gdy przybyłeś w tak wielkim pośpiechu. Czyżbym miał umrzeć wcześniej, niż sądziliśmy?

— Mam nadzieję, że tak się nie stanie.

Ojciec Gonzalez wypełnił drzwi swojego domu, podobnie jak wół wypełnia oborę, a w jego gestach dało się wyczuć niewidoczną wcześniej szczerłość.

— Diego zrozumiał, że czegoś potrzebujecie... rośliny, wywaru czy czegoś podobnego... co zadziała w połączeniu z opium, aby można było bez przeszkód przeprowadzić operację. Czy tak?

Owen skinął głową.

— Tak.

— W takim razie rozumiemy się. Nie byłem tego pewien.

Zakonnik przemówił do swojego pomocnika w języku Indian, przypominającym śpiew ptaków. Diego odpowiedział uprzejmie, podkreślając trzepotaniem rąk, o co mu chodzi. Spoglądał to na medyka, to na Hiszpana, to na stół jadalny, który ponownie znalazł się w pomieszczeniu w roli stołu operacyjnego.

Ojciec Gonzalez ujął jego rękę, dając znak, aby przerwał.

— Diego jest zasmucony, że szlachetny Don Fernandez, który przybył, aby pomóc mieszkańcom Zamy, sam stanął w obliczu śmierci. Ofiarowuje ci wywar... może lepiej byłoby rzec „napój”... jego rodacy używają go, aby zbliżyć się do... swego bóstwa. Nigdy wcześniej nie podano go białemu człowiekowi, lecz Diego uważa, że połączy się z opium w sposób, który jest konieczny, aby...

Przerwał mu strumień melodyjnych dźwięków. Diego mówił gorączkowo, co chwila spoglądając na Owena. Jego przemowa sprawiła, że także ojciec Gonzalez skupił uwagę na medyku.

Kiedy potok słów ustał na chwilę, powiedział:

— Mówi, że jego dar jest bezwarunkowy, otrzymałeś go jednak, señor Owen, po części dlatego, że właściwie odczytałeś przesłanie mozaiki, ukazującej koniec świata, oraz tego, coś przywiózł do Zamy, a co jeszcze nie zostało nazwane ani okazane. Powinieneś wiedzieć, że ten... napój to złe słowo, lecz nie potrafię znaleźć lepszego... że napój ten jest używany jedynie podczas najświętszych obrzędów wykonywanych przed obliczem Boga. Diego sądzi, że masz zamiar wykonać taki obrzęd i, że zrozumiesz jego dar. Czy ma słuszość?

Cedric Owen pomyślał dłuższą chwilę, dotykając błękitnego kamienia i, odbierając jego zapewnienie.

— Tak — odpowiedział w końcu. — Sądzę, że tak.

— Dobry Boże... aby to wypić, trzeba naprawdę pragnąć zbliżyć się do swej nieśmiertelnej duszy. To obrzydliwe.

— Jak się czujesz?

— Chory. Potwornie chory. Tak jak wówczas, gdy pierwszy raz wypłynął na pełne morze. Diego powiedział, że będę...

bardzo spokojny. Mam wrażenie, że jeśli nie zwymiotuję wszystkiego na twoje buty, zasnę nawet w obliczu tych czarnych kamiennych ostrzy, co samo w sobie jest cudem.

De Aguilar wyciągnął dłoń, aby chwycić Owena, lecz chybił i ręka opadła. W jego oczach błysnęło rozczarowanie.

— Dobrej nocy, przyjacielu. Zrób, co możesz. Nie będę chował urazy...

— Fernandezie... — Owen uściskał zdrową, ciepłą dłoń. — Fernandezie...? Boże w niebie, zasnął. Nie sądziłem... — Położył bezwładne ramię na stole. — Ile mam czasu?

Diego wzruszył ramionami.

— Bóg jeden wie — odparł ojciec Gonzalez. — Zalecam, abys zabrał się rychło do pracy, senor, by ten nieszczęśnik niczego nie poczuł. Chcesz, abym asystował podczas zakładania opaski uciskowej?

Wysychająca i krzepnąca krew zamieniła się w rękawicę sięgającą od koniuszka palców do łokcia Owena.

Ramię Fernandez de Aguilara zostało amputowane. Owen położył je w koszu wyłożonym liśćmi, a Diego przykrył tkaniną w czerwone, żółte i czarne pasy dokładnie odpowiadające barwom groźnego węża, a następnie wyniósł na zewnątrz. Kikut powyżej opaski uciskowej z bawełny pozostał różowy i żywy. Tkanka, która znajdowała się pod nią, była szarawa i brzydka. Owen zszył ostatni płat ciała i skóry kolcami kaktusa, które zebrał w oszalałym pośpiechu przed operacją, kiedy wydawało się, że nawet przecięcie kości będzie cudem.

Rozciął kość i ciało tuż za nią za pomocą noży i pił

zabranych z okrętu oraz czarnych kamiennych ostrzy Indian, które okazały się skuteczniejsze od wszystkich narzędzi.

Cedric Owen nie mógł uwierzyć w cud, którego dokonał za pomocą tych instrumentów, lecz lękał się mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Ponownie spojrzął na klepsydrę, którą zakonnik odwrócił, gdy zawiązali opaskę. Minęła niecała godzina, choć wydawało się, że upłynął rok.

Czując dotyk jego ręki, Fernandez de Aguilar poruszył się i jęknął po raz pierwszy od czasu, gdy nóż przeciął jego ciało.

Owen spojrzął na Indianina:

— Diego, możesz mu podać więcej napoju?

Indianin z blizną przez cały czas siedział w kącie, ukryty w cieniu. Teraz wstał i podszedł do stołu, niosąc ze sobą tykwę.

— Nie — powiedział de Aguilar. W spojrzeniu Hiszpana pojawiły się cienie innych światów, które odwiedziła jego dusza. Wyraźnie zmagał się z bólem i nieznaną alchemią ziół. — Błagam.

— Najsilniejszy ból pojawia się po zdjęciu opaski. Chciałbym ci go oszczędzić.

— Nie... nie czuję bólu. Opium nadal jest we mnie. Jeśli krew wypłynie z rany, powodując, że mimo twych wysiłków umrę, chcę o tym wiedzieć i odejść z jasnym umysłem.

— Jak chcesz.

Owen zdjął opaskę i czekał, licząc w myślach uderzenia serca. Krew zaczęła coraz szybciej krążyć w kikucie długości palca, który ukazał się poniżej miejsca założenia opaski.

Szybko dotarła do końca, w którym Diego zamknął naczynia, przypalając je gorącym żelazem. Teraz były ukryte pod skórą i niewidoczne. Czterech mężczyzn wstrzymało oddech. Zakonnik, Diego, Owen i jego pacjent obserwowali, jak

starannie zszyta skóra powraca do życia: różowieje, czerwienieje i jak jej przybywa.

Między dwiema fałdami zszytej skóry pojawiła się mała kropla krwi. Owen otarł ją ostatnim kawałkiem bawełny. Kiedy doliczył do trzydziestu i nie pojawiła się następna, jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu o dokonanym cudzie. Stanął z drugiej strony stołu i zbadał trzy pulsy na zdrowym ramieniu. Puls przedni był trochę nierówny, a tylny, wątrobowy, gwałtowny z powodu walki z sennością. W sumie wszystkie trzy wydawały się całkiem prawidłowe, co Owen uznał za trochę zaskakujące.

— Fernandezie? Jak się czujesz?

— Żyję to daleko więcej niż oczekiwałem. Moje ramię... czuję mrowienie, jakbym nadal je miał. Nie czuję żadnego bólu. Mam trudności z mówieniem, lecz można było tego oczekiwać, prawda?

Hiszpan niewyraźnie bełkotał.

— To skutek działania opium — powiedział Owen. — Kiedy ustanie, będziesz mówił jak dawniej. Będziesz musiał się nauczyć fechtunku lewą ręką. Zaofiarowałbym się, że cię wyszkolę, lecz i bez tego na świecie jest dość za mieszania.

— Racja. — De Aguilar uśmiechnął się słabo. Spoglądał w dal na coś, co znajdowało się za murami. - Może Diego mnie nauczy - powiedział nieobecny głosem. - Myślę, że Diego... może nas nauczyć wielu rzeczy.

Po tych słowach zasnął. Zdrowa ręka była chłodna, bez gorączki, a puls rytmiczny. Kikut prawej był ciepły, lecz nie rozpalony, zaczerwieniony, ale nie przekrwiony.

Cedric Owen spojrział w stronę cienia w rogu pokoju, jak to

często czynił podczas operacji, i dostrzegł spokojne czarne oczy.

— Będzie żył?

Diego przemówił z mroku ochryłym, chropawym hiszpańskim:

— Będzie żył, dopóki pozostanie w nim napój. Później wszystko będzie zależało od niego i jego bogów. I twoich.

Owenowi wydawało się, że słowa Indianina kryją w sobie pytanie, na które nie zna odpowiedzi.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać — odparł niechętnie.

Czarne oczy wytrzymały jego wzrok. Mierzyły go, lecz nie osądzały źle.

— W takim razie poczekamy.

Słońce dwukrotnie wstało na krańcu morza, oświetlając lśniące fale złotymi promieniami.

Dwukrotnie przemierzyło niebo, rzucając raz krótsze, raz dłuższe cienie na osłoniętych murami ulicach Zamy z jego wielką wieżą, mniejszymi świątyniami i całym mnóstwem pogańskich rzeźb.

Dwukrotnie krwistomiedziana tarcza wylewała roztopioną rudę na krańcu zachodniego horyzontu i na stygnących równinach, gdzie grały cykady, pogrążając się w mroku. Później zapanowało wielkie milczenie, w którym nie słyhać było nocnych zwierząt ani nawet powiewu wiatru.

Fernandez de Aguilar spał przez cały czas, obserwowany przez swojego przyjaciela i chirurga Cedrica Owena, który nie zdrzemnął się ani chwili.

Początkowo Owen doznał ulgi, widząc, że pacjent jest zdolny odpoczywać. We wszystkich księgach, które przeczytał, zalecano uzdrowicielski sen jako najlepszą metodę przywracającą siły po tak ciężkiej operacji.

Zachęcony tym faktem, zmieniał cicho opatrunki, żeby nie obudzić pacjenta ze snu. Kiedy de Aguilar drugi dzień z rzędu nie pił wody ani nie oddawał moczu, wyciągnął tablice przedstawiające konstelacje i ruchy gwiazd. Odkrył też, że od jego notatek o pozycji na firmamencie trzech leczniczych planet, Merkurego, Wenus i Marsa, lepszym źródłem informacji był Diego.

Radząc się ponownie wykreślonych kół, odkrył, że wszystkie są mu przynajmniej częściowo przychylne. Pomyślnie gwiazdy i prawidłowy puls skłoniły go do obudzenia śpiącego, aby podać mu wodę.

Nadaremno. Fernandez de Aguilar spał jak zabity. Sfrustrowany porażką, z pomocą Diega podniósł pacjenta, wlewając mu wodę do ust i masując szyję, żeby podczas picia woda nie dostała się do płuc.

Przez pół nocy podawał mu płyny, aby nie została zachwiana równowaga soli i siarki w organizmie. Nieco mniej czasu zajęło mu znalezienie sposobu podniesienia de Aguilara, żeby jego pęcherz pod wpływem nacisku wydalil mocz do tykwy.

Skończyli drugiego dnia przed zmrokiem. W kątach pomieszczenia płonęły trzy dymiące lampy, oświetlając niewielkimi plamami światła studnię wypełnioną srebrzystą poświatą księżycą, która wlewała się do środka przez otwór w krytym strzechą dachu. Cedric Owen siedział na krawędzi oświetlonego pola, jedząc fasolę, paprykę i kukurydzę, które mu przyniesiono. Smak potrawy nie był tak obcy jego zmysłom,

jak wówczas, gdy skosztował go po raz pierwszy. Zaczynał nawet coraz bardziej ją lubić.

Wzmocniony, usprawiedliwił fakt zajmowania się własnymi potrzebami i po raz pierwszy uwolnił od narzuconych sobie obowiązków. Wrócił do swojej kwatery i wyciągnął woreczek z juty, w którym trzymał błękitne kamienne serce.

Jak zawsze w pierwszej chwili, poczuł się jednocześnie wyczerpany i spełniony. Nostradamus powiedział: „Troszczysz się o swój kamień, prawda?”, a przecież dotknął jedynie powierzchni tajemnej alchemii, łączącej ludzkie ciało i krew z zimną skałą, która kryła w sobie najlepsze, zapomniane cechy rodzaju ludzkiego.

Kiedy wrócił, Diega już nie było. Z poczuciem ulgi rozwiązał torbę i położył błękitny kamień na stole, w pobliżu głowy de Aguilara, by oczodoły spoglądały na jego ciało. Wyjął dwie świece i małą kamienną lampę, która podczas przenoszenia ciągnęła za sobą tłusty dym. Tak jak uczyła go babka, ustawił je po bokach i u podstawy czaszki, przesuwając lekko w prawo i w lewo, aż trzy chybocliwe światełka zostały skupione i przesłane jako dwa silne promienie wzdłuż ciała de Aguilara.

Zadowolony, przyniósł sobie stołek ze dworu i usiadł w nogach Hiszpana, opierając brodę o stół, żeby jego oczy mogły spoglądać w oczodoły kamiennej czaszki. Siedział nieruchomo, nasłuchując. Z zewnątrz dochodziły piski nietoperzy i małych nocnych zwierząt. Żadnego dźwięku ludzkich kroków.

Położył lewą dłoń na lewej stopie de Aguilara i powiedział głośno:

— Przyjacielu, to co teraz zrobimy, nie mieści się w granicach znanego ci świata. Jeśli mi zaufasz, odnajdę cię i spro-

wadzę do domu. Jeżeli nie zechcesz, abym cię odnalazł, uszanuję twoją decyzję.

Mówiąc to, zamknął oczy, raz jeszcze szukając nieruchomego, spokojnego błękitu, w którym rozbrzmiewał śpiew kamiennego serca.

— Poczekaj — usłyszał zachrypły głos mówiący po hiszpańsku. Poczuł na ramieniu spokojną dłoń.

— Diego! — W jednej chwili otworzył oczy.

Okazało się, że był to Diego, a nie ojciec Gonzalez, lecz Owen nie był szczególnie zadowolony z tego powodu. Gniewnie strząsnął jego rękę:

— Czy to konieczne?

— To złe miejsce. — Indianin spojrzał na niego szeroko otwartymi, czarnymi oczami, w których nie było pożądania ani lęku, lecz szacunek wypływający z głębokiego poznania kamienia i traktowania go jako równego sobie. Diego złożył ręce na piersi i skłonił się przed kamieniem, a następnie wskazał wiszące na każdej ścianie wizerunki zboląłego ciała Chrystusa.

— Kiedyś mogliśmy tu spokojnie rozmawiać z bogami — powiedział chropawym hiszpańskim. — Teraz ten przybytek zamienił się w miejsce tortur i bólu. Twój kamień będzie miał więcej siły gdzie indziej.

W mroku nocy usłyszał cichy szept Nostradamusa. „Udasz się na południe, do kraju, którym niegdyś władali muzułmanie... Tam wsiądziesz na statek płynący do Nowego Świata, aby spotkać ludzi rozumiejących naturę ostatecznych zmagañ oraz sposoby, dzięki którym będziemy mogli je przetrwać. Ci ludzie znają serce i duszę twojego błękitnego kamienia. Powiedzą ci, jak poznać jego sekrety"...

Diego czekał na odpowiedź, wpatrując się w niego z przeciwnego końca pokoju. Owen poczuł ciarki przechodzące mu po plecach i drżenie rąk, które tak spokojnie trzymały ostrze z czarnego kamienia, gdy odcinał ramię de Aguilara.

— Dokąd musimy się udać? — zapytał. — Czy to daleko?

— Znam to miejsce. Weźmiemy muły. Podróż zajmie nam dwa, najwyżej trzy dni. — Diego policzył dni na palcach.

— Trzy dni? Oszalałeś? Fernandez nie zdoła pokonać nawet dwustu metrów. Umrze, zanim dobiegnie końca pierwszego świtu.

— Umrze, jeśli tu zostanie. Zapytaj o to swoje kamienne serce.

Owena ogarnęło ciche poczucie pewności. Wstrząśnięty, ponownie zamknął oczy. Kamień czekał na spotkanie z nim, przemawiając wyraźnym głosem, gotowy do drogi. Nie ostrzegał przed niebezpieczeństwem, stratą lub żalem.

Cedric otworzył oczy. Obie świece zgasły. Mała lampa dawała zamglone światło, więc spojrzenie kamiennego serca osłabło, zamieniając się w błękitną poświatę. Kiedyś w podobnym świetle, w obecności Nostradamusa, usłyszał krzyk mew i poczuł zapach morza. Teraz znalazł się w miejscu, gdzie nocne bestie ścigały swoją zdobycz, a wiatr uginał drzewa i trawy do ziemi.

— Co słyszysz? — zapytał miękko Diego.

— Nietoperze — odparł Owen. — Słyszę tysiące nietoperzy, wylatujących z piramidy, przy której wasza wydaje się dziecinną zabawką.

***Nowa Hiszpania, niziny na południu kraju,
październik roku 1556***

*Kiedy zwierzę, udomowione przez człowieka,
przemówi po wielkim bólu i skokach, Błyskawica
stanie się bardzo szkodliwa dla dziewicy zabranej z
ziemi i zawieszanej w powietrzu.*

Czterowiersz 44, Centuria III, Nostradamus

Nietoperze były wszędzie. Piszcząca, nieustannie poruszająca się chmara wypełniała przestrzeń pomiędzy czubkami drzew, zasłaniając popołudniowe słońce i zaciągając niebo nieznośną ciemnością. Mimo to dusza kamiennego serca nuciła pean na cześć powrotu do domu tak głośny, że przewyższał hałas i rzucał błękitne światło, które przenikało fałszywy mrok jasnością poranka.

Ogłuszony tym dźwiękiem Cedric Owen zachwiał się i postawił Fernandez de Aguilara na ziemi. Taszczył go przez pół dnia biegnącą w górę ścieżką wytyczoną przez Diega, który kroczył przez zarośla dziesięć metrów przed nim.

De Aguilar nie obudził się, gdy Cedric ułożył go wśród

wysokiej trawy na polanie, podobnie jak nie obudziły go nawoływania ptaków, pomruk jaguara lub głos przerażonego muła, którego ryk spłoszył nietoperze do lotu. Nie zbudziła go też trwająca trzy dni podróż do tej polany, w połowie drogi na górę wyrastającą w samym sercu dżungli. Z wyjątkiem nietoperzy i śpiewu kamiennego serca nic nie tłumaczyło, dlaczego nie rosły tu drzewa.

— Dotarliśmy na miejsce — powiedział Owen, rozproszając kości. — Czuję to.

— W takim razie możemy założyć obóz.

Diego przyklęknął na piętach, wycinając krąg darni na ognisko. Carlos i Sanchez, bracia, którzy im towarzyszyli, przywiązali muły i poszli szukać drewna na opał. Minęli Owena bez słowa, chociaż miał wrażenie, że wszyscy trzej spoglądali na niego przychylnym wzrokiem od czasu, gdy uniósł de Aguilara i taszczył go przez ostatnie kilometry. Poczul się zaskoczony i zabolalo go to, że nie było mu to obojętne.

Pochylił się i zbadał puls de Aguilara na szyi i nadgarstku, żeby wypełnić czas. Puls wątrobowy był warty jak nic, a puls serca niespokojny. Nie dowiedział się niczego nowego. Od rana dźwigał Hiszpana na ramionach, słuchając coraz cięższego oddechu w miarę gromadzenia się płynu w płucach. Lekkie zapalenie płuc po kilku godzinach przerodziło się w poważny stan. Owen mógł mu jedynie wlewać wodę do gardła, masując szyję, oraz podawać walerianę i korę wierzby ze świadomością, że czyni to raczej dla siebie, aby czuć się użytecznym, zamiast z przekonania, iż pomoże tym przyjacielowi.

Sprawdził, czy w pobliżu nie ma węży, odłożył kamienne

serce do torby i wyjął z głębi mały mieszek z lekarstwami. Chmara nietoperzy udała się tam, skąd przyleciała, i do dżungli powróciło hałaśliwe i barwne życie, jakie widzieli przez trzy ostatnie dni. Na gałęziach siedziały małe, kolorowe ptaki, wypełniając przestrzeń krzykami. W głębi dżungli większe stworzenia latały, tropiły zdobycz, nawoływały i zabijały.

Gdzieś w oddali rozległ się pomruk jaguara. Owen postanowił go zignorować. Kamienne serce leżało bezpiecznie w torbie, którą postawił pod nogami, i nie zapowiadało niebezpieczeństwa. Obok niego przeszedł Diego, niosąc drewno na opał. Owen złapał go za ramię.

— Dotarliśmy na miejsce — powtórzył. — Musimy działać, póki możemy. Jeśli będziemy zwlekali, Fernandez umrze.

Diego potrząsnął głową.

— Pora nie jest właściwa. Najpierw rozpalimy ognisko. Zjemy trochę kukurydzy i wypijemy resztkę wody. Później będziemy czekali.

— Dlaczego? Przecież dotarliśmy na miejsce? Czyżbyś nie pojmował, czym jest śmierć, skoro odnosisz się do niej tak niefrasobliwie?

Diego obracał w dłoniach topór z czarnego kamienia, zastanawiając się nad jego słowami. Po chwili uśmiechnął się nieznacznie, czego nie czynił nigdy wcześniej.

— Cedricu Owenie, czy wiesz, dokąd pójść i co zrobić z błękitnym kamiennym sercem? Nie? Ja również tego nie wiem. Dopóki nie nadejdzie ten, który wie, co należy zrobić, nie możemy niczego zrobić. Pozostaje nam jedynie czekać.

Jaguar pojawił się wczesnym wieczorem, kiedy cienie drzew kładły się na polanie ostro zarysowanymi pasami, przypominającymi kraty klatki.

Cedric Owen siedział przy ognisku, otumaniony przez dym. W słabnącym świetle zaczęły powracać nietoperze, najpierw pojedynczo, później parami. Po sklepieniu nieba co jakiś czas przesuwały się niewielkie sylwetki.

Zmrok wydobyl to, co wcześniej było niewidoczne. Pomruki wielkich bestii udających się na łowy i przeraźliwe okrzyki śmierci otaczały ich zewsząd, powodując, że muły kręciły się niespokojnie i szarpały na postronku. Nawet Diego sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

Przestraszony Indianin siedział wraz z dwoma braćmi przy małym ognisku, które rozniecili. Owen spoczął po drugiej stronie, trzymając w dłoniach torbę z kamienną czaszką. Obok niego leżał bez czucia de Aguilar.

Czekali. Ognisko przygasało, żarząc się i zamieniając w popiół. Owen wypił łyk wody i napoił de Aguilara, a gdy oczekiwanie przedłużało się ponad miarę, wstał i ruszył w stronę środka polany, gdzie dostrzegł nieregularne żółte migotanie.

Jakiś przedmiot lśnił wśród zarośli. Owen rozgarnął stopą zwiedłe liście i świeżą trawę, i ujrzał blask twardego i jasnego przedmiotu barwy jaskółczego ziela. Upadł na kolana, aby odgarnąć piasek. Po chwili zamrugał do niego mały prostokątny kamień maślanej barwy, chwytając ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Obok spoczywały inne kamienie w różnych odcieniach żółci, jedne jaśniejsze od drugich, o czerwonych krawędziach barwy krwi, świecące pomarańczowym płomieniem, niekiedy

rzucające zielonkawą poświatę. Zaczął pracować z jeszcze większym zapalem, aby je oczyścić. Po chwili rozbłyły wszystkimi kolorami słońca i ognia, łapiąc promienie zamierającego światła. Owen przysiadł na piętach. Przed nim ukazała się okrągła mozaika pełna ognia, otoczona czerwonymi i niebieskimi węzami.

— Mój Boże...

Podniósł się i zaczął rozgarniać trawę stopami, obchodząc mozaikę. Na zewnątrz dostrzegł kształty ludzkich i zwierzęcych postaci, tworzących obraz znacznie większy od tego, który oglądał w domu zakonnika w Zame. Mozaika, którą miał przed oczyma, zajmowała całą powierzchnię polany i przypuszczalnie sięgała dalej.

Jeśli pierwsza, którą widział, przypominała rysunek dziecka, ta była mistrzowskim oryginałem, na którym ją wzorowano. Misterne szczegóły, dramatyczne wykorzystanie barw i kształtów oraz oślepiające światłem diamenty, osadzone w czarnym kamieniu, czyniły ją cudem wiedzy i życia.

Obie mozaiki przedstawiały to samo: chwilę poprzedzającą Armagedon. Mimo słabego światła Owen był pewny, że na zewnątrz znajdował się obraz zniszczenia, a łąka po południowej stronie symbolizowała niewinność, promieniującą z postaci dziewczynki otoczonej polnymi kwiatami.

Nie dostrzegł żadnej z czterech bestii, chociaż tego pragnął. Aby odsłonić ten fragment mozaiki, musiałby zrobić miotłę z gałęzi, a nie miał noża.

— Diego...?

Mimo rozgorączkowania, uderzyła go niezwykła cisza, jaka zapanowała dokoła. Odwrócił się powoli i pojął, że w gorąccze zapomniał o dżungli i kamiennym sercu. Zrozumiał, że gdy

odslaniał mozaikę, wszystko wokół pogrążyło się w głuchym milczeniu. Trzej Indianie stali odwróceny tyłem do ognia, wpatrując się w miękkie cienie pomiędzy drzewami. Poczul skurcz żołądka i pobiegł w stronę ogniska.

— Diego?

— Cicho. — Był jak dziecko, które trzeba uciszyć klapssem. Ugryzł się w język, w ostatniej chwili powstrzymując od powiedź i odwracając się tam, gdzie spoglądali bracia... aby ujrzeć łeb jaguara na wysokości twarzy. Poczuc jego gwałtowny cierpki oddech parzący gardło i utkwic wzrok w parze jasnych, zadziwiająco ludzkich ślepi. W oczy, które znały go na wylot w sposób niedostępny nawet dla Diega.

Jaguar wydał pomruk i rozdziawił paszczę. Cedric Owen zajrzał w twarz śmierci. Chciał krzyknąć, lecz nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Jego nogi zaczęły dygotać ze strachu. Przez krótką chwilę, jak mężowie przed bitwą, myślał, że zawiodą go wnętrzności, czego nie doświadczył nigdy wcześniej.

Zdołał unieść dłoń i oprzeć ją na miękkim, cętkowanym futrze. Z gardła wydobył się okrzyk przerażenia.

— Witaj — powiedział po hiszpańsku jaguar.

Cedric Owen zemdlął.

18

Walker Institute, wiejski dom w Lower Hayworth, Oxfordshire, czerwiec roku 2007

*Nie powinniśmy udawać, że poznajemy świat
jedynie za pomocą rozumu, w równym bowiem
stopniu czynimy to za pośrednictwem poczuć.
Wiedza intelektualna w najlepszym razie
stanowi jedynie połowę prawdy, dlatego jeśli
ma być uczciwa, musi zrozumieć swoją n
iewystarczalność.*

Thomas Huxley

— Dlaczego się zatrzymałaś? — zapytał Kit.

— Chcę sprawdzić, czy nie śledzi nas zielone audi, które
towarzyszyło nam od dwudziestu minut.

Stella skręciła w bramę prowadzącą na łąkę. Po obu stronach
biegł wysoki żywopłot z leszczyny ze zwisającymi uschłymi
baziami. Po drugiej stronie rozciągało się pole pszenicy
z żółtymi kłosami. Świergocząca gromada wróbli zatoczyła
krąg i przysiadła na ziemi, hałaśliwie karmiąc się rozrzuconym

ziarnem. Ptaki zamilkły, gdy w górze pojawił się jastrząb. Dolatujący z oddali dźwięk kapeli — a może kilku kapel — niweczył sielankowy angielski spokój.

Obok, niemal bezgłośnie, przemknęło lśniące, zielone audi. Zwolniło na skrzyżowaniu i skręciło w lewo.

— Skracamy w prawo, prawda? — zapytał po chwili Kit.

— Tak — odpowiedziała. — Przynajmniej ja mam taki zamiar. Nie musisz mi towarzyszyć. Jeśli chcesz, mogę odwieźć cię na stację i wsadzić do pociągu do Cambridge. — Spojrzała mu prosto w oczy. — Czy tego chcesz?

— Stell...

— Nie powiedziałaś ani słowa od czasu, gdy opuściliśmy laboratorium Davy'ego Lawa.

Zamknął laptop.

— Pracowałem. Myślałem, że...

— Pracowałeś? — Roześmiała się. Godzina lodowatego milczenia powstrzymała ją przed odpowiedzią.

Kit poczerwieniał. Rumieniec rozlał się plamą na nieruchomej połowie twarzy.

— Napisałem program, który łączy zawijasy z ksiąg Owena w piktogramy Majów. Jeśli nauczysz się posługiwać tabletem graficznym, odczytanie drugiego szyfru skróci się o połowę.

Stella nie odpowiedziała. Oparła się plecami o drzwi, czekając, by zamilkł. Pokręcił głową.

— Nie chcę się klócić. Nie teraz. Nie z powodu Davy'ego Lawa.

— Powiedział mi, że kiedyś byliście przyjaciółmi.

— To prawda.

— Dlaczego nie chcesz mi opowiedzieć, co się stało? Dwukrotnie uchyliłeś się od odpowiedzi. Robisz błąd, Kit. Powinniśmy być po tej samej stronie. — Gniew przeminął, lecz pustka, która po nim pozostała, była wymowna.

Odwrócił głowę i wyrzął przez okno.

— Jeśli zrobi ci to jakąś różnicę, wiedz, że nienawidzi siebie bardziej od ciebie — powiedziała.

— Pewnie tak. — Chwycił jej dłoń, niezdarnie próbując spleść ich palce. Pozwoliła mu na to, chociaż nie pomogła. — Możesz teraz tego nie drażnić? Nie uchylam się od odpowiedzi, ale...

— Uchylasz się.

— W porządku. Masz rację. Dlaczego sądzisz, że to problem?

— Kit, ktoś próbuje nas zabić. Mam błękitną kryształową czaszkę, która jest wzorowana na mojej własnej. Nawet nie wiesz, jak mnie to przeraża. Davy Law wie o sprawach, o których my nie mamy pojęcia. Dał mi swój numer telefonu i być może z niego skorzystam. Nie będę mogła tego zrobić, jeśli będziemy się kłócili z powodu czegoś, co wydarzyło się dziesięć lat temu... czegoś, o czym nie mam zielonego pojęcia. Nie musisz mi podawać szczegółów, lecz muszę wiedzieć, co między wami zaszło.

Wypuścił jej dłoń i przecesał włosy palcami. Wydał wargi, ze świstem wydychając powietrze.

— Do tego, co już wiesz od Gordona, niewiele można dodać. Ta sprawa nie ma większego znaczenia dla naszej relacji. Zapewniam cię. Ludzie popełniają błędy przez uczynek lub zaniedbanie, lub zwyczajną, cholerną głupotę. Zraniono kogoś, na kim mi zależało. Bez wątpienia była w tym część

mojej winy, lecz przypisałem całą Davy'emu. Byłem młody, arogancki i wściekły. Powinienem być mu wtedy wybaczyć, a z pewnością powinienem okazać dość wielkoduszności, żeby zrobić to teraz... Stell, trudno cały czas być tak cholernie dorosłym...

Ponownie odwrócił się w jej stronę. Odczytanie wyrazu jego twarzy było niemożliwe, gdy miał kontrolę tylko nad jej połową. Odgarnęła mu włosy z czoła.

— Tony Bookless uważa, że muszę usunąć ze swojego słownika wyraz „powinno się”.

— Cały Tony. — Kit oparł głowę na zagłówniku, wpatrując się w dach. — Próbuję nie ulec strachowi, udawać, że wszystko jest normalnie, że mój upadek w jaskini był zwyczajnym przypadkiem. Później nagle zjeżdżasz w bok, aby sprawdzić, czy nie jesteśmy śledzeni, i...

— Kit, powinnam była to zrobić...

— Nic nie mów. — Położył dłoń na jej ustach. Kiedy mówił, palce lekko dotykały jej warg. — Jestem przerażony. Chciałem ci to powiedzieć. Ledwie daję sobie radę. Nie mam w sobie dość siły, żeby być uprzejmym dla Davy'ego Lawa. — Cofnął dłoń, lecz nadal czuła na wargach jego palce. — Nie chcę, żebyśmy ponownie się o to kłócili, kiedy nie wiadomo, czy dożyjemy zmierzchu. Czy kamień mówi ci, że coś nam grozi?

— Nie. — Kamienne serce leżało w plecaku, który umieściła za swoim fotelem, czujne niczym kot wygrzewający się na ciepłym piecu. Obserwowało świat z tą samą dziecięcą i pierwotną mądrością, którą po raz pierwszy poczuła w Ingleborough Fell. Dostarczało jej pociechy, pozwalającej uporać się z lękiem.

— Jest tu bardziej szczęśliwe niż w laboratorium Davy'ego Lawa.

Uśmiechnął się, słysząc jej słowa.

— Ten kamień ma dobry gust. Polubiłem go. Czy jedziemy do czarno-białego wiejskiego domku po lewej stronie drogi, jakieś sto metrów od skrzyżowania?

Rozpoznała znajomy ton.

— Być może — odpowiedziała ostrożnie.

— Jeśli tak, zajrzyj przez szparę w żywopłocie. Myślę, że wiem, skąd dochodzi muzyka.

— To nie muzyka. Te dźwięki przypominają miauczenie tysiąca duszonych kotów. — Stella wychyliła się, żeby zobaczyć to co on. Na polu wokół czarno-białego wiejskiego domu odbywał się festyn ludowy. Dostrzegła mnóstwo namiotów, jurt i samochodów oraz estrad, kapel, markiz i połyskujących dekoracji, które zwykle towarzyszą ogłuszającemu zgiełkowi i nieprzeliczonym rzeszom ludzi.

Dla eksperymentu otworzyła drzwi samochodu i zamknęła je szybko, uderzona ogłuszającą falą dźwięków.

— Kit...?

Delikatnie położył jej dłonie na uszach. Przez szczeliny między palcami powiedział:

— Zgłaszam się na ochotnika. Pójdę i sprawdzę, co się tam dzieje. Nie sądzę jednak, żebym doszedł tak daleko bez pomocy. Wiem, że możesz zrobić to sama, lecz może zdecydowałabyś się na moje towarzystwo, gdybyśmy pocałowali się na zgodę? — Pochylił się i ucałował ją w policzek. — Czy wspomniałem, że cię kocham?

— Tak. Nadal nie mogę się nadziwić swojemu szczęściu. — Ujęła i przytrzymała jego dłoń. — Zajmę się pchaniem

wózka pod warunkiem, że będziesz udawał rycerza w lśniącej zbroi i trzymał muzykantów z dala ode mnie. Odważnie i razem. Nie zawieźdź mnie.

Wiejski dom był stary, ze skośnymi czarnymi belkami, pobielonymi ścianami, wiejskim ogródkiem i różami oplatającymi łuk rozpięty nad bramą. Wąska ścieżka wiodła do dębowych frontowych drzwi z wiszącymi po obu stronach koszami, z których kaskadami spływały jasnopomarańczowe tunbergie.

Po lewej stronie dębowych drzwi znajdowała się mosiężna tabliczka z napisem:

WALKER INSTITUTE, OKSFORD
DYREKTOR: DOKTOR URSULA WALKER

Poniżej umieszczono zalaminowany laserowy wydruk:

WITAMY NA KONFERENCJI POŚWIĘCONEJ ROKOWI 2012!
PROSIMY O POZOSTAWIENIE POJAZDÓW I UPRZEDZEŃ
NA PARKINGU PO PRZECIWNEJ STRONIE

Parking okazał się porośniętym trawą polem, które minęli po drodze. Był pełen. Przed nimi, na rozległych hektarach łąki rozpościerały się ściany jurt, tipi i namiotów, otoczone przez kłębiącą się, wrzeszczącą gawieź. Chociaż nie wszyscy goście byli młodzi, wszyscy starali się za takich uchodzić, ubrani w nierównomiernie zafarbowane T-shirty, z kolczykami w nosie i chartami na smyczy ciągniętymi od namiotu do

jurty, a następnie do pawilonu koncertowego i ponownie do jurty. Powietrze było gęste od dymu z konopi indyjskich, a wokół panował niesamowity zgiełk.

Stella stanęła oparta o framugę i z przerażeniem przypatrywała się zamieszaniu.

— Ursula uprzedzała mnie o konferencji, lecz spodziewałam się czegoś bardziej akademickiego.

— Nie sądzę, żeby hipisi lubili akademicki styl. — Kit odwrócił wózek i ponownie spojrzął na zalaminowany wydruk.

— Co to za konferencja poświęcona rokowi dwa tysiące dwunastemu?

Stella skrzywiła się.

— Nie pytaj. — Na różanej rabatce obok ścieżki leżała odwrócona żółta karteczka. Podniosła ją i przeczytała na głos skreśloną starannym, wyraźnym charakterem pisma wiadomość:

Stella i Kit. Konferencja zakończy się o 13.00. O 12.55 wygłoszę mowę pożegnalną. Jeśli przyjedziecie wcześniej, rozejrzyjcie się po okolicy.

Spojrzała na zegarek.

— Mamy dwunastą trzydzieści. Poszukamy podium?

Radosny festyn, przypominający wysadzaną klejnotami pajęczynę, pochwylił ich i wciągnął w swój wir.

Po pokonaniu dziesięciu metrów szeroką trawiastą ścieżką, przystanęli, żeby kupić koktajl ananasowy od młodzieńca z liliowymi dreadami, dali się też przekonać do skosztowania

soku z pszenicy i trawy, który „za każdym razem jest coraz lepszy”. Dziesięć metrów dalej kupili po łubiance truskawek od pary entuzjastycznych, uśmiechniętych nastolatków w czerwonych T-shirtach, którzy policzyli za nie co najmniej dwukrotnie więcej niż na rynku w Cambridge.

Kit był w nieoczekiwanie pogodnym nastroju. Kiedy odjeżdżali, pochylił się na wózek i pomachał energicznie w kierunku przyciągającego, przyjaznego tłumu, który ich otaczał.

— Ilu ludzi tu przyszło? Tysiąc? Festyn trwa cztery dni, dwie łubianki truskawek na osobę dziennie, ogólnie licząc zarobią ponad... — Przechylił głowę do tyłu, aby spojrzeć na Stellę. — Gadał dziad do obrazu. Nie słuchasz, co mówię.

— Słucham. — Podała mu truskawkę, aby tego dowieść. — Próbujesz wyjaśnić, że jesteśmy biedni i nimi pozostaniemy, ponieważ nie naciągasz ludzi na drogie owoce. Przed chwilą usłyszałam, jak kobieta z dziwacznymi jasnymi pasemkami w jednym zdaniu dwukrotnie wspomniała o „wietrze słonecznym”. Po co mówić o astronomii w takim domu wariatów?

Odwróciła wózek w kierunku miejsca, gdzie niepodzielnie panowała kobieta z jasnymi pasemkami.

— Pewnie za chwilę usłyszę o przesunięciu biegunów magnetycznych spowodowanym trzęsieniami ziemi.

— Ja nie usłyszę niczego. — Kit zablokował wózek. — Zasnę za dziesięć sekund, chociaż dzień jest na to stanowczo za piękny. Po prawej jest namiot z książkami. — Wskazał ścieżkę, prowadzącą do namiotu w biało-niebieskie pasy, nad którym powiewał ręcznie namalowany sztandar z otwartą księgą. — Czy każde z nas może się oddać własnej obsesji? Spotkamy się za dwadzieścia minut?

Wrócili niemal do dawnych zwyczajów sprzed wydarzeń w jaskini. Stella pocałowała go w czoło.

— Świetny pomysł.

Stała przez chwilę, obserwując, jak przedziera się wózkiem przez tłum, sterując w stronę względnie spokojnego namiotu z książkami, a następnie skręciła w drugą stronę. Przepisnęła się przez gromadkę dzieci przypominającą deszcz meteorytów, obserwujących, jak wytatuowany młodzieniec żongluje dziewięcioma jajkami, by w końcu dotrzeć do miejsca, w którym stała kobieta z jasnymi pasemkami. Była teraz wystarczająco blisko, żeby odczytać napis na małych rozmiarów plakacie. Apokalipsa. W jaki sposób do niej dojdzie?

Zdażyła na ostatnich pięć minut prelekcji i nie wysłuchała pytań. Kit zniknął w wielobarwnym tłumie. Wybrała najprostszą drogę, żeby do niego dotrzeć, leniwie lawirując przez wolną przestrzeń, w której jakiś czas temu stał żongler. Przeszła obok straganu, na którym sprzedawano skórzane paski ręcznej roboty z akrylową klamrą w kształcie kwiatów lub tęczy, a następnie ruszyła do namiotu z książkami.

Przystanęła na chwilę, nieprzytomnym wzrokiem oglądając paski i próbując nadać sens temu, co przed chwilą usłyszała, kiedy głęboki, wyrobiony głos z lewej strony oznajmił:

— Rosita Chancellor wygaduje brednie od dnia, w którym przyszła na świat. Nie sądz, że wszyscy wierzymy w to, co mówi. Jestem Ursula Walker. Ty jesteś pewnie doktor Cody.

Stella odwróciła się. Profesor Ursula Walker była wysoka i szczupła, o włosach ciemniejszych niż na zdjęciu zamieszczonym w Internecie. Ubrana w kremowy kostium z lnu,

natychmiast odróżniała się od gości festynu z dredami i kolczykami w nosie. Miała twarz ogrodnika: ogorzałą od wiatru i słońca, a nie pokrytą nietrwałą opalenizną amatorów lata. Dłonie Ursuli Walker były delikatne i wyraziste, a kiedy odgarniała włosy z czoła, w prawym uchu błysnął złoty kolczyk — jedyny znak łączności z ludźmi, którzy ją otaczali. Uśmiechnęła się do Stelli, jakby znały się od lat. Jej stalowoszare oczy spoglądały na nią trzeźwym wzrokiem.

— Mimo wszystko nadal wierzę, że pod koniec dwutysięcznego dwunastego roku wydarzy się coś bardzo ważnego. Sposób, w jaki traktujemy naszą planetę, jest karygodny. Po prostu nie dają wiary ludziom, którzy składają wszystko na karb wiatru słonecznego gnającego nas w niewłaściwym kierunku i wywołującego fale przyływu o niewyobrażalnych rozmiarach. Fizyka tego nie potwierdza.

— Mój pierwszy profesor nazwałby to pseudonauką — odparła Stella. — Nauczono nas, żeby uciekać z krzykiem na pierwszy sygnał czegoś takiego.

— Bardzo roztropnie — usłyszały głos dochodzący zza pleców. — A widzisz? Mówiłem ci, że doktor Cody jest inteligentną osobą.

Odwróciły się jak na komendę. Pod daszkiem, rozpiętym między dwoma namiotami, rozwieszono hamak, na którym spoczywał wysoki, szczupły, siwowłosy mężczyzna, czytający rękopis. Miał szare oczy jak Ursula Walker. Chociaż był gorący letni dzień, nosił koszulę i krawat college'u.

Ursula westchnęła.

— Stello, to mój kuzyn, Meredith Lawrence. Meri, to pani doktor Stella Cody. Będę wdzięczna, jeśli nie przyczynisz się

do tego, że doświadczenie, jakim jest dla niej przyjazd tutaj, stanie się jeszcze trudniejsze.

Z godnym podziwu wyczuciem równowagi Meredith zwiesił nogi z hamaka. Ten wysoki mężczyzna opanował sztukę składania się, co sprawiało, że wydawał się mniejszy. Z cienia pod daszkiem wyciągnął dwa krzesła ogrodowe oraz niski biały stolik i termos z herbatą, a następnie usiadł.

W pozycji siedzącej sprawiał wrażenie krępego i mniej prowokacyjnego. Wykonał lekki ukłon w ich stronę.

— Przepraszam. Może powinniśmy zacząć wszystko od początku. Doktor Cody, czy wypije pani ze mną herbatę, kiedy Ursula pójdzie pożegnać gości na zakończenie tego pożałowania godnego jarmarku?

Miał spokojne poczucie humoru, wyrażające dystans do własnej osoby, z którym Stella zetknęła się w college'u oraz przenikliwy umysł, który spotykała rzadziej, chociaż tak go ceniła.

Nadal trzymała w dłoni plastikowy kubek po soku z trawy i pszenicy. Spoglądała na niego przez chwilę, jakby rozważała propozycję, a następnie ostrożnie postawiła naczynie na ziemi obok namiotu.

— Dla łyka herbaty jestem gotowa zrobić wszystko.

— Dziękuję. Warn obojgu. — Ursula przelotnie pocałowała kuzyna i odeszła.

Zostali sami, nie wiedząc, o czym rozmawiać.

— Studiowałeś w College'u Świętego Bedy jak pozostali? — zapytała. Kolor jego włosów wprowadzał w błąd. Meredith znajdował się u szczytu akademickiej kariery i był w podobnym wieku co Ursula.

Potrząsnął głową, lekko unosząc szaro-czarne brwi.

— Kto mógłby dorównać Tony'emu i Ursuli? Ich światłość przyćmiła wszystkich pozostałych. Ja zawsze uganiałem się za wiatrem. Skończyłem Magdalenę College w Oksfordzie. Filologia klasyczna. Oznacza to, że wiesz o mnie tyle, ile potrzebujesz: college określa młodość i przedmiot zainteresowań mężczyzny. Chociaż w dobie globalizacji nie ma większego zapotrzebowania na filologów klasycznych, można w ten sposób zapobiec oddzieleniu duszy od ciała. Mleko czy cytryna?

— Cytryna, dziękuję — odpowiedziała Stella, uznając, że jest to dzień nowych wrażeń.

Na hamaku leżał maszynopis, którego kartki przewracał wiatr. Nie wszystkie były wypełnione tekstem — na jednej dostrzegła barwną rycinę, którą świetnie знаła.

— Czy to witraż z okna w College'u Świętego Bedy?

— Tak, z okna na zewnątrz pokojów nad rzeką. — Meredith uśmiechnął się cierpko. — Za popełnione grzechy wyznaczono mnie na recenzenta kolejnej pracy magisterskiej poświęconej średniowiecznym obrazom. Autorka uważa, że pieczęć w prawym górnym rogu nie przedstawia koniunkcji Słońca i Księżyca, lecz stanowi nawiązanie do przedmasońskich tradycji związanych z zakonem templariuszy, symbolizujące dwa światy przed i po zagładzie ludzkości. To czysty nonsens, lecz nie wolno tego mówić w czasach równości i eksperymentowania.

— Zawsze sądziłam, że to szale wagi, na których umieszczono słońce i księżyc, aby sprawdzić, które z nich jest cięższe — odparła Stella. — Nie mam klasycznego wykształcenia.

— Wiem, jesteś astronomem. — Meredith przez chwilę

przyglądał się jej obojętnie, a następnie wyciągnął długie ramię i podniósł złożoną kartkę papieru ze sterty. Wyprostował ją i podał nad stołem. Zdjęcie wykonano poprawnie, w słoneczny dzień, w sposób oddający barwy, fakturę szkła i subtelne, opalizujące odcienie.

W obrazie jak zawsze dominował smok — od końca ogona w lewym dolnym rogu po majestatyczny łeb w prawym górnym kwadracie. W tym oświetleniu nie był złoty ani srebrny, lecz lśnił tęczowymi barwami rozlanej rtęci. Rycerz bez zbroi unosił miecz, kopię lub kij — Stella nigdy nie była pewna, co to takiego — w daremnym geście obrony. Słońce stało ponad wschodnim horyzontem. Półksiężyc wisiał w najwyższym punkcie.

Dotknęła kciukiem każdego.

— Słońce wstaje na wschodzie za plecami smoka. Księżyc jest w pozycji południowej, w gwiazdozbiornie Panny. Właściwie go przybywa, osiąga zenit o świcie, co jest fizyczną niemożliwością, przypisuję to jednak naturze poezji. Może ten zabieg ma podkreślić, że Ziemia przyćmiła Księżyc, a światło pochodzi ze Słońca. Tutaj, w prawym górnym rogu jest znak, o którym wspomniałeś, który dla mnie wygląda jak waga na Statui Wolności, gdzie słońce jest na niższej, cięższej szali, a Księżyc na wyższej, niemal pozbawiony ciężaru. Oczywiście, relatywnie mówiąc.

Meredith Lawrence przyglądał się jej znad filiżanki herbaty tak długo, że pomyślała, iż nigdy nie przemówi.

— Jeśli moje wyjaśnienie jest dziecinnym nonsensem, możesz to powiedzieć — stwierdziła.

— Powiedziałbym, gdyby tak było. — Odstawił filiżankę. — Mógłbym wymienić uczone rozprawy poświęcone

temu witrażowi oraz różne interpretacje poszczególnych elementów. Żaden nie może się równać z jasnością i klarownością twojego opisu.

— Miałam pomoc — odparła. — To wyobrażenie jest na medalionie.

Od czasu przygody w jaskini wykonany z brązu krążek stał się jej częścią. Zdejmowała go wyłącznie przed kąpielą i pójściem do łóżka, a wkładała zaraz po przebudzeniu, podczas ubierania, uważając za równie niezbędny jak zegarek i równie mało jak on pamiętany. Wyjęła go teraz spod T-shirta i położyła na pochyłym stoliku w miejscu, gdzie promienie słońca przedzierały się przez brud i nalot pokrywający powierzchnię brązu.

Medalik był bardziej owalny niż okrągły, o szerokości większej od wysokości. Zarys kształtu smoka ledwie przypominał ogromną, opalizującą bestię z okiennego witrażu. Sylwetka człowieka wyglądała niczym postać z kresek, wznosząca miecz lub kij.

Na awersie wyryto znak Wagi ze słońcem i księżycem, który dostrzegła w chwili, gdy podała medalion Kitowi.

— Rysunek po tej stronie jest bardziej wyraźny, dlatego jego znaczenie wydaje się zrozumiałe. Szale ukazano na podobieństwo znaku Wagi, co wiele mówi.

— Mogę rzucić okiem?

Kiedy skinęła głową, Meredith ujął go w dłoń i uniósł w skąpym świetle pod daszkiem.

— Wiesz, że witraż zaprojektował Cedric Owen? — zapytał obojętnym głosem. — Projekt odnaleziono w kryjówce z jego księgami i diamentami, dzięki którym College Świętego Bedy stał się czołową uczelnią Cambridge. Ale herbem uczelni

witraż stał się po przekazaniu diamentów. Wcześniej godłem college'u był szarżujący odyniec lub inny znak nawiązujący do czasów Plantagenetów. Jednym z warunków przekazania darowizny przez Owena było zrobienie smoka herbem college^ oraz wykonanie witrażu i zadbanie, aby znajdował się tam „do końca”, co być może nastąpi za pięć i pół roku, licząc od dziś, jeśli wierzyć temu, co mówiono tu w miniony weekend.

— Wierzysz w to? — zapytała Stella.

Meredith uśmiechnął się ponuro.

— Nie wierzę Rosicie Chancellor i jej przestrogom przed skutkami globalnego ocieplenia, choć z drugiej strony nie ma wątpliwości, że znaleźliśmy się na drodze do samozagłady. Nasza cywilizacja jest uzależniona od ropy, której zasoby szybko się wyczerpują. Kwestią sporną jest, czy doprowadzi my do samozniszczenia w wyniku skażenia środowiska produktami ubocznymi naszej wybujałej konsumpcji, czy wysadzimy się w powietrze i rozpadniemy na miliony toksycznych cząstek, tocząc wojny o ostatnie tankowce z czarnym złotem. Tak czy owak, pozostanie niewielu, żeby poskładać rozbite kawałki.

— Ktoś wygłosił podobną tezę tego ranka. Stwierdził, że Majowie zniszczyli własną cywilizację w ciągu pięćdziesięciu lat i że my uczynimy podobnie.

— To fakt. Na ziemiach Majów istniały miasta liczące pół miliona mieszkańców w czasie, gdy ludność Londynu nie przekraczała dwudziestu tysięcy. Dotyczy to nie tylko Majów. Od czasu gdy Gilgamesz wyciął wszystkie cedry Libanu i zamienił ziemię w pustynię, wszystkie miejskie cywilizacje w rabunkowy sposób wykorzystywały swoje podstawowe

zasoby. Najwyraźniej historia niczego nas nie nauczyła. Przykro mi to mówić. Ten medalion... — Meredith potarł kciukiem jego powierzchnię — jest najbardziej niezwykłym przedmiotem, jaki widziałem. To znak Wagi, prawda? Słońce ma większy ciężar od Księżyca, co jest oczywistą prawdą, chociaż dzisiejsi badacze mogą się zastanawiać, skąd Owen O tym wiedział. Kształt smoka jest wspaniały w swojej prostocie. Powiedziałbym, że to przedstawienie jest lepsze od witrażu. Zawiera znacznie bardziej subtelne podteksty.

Oddał jej medalion, trzymając go niczym jajko lub małego, delikatnego ptaka.

— Możesz mi powiedzieć, skąd go masz?

— Znalazłam go w jaskini w Yorkshire — odparła nie oczekiwanie. — Był zawieszony na szyi nieboszczyka. Zapytałam policję. Powiedzieli, że mogę go zatrzymać.

Zgodę wyraziła Ceri Jones, co było wystarczająco bliskie prawdy.

— Rozumiem. — Meredith potarł nos. Stella obserwowała, jak w jego umyśle rodzą się oczywiste pytania i jak je oddała. Przyglądała się skłębionej, kotłującej się ludzkiej masie i gromadce gapiów, która po chwili przerodziła się w tłum, obserwujący trzech młodych, obnażonych do pasa mężczyzn z tatuażem od obojczyków po pępek, odgrywających panto mimę przedstawiającą różne wersje końca świata.

Na obrzeżu tłumy utworzył się kawałek wolnej przestrzeni, w której dostrzegła wózek inwalidzki. Padające światło sprawiło, że w ułamku sekundy Kit rozszczepił się na dwie postacie: rozradowanego, zaśmiewającego się do łez mężczyznę siedzącego w fotelu i mroczną postać stojącą obok, pełną gniewu, który mógłby zniszczyć ich obu, otoczoną

ponurą atmosferą zniszczenia, która spowijała go, gdy stał w drzwiach laboratorium Davy'ego Lawa.

Kiedy zamrugła powiekami, obraz zniknął. Pewnie puściłaby go w niepamięć, gdyby Meredith Lawrence nie zauważył delikatnie:

— Ten młody człowiek toczy wewnętrzne zmagania.

— Utracił wewnętrzną równowagę. — Zaczęło robić się chłodno. — Jestem astronomem, nie wierzę w astrologię — powiedziała, uznając, że ten fakt ma znaczenie. — Kit jest spod znaku Wagi. Równowaga wewnętrzna jest mu bardziej potrzebna od powietrza i wody. Brak równowagi go zabija.

— A ciebie?

— Mnie również. — Odwróciła się. — Nie wiem, jak mogę mu pomóc.

— Tylko on sam może tego dokonać. — Meredith złożył zdjęcie smoka i wsunął między kartki. — Możesz jednak zrobić coś dla samej siebie. Jako obiektywny obserwator dostrzegam w tobie podobny brak równowagi, który trzeba będzie usunąć, zanim twój przyjaciel spod znaku Wagi zdoła odnaleźć spokój.

Przypomniała sobie suchy i ostrożny głos Kita. „Jeśli z tobą pojedę, nie oznacza to, że jestem zazdrosny z powodu kamienia”. Wcześniej powiedział: „Tobie grozi większe niebezpieczeństwo. Pokochałaś go”. Spojrzała na niego ponownie i stwierdziła, że zasnął w środku przedstawienia.

— Może masz rację. — Z oddali doleciał głos kościelnych dzwonów, wybijających godzinę. Dźwięk przenikał przez zgiełk festynu. Stella wstała. — Muszę go uratować, zanim wykorzystają go jako rekwizyt. Dziękuję za radę. Była... interesująca.

Meredith podniósł się, aby uścisnąć jej dłoń na pożegnanie. Ton jego głosu był lekko szyderczy, chociaż skierowany raczej do siebie niż do niej.

— Uznaj to za nowe doświadczenie poznawcze. Dzięki temu łatwiej przeżyjesz kilka następnych dni. Nigdy nie powinniśmy tracić nadziei. Wiara i nadzieja potrafią przenosić góry, a przynajmniej omijać kretowiska, które pojawią się na naszej drodze. Nie zapominaj o tym. Jestem pewny, że poradzicie sobie z trudnościami.

**Walker Institute, wiejski
dom w Lower Hayworth,
Oxfordshire, czerwiec roku 2007**

*Gdybyśmy wiedzieli, co robimy, nie
nazywalibyśmy tego badaniami,
prawda?*

Albert Einstein

— W tym domu odnaleziono księgi Cedrica Owena. Jedna z moich antenatek odkryła je zamurowane w piecu chlebowym sto lat po śmierci Owena wraz z diamentami, które uczyniły College Świętego Bedy tak bogatym. W tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym ósmym roku jej syn napisał pierwszą rozprawę doktorską na temat ich treści. Od tego czasu są naszą rodzinną obsesją. Usiądź, proszę. Przyniosę coś do picia i zapomnimy o chaosie panującym na zewnątrz.

Kuchnia Ursuli Walker była przystanią chłodnego spokoju — przestronnym, wysokim pomieszczeniem o podłodze z kamiennych płyt, niegdyś białym ceramicznym zlewie

i kamiennych ścianach grubości półtora metra, chroniących przed skwarem panującym na zewnątrz.

Stella usiadła przy ogromnym dębowym stole, przy którym można było swobodnie umieścić dwanaście osób. Kit spał naprzeciw niej w wózku inwalidzkim. Otwarte okna wpuszczały do środka ciepło dnia. Zgiełk panujący na zewnątrz uległ zmianie, gdy siedemset mężczyzn, kobiet i dzieci przystąpiło do składania straganów i przygotowywania się do odjazdu.

Ursula wolno obeszła kuchnię, niosąc tacę z domową lemoniadą z dzikiego bzu i babeczki. Wrzuciła kostki lodu do trzech szklanek, nalała lemoniady i przesunęła je w ich stronę po szerokim dębowym stole, a następnie usiadła przy krótszym boku, pomiędzy Stellą i śpiącym Kitem.

W pięć minut zdążyła zdjąć żółty, lniany kostium, wraz z nim wyzbywając się oficjalności kobiety prowadzącej festyn. Promień światła przesunął się po jej twarzy, sprawiając, że wydawała się o dziesięć lat młodsza. Uniosła szklankę:

— Nie sądzę, żeby festyn był najlepszą okazją do wzajemnego poznania. Możemy zacząć wszystko od początku, jakby ten jarmark nie miał miejsca?

— Dlaczego go zorganizowałaś? — zapytała Stella. — Odnoszę wrażenie, że nie gustujesz w podobnych imprezach.

— Nie wszystkie odczyty były na poziomie prelekcji Rosity Chancellor. Niektóre opierały się na faktach. — Ursula zamieszała lód w szklance. — Dziś rano prowadziłam dyskusję, w której brało udział dwóch antropologów i archeolog. Przyznam, że przez dziesięć minut zdominował ją łobuz pragnący rozprawić o tym, czy zaginiona czaszka Cedrica Owena była błękitną czaszką Albionu. Wszyscy wiedzą, że czaszka Albionu została pochowana wraz z królem Arturem na Avalonie

i powróci wraz z nim na czele dzikiej pogoni, aby ocalić Anglię przed zagładą. Jeśli pominąć ten wątek, wszystko mieściło się w ramach szeroko pojętej nauki.

— O czym chcieliście dyskutować? — zapytała Stella.

— O różnych podaniach dotyczących kryształowych czaszek i ich związku z końcem świata przewidywanym na rok dwa tysiące dwunasty.

Stella roześmiała się.

— Czy antropologia zajmuje się takimi sprawami?

— Tak — odpowiedziała Ursula. — Na całym świecie znane są legendy o kryształowej czaszce, więc pewnie jest w nich jakieś ziarenko prawdy. Wszystkie wskazują na rok dwa tysiące dwunasty jako datę końca. Nie dotyczy to jedynie podań Majów. W obu Amerykach rdzenne plemiona przygotowują się do wielkiego wydarzenia, które nastąpi za cztery do pięciu lat od dziś. Od trzech lat Indianie Hopi wzywają członków swojego ludu, żeby przygotowali się na ten dzień. Poważne pisma naukowe publikują badania poświęcone temu zagadnieniu.

Zaczęła dłubać w zębie paznokciem kciuka.

— Trudno skłonić Hopi do śledzenia przemian, zachodzących w naszym społeczeństwie, lecz ja poświęciłam życie na badanie spuścizny Cedrica Owena i tego, co wyjawiała mu błękitna kryształowa czaszka, dlatego mnie to zajmuje. Jeśli zastanawiasz się, dlaczego jestem taka, jaka jestem, odpowiedzią jest błękitna czaszka Owena.

— Czy dlatego piłaś mocz reniferów? — zapytała Stella.

Ursula Walker przez chwilę wpatrywała się w szklanekę z lemoniadą, a następnie pochyliła do przodu, sięgając w stronę półki z książkami, stojącą za Kitem. Wyciągnęła cienki

notatnik, by wydobyć z niego fotografię powiększoną do rozmiaru A4. Przesunęła ją po stole, zakrywając fragment dłońmi.

— Pojechałam do Laponii w poszukiwaniu odpowiedzi na pewne pytanie. Ale zanim mogłam je zadać, musiałam wziąć udział w pewnych obrzędach, które odprawiają mieszkańcy tych ziem. Aby zrozumieć odpowiedź, trzeba odprawić rytuały, które opisałam w moim artykule. Jestem naukowcem. Czasami trudno mi przyjąć do wiadomości coś, co przedstawiano jako niemożliwe. Na przykład niezwykle właściwości tego...

Cofnęła dłonie i pokazała Stelli zdjęcie.

Zdjęcie przedstawiało Ursulę Walker siedzącą na drugim planie, na wpół ukrytą za skórą renifera. Nad jej lewym ramieniem widniało niebo usiane gwiazdami. Nie ona jednak była centralnym punktem zdjęcia, nie na niej skupiło się też spojrzenie Stelli.

Rzecz, która pochłonęła jej uwagę od pierwszej chwili i na długo ją przykuła, była nieskazitelnie biała kryształowa czaszka trzymana przez starca o twarzy pooranej tak głębokimi zmarszczkami, że przypominała korę dębu i była równie brązowa jak ona. Mężczyzna był ubrany w skóry renifera, na głowie zaś miał płaskie, pokryte aksamitną tkaniną rogi. Jego oczy były uderzająco białe, podobnie jak kamień, który trzymał. Spoglądał wprost w obiektyw, a przez niego na Stellę.

Z oczodołów promieniowało światło, spoglądające poprzez Stellę na czaszkę leżącą u jej stóp, o której nie wspomniała Ursuli Walker teraz ani nigdy wcześniej.

— To biały kamień duchów należący do Saamów — powiedziała Ursula. — Nie pozwolono mi go wziąć do ręki.

Polecono, żebym zrobiła zdjęcie i pokazała je nowemu strażnikowi błękitnego kamiennego serca, aby mógł rozpoznać twarz strażnika białego kamienia, gdyby kiedykolwiek się spotkali. Nazywa się Ki'kaame. Jest jednym z najpotężniejszych ludzi, jakich miałam zaszczyt poznać. Widziałam, jak uzdrowił dziecko promieniami światła, wychodzącymi z oczu jego kamiennej czaszki. Czy próbowałaś zrobić to ze swoją?

Zapadło dłuższe milczenie. Stella przyglądała się szklance. Woń lemoniady w niejasny sposób przypominała zapach kociego moczu, lecz miała przyjemny i orzeźwiający smak. Na powierzchni unosiły się płatki dzikiego bzu o barwie kamiennej czaszki ze zdjęcia. Kiedy na nią patrzyła, czuła na sobie jej spojrzenie. Błękitny kamień leżał cicho w torbie u jej stóp. Teraz ożył i stał się czujny, wyostrzając jej umysł, czyniąc dźwięki bardziej wyraźne, a kolory bardziej nasycone.

— Jak się dowiedziałaś? — zapytała.

Wzruszyła ramionami.

— Odgadłam. — Zaczęła odliczać poszlaki na palcach. — Jesteś z College'u Świętego Bedy. Wyszłaś za Kita O'Connora, który jest jedną z czołowych postaci uczelni. Zaczął się zajmować pochodzeniem kamiennej czaszki od chwili, gdy usłyszał o jej istnieniu. Zadzwoiłaś do mnie nieoczekiwanie, mówiąc, że odkryłaś w dziennikach Owena piktogramy Majów. Kiedy ostatniego wieczoru zadzwoniłam do Tony'ego Booklessa, aby o ciebie wypytać, a on rozpływał się w pochwałach. Masz w nim wielbiciela. Prosił, bym zrobiła wszystko, co w mojej mocy, żeby skłonić cię do zniszczenia przedmiotu, który niedawno stał się twoją własnością. Jeśli chcesz

■
wiedzieć, Meredith pierwszy się tego domyślił. Ma niezwykle przenikliwy umysł.

Cofnęła się i uniosła szklanę, przypatrując się Stelli ponad nią.

— Zamierzałaś mi powiedzieć?

Stella odchyliła się do tyłu, robiąc głęboki wydech. Podniosła oczy i dwukrotnie policzyła belki stropu. Naliczyła dziewięć po obu stronach kalenicy.

— Ktoś przynajmniej raz próbował zabić Kita — powiedziała ostrożnie. — Ten sam człowiek lub ktoś inny przetrząsnął wczoraj jego mieszkanie i zabrał komputer. Gdybyśmy byli w środku, pewnie zostalibyśmy zamordowani. O ile wiem, każdy, kto widział błękitne kamienne czaszki Cedrica Owena, chciał je posiadać lub zniszczyć. Uznałam, że nie należy pokazywać serce zbyt pośpiesznie. Na dodatek kształt odpowiada mojej własnej. Nie masz pojęcia, jak mnie to przeraża.

Pomyślała, że Ursula zapyta, skąd o tym wie, lecz ta powiedziała:

— Dobrze. W takim razie jesteś jej strażnikiem. Obowiązkiem nas wszystkich jest zapewnienie ci bezpieczeństwa, żebyś mogła wykonać misję.

— Jaką misję?

Ursula zamieszała lód w szklance:

— Według Saamów musisz umieścić swój kamień w sercu ziemi w chwili wschodu słońca w Dzień Przebudzenia. Wówczas połączy się z pozostałymi dwunastoma kamieniami umieszczonymi we właściwym miejscu przez swoich strażników. Kiedy kamienie zespolą swoje siły, obudzą do życia smoka zimowych śniegów, który pokona zło, uwalniając w ten sposób ludzkość i Ziemię od zagłady.

— Smoka zimowych śniegów? — Stella roześmiała się i szorstkim głosem zapytała: — To ma się mieścić „w granicach szeroko pojętej nauki”?

Ursula przesunęła językiem po zębach. Nie było wiadomo, czy jest rozgniewana, urażona, czy rozbawiona.

— Możesz go nazwać Uroborosem lub Quetzalcoatlem, pierzastym lub tęczowym wężem. Nordyjskim smokiem Jörmungandrem lub smokiem Albionu z podań o królu Arturze. Chińskim smokiem ognia lub hinduskim smokiem wody, który otacza słonie utrzymujące ziemię na swoich grzbietach. Wyniki antropologicznych analiz porównawczych przedstawiono szczegółowo w kilku pismach naukowych. U Saamów podanie to stanowi fragment przekazywanej drogą ustną legendy, która pozostała niezmienną od czterystu osiemdziesięciu siedmiu pokoleń. Na początku obrzędu Ki'kaame przywołuje po imieniu każdego z poprzednich strażników ducha czaszki, poczynając od czasu jej stworzenia. Człowiek, który nie był tego świadkiem, nie ma pojęcia, jaka moc się w tym kryje.

— Przepraszam. — Stella zamknęła oczy, przyciskając je kciukami. Przez okno wleciała osa, przysiadając na brzegu dzbanka z lemoniadą. Stella spojrzała, jak owad balansuje na cienkiej, pokrytej cukrem krawędzi szklanki. — Do kamienia doprowadził nas wiersz ukryty w księgach Owena — powiedział nieobecny głosem. — Właściwie odczytany, zawiera szereg wskazówek. Nakazuje ustalić „wyznaczony czas i miejsce”, dokładnie tak jak w legendzie przekazywanej przez Ki'kaame. Nie wspomina jedynie, gdzie się udać ani kiedy to zrobić.

— Czy czaszka nie powiedziała ci tego?

— Nie byłoby mnie tutaj, gdyby to zrobiła. — Stella odwróciła się, aby wyrzeć przez okno. Uczestnicy festynu spakowali się szybciej niż sądziła. Na polach rozciągających się wokół domu zapadła cisza. Podniosła torbę z podłogi.

Czaszka milczała, gdy Stella kładła ją na stole obok zdjęcia białego kamienia. Ursula Walker nie obawiała się jej. Można było odnieść wrażenie, że pragnie ją mieć. Położyła splecione dłonie na stole i oparła na nich brodę, przypatrując się czaszce umieszczonej na wysokości oczu. Chociaż nie poruszała się i milczała, czaszka zaś nie śpiewała, porozumiewały się ze sobą, przekazując przesłanie, którego Stella mogła się jedynie domyślić.

Po dłuższej chwili wyprostowała się.

— Ki'kaame pokazał mi pewien test. Możemy go przeprowadzić?

— Co będziemy testowały?

— Twój związek z kamieniem.

Ursula podeszła do ściany i zdjęła małe lustro, które umieściła na podłodze, w promieniu światła wpadającym przez jedno z okien w drewnianych ramach, z których otwierał się widok na tylne podwórze. Wzięła z pieca pudełko zapalek i wsunęła pod lustro, ustawiając je pod takim kątem, żeby promień światła był skierowany pionowo.

Zadowolona, oparła się plecami o ścianę.

— Weź swoje kamienne serce i stań nad lustrem tak, żeby promienie słońca przechodziły przez kość potyliczną, a następnie podstawę czaszki, miejsce, w którym łączy się z szyją... Dobrze, troszkę bardziej w lewo. Doskonale...

Stella stała na środku podłogi, trzymając kamienną czaszkę

nad płamą światła. Nie stało się nic szczególnego prócz tego, że czuła się jednocześnie zrozpaczona i głupia, jakby oblała egzamin, na którym bardzo jej zależało.

— Ursulo, ja...

— Przesuń się odrobinę w lewo, dobrze?

Poczuła na ramieniu dłoń przesuającą ją nieznacznie.

— Ursulo, to nie jest... Och!

Nie potrafiła opisać impulsu życia, który przepłynął między jej dłońmi i w chwilę później połączył się w dwa promienie miękkiego, błękitnego światła wychodzącego z oczodołów.

W miejscu jej umysłu, zajmowanym przez błękitny kamień, otworzyły się drzwi lub wyciągnięta została ręka — wyczuła zaproszenie, którego nie potrafiła zrozumieć ani na nie odpowiedzieć.

Nienawidziła tego, że jest poddawana próbie. Na dodatek nie wiedziała, co było potrzebne, żeby jej sprostać lub jak tego dokonać. Zamknęła oczy, nachylając się ku otwartej bramie i wsłuchując w śpiew kamienia tak, jak to czyniła przez cały dzień, choć teraz wydawała się bardziej spięta.

Jakby na przekór śpiew stał się coraz słabiej słyszalny, zagłuszany bzyčeniami tonącej w lemoniadzie osy. Nie otwierając oczu, widziała, jak owad wpadł do dzbanka i kołysze się na kostce lodu, z prawym skrzydłem zamoczonym w lepkiej cieczy. Mogłaby chcieć, aby nie żyła, zwyczajnie zamilkła, lecz nie pozwoliła na to cząstka jej osoby złączona z kamieniem, więc zapragnęła, by osa wydostała się z wody i ucichła, pozwalając jej wsłuchiwać się w pieśń kamienia.

Osa przestała brzęczeć, a wraz z nią umilkł kamień. Stella otworzyła oczy.

— Przepraszam. Nic nie czuję...

— Spójrz na osę.

Owad nie pływał w dzbanku, jak sądziła, lecz siedział na jego krawędzi, czyszcząc skrzydełka. Światło błękitnego kamiennego serca zmiękczyło żółte pasy na tułowiu osy, nadając im odcień miękkiej, letniej zieleni.

— Myślałam, że tonie.

— Faktycznie tonęła — odparł Kit.

Po jego zaspanych oczach odgadła, że przed chwilą się obudził. Rozszczępienie, które wcześniej dostrzegła, zniknęło, nie mogła jednak zaprzeczyć temu, co widziała. Nie miała zielonego pojęcia, co powinna zrobić lub powiedzieć.

Ursula Walker odezwała się w ciszy:

— Widziałam, jak biały kamień Ki'kaame uzdrowił chore dziecko.

Wypowiedziała te słowa, nie patrząc na Kita. Stella wolno podniosła oczy. Kamienne serce nuciło ledwie słyszalną pieśń w jej sercu. Skierowała miękkie, błękitne światło w jego stronę.

— Stello, nie rób tego. Błagam.

Zamarła. Niebieskie światło zatrzymało się w jego pobliżu, rzucając dziwny cień na stół. Kit poblądł i wyraźnie zmizerniał, pod kośćmi policzkowymi ukazały się nowe cienie. Nawet w szpitalu nie wyglądał tak źle. Chciała, aby odzyskał zdrowie, a kamień pragnął tego wraz z nią. Sięgał do jego wnętrza zasnutego cieniem, jakby pragnął ponownie połączyć fragmenty zerwanej nici. Zamknęła oczy, starając się opanować pragnienie.

— Błagam — powtórzył.

Stella czuła jego sprzeciw jak szklaną ścianę, grubą i nie-

poruszoną, lecz łatwą do skruszenia. Wzięła głęboki oddech, wyobrażając sobie, jak ją pokonuje.

Usłyszała głos Ursuli dolatujący z oddali:

— Może mu to nie pomóc, lecz nie sędzę, aby wyrządziło krzywdę.

— Nie o to chodzi — powiedział niewyraźnie Kit. — Nie chcę zawdzięczać Stelli tego, że mogę chodzić. Tak nie można żyć. Będę jej winien zbyt wiele. Stell? Czy ty mnie słuchasz? Przestań!

— Zatrzymałam się. Zatrzymałam się! — musiała to powtórzyć, żeby mieć pewność, że usłyszał.

Szklana ściana i opór stawiany przez Kita zniknęły. Stella nie była pewna, czy kamień się wycofał, czy to ona go do tego skłoniła, czy też Kit odprawił ich oboje.

Piekły ją dłonie, tak jakby w jednej trzymała lód, a w drugiej rozżarzone węgle. Odsunęła się od odbitego przez lustro światła. A odcięty od niego źródła kamień pogrążył się w milczeniu. Dygotała na całym ciele. Czuła ból w piersi, jakby miała tam otwartą ranę, jakby przed chwilą ustał bardzo długi płacz.

Oparła się plecami o zimną kamienną ścianę, osunęła się po niej, aż kolana znalazły się na wysokości brody, ochraniając sobą niebieski kamień, osłaniając go miękkim brzuchem jakby był dzieckiem.

Spojrzała na Kita przez boleśnie intensywne promienie słońca:

— Bez twojej zgody nie zrobię niczego.

— Nie dokonałabyś tego.

— Nie ja, lecz kamień. Umieściłam go jedynie nad promieniem światła. Każdy mógłby to zrobić.

— To niczego nie załatwi, Stell.

— Przestań, na Boga. — Ukryła głowę w dłoniach, za słaniając oczy przed światłem dnia i przed oskarżeniem malującym się na jego zdeformowanej twarzy. — To tylko kamień. Kawałek minerału. Jakie to ma znaczenie, jeśli dzięki niemu odzyskasz sprawność w nogach? — Kiedy nie od powiedział, podniosła oczy i spojrzała na niego: — Czy uwolnienie cię od obecnego stanu byłoby takim wielkim złem?

Przypominał dziecko, które nie wie, jak się zachować w towarzystwie nieznamym. Spojrzał wymownie na Ursulę i ponownie na nią.

— Możemy to zakończyć?

— Nie musisz go słuchać — odparła Ursula.

— Wiem, lecz pewnie tak będzie lepiej. — Stella poczuła chłód w żołądku. — Czy możemy uznać, że pomyślnie przeszłam próbę?

— Oczywiście.

— W porządku. Nie wiem, ile słyszał Kit, lecz w gruncie rzeczy nie posunęliśmy się ani o krok naprzód, z wyjątkiem upewnienia się, że jest to kamień Cedrica Owena, jeden z trzynastu, które należy umieścić w wyznaczonym miejscu, o świcie wyznaczonego dnia. Niestety, w dalszym ciągu nie wiemy, kiedy ani gdzie.

Poczuła, że wewnętrzne napięcie osłabło. Odzyskała zdolność jasnego myślenia.

— Czy pozostałe kamienie są w posiadaniu ludzi, którzy wiedzą równie mało jak ja? Czy będą wiedzieli lepiej ode mnie, co należy zrobić?

— Mam powody sądzić, że jeden z kamieni znajduje się na Węgrzech, a drugi w Egipcie, u rodzin, które wiedzą, jakie

jest ich przeznaczenie i jak ich użyć. Zakładam, że podobnie jest w przypadku pozostałych. Nie mam pojęcia, jak się z nimi skontaktować.

— Czy ten starzec z ludu Saamów powiedziałby nam, kiedy i dokąd się udać?

— Tak sędzę — odpowiedziała Ursula. — Problem w tym, jak go o to zapytać bez odbycia długiej podróży. Kiedy zadzwoniłaś do mnie wczoraj, wysłałam e-maila do Laponii z prośbą o pomoc. Nie czekam w napięciu na odpowiedź. Pastwiska reniferów dzieli od kafejki internetowej w Finlandii niemal tysiąc dwieście kilometrów, a tylko jeden z prawnuków Ki'kaame potrafi obsługiwać komputer.

— Ile czasu potrzeba, aby dotrzeć do Finlandii? — zapytał Kit oschłym głosem, jakby pragnął jedynie zwrócić na siebie uwagę.

— Za długo. Kamień nie zaryzykowałby wyjścia z ukrycia, chyba że Dzień Przebudzenia byłby bardzo bliski.

— A miałem się za takiego mądrego, gdy złamałem szyfr. — Przynajmniej ironia jego uśmiechu była prawdziwa.

Ursula wyraźnie go lubiła. W jej oczach pojawiło się niezwykle ciepło.

— Byłeś mądry — powiedziała. — Gdyby nie znalazł się ktoś o sile serca i umysłu dorównującej kamieniowi, pozostałby w ukryciu przez całą wieczność, a łuk dziewięciu nigdy by nie zabłysnął. Problem w tym, jak rozpocząć poszukiwanie odpowiedzi w sytuacji, gdy nie wiemy nawet, ile czasu nam pozostało.

— Mamy kodeks Majów, który odkryliśmy w księgach

Cedrica Owena — rzekła Stella. — Właśnie dlatego przyjechaliliśmy. Jestem pewna, że zawiera jakieś wskazówki.

Warto było poczekać pół godziny, żeby zobaczyć zdumienie malujące się na twarzy Ursuli.

— Nie rozumiem.

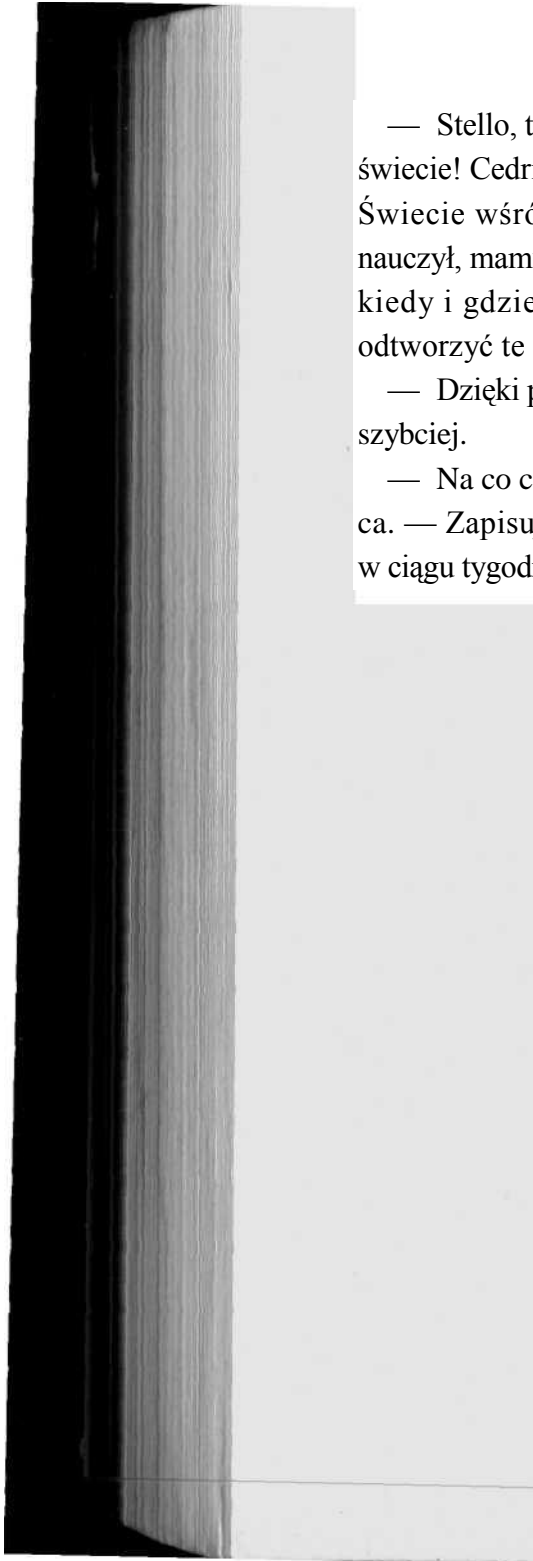
— Zobacz. — Kit podniósł torbę z wózka i podał go Stelli. Ta otworzyła ją i starannie ułożyła kartki na podłodze: stronie zawierające kopię ksiąg Owena, wiersz, który od czytali na podstawie stenogramu zapisanego w ostatnim tomie, oraz jej próby odtworzenia piktogramów Majów z pozostałych ksiąg.

— Powiedziałam ci, że odkryłam nowe piktogramy. Stanowią fragment zaszyfrowanej wiadomości, można je zrekonstruować na podstawie kresek w księgach. Są ułożone we fragmenty złożone z dwunastu wierszy liczących dwanaście znaków. — Stella rozłożyła kartki na podłodze. — Potrafisz je odczytać?

Ursula uklękła na kamiennej posadzce, składając kolejne strony i równocześnie je odczytując:

— *Ja, przyjaciel... kobiety-jaguara... spisałem... opowieść o moim życiu, poznaniu i wiedzy... Ten fragment jest niejasny. Będę musiała się nad nim zastanowić, chodzi tu o coś więcej. Na początku... w mieście, przez które przepływa wielka rzeka... Pewnie chodzi o Paryż. Owen nigdy nie był w Londynie... poznałem... obserwatora gwiazd przepowiadającego... przyszłość. Musi chodzić o Nostradamusa. Wiemy, że w Paryżu dzielili mieszkanie... Mój Boże...*

Ursula zadrżała, poruszając kartkami. Jej oczy zapłonęły niezwykłym zapalem.



— Stello, to istna kopalnia złota! Największa żyła złota na świecie! Cedric Owen spędził trzydzieści dwa lata w Nowym Świecie wśród Majów. Jeśli spisał to, czego się od nich nauczył, mamy odpowiedź. Z pewnością opisał szczegółowo, kiedy i gdzie trzeba zabrać kamień. Jak szybko możesz odtworzyć te znaki?

— Dzięki programowi Kita będę to mogła zrobić znacznie szybciej.

— Na co czekasz? — Ursula zarumieniła się jak uczennica. — Zapisuj je, a ja będę tłumaczyć. Jeśli się postaramy, w ciągu tygodnia przełożymy wszystkie trzydzieści dwa tomy.

Południowa część ziem Majów, Nowa Hiszpania, październik roku 1556

*Księżę nieznający miłosierdzia
przybędzie przez śmierć, aby doznać przemiany i posiadać
wielką wiedzę.
Będzie panował w niezmaconym pokoju, a
potężny mąż zostanie niebawem oskubany.*

Czterowiersz 27, Centuria VII, Nostradamus

Krople deszczu obudziły Cedrica Owena. Otworzył oczy i ujrzał Diega gorączkowo skraplającego mu twarz wodą. Kamienne serce leżało bezpiecznie w torbie, osłonięte jego plecami, w miejscu, gdzie osunął się na ziemię. Odwrócił się i spostrzegł, że jaguar przykucnął obok, wpatrując się w niego z zaciekawieniem.

Stwierdził, że rozdziawiona paszcza stanowi część skóry zdartej ze zwierzęcia, łeb zaś wraz z czaszką został nasadzony na szorstkie włosy Indianina. Linie biegnące obok obnażonych kłów nie były wąsami, lecz głębokimi bliznami na ogorzalej twarzy Maja. Duży biały kiel jaguara nie tkwił w paszczy

zwierzęcia, lecz okazał się naszyjnikiem zawieszonym dla ozdoby, podobnie jak dyndające łapy stanowiące element peleryny wybrzuszonej przez dwie krągłości, które okazały się...

Po niewczasie zrozumiał, że bestia pochylająca się nad jego ciałem była nagą kobietą, okrytą jedynie cętkowaną skórą jaguara, z głową zwierzęcia nasadzoną na własną i łapami zwisającymi luźno wokół szyi.

Ponieważ przez długi czas przebywał na morzu w męskim towarzystwie, obejrzał ją uważnie od stóp do głów, zatrzymując wzrok na krągłych piersiach. Po chwili się opanował, przypominając sobie, że jest lekarzem, który zna ludzkie ciało i nie poddaje się jego urokowi.

Z miejsca, w które nie śmiał spojrzeć, doleciał głęboki, szorstki głos pobrzmiwający nutką rozbawienia:

— Cedricu Owenie, strażniku błękitnego kamiennego serca, czyżbyś obawiał się spojrzeć mi w oczy?

Lękał się tego, lecz inaczej niż wówczas, gdy sądził, że ma przed sobą jaguara. Teraz obawiał się raczej o swoją godność i położenie niż o ciało i duszę. Nie był jednak dzieckiem, aby ulec takim emocjom.

Wstał i spojrział na nią. Kobieta-jaguar była o głowę niższa od Diega, który wcale nie był wysoki, miała jednak niezwykłą pewność siebie, której nie dostrzegł u żadnej kobiety, nawet u Katarzyny Medycejskiej.

Przyjrzał się jej dokładnie i stwierdził, że jest dobrze umięśniona, jak każdy z wojowników. Miała jedynie pełniejsze biodra oraz lekko wypukły brzuch i piersi, odróżniające ją od mężczyzny... Lekarskie doświadczenie podpowiadało mu, że urodziła przynajmniej troje dzieci.

Wyteżył wzrok w promieniach zachodzącego słońca, żeby lepiej ocenić jej wiek. Zaszokowany, pomyślał, że ma tyle lat co on, że niedawno przekroczyła trzydziesty rok życia. Przy-
stąpiła do niego, aby mógł się jej lepiej przyjrzeć. Pod bliznami jaguara, szpecącymi jej brązową twarz, dostrzegł delikatne zmarszczki wokół oczu, grubszą skórę na szyi i siwiejące włosy na skroni pod czaszką jaguara. Uznał, że bliżej ma do czterdziestki niż dwudziestki. Konstatacja ta nie uczyniła jej jednak mniej przerażającą lub piękną.

Patrzył na nią w osłupieni, co trudno było uznać za przy-
zwoite. W końcu zamknął usta i odwrócił wzrok. Ujęła go silnie za brodę i obróciła jego twarz w swoją stronę.

— Nie znasz mnie?

— Nie, pani. — Niewygodne położenie sprawiło, że jego zachowanie stało się formalne. Skłonił sztywno głowę, pokonując opór jej dłoni, i poczerwieniał, gdy głośno się roześmiała. — Przyszedłem, aby szukać pomocy dla umierającego przyjaciela.

— Tylko w tym celu?

„...ci ludzie znają serce i duszę twojego błękitnego kamienia. Powiedzą ci, jak poznać jego sekrety i utrwalić je dla potomności”.

— Nie, pani. Przybyłem, aby odzyskać to, co zostało zagubione, dowiedzieć się, jak najlepiej wykorzystać błękitne kamienne serce. Pomyślałem, że znajdę tu jedno i drugie. Że zdołam uleczyć przyjaciela i poznam tajemnicę kamienia, która została dawno zapomniana w mojej rodzinie.

Kobieta-jaguar cofnęła się o krok, by lepiej mu się przyjrzeć, podobnie jak on sam uczynił to przed chwilą. Surowe badanie wprawiło go w takie samo zakłopotanie jak wszystko, co

robiła. Serce zamarło mu w piersi. Bardzo pragnął nie sprawić jej zawodu.

— Nie wiem, kim jesteś, ty zaś wiesz o mnie wszystko. Moglibyśmy jakoś temu zaradzić?

— Cedric Owen, dziewiąty o tym imieniu. — Przesunęła językiem po zębach, budząc w nim jednocześnie lęk i pożądanie. Poczul krępujące poruszenie w okolicy lędźwi i zaczął się modlić, aby tego nie dostrzegła.

Zrobiła mu przysługę, nie patrząc w dół.

— Znam cię od dnia twoich narodzin — powiedziała. — Od czasu twego poprzedniego wcielenia, gdy nie byłeś Cedrikiem Owenem. Wiem też, kim byłeś wcześniej. Wiem, kim będziesz, gdy po raz kolejny staniesz na ziemi.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Milczenie skłoniło ją do podjęcia decyzji. Pochyliła głowę podobnie jak on, lecz zrobiła to z większym wdziękiem.

— Jestem Najakmul. Jeśli chcesz, możesz mnie nazywać Dolores... otrzymałam to imię od hiszpańskiego zakonnika, który wierzył, że przez zanurzenie w zimnej wodzie zdoła mnie przybliżyć do swojego Boga człowieka.

Nie była już Dolores, tak jak mężczyzna, który ją wezwał, nie był Diegiem.

— Wolę Najakmul — powiedział Owen.

Skinęła głową. Patrzyła teraz na niego mniej surowo.

— Mamy mało czasu. Jesteś przygotowany?

— Nie wiem.

— Czy moi synowie nie powiedzieli ci, co jest potrzebne?

— Twoi synowie? — Owen odwrócił się energicznie, niezadowolony i urażony. — Diego!

Wystraszony Indianin wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

— Nie uwierzyłbyś! U was kobieta jest pozbawiona władzy. Nie może przemawiać do boga tak, jak ubrani w czarne sutanny kapłani, nie może rozmawiać z królami i wodzami wojsk. Nawet członkowie mojego ludu mieszkający w Zami i Meridzie na długo przed przybyciem Hiszpanów uważali kobiety za stojące niżej od mężczyzn. Tylko ci, którzy nadal mieszkają w dżungli, wiedzą, że kobieta-jaguar jest potężniejsza, kobieta-orzeł większa, a kobieta-wąż bardziej niebezpieczna.

— A twoja matka?

— Ona jest nimi wszystkimi. — Uśmiechnął się wieloznacznie, odsłaniając białe zęby. Wyraz miłości, szacunku i głębokiego podziwu na twarzy Diega był bardziej wymowny od słów. — Kiedy ona mówi, my słuchamy. Dajemy jej wszystko, czego od nas potrzebuje.

— Rozumiem. — Odwrócił się do Najakmul i złożył głęboki ukłon, zamiatając ziemię niewidzialnym kapeluszem. Nawet Fernandez de Aguilar nie zrobiłby tego z większą gracją. Hiszpan boleśnie rzeźił u ich stóp. Owen uklęknął i podniósł dłoń śpiącego, aby wszyscy ujrzeli, w jakim celu tu przybył.

— Powiedz mi, czego potrzeba, aby uleczyć mojego chorego przyjaciela.

Zwinna jak kot okrążyła go trzykrotnie i uklęknęła po drugiej stronie de Aguilara. Jej oczy lśniły jak księżyc i oślepiały go.

— Cedricu Owenie, strażniku błękitnego kamiennego serca, czy potrafisz rozpalić ognisko?

Przynajmniej na to pytanie mógł udzielić odpowiedzi.

— Umiem to od czasu, gdy skończyłem sześć lat.

— W takim razie zrób to.

— Przecież Diego już...

Potrząsnęła głową, uśmiechając się chłodno. Odwrócił się i ujrzał, jak Diego rozgrzebuje ognisko, aby zgasić tłące się węgle.

— Ty jesteś strażnikiem kamiennego serca. To musi być twój ogień.

Widząc, jak sięga po hubkę i krzesiwo, potrząsnęła głową i podała łuk ogniowy z luźną cięciwą i osmalony kij, którego Indianie używali z łatwością, on zaś nigdy się nim nie posługiwał.

— Nie tutaj. Tam — powiedziała Najakmul, wskazując odpowiednie miejsce. — W kręgu ognia na mozaice. Tam musisz wzniecić ogień swojego serca.

Bacznie obserwowany przez Najakmul i jej trzech synów, pochylił się i umieścił czarny koniec kija w otworze, a następnie zaczął poruszać łukiem w jedną i drugą stronę, tak zręcznie, jak to czynił Diego.

Był wdzięczny, że żadne się nie roześmiało. Pocił się, kłął i kaleczył palce o cięciwę łuku. Po chwili w promieniach zachodzącego słońca, oświetlających ostrą krawędź piramidy, uniosła się kręta smużka dymu. Podpałka zaczęła się tlić, rzucając czerwoną poświatę na jego włosy oraz małe kawałki suchego mchu i trawy. Radość, jakiej doświadczył, wprawiła go w zdumienie. Dawno zapomniał to uczucie niepohamowanej radości dziecka, które nauczyło się nowej sztuki.

Dym był przesycony zapachem dżungli. Po chwili oczy Owena zaczęły łzawić. Diego i jego bracia stanęli za plecami

Cedrica, chroniąc ogień przed lekkim powiewem wiatru. Osłonięty ich ciałami płomień zamienił się w dwa, a po chwili w całe mnóstwo języków ognia. Jasnożółte płytki mozaiki jaśniały od środka, jakby płomień sięgał w głąb ziemi, równocześnie strzelając ku wieczornemu niebu.

W pewnej chwili, gdy płomienie były tak jasne, jak zachodzące słońce, Diego pochylił się nad Owenem, wciskając mu do ręki pęk trawy i liści.

— Spal to. Wchłaniaj.

Trawa i liście buchnęły wysokim, niebieskim płomieniem barwy jego błękitnej kamiennej czaszki. Dym był delikatny i pieprzny, spływał do gardła, napełniając serce i rozlewając się w piersi. Ogrzewał go, oświecał, wznosił ku niebu. Wchłaniał go łapczywie i żałował, gdy się wypalił.

— Wstań. Patrz i słuchaj.

Stał, rozglądając się wokoło. Przysłuchiwał się światu, w którym wyraźnie słyszalny stał się oddech każdego zwierzęcia mieszkającego w dżungli, jakby przez całe dotychczasowe życie jego uszy wypełniała wata, którą dopiero przed chwilą usunięto.

Dolatujące zewsząd wołania małych, kolorowych ptaków rozbrzmiewały wyraźnymi tonami jasnymi, jak dźwięk kryształowych dzwonek. Wysoko nad głową skrzydła przelatującego motyla ocierały się o gęste powietrze, niczym skrzydła wrony. Słyszał szelest łuski węża pełzającego po pniu drzewa.

Równie upośledzone okazały się jego oczy. Wcześniej dżungla olśniewała go opalizującym światłem. Teraz zaczął dostrzegać nowe odcienie kolorów i był nimi oślepiiony. Mógłby się zagubić w małym refleksie światła migoczącym

w oku kwezala lub w żyłkach zwisającego liścia.

Rozrzucone

kawałki mozaiki zatraciły odrębność, stapiając się w żywy obraz świata, który wstrzymał oddech na chwilę przed końcem.

Owen poczuł zawroty głowy. Chciał przykleknąć, aby lepiej przypatrzeć się kształtowi błękitnego kwiatu na turkusowych kamykach, z których ułożona była osobliwa łąka niewinności.

Zachwiał się na nogach. Troskliwe dłonie pochwyciły go i objęły głowę, przechylając ją do tyłu. Usłyszał jasny i energiczny głos Diega:

— Nie patrz w dół, Cedricu Owenie, bowiem zatracisz się na zawsze w innych czasach.

Przestraszony, skierował wzrok na zachód, w stronę gasnącego słońca i szerokiego niebieskiego nieba, na którym zaczęły się pojawiać barwy nadciągającej nocy.

Mógłby rozkoszować się rozległą szafranową żółcią i głęboką śliwkową czerwienią słonecznej tarczy, opuszczając kruche granice własnego ciała, lecz Feraandez de Aguilar zakaszłał. Przykry dźwięk zakłócił harmonię czerwieni, bieli i czerni.

Owen przysłuchiwał się chrapliwemu oddechowi chorego. Poznał, że w płucach zgromadziła się woda, a ciśnienie krwi w dużych naczyniach płucnych zaczęło słabnąć.

Sięgnął po nadgarstek przyjaciela i odczytał prawdę w trzech pulsach.

— On umiera. Trzeba działać!

Jego głos odbił się od drzew i powrócił echem. Z drugiego końca ogniska doleciały go słowa Najakmul:

— W takim razie spójrz na mnie, Cedricu Owenie, strażniku błękitnego kamiennego serca. Czas jest właściwy.

Najakmul siedziała w cieniu. Z jej dłoni wychodziły dwa promienie, jakby sięgnęła do słońca i ściągnęła je, żeby go oświetliło.

Pośród oślepiającego blasku Owen spojrział zmrużonymi oczami, gdy rozsunała kościste palce. Zza jej dłoni zaczął się wyłaniać coraz bardziej wyraźny kształt — srebrzysty zarys czaszki jaguara wyrzeźbionej z idealnie czystego, bezbarwnego kamienia, pochłaniającego falujące światło ogniska i blask odległego, przesłoniętego dżunglą księżycy, by połączyć je w dwa promienie srebrzystego światła, które wydawały tak czysty dźwięk, że niemal rozsadzały czaszkę.

W gwałtownie pulsującej nocy Owen po raz pierwszy w życiu ujrzał inną czaszkę wyrzeźbioną z kamienia i ukształtowaną przez dłonie znające tajemnice gwiazd. Czaszka jaguara swoją doskonałością niemal dorównywała jego kamieniowi. Niemal.

— To dziwne uczucie, zobaczyć inną, prawda? — powiedziała miękkiem głosem Najakmul.

— Pęka mi serce.

Czuł, że oczy odsłoniły jego całą duszę. Był to nieznanym mu dotąd rodzaj nagości.

— Co ze mną zrobiłaś?

— Otworzyłam oczy i uszy twojego serca. Teraz możesz widzieć, słyszeć i odczuwać tak jak my. Dzięki temu będziesz mógł pokonać przepaść oddzielającą światy, połączyć cztery kamienne bestie oraz dziewięć kamieni różnych ras ludzkich.

Z mozaiki uniósł się ledwie widoczny cień i Owen ponownie usłyszał słowa kapłana.

„...u kresu czasu... bestie złączą się ze sobą, tworząc jedno. Wyobrażasz sobie, co powstałoby z połączenia tych czterech?”.

Poczuł, że włosy stanęły mu dęba. Przeszły go zimne ciarki, chociaż noc była ciepła.

— Chcesz, abym wzbudził Kukulkana, tęczowego węża? Chyba nie nadszedł jeszcze koniec świata? — zapytał prze straszony.

Najakmul potrząsnęła głową.

— Jeszcze nie. Nadejdzie w przyszłości, kiedy z sumy części powstanie całość. Dziewięć ludzkich kamieni musi się połączyć, tworząc pierścień opasujący ziemię. Gdybyśmy poprosili, żeby to się stało teraz, odnieśliśmy porażkę. Nasza wiedza nie jest jeszcze pełna. Tylko ty możesz ją osiąść. Kiedy to się stanie, cztery bestie będą mogły stopić się ze sobą.

Najakmul pochyliła się nad ogniskiem. Nie zakrztusiła się, chociaż gęsty dym otoczył jej głowę.

— Cedricu Owenie, czy uwierzysz, jeśli ci powiem, że czas jest ścieżką, którą możesz podążyć, jeśli otworzymy bramy i cię pošlemy?

Dostrzegł w jej oczach coś niepokojącego i przypomniał sobie pytanie Nostradamusa.

— Czy grozi to śmiercią? — zapytał.

— Wszystko grozi śmiercią.

— Czy śmierć odstąpi Fernandeza de Aguilara, jeśli mi się uda?

Skinęła głową tak, jakby oddawała mu pokłon.

— Jeśli to uczynisz, twój przyjaciel być może zostanie uleczony. Jeśli zawiedziesz, zginiecie nie tylko wy dwaj, lecz

zaniknie się ostatnia przepaść i całą ziemię ogarnie zniszczenie. Nie będzie żadnej nadziei na odkupienie. Jesteś na to przygotowany? Jesteś gotów zaryzykować wszystko, aby ocalić jedno życie, na którym ci zależy?

— Tak.

Wypowiedział te słowa z pewnością, która zaskoczyła ich oboje. Przez kłęby dymu usłyszał delikatny śmiech Najakmul.

— W takim razie spójrz w dół, Cedricu Owenie, i zobacz ostatni ze światów pod swoimi stopami.

**Południowa część ziem Majów,
Nowa Hiszpania, październik roku 1556**

*Trzeciego miesiąca, o wschodzie słońca,
dzik i pantera staną do walki. Zmęczona
pantera podniesie wzrok ku niebu i ujrzy
orla krążącego wokół słońca.*

Czterowiersz 23, Centuria I, Nostradamus

Jakiś czas po zapadnięciu zmroku ułożyli de Aguilara na środku mozaiki przedstawiającej koniec świata. Po prawej stronie ukazał się tak realny obraz zagłady, cierpienia i śmierci, że Owen niemal czuł lęk, widział łzy i słyszał jęki tych, którzy walczyli o przetrwanie.

Z lewej, po stronie wschodzącego księżyca, mała dziewczynka grała w kości na letniej łące, otoczona kręgiem rozrzuconych kwiatów.

Ponad przepaścią oddzielającą oba światy rozciągał się sznur różnobarwnych pereł — cienka nić nadziei dla Fernandeza de Aguilara i dla świata.

— Trzeba połączyć oba światy pieśnią twojego kamienia — powiedziała Najakmul z przeciwległego końca ogniska.

Błękitny kamień leżał beczynn timer w torbie objającej się o jego biodra. Z troską, z jaką ojciec podnosi pierworodnego, Owen przysunął go do światła ogniska.

Z początku był onieśmielony obecnością Najakmul, a później zapłonął dumą, kiedy bowiem patrzyła na kamień, w jej oczach można było zobaczyć duszę.

Przechylając dłonie, bawił się ze światłem, aż kamień zgromadził w sobie dość światła ognia i księżyca, aby spleść je ze sobą i posłać w kierunku jasnego, bezbarwnego kryształu, któremu nadano postać ryczącego jaguara.

Ich spotkanie było alchemią dźwięków i światła, jakiej wcześniej nie widział. Obserwując, jak splatają się ze sobą, tworząc całość większą od sumy części, Cedric Owen rozumiał, w jaki sposób pieśń jego czaszki może połączyć dziewięć pozostałych, a następnie zespolić cztery bestie. Nie był jedynie pewny, czy sam zdoła sprostać temu zadaniu.

— Zaczynamy. — Uniósł czaszkę i przesunął ją, żeby blask jej oczu i pieśń skierować ku dołowi, w przepaść oddzielającą dwie części mozaiki.

Rozpoczął od południowej strony, od ogniście czerwonego kamienia — koloru serca ognia. Przepaść poszerzyła się, gdy posłał w jej stronę błękitną pieśń kamiennego serca. To, co przed chwilą było perlą o czerwonym zabarwieniu, stało się kamienną czaszką barwy głębokiego karneolu, a to, co wydawało się zwyczajną linią z kamyków czarnego obsydianu, zamieniło się w rozszerzającą się strefę nocnego cienia, cicho dyszącą w oczekiwaniu.

Szedł coraz dalej przyciągany przez własny kamień i kamienną czaszkę jaguara Najakmul.

Przepaść zamieniła się w dolinę, prowadzącą na szeroką,

piaszczystą pustynię. Owen kroczył po gorącym, ostrym piasku, który przesypywał się pomiędzy jego palcami. Czuł zapach gorzkosłodkiego dymu inny od tego, który przed chwilą wdychał. Spojrzał w górę, w rześkie nocne niebo z gwiazdami, których nie znał i nie potrafił nazwać.

Ognistoczerwony kamień trzymała kobieta w jego wieku, o skórze czarnej jak smoła. Usiadła przed nim naga. Światło ogniska przelewało się złoto-czerwonymi kaskadami satynową doliną między jej piersiami. Wskazała mu głową kłodę, żeby na niej usiadł. Kiedy się pochylił, usłyszał za sobą szelest piasku.

Błękitna kamienna czaszka wydała jasny ostrzegawczy sygnał i polecenie. Czas rozciągnął się i zwolnił wokół Owena. Ten odwrócił się leniwie, przyciskając stopą czarnego węża o czerwonym podbrzuszu, który chciał go ukąsić, a następnie odrzucił go w noc.

Nie czuł lęku, a jedynie dziwne, chłodne podniecenie. Przeprosił swojego przyjaciela, Fernandez de Aguilara, że ostatnim razem nie poruszał się równie zwinnie.

Kiedy odwrócił się ponownie, kobieta o czarnej skórze stała. Jej kamienna czaszka miała barwę krwi, narodzin, wściekłości, czerwonej śmierci — kolor podbrzusza węża. Kobieta przybrała barwę ognia i wyrzuciła go z siebie, zabarwiając ziemię i wytyczając ścieżkę. Naśladowując ją, Owen obrócił swój błękitny kamień i obie ścieżki splotły się ze sobą, tworząc szlak większy od każdej z nich.

— Chodź — powiedział Cedric Owen. — To nasz czas, nasza radość i nasz obowiązek. Nie były to jego słowa, lecz pochodziły z nocy, ziemi i cienia rozciągającego się za kręgiem oświetlonym płomieniami ognia, do którego musieli się udać.

W milczeniu podążyli czerwono-błękitną ścieżką w mrok, ku skale szerokiej i gładkiej jak cielsko wieloryba, która ukazała się na horyzoncie. W jednej z jej ścian, wysoko, znajdowała się okrągła szczelina mogąca pomieścić ludzką głowę.

— Trzeba z części utworzyć całość — powiedział Owen. — Twój kamień musi się połączyć z duszą ziemi. — Kobieta wspinała się już ku otworowi.

Kiedy jej kamień znalazł się na właściwym miejscu, u podstawy ziemi rozległ się dźwięk przypominający narodziny gwiazdy. Oślepiająca, ogłuszająca implozja sprawiła, że Owen zakołysał się na piętach. Pozbawiony zmysłów, nie ujrzał w porę drugiego węża, który ukąsił czarnoskórą kobietę.

Kiedy otworzył oczy, konała. Pomachała mu ręką, więc wrócił na ziemię, która otworzyła się, pozwalając mu przejść przez ciemność.

— To była pierwsza próba — powiedziała Najakmul. — Ujrzałeś węża i przeżyłeś.

Gdy zrozumiał, że mówi do niego, był już zupełnie gdzie indziej.

Osiem razy Cedric Owen kierował pieśń swojego kamienia wzdłuż przepaści, która powstrzymywała zagładę. Osiem razy spotykał strażników czaszek, które były wykonane z kamienia innej barwy, a oni przekazali je ziemi, aby ich pieśń mogła się połączyć z pieśnią błękitnego kamienia. Pieśń, która w ten sposób powstała, przypominała pieśń wszystkich poprzednich, lecz była od niej potężniejsza.

Osiem razy stanął twarzą w twarz ze śmiercią—poczynając

od spotkania ze skorpionem u stóp piramidy i z szarżującym dzikiem w lesie na podmokłej, miotanej wiatrami równinie, aż po spadające z góry kamienie w zadrzewionej rzecznej dolinie tak pięknej, że płakał, gdy musiał ją opuścić. Osiem razy był świadkiem śmierci strażnika czaszki, śmierci, której sam przed chwilą uniknął, gdy ich kamienie zajęły swoje miejsce na ziemi.

W ten sposób wypełnił przepowiednię Nostradamusa, który na stole w jego paryskim mieszkaniu rozpostarł wachlarz siedmiu barw, ukazując, że po nich nastąpi czerń pozbawiona światła i biel, która skupia w sobie je wszystkie, w sumie dając dziewięć.

Na koniec znalazł się w miejscu zawierającym w sobie całe światło. Starzec o haczykowatym nosie, z rogami renifera na głowie, trzymał białą kamienną czaszkę w miejscu skutym śniegiem i lodem. Za nim stał renifer i młoda kobieta nucąca pieśń. Tym razem śmierć przybrała postać lawiny, przed którą Owen uciekł, brnąc po uda w głębokim śniegu. Szczelina, w której czaszka miała połączyć się z ziemią, była głęboko ukryta w litym lodzie i skalnym podłożu. Starzec musiał spuścić się do niej po linie, a następnie podciągnąć się do góry, gdy biały kamień znalazł się na swoim miejscu.

Starzec i dziewczyna opuścili Cedrica, zabrani przez lawinę, przed którą nie próbowali uciekać.

Samotny i nietknięty, stał nocą na równinie tak rozległej i białej, że odbite światło gwiazd raniło mu oczy.

Znajdował się na granicy pomiędzy białą śniegu i czernią nocy. Słuchał śpiewu swojego błękitnego kamienia, obracając go, a jednocześnie trzymając wstęgę ośmiu barw, które opasywały ziemię.

Jedynie ośmiu.

Usłyszał szept Nostradamusa. „Dziewięć zabarwiono i ukształtowano tak, aby odpowiadały ludzkim rasom. Zapamiętaj moje słowa. Kiedyś będziesz potrzebował tej wiedzy”.

Spojrzał na błękitny kamień. Przypomniawszy sobie, jak szedł przez krainę porośniętą zielonymi lasami, zmierzając ku górą barwy indygo i wysokim, spienionym kataraktom, gdzie kapłan z wygoloną głową i młynkiem modlitewnym umieścił inny niebieski kamień w wydrążonej niszy starego ołtarza wykutego w skale. Nie było sposobu, aby oba powróciły do Anglii, skąd przybył błękitny kamień Owena i gdzie w końcu miał się *znaleźć*.

Ponad masami śniegu i lodu usłyszał głos Najakmul przerywany światem wichru:

— Musisz zdecydować, że się tam udasz.

— Gdzie? — zapytał głośno. — Nie wiem, o jakie miejsce chodzi.

— Zostaniesz wezwany. Zapomnij o przyjacielu i podąż za śpiewem swojego serca.

Owen stwierdził ze wstydem, że zapomniał o Fernandezie de Aguilarze. Teraz ujrzał Hiszpana leżącego na mozaice, pozbawionego jednej ręki, z zabójczym płynem bulgoczącym w płucach. Nagle bardziej wyraźnie poczuł dym ogniska, o tej samej piekącej słodczy co przedtem.

Kichnął.

— Pij i pamiętaj — powiedziała Najakmul. — Twojemu przyjacielowi zależy na tobie. Dla ciebie postawił na szali własne życie. Pomyśl i zapamiętaj.

Owen kichnął ponownie, a następnie podniósł głowę, przy-

patrując się gwiazdom na wysokim firmamencie, drżącym na swych torach.

„Pomyśl”.

Tym razem przypomniał sobie bez pomocy Najakmul. Z trudem zagłębił się we własnych myślach i w końcu odnalazł coś, czego mógł się uchwycić: obrazu de Aguilara siedzącego na pokładzie, z plecami opartymi o maszt, obserwującego wschód słońca przed przybyciem do Zamy. Oferującego mu przyjaźń bez żadnych warunków i zobowiązań.

„Może nie chciałeś obarczyć takim ciężarem przyjaciela?”.

Cichy, zgryźliwy głos dotarł do uszu Owena przez pustkowie, słoneczną spiekotę i morski wiatr. Przez łopot żagli, gorzkosłonawy smak morza na wargach i kołysanie pokładu pod stopami.

Kiedy zaczął go nasłuchiwać, okręt się uspokoił. Wiatr stał się cieplejszy i nie przenikał go chłodem. Dolatujące z oddali wołanie mew przybliżyło się, a po chwili ustąpiło miejsca drżącemu pohukiwaniu płowej sowy, która nie pochodziła z tundry zamieszkiwanej przez pasterzy reniferów ani z wilgotnej dżungli nocnego jaguara Najakmul.

Owen otworzył oczy, uświadamiając sobie, że cały czas były zamknięte. Był w Anglii. Odgadł to po woni wilgotnego torfu, cichym wietrze oraz trzasku i kołysaniu się buków w świetle księżyca. Przede wszystkim upewniło go w tym poczucie spokoju, które ogarnęło błękitny kamień, powracający do domu.

Nie znał miejsca, w którym się znalazł. Stojące kamienie otaczały go pierścieniem — kamienie z surowej, szarej skały dwa razy wzrostu człowieka. Ich cienie kładły się cienkimi, czarnymi pasami na ziemi.

Kamienie stały przed niskim ziemnym kopcem porośniętym trawą, o szerokości okrętu de Aguilara. Na jego końcu, na wprost Owena, znajdowało się wejście do podziemnego tunelu z kamiennym nadprożem, strzeżone przez cztery kamienie pełniące rolę wartowników i kilka mniejszych, przycupniętych drapieźnie obok rzeźbionych znaków runicznych odbijających światło księżyca. Nieczytelne znaki cicho szeptały w mroku nocy.

Otoczenie kopca było podobne — zewsząd biegły do niego ledwie widoczne, widmowe ścieżki, niczym szprychy zmierzające do środka koła, którym był kopiec z pierścieniem ustawionych pionowo kamieni. Ich miękkie, dysharmonijne dźwięki sprawiły, że Owen został pochwycony w sieć księżyca, który przyciągał go, czy tego chciał, czy nie, do kwadratowego, czarnego wejścia prowadzącego do wnętrza kopca.

Kopiec okazał się grobowcem. Owen słyszał ciche szepty zmarłych, którzy nadal gromadzili się w pobliżu.

Sowa zawołała ponownie, tym razem bardziej przenikliwie. Po plecach przeszedł mu dreszcz strachu, wywołany świadomością nieznanego zagrożenia. Błękitny kamień nie udzielił mu żadnego ostrzeżenia, jak przed burzą, lecz pograżył się w milczeniu i wstrzymał oddech w oczekiwaniu.

„Czy kamień zażąda twojej śmierci?”

Sowa zawołała po raz trzeci. Owen podniósł błękitny kamień, żeby lepiej pochwycić światło księżyca za plecami i oświetlić drogę przed sobą.

Po raz pierwszy promień, który oświetlał mu drogę, był spleciony z dziewięciu barw ludzkich ras i lśnił na powierzchni wody lub lodu na wysokiej górze, nowym kolorem bez nazwy, i jednocześnie nieopisanie pięknym.

Światło przesunęło się łukiem ku przodowi niczym odwrócona tęcza, z czerwoną wstęgą na wewnętrznej i diamentową bielą na zewnętrznej krawędzi. Cedric Owen wkroczył oświetloną widmowym światłem ścieżką do grobowego kopca, który otworzył się, by go przyjąć, a następnie zstąpił do tunelu biegnącego w głąb.

Światło pochłonął mrok. Owen stał na końcu kopca, który okazał się większy, niż wyglądał z zewnątrz. Zewsząd otaczały go kamienie. Ocierał się włosami i ramionami o ściany. Gdyby wyciągnął obie ręce, mógłby dotknąć jego krawędzi.

Na posadzce leżały kości. Uklęknął, badając ich długość i zakrzywione końce. Wiedział, że należały do człowieka i konia. Jego palce natknęły się na metalowy przedmiot — broszę lub monetę. Potarł go kciukiem, aby oczyścić z brudu, lecz nie potrafił stwierdzić, co na nim wryto. Wrzucił go do torby, a następnie wymacał niszę, w której trzeba było umieścić kamienne serce. Nie czuł się zagrożony, chociaż zewsząd otaczała go śmierć.

Usłyszał jakiś hałas, dźwięk spierających się głosów. Zachwiał się i oparł o ścianę grobowca. Odnalazł wnękę i wcisnął się w nią. Dłońmi zasłonił oczy kamiennego serca, aby nie rzucały światła i nie zdradziły jego obecności.

W ciemnościach szukał wzrokiem nieistniejących kształtów. Minęła go dziwnie ubrana młoda kobieta, wypowiadająca słowa w języku, którego Owen nie rozumiał. Dotarła do końca grobowego kopca i w blasku bijącym od jej postaci Owen dostrzegł wnękę przeznaczoną na błękitną kamienną czaszkę.

Wbrew sobie Owen wydał słabe, bezgłośnie westchnienie.

Kiedy się odwróciła, westchnął głośnie, ponieważ niczym matka tuląca niemowlę, trzymała w dłoniach błękitny kamień, taki sam jak jego własny. W obłym lśniącym sklepieniu czaszki dostrzegł swoje odbicie, o siwych włosach. Szok, wywołany widokiem kamienia i własnych siwych włosów, odebrał mu głos.

Dziewczyna spojrzała na niego i zmarszczyła brwi. Rozpoznał w niej swoją babkę i sam został przez nią również rozpoznany. Chciał coś powiedzieć, lecz dziewczyna odwróciła się i spojrzała za siebie z przestachem, a następnie pobiegła do końca kopca i uklękła, próbując umieścić kamień w miejscu jego spoczynku.

— Nie zwlekaj! — zawołał przestraszony.

Zaszokowana, odwróciła się w jego stronę. Wyciągnął rękę, aby jej pomóc, tak jak pomagał innym. Zanim jego dłonie zdołały ją odnaleźć, dziewczynę i kamień zasłoniła gęsta mgła. Z miejsca na zewnątrz, z którego nadciągnęła, doleciał krzyk i dudnienie przypominające grzmot. Mrok przeszył zduszony jęk i odgłos osuwającego się na ziemię ciała.

Nie wiedział, czy dziewczyna umieściła kamień we właściwym miejscu. Oślepiony przez mgłę, macał w ciemności, zmierzając do miejsca, w którym stała. Po omacku odnalazł wnękę i byłby umieścił w niej błękitny kamień, czego był świadkiem już osiem razy, gdyby nie ostrzegawcze mrowienie skóry.

Odwrócił się. Poczł powiew z lewej strony. W ciemności, tam gdzie kiedyś była kamienna ściana, otworzyła się szeroka przestrzeń. Pośrodku, na mozaice, leżał Fernandez de Aguilar oświetlony gasnącymi promieniami ogniska. Z jego ciała wznosił się odór gnijących płuc. De Aguilar oddychał chrapliwie, z nosa ciekła mu krwawa wydzielina.

— Fernandez?

Owen przyklęknął i zbadał palcami nierówny puls, który tak dobrze znał i którego tak nienawidził.

— Fernandez, nie! — Pochylił się, gotowy uczynić wszystko, co w jego mocy, lecz było za późno. Pochylony nad przyjacielem, ujrzał chwilę, w której dusza opuszcza ciało jeszcze do niedawna będące jej mieszkaniem.

Zachwiał się na nogach, widząc cień de Aguilara, który skłonił się przed nim.

— Nie oplakuj mnie, przyjacielu. Śmierć nie jest taka straszna, jeśli poprzedziła ją radość, a twoja obecność dostarcza mi jej w obfitości.

— Nie! Nie możesz umrzeć! — Owen był zdruzgotany. Kołysał się i jęczał, jak ludzie pogrążeni w żałobie, czego nigdy wcześniej nie czynił, nawet po śmierci babki.

Nadal trzymał błękitny kamień, który śpiewał za niego swoją pieśń. Poczul pod stopami rozrzucone kości. Odsunął je i oparł się plecami o ścianę, czując ostre kamienie wpijające się w plecy i dostarczające nowego rodzaju oparcia.

Wyraźnie czuł granicę pomiędzy życiem i śmiercią — delikatną, czarną membranę połyskującą w powietrzu. Trzymając błękitny kamień i czując na plecach ostre kamienie, sięgnął wolną dłonią za zasłonę do miejsca, w którym w krainie śmierci spoczywało ciało de Aguilara.

Poczul palący żar, jakby wsunął rękę do pieca. Żarowi towarzyszyło przejmujące zimno, które sprawiło, że jego palce przypominały kawałki twardego żelaza.

Przeklinając i krzycząc, wyciągał dłoń, aby przekazać własne życie otoczonemu mrokiem de Aguilarowi.

Śmierć zaatakowała go znienacka, jak wąż lub skorpion,

miażdżąc gwałtowniej niż spadające skały lub lawina. Dar szybkości, który uzyskał dzięki wdychaniu dymu, nie wystarczył, aby jej umknąć. Poczul, jak mroczny chłód ogarnia jego ramię, a następnie zaciska się wokół serca i napotyka niezłomną pieśń błękitnego kamiennego serca w jego duszy.

Świat rozpadł się na błękitne, czarne i czerwone kawałki.

Runął do tyłu, uderzając głową o kamień. Z jednej strony palił go ogień, z drugiej mroził chłód. Jakaś cząstka jego duszy podpowiadała, że znalazł się w piekle, że kapłani mieli rację i że przez całą wieczność będzie żałował swojej nieposkromionej pychy.

Reszta jego jestestwa wiedziała jedynie, że błękitne kamienne serce leży ciężko na jego brzuchu i że jest bardzo chory.

Podniósł się na kolana i gwałtownie zwymiotował. Odruchy wymiotne trwały tak długo, że myślał, iż wypluje cały żołądek. Ktoś wcisnął mu do ręki kubek z liścia zwiniętego w stożek i zszytego cienkimi drzewnymi pędami. Wypił gęsty, gorzki płyn bez skarżenia się i narzekania.

Wymiotował trzy razy. Trzykrotnie podniesiono go, udzielono pociechy i podano do picia obrzydliwy płyn. W końcu usiadł chwiejnie i otworzył oczy, aby zobaczyć, jaki bóg, diabeł lub inny potwór go podtrzymał.

Odwrócił oczy i ujrzał niewyraźną postać w białej koszuli, która siedziała obok ogniska z jednym ramieniem ułożonym na kolanach. Zamrugał, lecz postać nie zniknęła.

— Witaj — powiedział spokojnie Fernandez de Aguilar. — Wygląda na to, że ponownie zawdzięczam ci życie.

Kolejny raz w ciągu ostatnich dni Cedric Owen stracił przytomność.

Południowa część ziem Majów, Nowa Hiszpania, październik roku 1556

*Narodzony w cieniu, podczas mrocznego dnia,
posiadzie najwyższą władzę i dobroć,
sprawi, że jego krew odrodzi się ponownie w pradawnej urnie,
zastępując wiek mosiądzu wiekiem złota.*

Czerowiersz 41, Centuria V, Nostradamus

Kiedy się obudził, świeciło słońce. Był chłodny poranek, w jaki ludzie z wdzięcznością witają ciepło ogniska.

Leżał na trawie zamiast na mozaice. Nad jego głową w gałęziach drzew pełno było różnobarwnych ptaków i zwierzątek, które wpatrywały się w niego wybałuszonymi czarnymi ślepiami.

Nie słyszał już ich oddechów ani nie gubił się w refleksach światła, migoczących w ich miękkim futrze. Opłakiwał tę stratę tak, jak opłakiwałby utratę wzroku lub słuchu.

Usiadł, czując się ponownie chory. Choroba stała się dlań rzeczą tak zwyczajną, że ciało przestało z nią walczyć. Tym razem podtrzymała go Najakmul, dając do picia czarny napój.

Poczuł jej piersi na plecach. Drżenie lęku sprawiło, że się odsunął.

— Cedricu Owenie? — Jej dłonie luźno go oplatały. Nie patrzył na nią. Nie potrafił tego zrobić bez wspomnienia, jak nocą siedziała na mozaice, na granicy oddzielającej zagładę od niewinności.

— Zawiodłem cię — powiedział.

Po głębokich bruzdach na twarzy rozpoznał, że była wyczerpana. Uśmiechała się sztywno, jakby jej mięśnie zapomniały swej roli.

— Nie zawiodłeś.

— Żyję, choć wszyscy inni zginęli.

— Myślisz, że to klęska? — Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

Nie był w nastroju do znoszenia drwin.

— Myślałem wyłącznie o Fernandezie. Nie oddałem ziemi błękitnego kamiennego serca. Mam je nadal. — Było nie tylko w jego dłoni, lecz również w sercu. W dziwny sposób kamień przestał się znajdować na zewnątrz niego. Stał się nim, a on stał się kamieniem. Pieśń kamiennego serca splotła się z biciem jego serca.

— Nie na tym polegała twoja rola. Miałeś się jedynie dowiedzieć, gdzie umieścić błękitną kamienną czaszkę. Twój przyjaciel żyje, a to znaczy, że nie zawiodłeś. Weź to jako dowód.

Najakumul wcisnęła mu do ręki monetę. Zmrużył zamglone oczy i po bliższym zbadaniu stwierdził, że nie jest to moneta, lecz wykonany z brązu medalion przedstawiający smoka. Potwór miał skrzydła orła i sprężyste ciało jaguara. Rozdziawiona paszcza przypominała paszczę krokodyla, zwinięty

tułów zaś — ogon węża. Za plecami smoka znajdowało się wschodzące słońce i półksiężyc stojący wysoko na niebie. Na zachód od niego dostrzegł postać człowieka—małą, niepozorną istotę obok potężnej bestii.

Skórzany rzemień, którego wcześniej nie dostrzegł, czynił monetę medalionem przeznaczonym do noszenia na szyi. Najakmul wzięła go z jego rąk i przełożyła przez głowę. Podniósł go do oczu, oglądając w promieniach słońca.

— Czy to Kukulkan?

— To on, który powstanie z czterech bestii, kiedy dziewięć kolorów połączy się w łuk tęczy. Tylko strażnik błękitnego kamienia może go nosić i musi to czynić w czasach osta tecznych. Zatrzymaj go i dopilnuj, aby znalazł się razem z kamieniem.

Zmarszczył brwi.

— W jaki sposób mam...

— Za dużo myślisz. Wypij to i zaśnij. Porozmawiamy później.

Ponownie przytknęła mu do ust róg z liści. Wstrętny, czarny napój wślizgnął się do jego głowy i pozbawił przytomności umysłu. Zasnął, a gdy się obudził, zapadała noc. Słońce wisiało na zachodzie, oświetlając polanę nowym światłem. Tym razem leżał w szałasie z gałęzi, których liście ocieniały mu twarz. Przez otwór dostrzegł wierzchołek góry. Znajdowali się na pobliskim zboczu.

Najakmul pochylała się, próbując otworzyć mu usta palcami. Poczul gorzki płyn i zakrztusił się. Podawała mu rożek z wodą. Nigdy nie pił z równą przyjemnością.

Usiadł, czując, że choroba go opuściła.

— Przepraszam.

Wiedział, że powiedział to już wcześniej, ale nie pamiętał jej odpowiedzi. Nie odrzekła ani słowa, lecz podała mu gotowane mięso. Woń mile podrażniła jego żołądek. Jadł, czując ciepło rozchodzące się po koniuszki palców. Świat przestał się poruszać, chociaż prawdziwe barwy nie powróciły, nie powróciła też towarzysząca im pieśń.

Wymacał palcami medalion wiszący na szyi.

— Czy ziemię spotka zagłada?

Najakmul przycupnęła u jego boku. Odgarnęła mu włosy i pieszczotliwie położyła dłoń na czole. Poczuł jej skórę. Ciepłe, czarne oczy były nadal zmęczone, lecz mniej niż przedtem.

— Zagłada nastanie dopiero wówczas, gdy słońce prze mierzy obszar podziemi, za czterysta lat od dziś.

— Dlaczego trzeba było umieścić w ziemi pozostałe kamienie? Wszystkie z wyjątkiem jednego? — Zaczął szperać w torbie. Ktoś włożył do środka błękitny kamień i mocno zawiązał. — Nie umieściłem go na miejscu, dlate go łuk dziewięciu nie został dopełniony. Kukulkan nie powstanie.

— Nie ty masz umieścić kamień w jego miejscu. Nie nadszedł jeszcze właściwy czas.

— Twoje słowa nie mają sensu.

Rozłożyła kolana, przykucając obok niego. Powoli zaczął się przyzwyczajać do jej nagości.

— W czasie swojej podróży przemierzyłeś nie tylko ogromne przestrzenie, Cedricu Owenie. Przemierzyłeś stulecia. To, czego byłeś świadkiem, nie miało miejsca tu i teraz. Podążałeś śladem pieśni swojego kamienia, a to oznacza nie tylko podróż w przestrzeni, lecz w czasie. Właśnie dlatego nie umieściłeś

na miejscu kamiennego serca. Kiedyś w dalekiej przyszłości, po upływie wielu lat, kto inny zostanie wezwany, żeby to zrobić, jeśli wskażesz mu, dokąd i kiedy ma się udać.

— Dlaczego zatem...?

Klepnęła go w policzek. Poznaczona bliznami twarz Najakmul znalazła się tak blisko, że musiał zrobić zezą, aby te blizny widzieć. Spojrzała mu w oczy, powodując, że jego wzrok się uspokoił.

— Posłuchaj i spróbuj zrozumieć — powiedziała. — Twoje zadanie polegało na ustaleniu, gdzie ma trafić kamienne serce. Tylko tyle. Mogę ci wyjawiać dzień i czas, w którym trzeba będzie wezwać Kukulkana, jednak tylko ty możesz wskazać miejsce. Kiedy się wszystkiego dowiesz, zapiszesz czas i miejsce przebudzenia dla swojego następcy, żeby wiedza ta nie zaginęła po raz drugi, a jednocześnie nie dostała się w ręce ludzi, którzy mogliby z niej zrobić zły użytek. Musisz to uczynić. Po to przyszedłeś na świat.

— W takim razie faktycznie zawiodłem, nie wiem bowiem, gdzie znajduje się to miejsce.

Dostrzegł zdumienie malujące się w jej oczach. Potrząsnęła głową, wyrażając bezgłośnie przerażenie. Zmarszczyła brwi i zapytała:

— Rozpoznałbyś to miejsce, gdybyś ujrzał je ponownie?

— Oczywiście. Jego widok został odcisnięty w mej duszy, mógłbym jednak przebyć Brytanię wzdłuż i wszerz i go nie znaleźć.

— Odnajdziesz. — Skinęła głową, aby oboje w to uwierzyli. — To drugi z trzech celów twojego życia. Wykonałeś pierwsze zadanie: poznałeś tajemnicę kamiennego serca. Drugim zadaniem jest ustalenie, gdzie je umieścić u kresu

czasu, a trzecim, bezpieczne ukrycie kamienia i pozostawienie informacji o miejscu, w którym powinien się znajdować, gdy powstanie Kukulkan. W twoich rękach spoczywa los świata, Cedricu Owenie. Odnajdziesz to miejsce, musisz to uczynić.

— Czy umrę, kiedy to wszystko się stanie?

— Strażnik kamienia zawsze umiera. Tak już jest. Jeśli żyjesz dla kamienia, umrzesz, przekazując go dalej. — Zmrużyła oczy. — Lepiej umrzeć, doświadczając radości z wypełnionego zadania, niż zwyczajnie zakończyć życie. Kamień nadaje sens naszej egzystencji. Nie ma większego daru.

Owen spojrzał na błękitny kamień, który trzymał w dłoni. Uczucie, że kamienna czaszka jest jego częścią, było nowe i niezwykle. Ujrzał swoje odbicie w lśniącym kryształcie i przypomniał sobie, że wcześniej widział podobne.

— W kopcu grobowym miałem siwe włosy — powiedział. Najakumul pochyliła się, dotykając brwiami jego brwi.

— Pokaż mi.

— Nie potrafię...

— Ożyw ten obraz w swojej głowie i ukaż go w kamieniu.

Nadal nie myślał dostatecznie jasno i wyraźnie, co wcale nie było najgorsze. Przywołał wspomnienie siłą woli, odwzorowując je w błękitnym kamieniu. W poprzek jednego z policzków przebiegała blizna, której teraz nie miał, a jego włosy tak gęste jak zawsze były jednak siwe, prawie białe. Ponieważ kamień był jego częścią, uczestniczył we wspomnieniu. Owen dostrzegł, że obraz jego osoby odbity w zwierciadle zmienia się i wysiłkiem woli próbował go zatrzymać.

— Wystarczy.

Najakmul cofnęła się. Wyciągnęła ręce w jego stronę, objęła twarz dłońmi, przyciągnęła do siebie i pocałowała brwi. Dotyk sprawił, że zadrżał do głębi. Zapłonął dziecięcą radością i męską rozkoszą.

— Cicho. Powinieneś zasnąć. Byłeś daleko, dokonałeś wielkiej rzeczy.

Na wpół drzemał. Ogarnęły go wspomnienia ulotne jak sny.

— W czasie, który ma nadejść, widziałem młodą kobietę w grobowym kopcu — powiedział niewyraźnie. — Niosła błękitny kamień, lecz nie wiem, czy umieściła go na miejscu. Przesłoniła ją mgła. Później już jej nie ujrzałem.

Najakmul przygryzła wargi i wolno skinęła głową.

— W takim razie nie wiemy, czy jej się uda. Możemy jedynie zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby tak się stało. Od tego zależy przybycie Kukulkana.

Podniosła patyk i wrzuciła go do ognia. Iskry poszybowały w chłodne, błękitne niebo.

— Przeszedłeś samego siebie. Jesteśmy z ciebie dumni, my, którzy cię posłaliśmy. Według naszej miary czasu trudziłeś się bez ustanku przez cztery dni i noc, i sprowadziłeś z powrotem duszę przyjaciela. Nikt z nas nie sprawiłby się lepiej.

— Cztery dni?

— I cztery noc. Właśnie dlatego tak daleko odszedłeś i musieliśmy cię karmić, żebyś powrócił do domu. — Podala mu kolejny kawałek mięsa.

— Byłaś przy mnie cały czas? — zapytał, żując.

Uśmiechnęła się, odsłaniając białe zęby.

— Po to się narodziłam. I po to, aby odesłać cię do domu,

gdy nadejdzie właściwy czas. Śpij, ciesząc się zaślubinami twojego serca z błękitnym kamiennym sercem. Długo na to czekało i liczy, że to zauważysz.

Ucisk w pęcherzu sprawił, że przebudził się ponownie. Słońce cofnęło się na niebie, z czego wywnioskował, że przespał kolejną noc, do nastania dnia.

Był sam. Leżał na posłaniu z trawy. Obok leżała tykwa z wodą. Wypił łyk, a następnie wstał i odszedł na bok, aby sobie ulżyć.

Najakumul nie było. W niewielkiej odległości dostrzegł Diega i jego braci oporządzających muły. De Aguilar był w pobliżu, ubrany w białą lnianą koszulę, którą Owen zdobył dla niego. Jeden z rękawów był schludnie podpięty. Fernandez wyciął sobie długi kawałek gałęzi i ćwiczył fechtunek lewą ręką. Kiedy zobaczył Owena, odrzucił patyk i usiadł przy ognisku, obok wejścia do szałas.

— Witaj. Myślałem, że będziesz spał do nadejścia śniegów. Chciałbyś coś zjeść? Mogę usmażyć kukurydziane placki.

— Tak, dziękuję ci. Kiedy nadejdą śniegi?

— W końcu mogą przyjść i one. Widziałem trochę śniegu na wierzchołku góry. — Jednoręki de Aguilar zabrał się do pieczenia placków dla nich obu. Dzięki ćwiczeniu jego ruchy nabrały płynności.

— Jak długo spałem? — zagadnął Owen.

— Lepiej, abyś nie pytał. Dokonałeś niezwykłej rzeczy, nawet wedle mego zrozumienia.

— Upływ czasu sprawi, że o tym zapomnimy.

— W takim razie unikniesz pychy. Nie mógłbyś zawdzię-

czać tak wiele pyszałkowi. — W oczach de Aguilara pojawił się nowy spokój.

— Zmieniłeś się — powiedział Owen.

— Widziałem śmierć i przeszedłem obok niej. Czego więcej miałbym się obawiać?

— Co zamierzasz zrobić?

— Wszystko, o co mnie poprosisz. Będę twoim fechtmistrzem. Nie... — Uniósł dłoń. — Nie protestuj. Udam się, dokąd zechcesz, i zrobię, czego zażadasz. Nie opuszczę cię jednak, nawet jeśli będziesz mnie o to błagał, więc oszczędź nam obu kłopotliwej sytuacji.

De Aguilar był rozluźniony, a jednocześnie pełen życia, tak jak owej ciemnej nocy po napaści na ulicy. Patrzenie na niego sprawiało mu ogromną przyjemność.

Owen poczuł na piersi ciepło wykonanego z brązu smoka. Uniósł go i lekko potarł kciukiem.

— Domyślał się, że powinniśmy wrócić do Anglii i od szukać kamienny krąg. — Przesunął dłonią po twarzy. Kochał Anglię, lecz żał mu było opuścić to wszystko, co znalazł w dżungli jaguarów.

— Chciałbyś wrócić do domu jako człowiek bogaty czy biedny? — zapytał ostrożnie de Aguilar.

— A mam wybór?

— Tak mi się zdaje. Najakumul została wezwana, aby pomóc rodzącej, lecz dała mi do zrozumienia, że... podczas swych podróży miałaś siwe włosy.

— To prawda. Srebrzystosiwe jak grafit. To było dziwne uczucie.

— Powiedziała mi. Chociaż kamień wiele od ciebie zażąda, obdarzy cię wielkim darem. Dostąpiliśmy łaski, dlatego

możemy odpocząć i cieszyć się swoim towarzystwem, tym miejscem i jego ludem, zanim będziemy musieli wrócić do Anglii, aby wypełnić misję.

— Łaski? Jak długo? Tydzień? Miesiąc? Jedną porę roku?

— Aż posiwieją ci włosy, przyjacielu. — de Aguilar pochylił się i uniósł pukiel włosów Owena, bacznie oglądając ich nasady. — Jeśli nie doznasz poważniejszego szoku, powiedziałbym, że zostaniemy tu jakieś trzydzieści lat...

— Trzydzieści...? — Owen spojrzał na niego i roześmiał się. Śmiał się bez końca, wiedząc, że to głupie, a jednocześnie ciesząc się tym uczuciem, czując drżenie liści, zapach dżungli i szepty Diega i jego braci, uspokajających muły przestraszone nagłym wybuchem wesołości zwariowanego Anglika.

— Chcesz spędzić tu połowę życia, a później pojechać ze mną do Anglii? Naprawdę?

De Aguilar zachowywał przez chwilę kamienną twarz, a później uśmiechnął się szeroko.

— Do Anglii, gdzie mój król bez skazy poślubił twoją królową, tę obmierzłą sekutnicę. Tak, obstaję przy tym. Jednak jeszcze nie teraz. Najpierw przeżyjemy najlepszą część naszego życia w rajku, a przy okazji zbijemy fortunę.



23

Wiejski dom w Lower Hayworth, Oxfordshire, czerwiec roku 2007

*Bieg historii może zmienić niewielka garstka
ludzi zdecydowanych na wszystko i mających
niezachwianą wiarę w swoją misję.*

Gandhi

Na ekranie laptopa, stojącego przed Stellą, do zakończenia strony pozostały jeszcze dwie linijki.

Trzeci lipca roku 1586, zamówienie kupca Jana de Grootta: trzy statki mocnego włókna sizalu i jeden statek lin. Diamenty o wartości £100 (stu funtów).

Trzeci lipca roku 1586, zamówienie u Meinheera de Grootta: miecz dla leworęcznego mężczyzny, misternej roboty, wykonany przez braci Gallucci z Turynu we Włoszech, o wartości £5, dar.

Sporządzenie transkrypcji ksiąg Owena stało się jej obsesją i była z tego zadowolona. Odrysowała zawijasy z kolejnych stron i wcisnęła odpowiednie klawisze, aby na monitorze ukazały się piktogramy. Wzruszyła ramionami, obserwując, jak za sprawą nowoczesnej techniki dokonuje się cud.

Była w gabinecie Ursuli Walker, w wysokim pokoju o suficie z dębowymi belkami i ścianami pobielonymi wapnem. Drzwi balkonowe w przeciwległym końcu pomieszczenia wychodziły na sad i ogród zielony, które nie zmieniły się od czasów średniowiecza.

Ursula pracowała pod jabłoniami na zewnątrz. Stella widziała jej nogi rozciągnięte na ocienionej trawie. Na podwórku panowała cisza. Miejsce brązowych płacht namiotów zastąpiła zieleń łąki.

Z korytarza wiodącego do kuchni doleciało szuranie stóp. Stella pochyliła głowę nad komputerem.

— Kawy? — zapytał Kit.

— Dziękuję. — Nie podniosła wzroku. — Wiesz, która godzina?

— Wpół do szóstej. Pracujesz od jedenastu godzin. Powinś nas zrobić sobie przerwę.

— Za chwilę. Prawie skończyłam.

— Dzwonił Gordon — rzekł Kit. — Zakończył badanie wapiennego osadu. Uważa, że czaszkę umieszczono w jaskini wiosną roku tysiąc pięćset osiemdziesiątego dziewiątego, po śmierci Cedrica Owena.

— A zatem, w dalszym ciągu nie wiemy, czyj szkielet odnaleźliśmy — zauważyła Stella. — Jak posuwa się praca nad przekładem?

r

— Powoli. — Kit zakołysał się na laskach. Ze wszystkich sił próbował odstawić wózek inwalidzki. Chodził już coraz lepiej, ale nadal kiepsko. W dalszym ciągu potrzebował pomocy Stelli, przy ubraniu i rozebraniu, i za każdym razem okazywał coraz mniej wdzięczności z tego powodu.

Oparł się o ścianę, aby zachować równowagę.

— Cedric Owen mieszka na ziemiach Majów, wdycha dym w dżungli razem z kobietą, która jednocześnie jest jaguarem. Zapomnieliśmy, jak nieodgadnione mogą być teksty z epoki elżbietańskiej zapisane za pomocą piktogramów Majów. Ursula poprosiła o pomoc Mereditha Lawrence'a.

— Wiem. Przyszedł się przywitać, kiedy przyjechał. Byłeś tam.

— Oczywiście, o wszystkim zapomniałem.

Rozmawiali jak obcy ludzie i nie potrafili tego zmienić. W ciągu czterech dni, od czasu, gdy próbowała go uzdrowić za pomocą kamiennej czaszki, oddzielająca ich szczelina przerodziła się w przepaść. Komunikowali się ze sobą tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne i posługiwali się urywanymi zdaniami, próbując zachować przyjacielską postawę i uprzejmość.

Najbardziej ją zaszokowało, jak łatwo i szybko ich drogi się rozeszły. Pamiętała, że kiedyś go kochała, lecz zapomniała, jak i dlaczego. Chłód w oczach Kita stał się stalową ścianą — przestał udawać, że można przez niej przemknąć.

Nie próbował również ukryć swojej odrazy do błękitnej kamiennej czaszki. Kiedy ją wyjęła po przybyciu Mereditha, wyszedł z pokoju. Nie wszedłby do gabinetu, gdyby nie ukryła jej w plecaku pod biurkiem.

Nie mieli o czym mówić. Stella wcisnęła klawisz i otworzyła kolejną stronę, zaznaczając kreski, które tylko ona mogła dostrzec. Słyszając, jak odchodzi, poczuła ulgę, a nie żal.

Meredith Lawrence przyszedł jakiś czas później, gdy była w połowie następnej księgi. Oparł się o drzwi balkonowe, rozluźnił krawat i podwinął rękawy.

— Możesz zrobić sobie przerwę?

— Jeśli podasz mi wystarczająco dobry powód.

— Nie taki, jakiego pragniesz. — Uśmiechnął się przez praszająco. — Nie mamy daty ani wyznaczonego czasu. Być może znaleźliśmy wskazówki odsyłające we właściwym kierunku. Jeśli wypijesz z nami zimną herbatę, powiemy, co udało się nam ustalić.

Ogród był mały i zarośnięty. Na obrzeżach zaniedbanego trawnika rosły zioła używane do gotowania oraz pomidory przywiązane luźno do pni dzikich jabłoni. Ursula pracowała na kocu w szkocką kratę pod gałęzią jednej z nich. Wokół łukiem otaczały ją papiery obciążone kamieniami, aby nie porwał ich wiatr.

Usiadła, robiąc miejsce dla Stelli.

— Przepraszam za spartańskie warunki. Zatraciłam nawyk pracowania przy biurku, przebywając z Ki'kaame i pasterzami reniferów. Chcesz krzesło?

— Mogę usiąść na kocu. Czuję, że nabieram kształtu krzesła. — Stella rozciągnęła się w promieniach słońca na czerwono-czarnym tartanie, osłaniając oczy przed promieniami słońca. Była wdzięczna, że w pobliżu nie było Kita.

Chwilę później poczuła na sobie cień Mereditha, niosącego

herbatę. Do tego czasu zdążyła się rozgrzać i odprężyć, i nie miała najmniejszej ochoty wstać. Zasłaniając oczy przedramieniem, zapytała:

— Co udało się wam ustalić? — W jej głosie dało się wyczuć słaby irlandzki akcent, cząstkę Kita, której jeszcze nie zdołała się wyzbyć.

— Mamy psa i nietoperza — odparła Ursula. — Mówiąc ściśle, wykryliśmy dwa stale powracające piktogramy, które nie mają znaczenia dla przebiegu narracji. Pierwszy przed stawia psią głowę zwróconą w lewą stronę, a drugi lecącego ku nam nietoperza. Każde z osobna może oznaczać różne rzeczy: wierność, polowanie, sen lub dynastię z klasycznego okresu historii Majów, na której czele stały Dwa Jaguary. Łącznie niemal na pewno oznaczają dzień oc i miesiąc zotz, fragment daty w długiej rachubie lat.

Stella cofnęła przedramię.

— W naszym kalendarzu byłby to...?

Meredith stanął w polu jej widzenia, rozkładając ręce.

— Gdybyśmy wiedzieli, przyszedłbym do ciebie w nieco bardziej radosnym nastroju.

— Bez liczb piktogramy są pozbawione sensu. — Głos Ursuli unosił się w promieniach późnego słońca. — To tak jakby powiedzieć, że dziś mamy wtorek w czerwcu. Jeśli nie dodam, że chodzi o wtorek, dziewiętnasty dzień czerwca roku dwa tysiące siódmego, nie otrzymasz żadnej wskazówki.

— Tylko tyle wiemy?

— Do tej pory. Nadal nad tym pracujemy.

— Wspaniale. — Stella przewróciła się na brzuch. — Po czterech dniach pracy dowiedzieliśmy się, że chodzi o wtorek w czerwcu. Dlaczego Owen nie podał daty w sposób wyraźny?

— Nie wiedział, jakim kalendarzem się posłużyć — wyjaśnił Meredith, a kiedy Stella spojrzała na niego pytająco, dodał: — W czasach Owena panował ogromny chaos związany z przejściem od kalendarza juliańskiego do gregoriańskiego. Niektóre katolickie kraje Europy usunęły dziewięć dni ze swego kalendarza, natomiast kraje protestanckie, w tym Anglia, postanowiły zignorować pomysł katolickiego papieża. Połowa mieszkańców Europy nie umiała podać właściwej daty, nikt też nie potrafił przewidzieć, jakiego kalendarza będziemy używali pięć wieków później. Musiał się posłużyć systemem, o którego prawdziwości był przekonany.

— Kalendarz Majów cechuje się dokładnością do siedmiu dziesięciotysięcznych sekundy na szesnaście tysięcy lat, więc mógł się nim bezpiecznie posłużyć — powiedziała Stella. Dowiedziała się o tym od Davy'ego Lawa, mimo to Ursula i Meredith byli pod dużym wrażeniem. Przez chwilę się tym rozkoszowała.

— Co zrobimy? — zapytała, kiedy milczenie przeciągało się zbyt długo.

— Musimy spróbować myśleć jak Owen.

Ursula sięgnęła po plik kartek i rozpostarła je na trawie niczym wachlarz. Na każdej ze stron pojawiała się ta sama para piktogramów zaznaczona żółtym markerem.

— Pomyślmy logicznie. Jeśli założymy, że Owen znał czas i miejsce, w które należy zanieść kamienne serce, stanął przed bardzo trudnym zadaniem, żeby przekazać ci tę informację w nieskażonej postaci, a jednocześnie dopilnować, by nie dostała się w ręce Walsinghama lub innego człowieka pragnącego zniszczyć czaszkę lub wykorzystać ją do złych celów. Musiał zrobić wszystko, co było w jego mocy.

— Najbardziej oczywistym rozwiązaniem byłoby podzielenie informacji na mniejsze fragmenty i umieszczenie ich w różnych miejscach — dodał Meredith. — Na miejscu Owena właśnie tak bym postąpił. Prowadzi nas to do medalionu, który odnalazłaś w jaskini, gdzie znajdowała się kamień na czaszka. Medalionu ze znakiem Wagi na odwrocie.

— Chodzi ci o to?

Stella sięgnęła pod koszulę, zdjęła rzemyk przez głowę i podała mu przedmiot. Ursula pochyliła się nad Meredithem, aby obejrzeć medalik. Stella usłyszała szelest bawełny ocierającej się o len i ciche westchnienie rozczarowania.

— Żadnych liczb — rzekł Meredith. — Ani arabskich, ani rzymskich. Nie wspominając o systemie liczbowym Majów. Na krawędzi nie ma nawet nacięć. Pomyślałem, że pewnie kiedyś coś przeoczyłem, lecz niczego takiego nie dostrzegam. — Oparł się plecami o drzewo. — Cholera! A niech to szlag!

Ursula wzięła medalion i zaczęła obracać go w palcach.

— Nie dostrzegam niczego, co miałyby związek ze znakiem Wagi, chyba że uda się nam znaleźć październikową datę, która odpowiadałaby dniowi oc w miesiącu zotz. Oba miesiące dzieli jednak pięć miesięcy — to zbyt długi okres. Ki'kaame powiedział, że kamień odważy się ujawnić dopiero na kilka tygodni przed wyznaczoną datą.—Podniosła medalion, oglądając go pod światło, tak że promienie słońca nadały brązowi barwę miodu.

Stella usiadła.

— Meri, kiedy ostatni raz widziałeś, by smok spoglądał w prawo zamiast w lewo? — zapytała cicho.

— Oprócz wertykalnego przedstawienia w College'u Świętego Bedy? — Przechylił głowę. — Chyba nigdy. W kanonie

sztuki europejskiej smoki spoglądają w lewo, na postać rycerza stojącego z lewej strony, na pierwszym planie.

— Czy nie przypomina to kształtu konia wyrzeźbionego na zboczu wzgórza, oddalonego mniej niż pół godziny drogi stąd?

— Masz rację. — Na jego twarzy pojawił się uśmiech. — Ten kształt może przedstawiać konia. Nigdy wcześniej o tym nie pomyślałem. Gdyby smoka Stelli pozbawić skrzydeł, byłby do niego bardzo podobny. Dobra robota, kuzynko. Wiedziałem, że musi się w tym kryć jakaś wskazówka.

Nagle objawienie sprawiło, że stał się jak mały chłopiec. Przesunął dłońmi po włosach.

— Stello, czy kiedykolwiek widziałas Białego Konia z Uffington?

— Nie przypominam sobie.

— Powinnaś była widzieć. — Uśmiechnął się radośnie. — To figura z okresu neolitu licząca co najmniej pięć tysięcy lat, a może nawet więcej. Nasi przodkowie wyrzeźbili kształt konia na zboczu wzgórza, usuwając darń, aby odsłonić znajdującą się pod spodem białą kredę. Najlepiej oglądać go z góry, jednak nawet z ziemi widok zapiera dech w piersi. Najlepiej widoczny jest ze Wzgórza Smoka. O tej porze można zaparkować u jego podnóża i wdrapać się na wierzchołek. Zabierz medalion i kamienną czaszkę, aby sprawdzić, czy to miejsce się im spodoba. Nie zapomnij o Kicie.

— Nie mogę...

— Dasz sobie radę. Wyprzedzasz nas o cztery tomy. Zaslugujesz na godzinę lub dwie przerwy.

Zrobili to celowo. Stella mogłaby protestować, lecz Kit stał w drzwiach balkonu, tarasując jej drogę do gabinetu. Przez

chwilę pomyślała, że to przypadek, lecz przypomniała sobie, ile czasu potrzebował Meredith, aby przynieść jej herbatę. Od tego czasu ani razu nie spojrzała w stronę domu.

Wstała powoli, czując chłód i lekkie zawroty głowy. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Byłem tam kiedyś, dawno temu — stwierdził drętwo Kit. — Znam drogę, ale będziesz musiała prowadzić.

— Chcesz tam pojechać?

Wzruszył ramionami.

— A ty?

— Na Boga! — zawołała Ursula Walker. — Nie możecie zwyczajnie pojechać? Razem? Wdrapcie się na górę i posiedźcie chwilę, rozmawiając o czymś innym niż pogodzie. Zaufajcie mi, że warto to zrobić.

— Tu są stopnie — powiedziała Stella. — Nie musisz gramolić się po stoku.

— Wolę nie używać stopni. Stanowią zniewagę dla dzikości tego miejsca. Idź przodem i nie patrz na mnie. W ten sposób mi nie pomożesz.

Słońce przypominało lawendową plamę po zachodniej stronie horyzontu, rozlaną na tle jasnej, pomarańczowej zasłony. Woskowy półksiężyc wisiał wysoko na niebie, a jego światło nie było srebrne, ale złocistożółte.

Zostawili samochód przy drodze w niedozwolonym miejscu. Małe, płaskie wzgórze wznosiło się tuż obok. Niedawno zrobione stopnie były oszalowane deskami. Przeciwnie, strome zbocze, którym wspinał się Kit, było porośnięte kępami trawy. Stella pomagała sobie rękami, uważnie obserwując

trawę i białe polne kwiaty, i próbując opanować zaskakujące pragnienie obejrzenia się za siebie i udzielenia pomocy Kitowi.

Lepiej poruszał się na czworakach niż na nogach, wchodzenie pod górę zaś było łatwiejsze od schodzenia. Na ostatnim odcinku przyspieszył i znalazł się na szczycie przed nią. W milczeniu podał jej dłoń i pomógł zrobić ostatni krok. Stwierdziła, że jego dłonie odzyskały dawną miękkość. Trzy tygodnie spędzone w łóżku sprawiły, że zniknęły odciski, których nabawił się w jaskini. Jego palce były długie i delikatne.

Niepewnie splotła z nimi swoje palce i podciągnęła się w górę. Wierzchołek wzgórza był pokryty wysuszoną słońcem darnią, która w jednym miejscu ustępowała białej, kredowej skale w kształcie sierpa księżyca mogącej pomieścić dwoje ludzi. Chcąc nie chcąc, usiedli obok siebie, gapiąc się na trawę. Milczenie zaczęło się przedłużać.

— Widziałś konia? — przerwał Kit.

— Jeszcze nie. — Pomyślała, że on również go nie widział. Oboje unikali tego w dziwnie perwersyjny sposób.

Kit położył się na darni. Promienie późnego słońca oświetlały jego twarz długimi, złotymi włócznieami. Zielone siniaki, nadające mu wygląd Arlekina, stopniały, zlewając się z szarym mchem.

— Czy to wyznaczone miejsce? — zapytał.

— Nie, przykro mi.

— Tak mówi kamienna czaszka?

— Tak. Czuje się tu bezpiecznie, jak w domu Ursuli, lecz nic ponad to. — Położyła z boku otwarty plecak. Kit ignorował go podczas jazdy i wspinaczki, dlatego była zaskoczona jego słowami. Nie powiedziała nic więcej. Nie wspomniała, że kamień się przebudził i był niezwykle czujny. Że wyczuwał zagrożenie, którego nie potrafiła określić. Nie umiała też

j

powiedzieć, skąd nadejdzie, choć wiedziała, że nie stanie się to teraz.

Po chwili, nie wiedząc, co powiedzieć, i czując, że milczenie staje się zbyt głębokie, by można je było przerwać, położyła się na trawie i spojrzała w górę. Po niebie w piekących promieniach słońca przelatywał samolot, kierując się z zachodu na wschód, wolno niczym mrówka. Biały ogon spalin pozostał na niebie długi czas po jego zniknięciu, jak skaza w kształcie linii, przecinająca sklepienie o takiej samej doskonałej błękitnej barwie, co jej kamienna czaszka.

Czuła jego ciepło. Czuła, jak oddycha i opiera się o nią ramieniem. Przypomniła sobie inne letnie dni, kiedy leżeli na innej trawie, a zwyczajne błękitne niebo nie raniło ich tak, jak dziś.

— Powinnam była wyrzucić kamień, gdy Tony Bookless mnie o to poprosił — zaczęła.

— Nie sędzę. Chyba że Ursula i Meredith są obłąkani i...

— To dziwacy.

Poczuła, że się uśmiecha.

— Fakt, lecz nie sędzę, żeby byli obłąkani. Oznacza to, że jesteś prawowitym strażnikiem czaszki wraz ze wszystkim, co to oznacza. Nie chcę być odpowiedzialny za doprowadzenie do zagłady świata, ponieważ nie potrafię się pogodzić z uczuciem, którym ją darzysz.

— Czy rzeczywiście chodzi o kamień? A może chodzi ci o kamień i o mnie? Nie jestem już kobietą, którą poślubiłeś. Powiedziałeś to tamtej nocy, gdy wróciłeś ze szpitala. Jestem pewna, że sytuacja nie uległa zmianie. Przypuszczalnie jest to wystarczający powód do uzyskania rozwodu. Jeśli tego pragniesz, nie będę się sprzeciwiać.

— Stell? — Próbował podnieść się na łokciu, wężowym ruchem przewrócił się na brzuch, obejmując ją ramieniem. Leżała nieruchomo, gdy zastanawiał się, co zrobić. W końcu oparł ciężar ciała na łokciu, tak by jej nie dotykać. Spojrzał na nią z góry.

— Dlaczego myślisz, że chcę rozwodu?

— Od czasu, gdy przyjechaliśmy do Ursuli, nie powiedziałaś do mnie ani jednego pełnego zdania. Właściwie nie zrobiłaś tego od chwili, gdy opuściliśmy laboratorium Davy'ego Lawa. Jeśli także o niego jesteś zazdrosny, z nami koniec.

Bliska odległość sprawiła, że nie zdołał ukryć lęku.

— Sądzisz, że mam powód?

— Kit, nie żartuj...

Odwrócił się w drugą stronę.

— Nie byłabyś pierwszą, którą mi zabrał. Nie chcę znowu tam jechać.

— Davy Law? — Zaśmiała się głośno. — Daj spokój. Nie jest tak źle, jak ci się zdaje. To najmniej atrakcyjny facet, jakiego w życiu widziałam. Cechuje się specyficzną prawością, którą posiadają osoby naprawdę brzydkie, i za to go szanuję. Mógłby zostać moim przyjacielem, lecz nigdy go nie pokocham. Nie jestem pewna, czy mogłabym teraz kogoś pokochać. Trudno będzie znaleźć twego następcę.

Nie zamierzała tego powiedzieć. Zamrugła oczami i zapytała szorstko:

— Odbił ci Jessicę Warren?

Nie odpowiedział. Pomyślała, że zwyczajnie nie jest w stanie. W końcu zrozumiała, o co chodzi. Sprawa wcale nie była tak skomplikowana, jak sądziła. Powinna się była z tego śmiać, lecz zapytała beztrąsko:

— Czy to było powodem waszego rozstania? Zraniona duma z powodu utraconej kochanki, o której nigdy mi nie wspomniałeś?

Odniosła wrażenie, że czuje się onieśmielony, czego nie dostrzegła u niego nigdy wcześniej.

— Nie była moją kochanką. Pragnąłem, aby nią została. Nawet nie zaprosiłem jej na drinka.

— Kit, ty idioto...

— Davy nie przejmuje się takimi rzeczami. Nie jest nie śmiały, skromny, nieporadny towarzysko. Zwyczajnie za proponował jej wspólny wieczór. Zgodziła się i po sprawie. Okazali się pokrewnymi duszami. Tak jak ty, myślała, że facet odznacza się wewnętrznym pięknem. — Uśmiechnął się oschle. — Ja z tego wyrosłem.

— Później próbował ją zgwałcić? Czy to zrobił?

— Wszyscy tak uważali, jednak większość nienawidziła go za to, że okazał się sprytniejszy od nich. Byli szczęśliwi, że mogą go utracić.

— Co powiedział Davy?

— Nic. Jess wyjechała. Po przegranym wyścigu wróciła do domu, by zobaczyć się z matką. Nie mówiąc nikomu ani słowa. Davy też zniknął. Przez kilka następnych dni broniłem go przed tymi, którzy myśleli o nim jak najgorzej. Czekałem, aż wróci i wyjaśni, że doszło do potwornego nieporozumienia. Że był nadmiernie rozbudzony, pragnął się zabawić przed wyścigiem, że Jess powiedziała, żeby się odwalił, że zaczęli na siebie krzyczeć i że jest mu przykro. Coś w tym stylu. Nie zgwałciłby jej. Nie zrobiłby tego. Nienawidził twierdzenia, że „wszyscy mężczyźni to gwałciciele”. Była to jedna z niewielu rzeczy, które potrafiły go rozwścieczyć.

— Co się później stało? — zapytała Stella.

— Nic. Nie wrócił. Był w połowie stażu na chirurgii. Przepowiadano, że będzie światowej klasy neurochirurgiem albo zajmie się pediatrią płucno-sercową. Mógł wybierać, lecz rzucił wszystko. Zwyczajnie zniknął z powierzchni ziemi. Najwyraźniej władze uczelni coś wiedziały, bo w Cambridge nie penetrowano rzeki w poszukiwaniu jego ciała ani nie sprawdzano, czy nie zatrzał się spalinami samochodu. Nic nam też nie powiedziano na ten temat. Nie wiedziałem, gdzie jest, dopóki Gordon nie oznajmił, że pracuje w obozach dla uchodźców. Nie widziałem go ani z nim nie rozmawiałem od dziesięciu lat.

— Aż do ostatniego piątku.

— Kiedy praktycznie siedział ci na kolanach i wyglądał tak, jakby chciał cię zjeść. Nałożył twoją twarz na obraz czaszki wyświetlony na monitorze. Myślałem, że go zabiję. Właściwie, nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem.

— Ponieważ kiedyś był twoim najlepszym przyjacielem i wiedziałeś, jak było naprawdę. — Usiadła, obejmując rękami kolana. — Jeśli to ci pomoże, Davy powiedział, że kiedyś próbował zrobić coś pięknego, lecz już nigdy w życiu nie powtórzy tego błędu. Powiedziałabym, że dostał porządną nauzkę i wziął ją sobie do serca. — Spojrzała w wieczorne niebo. — Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś?

— Zazdrość to brzydka rzecz, Stell. Wolno mi zachować odrobinę godności?

— Oczywiście, tylko nie zachowuj się jak głupek i idio ta. — Ujęła jego dłoń i przyciągnęła do siebie. — Zachowuj godność, nie raniąc innych. Otaczasz się murem, przez który nie mogę przeniknąć.

— Prawie ci się udało. — Był wystarczająco blisko, aby mogła go pocałować, lecz nie odważyła się. Wiedziała, że jego oczy są bramą, przez którą kiedyś do niego dotrze.

— Masz na myśli ten epizod z kamieniem? Tak mi przykro, Kit. Tak bardzo cię zawiodłam.

— Nie zawiodłaś mnie, próbowałaś jedynie...

— Nie pomyślałam. Trzymałam go w rękach i wiedziałam, co zrobić, lecz nie zadałam sobie pytania, czy słusznie postępuję, dopóki nie kazałeś mi się zatrzymać. To było piramidalnie głupie.

— Przecież nie wiedziałaś, co robić. Sądysz, że mogłaś mnie uleczyć?

— Tak mi się zdawało. — Dotknęła ustami jego policzka. — Przepraszam. Nie powinnam taka być.

— Lecz taka jesteś. Właśnie o to chodzi. — Milczał przez chwilę. Światło słońca przybrało głęboką barwę bursztynu, powodując, że księżyc wiszący na niebie pojaśniał. — Próbuję sobie wyobrazić, w jaki sposób może dojść do końca świata i jak ta przerażająca bryła błękitnego kryształu może temu zapobiec. Kompletnie mnie zatkało, dopóki nie przypomniałem sobie osy, która uniknęła utonięcia. Wówczas wszystko stało się możliwe, nawet potężne rozbłyski słoneczne, globalne ocieplenie i smoki powstające do walki z wcieleniem zła. Chyba że najwyższym wcieleniem zła jest smok, a my wypuścimy go z jego kryjówki, co byłoby bardzo niefortunne. — Cnotliwie przysunął wargi do jej ust. — Słońce prawie zaszło. Popatrzymy na konia, póki jeszcze można?

— Dobrze.

Przewróciła się na bok, tak żeby mógł usiąść. Podniosła głowę zaraz po nim.

— Mój Boże...

Ponizej ujrzała kształt konia, białego konia nakreślonego prostymi, płynnymi liniami w zielonym zboczu wzgórza, odsłaniającymi białą kredę kryjącą się pod darnią. Była to wyjątkowa chwila, w której słońce i księżyc opromieniały rysunek swoim światłem, powodując, że biel zamieniła się w płynny ogień. Myszołów poszybował spiralą w dół, by po chwili unieść zdobycz. Na sekundę spojrział Stelli w oczy, a później zaczął się wznosić, łopocząc skrzydłami.

Nie mogło być dziełem przypadku, że koń widniejący na wzgórzu dokładnie odpowiadał smokowi z medalionu Cedrica Owena, ożywiony i pełen dzikiego piękna. Brakowało mu jedynie skrzydeł.

— Kit, czy to widzisz...

Przyciągnął jej dłoń i położył na swoich ustach.

— Nic nie mów. Znaleźliśmy się tu w chwili równowagi pomiędzy dniem i nocą, i nikt nie może nas tego pozbawić. To doskonała chwila. Błagam, nic nie mów.

Przez całe trzydzieści sekund milczała wbrew potężnej fali, która w niej wzbierała.

— Możesz to powtórzyć, Kit?

Śmiesznie sapnął, nie kryjąc, że jest sfrustrowany.

— To doskonała chwila. Błagam...

— Nie, jeszcze wcześniej, to o równowadze.

Zmarszczył brwi, słysząc jej ton.

— Nie pamiętam.

— „Znaleźliśmy się tu w chwili równowagi pomiędzy dniem i nocą”. Równowaga. Pamiętasz znak Wagi na medalionie. Widzisz przed sobą wagę. Na witrażu w College’u Świętego Bedy nie ma wagi ze słońcem na jednej i księżycem

na drugiej szali. Pomyliliśmy się! — Sięgnęła pod koszulkę i wyciągnęła medalion, drugą ręką szukając komórki w kieszeni. — Jak to możliwe, że wcześniej tego nie dostrzegliśmy? Meredith miał słuszość, Owen pozostawił wskazówki w kilku miejscach.

— Stell, to co mówisz, nie ma sensu.

— Cicho. — Machnęła jedną ręką, kciukiem drugiej wybierając numer Ursuli. Odebrała po jednym dzwonku. — Ursula! Chodzi o letnie przesilenie. To pojutrze! — Eksplodowała potokiem słów. Kit dał znak, żeby zwolniła i uspokoiła się.

Stella wzięła głęboki oddech i zaczęła od początku, robiąc przerwy między słowami.

— Waga na witrażu i znak Wagi na odwrocie medalionu zawierają tę samą informację. Wskazują proporcje między dniem a nocą. W najdłuższy dzień jasność przeważa nad ciemnością. Czy to pasuje do twoich psów i nietoperzy?

— Poczekaj, zaraz sprawdzę. — Zapadła pełna napięcia chwila, wypełniona stukaniem klawiszy, stłumionym szumem komputera i Ursuli wołającej Mereditha. Później nastąpiła cisza.

— Dziewiąty dzień osiemnastego miesiąca zotz to dwudziesty pierwszy czerwca dwutysięcznego siódmego roku — powiedziała ochryplym głosem. — Pojutrze. Nie wiem, jak mogliśmy to przeoczyć.

— To bez znaczenia, skoro już wiemy. Ustaliliśmy wyznaczoną porę. Na witrażu przedstawiono smoka powstającego o świcie, w dniu kiedy przybywający półksiężyc znajdzie się w znaku Wagi. Wyznaczony czas nadejdzie za trzydzieści sześć godzin i plus minus dwadzieścia minut od dziś. Musimy jedynie ustalić miejsce.

— Nie jest nim wzgórze Białego Konia?

— Kamienna czaszka tego nie potwierdza.

— W takim razie utknęliśmy w martwym punkcie. Nie znaleźliśmy żadnej wzmianki w rękopisach, które nam przeказаłaś. — Stella po raz pierwszy wyczuła strach w głosie Ursuli. — Meredith pojechał do miasteczka, aby porównać niektóre znaki z piktogramami w Bibliotece Bodlejańskiej, lecz nie sądzę, aby coś znalazł. W ostatnim fragmencie, który przetłumaczyliśmy, Owen opisuje swój powrót do Anglii z Nowego Świata. Przebył pół Europy albo zrobił to za niego de Aguilar, lecz nie znalazł miejsca, którego szukał. Pisze o tym wyraźnie.

— W takim razie musiał je odkryć tuż przed śmiercią. Zostały nam cztery tomy. Wrócimy do domu i dokończę transkrypcji. Jestem pewna, że znajdziemy jakieś wskazówki.

O dziesiątej, w noc poprzedzającą letnie przesilenie, do odtworzenia pozostała jeszcze tylko jedna strona.

Stella była sama w gabinecie. Kit poszedł do łóżka, a Ursula pracowała na górze w swojej sypialni. Zbyt duża bliskość nie pomagała w skupieniu ani Stelli, ani jej.

Na nocnym niebie zachodził półksiężyc.

Została jej ostatnia karta.

Dwunasty marca roku 1589, podziękowania od Francisa Walkera, który był kiedyś kim innym: dziękuję za wszystko, co uczyniłeś.

Nie potrafiła się skoncentrować. Kamienna czaszka stała przed nią na biurku. Błękitne oczodoły obserwowały ją badawczo, jakby szukały pocieszenia.

— Przypominasz mojego dziadka — powiedziała na głos.

Nie było to do końca prawdą, ponieważ z całej rodziny Stella była najbardziej podobna do matki swojego ojca. Tata przez sześćdziesiąt lat hodował owce w pobliżu wodospadu Ingleborough, w letnim skwarze i śniegu. W końcu, gdy ona była bardzo młoda, a on stary, pomyślała, że surowe warunki pozbawiły go ciała, powodując, że skóra okryła powierzchnię jego czaszki brązowymi zmarszczkami.

Z mglistych pokładów pamięci doleciał głos dziadka:

— „Powinnaś czuwać, moje dziecko. Nie pora na sen”.

— Nie śpię. Pracuję. Po prostu czuję się jak głupia owca.

— „Nie”. — Głos uległ zmianie i Stella zamrugała oczami. Zamiast dziadka ujrzała młodszą kobietę, podobną do niej, a jednocześnie inną, z czarnymi włosami, zaplecionymi w war kocz, opadający do łokci. Jej skóra była bardziej brązowa niż biała. — „Śpisz! Obudź się, w przeciwnym razie wszystko będzie stracone. Wstawaj!”.

Klasnęła w dłonie. Dźwięk przypominał odgłos upadającej deski. Stella otworzyła oczy.

Gabinet wypełniał dym, pełznący po podłodze i oplatający nogi krzesła. Kamienna czaszka ginęła w mroku, światło w jej oczach dawno zgasło. Płaski ekran był pusty, a komputer pogrążył się w stanie hibernacji.

Przetarła oczy i głęboko odetchnęła. W błękitnym rejonie jej umysłu kamienna czaszka przebudziła się z jeszcze głębszego snu.

Ostre żółte światło, wyrażające strach, dorównywało jej przerażeniu. Chwyciła laptop i ruszyła w stronę drzwi.

— Pali się!

Ulica Trinity, Cambridge, wigilia Bożego Narodzenia roku 1588

*Kiedy słońce zostanie przyćmione, potwór
będzie widoczny przez cały dzień, lecz oni
odczytają to inaczej — Kosztowna nieuwaga,
nikt tego nie przewidzi.*

Czterowiersz 34, Centuria III, Nostradamus

Doktor Barnabas Tythe, starszy wykładowca medycyny i filozofii, prodziekan College'u św. Bedy w Cambridge, radował się trzaskiem ognia i ciepłem kominka, samotny w błogiej prywatności swego mieszkania, kiedy dobiegło go pukanie do drzwi.

Początkowo zignorował je, pogrążony w rozmyślaniach na temat listu, który właśnie otrzymał. Po śmierci żony samotność stała się dla niego chlebem powszednim. Wspominał ją przez chwilę, gdy miasto pogrążyło się w ciszy, a sen nie rozsunął jeszcze zasłon i nie wpuścił go do swej krainy.

Wcześniej oplakiwał brak potomstwa i rozmyślał o ponownym ożenku, lecz żadna z kandydatek nie dorównywała Eloise

intelektem i przenikliwością umysłu. A te, które byłyby skłonny zaakceptować, nieodmiennie wybierały mężów znakomitszych od niego, a przynajmniej mogących się pochwalić wyższymi dochodami od prostego nauczyciela akademickiego. W końcu pojął, że kocha swą nieśmiertelną uczelnię silniej niż zdołałby pokochać śmiertelną kobietę. W swoim umyśle i duszy postanowił, że będzie służył jej gmachom, studentom i wykładowcom, i to sprawiło, że poczuł się bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek.

Początkowo, zaraz po objęciu urzędu prodziekana, szeptano, że mężczyzna, bez żony prowadzącej dom, jest niepełny. Teraz, gdy od tego czasu upłynęły trzy lata, a ci, którzy wygadywali bzdury, zajęli się czym innym, Tythe, nie mając ukochanej kobiety mogącej urodzić mu dziecko, pilnować służby i dbać o jadłospis, powrócił do starej praktyki brania na stancję studentów. W ten sposób, gdy wiek średni począł niechętnie ustępować siwiźnie wieku podeszłego, odkrył, że towarzystwo młodych bardziej odpowiada jego upodobaniom.

Mimo to cieszył się spokojem, który zapanował w jego kwaterach na czas świąt. Nie miał większego problemu z prowadzeniem domu, dlatego zwolnił służbę, aby mogli odwiedzić krewnych, wziąć udział w uroczystościach Bożego Narodzenia i przebywać w towarzystwie najbliższych, dziękując Bogu, że tego lata angielskie wojska pod wodzą lorda Howarda i słynnego Drake'a zadały miażdżący cios Niezwyciężonej Armadzie hiszpańskiego króla Filipa, broniąc Anglii przed inwazją księcia Parmy.

Tythe nie został powołany, aby zbrojnie bronić królestwa. Jego pozycja jednego z najznakomitszych medyków w kraju w połączeniu z podeszłym wiekiem i dawną raną kolana,

spowodowała, że nie zażądano, by przypasał miecz, którym ledwie umiał władać, i stanął obok innych, podobnie jak on nienadających się do walki. Zamiast niego na wojnę poszli przyjaciele, koledzy i studenci, aby tkwić w skwarze na południowym wybrzeżu, gdzie źle uzbrojeni i pozbawieni odpowiedniego przeszkolenia oczekiwali na dyszącego żądzą mordy księcia Parmy oraz jego świetnie wyszkoloną i doskonale zaopatrzoną armię, która tak skutecznie spustoszyła Niderlandy.

Archibald Harling, student medycyny, który od dwóch lat mieszkał w przedpokoju przylegającym do sypialni Tythe'a, wyjechał ze swoim przyjacielem. Podobnie jego współmieszkaniec, nieszczęsny Jethro Missul, którego zdeformowane w dzieciństwie ramię uczyniło obiektem wielu niewybrednych żartów i który od tego czasu nie przestawał się jękać. Mimo to był niezwykle zdolnym studentem prawa, dlatego Tythe, pełniący rolę jego opiekuna, tak gorąco sprzeciwiał się, by ów geniusz został zasieczony przez żołnierzy księcia Parmy.

To, że sam był kiepskim szermierzem, nie przydało siły jego retorycznym argumentom i w końcu musiał przyznać, że prawo, które znał i miłował, nie znajdzie zastosowania w katolickiej Anglii pod rządami Hiszpanii. W rezultacie młody Jethro powłókł się na wojnę, planując, że rzuci się na Hiszpanów, aby zatrzymać ich choćby na jedną chwilę, której będą potrzebowali, by przestąpić jego zwłoki.

Nieoczekiwanie hiszpańska armia nie nadeszła i obaj studenci powrócili do Cambridge bez uszczerbku na ciele, chociaż nie można było tego rzec o ich umyśle skażonym opowieściami o zatrutej żywności i przypadkach cholery w szeregach angielskiej armii, o braku jedła i wody w obozie wojsk czekających Hiszpanów, i o niegdyś cnotliwych nie-

wiastach oddających się żołnierzom w świetle dnia, aby nie porzucili posterunku i nie uciekli, pozostawiając wybrzeże na pastwę żądnych krwi Hiszpanów, którzy, sądząc po wieściach napływających z Holandii, byli gorsi od czerwonki.

Po powrocie krzyczeli przez sen z trwogi na widok lśniących kadłubów hiszpańskich okrętów, żeglujących z taką dostojnością, jakiej nie widziano na angielskich wodach.

Widząc hiszpańskie armaty, uznali, że czeka ich pewna śmierć, później jednak zjawił się ów pirat, Drake, na czele małych, szybkich jak łasice łodzi, nekając niemrawe woły księcia Medina-Sidonia. Kiedy Bóg zesłał wiatr sprzyjający Anglikom, można było odnieść wrażenie, że nowa purytańska religia ma lepsze sługi niż Matka Kościół, Parma bowiem zawrócił swoją flotę, wołąc się zająć wyrzynaniem flamandzkich wieśniaków. Resztki pokonanej armady pożeglowały w górę, ku Szkocji, która, jak powiadano, od ubiegłego roku była skuta lodem, a następnie powróciły drugą stroną. Chociaż Archie i jego przyjaciele pognali na zachodnie wybrzeże, aby dać jej odpór, Hiszpanie nie wyświadczyli im łaski, nie przybili do brzegu i nie stanęli do bitwy, lecz pozwolili, aby wiatr posłany przez Boga skierował ich na skaliste wybrzeże Irlandii, w wyniku czego stracili więcej okrętów niż wcześniej.

Ze stu trzydziestu naw, które wypłynęły z Hiszpanii, wróciło niecałych siedemdziesiąt, by stawić czoło gniewowi monarchy upokorzonego wraz z Kościołem na oczach całej Europy.

Archie i Jethro powrócili z przyjaciółmi do domu, aby uczcić odniesione zwycięstwo, lecz nikt nie odważył się wspomnieć głośno o angielskich żeglarzach, którzy nie otrzymali należnego żołdu i ludziach, którzy niepotrzebnie zginęli z powodu niedostatecznego zaopatrzenia.

Po lecie nadeszła pogodna jesień, a wraz z nią atmosfera ulgi i rozluźnienia oraz koniec trymestru, chociaż nie minął jeszcze dzień Michała Archanioła. Mimo że nie wykładano ani nie uczono się niczego szczególnie pożytecznego, nie było w tym większej szkody. Później nadeszła pora świąt, a wraz z nią spadł śnieg, okrywając Cambridge, które cicho przygotowywało się do obchodów Bożego Narodzenia, wdzięcznie pamiętając, że Bóg kocha purytanów bardziej od katolików, czego dowodem było, iż pozostawił na tronie królową Elżbietę, aby nadal mogła lśnić swoją chwałą.

Pośród panującej zawieruchy nikt nie zaprzętał sobie głowy sir Francisem Walsinghamem, sekretarzem i szpiegiem królowej, który zdaniem Barnabasa Tythe'a był prawdziwym autorem klęski Hiszpanów.

Nikt z wyjątkiem samego Walsinghama i rozległej siatki agentów krzątających się niestrudzenie, by nakarmić tego nienasyconego pająka, snującego intrygi w środku pajęczyny.

Nikt nie miał pojęcia, ilu donosicieli opłaca, wiedziano jednak, że jego agenci często szpiegowali się wzajemnie, co skłaniało ich do pilnej i uczciwej pracy. Przynaglał ich też do tego los nieszczęśników, którzy wzbudzili niezadowolenie sekretarza królowej. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zaryzykowałby dokonania żywota w londyńskim Tower, łamany kołem i próbujący odpowiedzieć na pytania, na które odpowiedź zwyczajnie nie istnieje.

Z powyższego względu otrzymanie pisma skreślonego ręką Walsinghama było zgoła niepokojące, działania zaś, których podjęcia się domagał, zdaniem Tythe'a, niewykonalne. Prawie metr śniegu i bliskość świąt Bożego Narodzenia sprawiły, że miał dość czasu na przygotowanie riposty. Chociaż Tythe

myślał o niej od dwóch dni, od czasu nadejścia listu i początku opadów, do dziś nie znalazł właściwej odpowiedzi.

Pochylił się i wsunął kolejne polano do paleniska, a następnie przystąpił do czytania listu po raz piąty lub szósty tego wieczoru, popijając przednią grecką małmazję i kiwając głową.

Drugie pukanie omal nie wyrwało drzwi z zawiasów. Głos, którego nie słyszał od lat, zawołał:

— Barnabasi? Barnabasi Tythe, chyba nie chcesz, abyśmy skonali z zimna na twym progu? Będziesz łaskaw nas wpuścić?

Małmazja wylana na palenisko nappełniła powietrze aromatyczną wonią. Tythe pomyślał, że wgnieciony kielich trzeba będzie oddać do złotnika, nie przejął się tym jednak zbytnio, z drzeniem oglądając list trzymany w dłoni i próbując zrozumieć, jak to możliwe, by rzecz niemożliwą poczytywać za wykonalną. I skąd, na Boga, sir Francis Walsingham mógł to wiedzieć zawczasu.

Dotychczasowe odpowiedzi nie przypadły mu do gustu, podobnie jak prognozy na najbliższą przyszłość. Mroczny cień Tower nagle poczerniał i wydłużył się niemal dwieście kilometrów na północ, kładąc się na Cambridge, a w szczególności na College św. Bedy.

Dopiero po trzecim pukaniu prodiękan wstał i pokuśtykał do drzwi.

Napisano dwudziestego dnia grudnia, roku Pańskiego et cetera, et cetera... do sir Barnabasa Tythe'a od sir Francis Walsinghama.

Najbardziej doniosły rok w naszych dziejach dobiega końca. Odparliśmy hiszpańską zarazę i obroniliśmy granice naszego kraju oraz prawa i przywileje Umiłowanej Królowej. Przecież nią gardził? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że wszyscy o tym wiemy? Ponieważ papiści nie ustają ani na chwilę, nam również nie wolno tego czynić. Dowiedziałem się z pewnych źródeł... Od kogo? Kto mógł wiedzieć o twoim przybyciu? ...że Cedric Owen, Twój dawny znajomy, podróżuje w towarzystwie Hiszpana i już z tej racji mógłby zostać uznany za wroga Korony. Co więcej, ma ze sobą przedmioty, których używa do odprawiania czarów, które należy zająć w celu dokładnego zbadania.

Wierzę, że z powodu waszej dawnej przyjaźni —przyjaźni, w której okazałeś się nienaganny... W oczach Walsinghama nikt nie był nienaganny. Ten człowiek poświęciłby własną córkę, gdyby uznał, że posłuży to jego interesom — ...planuje przybyć do Ciebie w ostatnich dniach tego roku. Oczekuję, że zatrzymasz go siłą i niezwłocznie dostarczysz żywego do Londynu. Gdybyś potrzebował jakowejś pomocy, zatknij chorągiew na domu, a nasi wspólni przyjaciele Ci jej udzielą.

— Dostarczysz go żywego do Londynu. — Barnabas Tythe opuścił list i spojrzał na przyjaciela. — Raczej skonam w nędzy pośród trędowatych, niż dostarczę cię żywego do Francisa Walsinghama w Londynie. Cedricu Owenie, nie wiem, czym się naraziłeś, by mieć w nim wroga, lecz powinienś mu jak najszybciej zadośćuczynić, jeśli leży to w twej mocy, lub uciekać z Anglii, co ja mówię, z Europy, aby nie dostał cię w swoje ręce.

— Z pewnością byłoby to jakieś rozwiązanie, wolałbym jednak znaleźć inne, zanim wrócimy do Nowej Hiszpanii z pustymi rękami.

Dziwna grudniowa noc stawała się coraz mniej realna. Pierwszy z mężczyzn, stojących przy ogniu, w parze unoszącej się z wilgotnego stroju do konnej jazdy, miał niemal dokładnie sześćdziesiąt lat. Barnabas Tythe wiedział o tym, ponieważ trzydzieści dziewięć lat temu uczestniczył w przyjęciu z okazji jego dwudziestych pierwszych urodzin. Powinno było zaniepokoić go, że gość wyglądał tak zdrowo i młodo, wedle bowiem wszystkich relacji trzydzieści lat temu miał zginąć podczas bójki we francuskiej tawernie nieopodal doków.

Jego towarzysz przemówił płynną angielszczyzną:

— Czyż nie mówiłem, że Walsingham jest na usługach nieprzyjaciela? Powinieneś być słuchać swego fechmistrza, przyjaciela, to do mnie bowiem należy ochrona twojego życia, a wyczułem niebezpieczeństwo, zanim jeszcze opuściliśmy Sluis.

Bardziej niepokojące od obecności dawnego towarzysza, którego śmierć opłakiwał w każdą dwunastą noc po Bożym Narodzeniu, była narastająca świadomość, że zwinny, jedno-ręki mężczyzna z uderzająco prostackim, złotym samorodkiem w lewym uchu i krzykliwym kaftanie z gnieczonego weluru był jednocześnie Hiszpanem i przyjacielem Cedrica Owena.

Hiszpan, a zatem papista i poddany tego piekielnika, króla Hiszpanii, Filipa, popijał najlepsze grzane wino z cukrem i przyprawami, które Tythe trzymał na święta i którym wszyscy poddani Jej Wysokości Królowej Anglii wznosili toast za klęskę Hiszpanów oraz wszystko, co to mogło oznaczać.

Grupki młodzieńców paliły kukły przedstawiające Filipa na początku adwentu. Później starsi mężczyźni, którzy powinni

byli lepiej wiedzieć, jak się zachowywać, obdzierali koty ze skóry i przybijali żywcem do krzyża, komunikując papieżowi, że jego fałszywą religię czeka zagłada. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie pomyślałby o goszczeniu Hiszpana, niezależnie od tego, jak okazały miałyby strój, jak dobrze władał angielskim i jak blisko był związany z człowiekiem, który właśnie powrócił zza grobu.

Na domiar złego Tythe miał przed sobą list od Walsinghama. Groźby w nim zawarte powodowały, że dostawał biegunki. Jakby tego było mało, ów jednoręki błazen wspominał przed chwilą o Sluis. O Sluis w Holandii, które było jednym z ostatnich miast handlowych o strategicznym znaczeniu, które poddało się oblegającym je wojskom Aleksandra Farnese, księcia Parmy, wiernego sługi hiszpańskiego króla Filipa, największego wroga Anglii.

Hiszpan nazwał właśnie sir Francisa Walsinghama nieprzyjacielem.

Tythe nie był słabeuszem ani tchórzem, był cały obolały. Bolało go zarówno ciało jak i dusza. Kłuło go w lewym kolanie, pierśmiom trudno było oddychać, a oddech stał się słaby i świszczący.

Już raz siedział w Tower i znał zapach pozbawionej nadziei rozpaczki gorszy od połączenia woni kostnicy i rzeźni. Zawsstydzony zauważył, że ogarniają go mdłości, od tamtego czasu bowiem wspomnienie Tower nie dawało mu spokoju. Ponownie poczuł znajomy odór w wygodnej i przytulnej atmosferze własnego pokoju wypełnionego z aromatem rozlanej małmazji, unoszącym się wokół kominka. Pomyślał o Francisie Walsinghamie i poczuł się chory. Hiszpan uśmiechnął się na ten widok. Jego uśmiech, a nade wszystko przenik-

liwe spojrzenie, sprawiły, że praworządny obywatel, Barnabas Tythe, zaczął się trząść jak stara baba.

— Cedricu, kocham cię jak syna, lecz proszę, abys odszedł. Proszę i błagam. Odejdź, gdy ulice są puste, a śnieg zasypie twoje ślady. Nikomu nie powiem, że tu byłeś, przysięgam.

Chrypiał jak kawka. Usłyszał siebie, przygryzł wargi i zaklął cicho.

— Barnabasiu. — Cedric Owen opadł na kolana, które nie zdradzały żadnych oznak reumatyzmu, i usiadł po turecku przy kominku. Kiedy się uśmiechnął, Tythe wspomniał tryskającego energią studenta przedostatniego roku, który tak go oczarował w rozkwicie młodości. Para unosiła się z kaftana na plecach Owena, na których nie zdążył stopnieć śnieg. W pokoju zaczęło się robić duszno jak w pralni.

— Barnabasiu, mamy Wigilię. Na zewnątrz pada śnieg. Nie przyszlibyśmy, gdyby było to dla ciebie niebezpieczne. Możemy się tu zatrzymać bez obaw przez dwa dni, zanim ktoś uzna za konieczne, żeby cię odwiedzić, ale przecież możesz ufać swoim przyjaciołom z College'u Świętego Bedy.

— Mylisz się, jest inaczej, niż sądzisz. Niczego nie rozu-
miesz. Od dwóch lat dziekanem jest Robert Maplethorpe. To
człowiek Walsinghama podobnie jak ja. Jest mu bardziej
oddany niż ja.

Wyznał prawdę. W ciągu pięciu minut przebywania w to-
warzystwie człowieka, który powinien był dawno nie żyć,
powiedział więcej, niż zdołałby wyjawić żywemu.

— Barnabasiu? — Cedric Owen mrugnął nieudolnie w jego
stronę, jak to zwykł czynić, gdy pili razem w gospodzie Old
Buli przed Trinity. Tythe pomyślał o Eloise i zaczął się

modlić o odwagę. — Czy to możliwe, aby sir Francis, najwyższy wzór purytanina, nie wiedział, że w sercu nadal pozostałeś katolikiem?

Jedyną odpowiedzią Barnabasa Tythe'a był dławiący atak kaszlu. Obwieszony biżuterią Hiszpan wtrącił delikatnie:

— To nie było uprzejme, przyjacielu. Twój stary druh będzie teraz umierał ze strachu. Pomyśli, że jest zgubiony, że przebywa w towarzystwie czarownic, a przynajmniej szantażystów. — Po tych słowach wykonał teatralny gest jednym ramieniem. — Jestem katolikiem, senor, chociaż niezbyt dobrym. Podobni ludzie rozpoznają się bez trudu. Nie ma w tym żadnej magii ani groźby. Nie wyrządzimy krzywdy nikomu, kto był kiedyś naszym przyjacielem.

Barnabas Tythe chciał powiedzieć, że nie ma żadnych przyjaciół wśród Hiszpanów, lecz obwieszony błyskotkami intruz nosił u boku prosty miecz pozbawiony ozdób, który składał wymowne świadectwo o człowieku, który w innych dziedzinach obdarzony został tak kiepskim smakiem. Owen nigdy nie był wojownikiem, a mimo to bezpiecznie przebył Niderlandy. Jego strażnik był zatem człowiekiem, któremu należało okazać uszanowanie i pod żadnym pozorem go nie urazić. Tymczasem Owen otworzył torbę podróżną i zaczął wyciągać suche ubranie, fałdy którego, ku przerażeniu Tythe'a, z pewnością skrywały przedmioty służące do odprawiania czarów, co mogło być powodem jeszcze większego zmartwienia.

Okazało się, że miał słusność. Róg szaty opadł i łagodne bursztynowe światło kominka zostało przyćmione chłodnym, lodowatym błękitem. Widział podobne trzydzieści lat temu i do dziś prześladowało go w snach, budząc jednocześnie pożądanie i odrazę.

Tythe głośno jęknął i opadł na krzesło.

— Tylko nie błękitne kamienne serce. Na Boga, Cedricu, czy w ciągu minionych trzydziestu lat nie przyszło ci do głowy, by się go pozbyć? Królowa Maria i ten dureń Pole mogli cię za nie spalić, lecz Walsingham zrobi daleko więcej. Zechce wykorzystać kryształową czaszkę dla własnych celów. Może i jest zaprzysięgłym purytaninem, lecz nie zawaha się zawrzeć paktu z diabłem, jeśli ten spełni jego życzenia.

— Ha! — Hiszpan miał przeszywające niebieskoszare oczy i drugie włosy, lśniące jak włosy dziewczyny. Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, odsłaniając śnieżnobiałe zęby. — Przyjacielu, twój druh ma rację. Powinniśmy opuścić to miejsce. Jeśli Walsingham wie, gdzie jesteśmy, nie powstrzyma go taki drobiazg jak Boże Narodzenie.

— Tak, lecz powstrzyma go śnieg. W ten sposób zyskamy czas na przygotowanie planu. W każdym razie jestem bogatszy od niego.

Sir Francis Walsingham był jednym z najzamożniej szych ludzi w Anglii. Tythe pomyślał, że Owen posłużył się przenośnią i za chwilę powie, iż blask słonecznego poranku napelniający jego duszę jest większym bogactwem od tego, które pierwszy szpieg Anglii zdołał zgromadzić w swoich szkatułach.

Ku swemu zdziwieniu ujrzał, że drugi koniec szaty jeździeckiej Cedrica Owena podwinął się, odsłaniając lśniący, diamentowy guzik, który wyglądał ze wszech miar realnie. Tythe zerwał się na równe nogi, aby obejrzeć go z bliska. W dodatku po chwili trzymał w dłoniach odlaną ze złota maskę naturalnej wielkości przedstawiającą twarz kobiety,

z diamentami w obu uszach, przy której ubiór Hiszpana wydał się niezwykle skromny. Przedmiot był w przybliżeniu gruby jak kciuk i ważył ponad dwa kilogramy. Tythe próbował oszacować jego wartość w odniesieniu... powiedzmy do swojego rocznego wynagrodzenia... lecz zrezygnował. Obu rzeczy zwyczajnie nie można było porównać.

— Cedricu? — Barnabas Tythe poczuł, że zaschło mu w ustach. — Skąd to masz? Czy na tej masce jest ludzka krew?

— Tak, krew kobiety. Została odlana z twarzy kobiety, którą darzyłem największym szacunkiem. Jej syn wykonał ją dla mnie po jej śmierci jako pożegnalny dar. Z żalem się z nią rozstanę, lecz jeśli ktokolwiek może spojrzeć na Walsinghama i sprawić, żeby zachorował, jest to Najakmul.

— Dlaczego? Gdybyś mądrze się nią posłużył, mógłbyś kupić sobie wolność.

Owen pochylił głowę i uśmiechnął się.

— Gdyby zależało mi na wolności i gdyby ta maska była wszystkim, co posiadam, pewnie posłuchałbym twej rady. Zależy mi jednak na czymś więcej prócz wolności i na szczęście nie jest to cały mój majątek.

Tythe wpatrywał się w niego z otwartymi ustami.

— Masz tego więcej?

— W rzeczy samej. Jak się domyślasz, nie noszę wszystkiego przy sobie. Większość mego majątku stanowią kamienie szlachetne, które łatwiej ukryć. Są schowane w podwójnych dnach beczek z białym winem hiszpańskim, w piwnicy niedaleko Harwich, należącej do holenderskiego przemytnika, który zawdzięcza mi życie. Ufam, że nie tknie tego co moje, dopóki będzie wiedział, że żyję. Skoro niebawem mam się rozstać z życiem, musimy znaleźć sposób, który umożliwi ci wejście

w ich posiadanie. Później będziesz musiał je ukryć, dopóki nie odejdzie Walsingham i jemu podobni.

Wino w ustach Tythe'a nieoczekiwanie nabrało cierpkiego smaku.

— Nic nie pojmuję. Dlaczego musisz umrzeć?

— Przecież inaczej Walsingham nie pozostawi mnie w spokoju. Wydał nakaz mego aresztowania. Jestem zdrajcą, którego należy niezwłocznie zatrzymać i doprowadzić żywego do Tower. Zrezygnuje dopiero wówczas, gdy będę martwy.

— Jeśli umrzesz jako zdrajca, cały twój majątek przejdzie na rzecz Korony. Jeśli masz tyle złota, ile powiadasz, Elżbieta użyje go, aby odbudować flotę i odzyskać Calais. Wykradnie Hiszpanii i Portugalii ziemie Nowego Świata, będzie...

— Właśnie dlatego umrę biedakiem, a majątek pozostanie w ukryciu do końca twojego życia i jeszcze później. — Cedric Owen uśmiechnął się i przechylił głowę pokrytą siwizną. — Co jest twoją największą miłością, Barnabasi?

Odpowiedź była łatwa.

— College Świętego Bedy — odparł prodziekan. — Uczelnia to całe moje życie.

— Czy pomożesz mi przekazać diamenty dla college'u w taki sposób, aby Walsingham nie położył na nich łapy?

— Na Boga, tak!

— Nawet gdybyś musiał zginąć?

Tythe poczuł ukłucie smutku.

— Czy dla takiej sprawy byłbyś gotów rzucić się na własny miecz?

— Zgodziłbym się pójść pod miecz każdego człowieka. Mój własny mógłby nie wystarczyć Walsinghamowi, a przecież nie wolno nam go rozczarować.

Owen uśmiechnął się, słysząc te słowa, lecz po chwili dobry humor go opuścił i popadł w zamyślenie. Jego twarz nabrała przenikliwości sokoła, stając się podobna do oblicza Walsinghama. Tythe pomyślał, że nie chciałby, aby ten człowiek, który niegdyś był jego przyjacielem, został jego wrogiem.

— Kto jeszcze jest opłacany przez Walsinghama? — za pytał ostro Owen głosem, w którym pojawiła się nowa, twarda nuta.

— Oprócz Maplethorpe'a, nie wiem na pewno. Wątpię jednak, czy w Cambridge lub Oksfordzie znalazłby się dzie kan, który w takiej lub innej formie nie brałby od niego pieniędzy. Po luteriańskiej herezji z lat dwudziestych odmowa przyjęcia pomocy od królowej równałaby się przyznaniu do zdrady. Z pewnością są inni, lecz nie znam ich imion. Szpieg nie wtajemnicza sługi w swe sekrety.

— W takim razie trzeba będzie zachować podwójną ostro żność.

Błękitny kamień był teraz całkowicie odsłonięty. Owen trzymał go w dłoni w taki sposób, że z miejsca, w którym siedział Tythe, oddalonym od ognia na wyciągnięcie ramienia, można było odnieść wrażenie, iż światło pochodzi z wnętrza czaszki.

Owen przez chwilę wpatrywał się w kamień, a następnie zwrócił się do jednorękiego Hiszpana, udającego jego ochro niarza. Wymienili znaczące spojrzenia, po czym Cedric Owen ponownie zasłonił kamień szatą, a następnie powiedział do Tythe'a:

— Barnabasie, jest Wigilia Bożego Narodzenia. Czy jako dziekanowi College'u Świętego Bedy mógłbym ofiarować ci coś w prezencie?

Tythe zaśmiał się cierpko.

— Abyś mógł spokojnie zasnąć, wcześniej zażywszy laudanum, a następnie o wszystkim zapomnieć i rozpocząć jutrzejszy dzień z czystą kartą?

— Nie chcesz być dziekanem?

— Pewnie, że chcę! Poświęciłem całe życie tej uczelni, a ponieważ jestem próżny, pragnę, aby odwdzińczyła mi się najwyższym zaszczytem. Wolałbym, aby stało się to za panowania kolejnego króla Anglii, jest to jednak zbyt nieprawdopodobny i niebezpieczny temat rozważań. Maplethorpe nie jest człowiekiem, którego można łatwo usunąć. Ma trzech służących, z których każdy mógłby stanąć do walki z największym zabijaką w Londynie. Nazywa ich mastiffami. Ludzie powiadają, że uśmiercili kilku w ciemnym zaułku bez zadawania zbędnych pytań. Maplethorpe ukrywa się za zasłoną nabożności i zabija każdego, kto mu się sprzeciwi. Między innymi właśnie dlatego wybrano go na dziekana — nikt nie odważył się zaprotestować.

Na twarzy Hiszpana pojawił się dziki uśmiech.

— W końcu jakieś wyzwanie! Anglia to piękny kraj, senor Tythe!

Ponieważ Cedric Owen go zignorował, Tythe z radością postąpił podobnie. Już miał zmienić temat rozmowy na mniej niebezpieczny, gdy Owen powstał i wychylił kielich.

— Nadeszła pora, abyś poszedł do Roberta Maplethorpe'a i powiedział mu, że masz nieoczekiwanych gości. Pokaż mu list i poproś o radę jako dziekana College'u Świętego Bedy, nie zaś szpiega Walsinghama. Wyznaj mu, że jesteśmy wyčerpani i przyszliśmy prosić o chrześcijańskie zmiłowanie. Jest Boże Narodzenie, drogi są zasypane, nie można nas

zatem odprawić do Londynu, dlatego prosisz go o radę, jak powinieneś postąpić.

— On cię zabije — powiedział beznamiętnie Tythe.

Owen skłonił się nisko.

— Jeśli tak się stanie, wypełnisz swój obowiązek i zyskasz wielką przychylność Walsinghama. Jeśli nie mogę cię obdarzyć urzędem dziekana, jakiż lepszy dar mogę ci ofiarować niż ochronę twojego życia i reputacji?

College św. Bedy, Cambridge, wigilia Bożego Narodzenia roku 1588

*Zwycięzcy ukaże się słońce i orzeł, Zaś
pokonani otrzymają pustą odpowiedź.
Żołnierzy nie powstrzymają trąbki ani okrzyki,
Osiągną wolność i spokój tylko przez śmierć.*

Czterowiersz 38, Centuria I, Nostradamus

W ciszy i mroku, spowijającym uliczki Cambridge, słychać było jedynie słabnące echo wieczornych dzwonów.

Śnieg lekko prószył w słabych powiewach wiatru. Młody księżyc skrył się za krawędzią ziemi, tak że na niebie pozostały jedynie rozproszone gwiazdy.

Tym razem Cedric Owen nie potrzebował wzroku, aby odnaleźć drogę. Kierując się instynktem i pamięcią oraz wyciągniętymi dłońmi, na wypadek gdyby dwie pierwsze zawiodły, podążał śladem Barnabasa Tythe'a Magdalenę Street biegnącą wzdłuż rzeki do Midsummer Common.

Kiedy jego dłonie przesunęły się po drewnianej powierzchni, skrzył w lewo na łuk geometrycznego mostu Johna Dee.

Po zmienionym dźwięku kroków na śniegu i nagłym cieple, które ogarnęło jego serce, wiedział, że wrócił do domu.

Ucisnął ramię starego opiekuna. Tythe nie był z natury człowiekiem nieustraszonym. Odznaczał się innym rodzajem odwagi, pozwalającym iść naprzód mimo strachu ściskającego wnętrzości.

— Zaczekamy tutaj — powiedział Owen. — Do tej pory byłeś bezpieczny. Nie wdawaj się w bójkę, a takim pozostaniesz.

— A jeśli twój podstęp z pochodniami zawiedzie? — zapytał Tythe drżącym głosem.

— Nie zawiódł w Sluis ani dwa razy wcześniej — odparł Owen. — Tym razem również nie zawiedzie. Ludzie gorzej walczą, gdy nie wiedzą, z iloma przeciwnikami muszą się zmierzyć. Mrok, który nam sprzyja, dla nich jest wrogiem.

— Maplethorpe'a pilnuje trzech mężów, którym sam w niczym nie ustępuje. Może nawet jest od nich lepszy.

— W Reims walczyliśmy z sześcioma. Wszyscy nie żyją. Jeśli koniecznie musisz czemuś zaufać, wybierz szybki miecz Fernandez.

— Nie będziesz się bił?

— Nie ma takiej potrzeby.

Owen wypowiedział te słowa pewnym głosem. Patrzył, jak Tythe zbiera się na odwagę i znika w mroku. Obserwował, jak światło pochodni starego mężczyzny zbliża się ukośnie do bram college'u i ginie w środku.

Dwaj mężczyźni zostali sami w ciemną bożonarodzeniową noc. Owen wyciągnął dłoń i poczuł znajomy, aksamitny kaftan de Aguilara. Usłyszał tarcie żelaza o nasmarowaną łożem skórę i w świetle gwiazd dostrzegł słabe lśnienie wypolerowanego ostrza.

— Przygotowywaliśmy się na tę chwilę trzydzieści lat — powiedział cicho de Aguilar. — To niedługo. — On również oddychał głęboko, bez napięcia, jakie towarzyszyło im w domu Barnabasa Tythe'a.

— Wystarczająco długo — odparł Owen. — Kamienne serce podarowało nam trzydzieści lat życia. Musimy jedynie wykonać zadanie, którego od nas oczekuje, jeśli bowiem zawiedziemy, wszystko pójdzie na marne.

— Wiem, że nam się powiedzie, przyjacielu. — Owen poczuł na sobie spojrzenie Hiszpana. — W Reims było tylko pięciu, w tym dwaj nie mogli się poruszać, bo byli zbyt pijani. Tutaj czeka nas trudniejsze wyzwanie.

— Wiem, chciałem dodać Tythe'owi odwagi. Mamy wszystko, czego trzeba, aby odnieść zwycięstwo.

Czekali jakiś czas, nauczeni cierpliwości i potrafiący znieść lekki chłód.

Błękitny kamień cicho śpiewał, lecz na chwilę przed rozproszeniem ciemności zmienił melodię.

Usłyszeli dźwięk małych, bocznych drzwi, a nie tych od stróżówki portiera, i ujrzeli trzy pochodnie w miejscu, gdzie kiedyś była jedna.

— Tylko trzech. Maplethorpe nie wyszedł — szepnął de Aguilar.

— Wyjdzie. Znam go z czasów, gdy byłem studentem. Nawet wówczas drażnił niedźwiedzie dla przyjemności. Nie przepuści okazji, aby zabić człowieka dla rozrywki. Poczekaj, a z pewnością go ujrzysz.

Czekali dalej. Pochodnie ruszyły przed siebie, jedna za

drugą. W pewnej chwili smuga światła na krótko się rozszerzyła, gdy portier otworzył i zamknął drzwi, wypuszczając na zewnątrz blask świec. Na śnieg wyszły dwie kolejne postacie i zniknęły w mroku.

— Teraz — dał sygnał Owen.

Uderzył krzemieniem o hubkę, aby zapalić pochodnię, a od niej dwie kolejne. Podał jedną de Aguilarowi i wyszedł zza linii drzew na krawędź ścieżki wiodącej wzdłuż rzeki, trzymając pochodnię w szeroko rozłożonych rękach. De Aguilar postąpił podobnie, niosąc pochodnię za sobą tak, by wydawało się, że trzech lub czterech mężów przekroczyło mały, łukowato wygięty most, wkraczając na teren college'u.

Owen podszedł do drzwi portiera, zaklął z akcentem mieszkańca hrabstwa Fenland i zgasił pochodnię.

— Dobry Boże! — zawołał, naśladując głos wykładowcy. — Nie macie lepszego światła w taką noc?

— Ciszej! Dziekan pracuje. — Po trzydziestu latach spędzonych z Owenem, de Aguilar mówił po angielsku jak rodowity Anglik. Na pokładzie przemytniczej łodzi udoskonalił zarówno przeciąganie samogłosek typowe dla ludzi uczonych, jak i szerokie, nosowe samogłoski dialektu Angłów ze wschodniej części kraju.

Naśladując te ostatnie, powiedział szorstkim głosem:

— Zgasiliśmy pochodnię. Do polowania na jednorękiego fircyka wystarczy jedna.

— Nie potrzeba nawet jednej, gdy ma się trzy. — Władczy głos, który doleciał z sieni, przewyższał apodyktycznością głos każdego portiera, niezależnie od tego, jak ten byłby się wywyższył ponad swój stan.

Robert Maplethorpe stanął na wydeptanym śniegu w kształ-

cie półksiężycy, u wejścia do College'u św. Bedy. Nagi miecz błyszczał na tle szarego śniegu tak silnie, że Owen spojrzał najpierw na niego, a dopiero później na nieogoloną twarz dziekana.

Za nim stało trzech mężczyzn z płonącymi pochodniami dobrej jakości, niemogącymi pobrudzić smołą ubrania dziekana. Każdy z nich trzymał w drugiej ręce, z niedbałą nonszalancją ludzi, którzy dla rozrywki codziennie gruchoczą bliźnim kości, pałkę wykonaną z drewna i żelaza, owiniętą wełną i tkaniną, aby móc po cichu okaleczyć zbiegów, przeciwno którym ich wysłano.

Barnabas Tythe stanął w drzwiach, pochylając się lekko w prawą stronę, by wesprzeć chorą nogę.

— Joseph, czy to ty?! — zakrzyknął z za pleców trzech zbirów Maplethorpe'a.

— Ja! — zawołał Cedric Owen, a następnie odchrząknął i splunął na śnieg. — Do twoich usług, dziekanie Tythe. Przybyliśmy, jak prosiłeś, zabierając ze sobą, kogo się dało. Wrogowie są u ciebie, ciesząc się twą gościnnością.

Cisnął pochodnię w śnieg, powodując, że ogarnął go mrok. Za sprawą przypadku, szczęścia lub umiejętności, on i de Aguilar znaleźli się poza kręgiem światła rzucanym przez pochodnie ludzi Maplethorpe'a.

De Aguilar rzucił przekleństwo i skręcił w bok, udając, że się potknął.

— Jesteś pijany! — syknął Maplethorpe jadowitym głosem, przy którym głosy jego zbirów wydawały się bardzo łagodne.

— Nie, dziekanie — de Aguilar cofnął się tchórzliwie poza krąg światła. Wyrzucił w górę dłoń i potknął się raz jeszcze, cofając o kolejny krok w udanym przerażeniu.

Gdy dziekan uniósł ostrze, jego ludzie spojrzeli po sobie, jakby wiedzieli, co się stanie. Maplethorpe był mężczyzną w dobrej kondycji. Wystarczyły dwa kroki, aby znalazł się poza kręgiem światła płonących pochodni. Po dwóch kolejnych opuścił srebmoszary pas śniegu, stając się nieokreślonym cieniem, jak ten, którego ścigał.

— Stój! Nie pozwolę, aby moi ludzie byli pijani, szczególnie w dzień narodzin naszego Pana!

W głosie Maplethorpe'a nie było cienia ironii. Trzech uzbrojonych zbirów przewróciło oczami.

— Dziekanie, przecież pragniemy śmierci Hiszpana, a nie twoich wiernych sług? — odpowiedział z ciemności, szorstkim głosem Cedric Owen.

— Nie zabiję go, jeno... lekcji udzielę...

Dwukrotnie przerwał mu dźwięk szurających stóp, po którym rozległ się świst ostrza przecinającego powietrze.

Po ostatnim, wyższym dźwięku mężczyzna wydał ni to stęknienie, ni to kwik, który był pewnym dowodem śmierci. Usłyszeli odgłos ciała osuwającego się na ziemię. Nikt z zebranych nie był tak niewinny, by uwierzyć, że nieszczęśnik nauczył się jakiejś lekcji z wyjątkiem tej, której Stworzyciel mógłby mu udzielić na sądzie ostatecznym.

— Szkoda, choć lekcja została wyuczona — usłyszeli głos udający sposób mówienia Maplethorpe'a. W ciemności zamajaczyła jego postać z dłonią opartą na biodrze i rozwianą szatą.

— Na co wam te świąteczne fajerwerki? Nie potraficie odnaleźć drogi do domu Tythe'a w świetle gwiazd?

Trzech osiłków zgasiło pochodnie. Mężczyzna, którego brali za Maplethorpe'a, podszedł do najbliższego z nich, który zorientował się, że jego zabójca wyrzucił do przodu

lewą rękę. Miecz rozciął skórzaną kamizelkę na piersi, przesunął się po mostku i przeszył serce.

Mężczyzna runął w tył, krztusząc się krwią. Z jego dwóch kompanów tylko jeden miał wystarczający refleks i skoczył do przodu, głośno przeklinając. Barnabas Tythe ze zdumiewającą odwagą dźgnął nożem drugiego i podciął mu nogi tak, że upadł twarzą na śnieg.

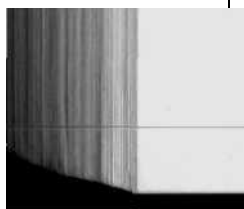
W ten sposób przy życiu pozostał tylko jeden z trzech mastiffów Maplethorpe'a.

Mężczyźni nie przeszkadzało, że nieprzyjaciel ma liczebną przewagę. Od razu odgadł, że największym zagrożeniem jest nadciągający w jego stronę de Aguilar. Ciężko dysząc, zamarkował cios nieuzbrojoną ręką, a następnie machnął potężnie drugą.

Pałka uderzyła w ostrze i złamała je. Po krótkiej chwili milczenia de Aguilar uskoczył w bok i powstał, zrzucając zabraną szatę i okręcając ją wokół ramienia. Zwinnie tańczył na śniegu, starając się uniknąć wirującej pałki. Jego przeciwnik zamachnął się kilkanaście razy, próbując trafić widmową postać. W końcu rzucił przekleństwo i wyciągnął sztylet srebrzący się niczym ryba w świetle gwiazd.

Tym razem unikanie ciosów było trudniejsze. Tamten poruszał się zwinnie, mimo korpulentnej budowy, a na dodatek krył się w mroku, podczas gdy pole walki oświetlało szarawe światło padające od strony zabudowań college'u. Prócz tego miał więcej doświadczenia w walce na śniegu od de Aguilara i dwie sztuki broni, podczas gdy jego jednoręki przeciwnik nie był uzbrojony, a za ochronę miał jedynie zwiniętą szatę.

Poruszał się szybko i zdecydowanie. Wystarczyły trzy szybkie ruchy i ugodził de Aguilara w udo i grzmotnął pałką w głowę. Owen patrzył, jak Hiszpan pada na śnieg.



Zbir z pałką przyskoczył, aby dokończyć dzieła.

— Nie!

Dawno temu Cedric Owen obiecał Fernandezowi de Aguilarowi, że nigdy nie chwyci za miecz w gniewie.

Podczas krwawej łaźni urządzonej w Zamie przez jezuitów, gdy zginęła Najakmul, a później w Reims, Sluis i nad zatoką w Harwich, kiedy zostali niemal pokonani przez agentów Walsinghama, posługiwał się nożem lub pałką, a w Zamie holenderskim muszkietem, pozwalając Hiszpanowi wykorzystać swoją szybkość węża przeciwko wrogom. Tyle razy widział, jak de Aguilar uderza w ciemności, mierząc się z większą liczbą wrogów, że zaczął wierzyć, iż jest on niepokonany.

Przypomniał sobie noc w Sewilli, gdy dobył miecza, stając w obronie przyjaciela. Teraz nie miał miecza, a jego nóż był zbyt krótki. Na śniegu dostrzegł pałkę jednego z zabitych. Podniósł ją i zaczął brnąć przez śnieg, licząc, że to zimne i ciężkie drewno wybawi go z opresji.

Oszacował odległość dzielącą go od tamtego i doszedł do wniosku, że nie przybył za późno. Nie spóźnił się, a przecież już raz z dobrym skutkiem użył miecza w obronie de Aguilara.

Myślał o tym, gdy mężczyzna z pałką zadał mu pierwszy cios. Uderzył w żebra, łamiąc trzy z nich. Kolejne uderzenie trafiło w głowę, miażdżąc czaszkę i powalając go na ziemię.

Padając, usłyszał, jak Barnabas Tythe woła jego imię. Wydawało mu się, że widzi, jak stary opiekun kuśtyka w ich stronę i wbija sztylet w plecy przeciwnika, a właściwie mordercy, nie miał bowiem wątpliwości, że umiera.

Gdy śnieg brał go w swoje objęcia, przez głowę przeszła mu tylko jedna myśl, że wkrótce spotka Najakmul, którą zawiódł.

Oxfordshire, czerwiec roku 2007

Nie można dziś podjąć żadnej rozsądnej decyzji bez wzięcia pod uwagę obecnego i przyszłego stanu świata.

Isaac Asimov

W małym bocznym pomieszczeniu obok Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej w izbie chorych szpitala Radcliffe w Oksfordzie, lekarz specjalista rozmawiał ze starszą pielęgniarką, ignorując Stellę i Kita, którzy siedzieli przy łóżku.

Chociaż czuć było od nich woń dymu, ran i strachu, nie potrzebowali pomocy. W przeciwieństwie do nich Ursula Walker leżała nieprzytomna, cała w bandażach. Jej silna, wyrazista twarz zwiotczała od snu i podanych leków. Sine żyły odcinały się wyraźnie na tle szarobiałej skóry przecinanej gniewnymi, czerwonymi liniami, biegnącymi wzdłuż ramion i w poprzek czoła.

Proces oddychania wspomagał respirator i tuba dotchawicza wystająca z ust. Za pomocą kroplówki podawano Ursuli środek

T

zwiększający objętość osocza, inny zaś lek sączył się wolno przez kroplówkę podłączoną do żyły na karku.

Dren, wychodzący z boku klatki piersiowej, odprowadzał płyn na zewnątrz. Pojemnik na mocz umieszczony w nogach łóżka powoli się napełniał. Zielone wykresy na monitorach pokazywały ciśnienie krwi i ilość wydychanego powietrza. Dwunastoodprowadzeniowy elektrokardiograf pikał, wyrzucając zapis, którego Stella nie potrafiła odczytać.

Lekarz podpisał jakąś karteczkę i wyszedł, a pielęgniarka zaciągnęła zasłony wokół łóżka.

Pozostawiona sama z Kitem i otoczona kliniczną bielą Stella przycisnęła palce do oczu. Po udzieleniu ostrzeżenia czaszka zamilkła. W obszarze umysłu, który zajmowała — miejscu wypełnionym kiedyś błękitnym spokojem — teraz płonął ogień. Czowała szczypiący dym i odór spalonego ciała. Kiedy otworzyła oczy, płomienie zmalowały, lecz nie znikły. Pozostała woń dymu i spalonych włosów.

— Dlaczego pozwoliłam jej wrócić do środka?

— Nie mogłaś jej powstrzymać — odparł Kit. Jego oddech nadal pachniał dymem, a wypowiedane słowa były przeniknięte spalenizną.

— Nawet nie spróbowałam. Powiedziała, że wie, co robi, że znalazła coś ważnego w dziennikach. Uwierzyłam jej. Chciałam jej wierzyć.

— Ja też jej nie powstrzymałem, Stell. Jeśli chcemy się obwiniać, powinniśmy rozłożyć winę po równo.

— Byłeś ledwie przytomny. Nie sądzę...

Pielęgniarka zajrzała do pokoju oficjalnie uprzejma. Od sunęła zasłonę.

— Pani O'Connor, przyszedł pani brat.

— Mój brat... Davy?

Objął ją sztywno, wyraźnie zaszokowany. Wymienił uścisk dłoni z równie zaskoczonym i milczącym Kitem.

— Nie powinnaś się obwiniać. Jeśli matka coś sobie postanowiła, nikt nie mógł jej powstrzymać. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. — Skinął pielęgniarce. — Dziękuję pani. Możemy zostać chwilę sami?

Wycofała się uprzejmie.

— Przekażę państwu wyniki badania krwi, kiedy tylko je otrzymam. — Davy miał na sobie biały fartuch i pewnie dlatego na odchodnym pielęgniarce uśmiechnęła się do niego inaczej niż do Stelli i Kita.

— Ma uszkodzone komórki śród błonka — wyjaśnił bez barwnym głosem. — Wyściółkę płuc. W dymie był chlor. To nie było zwyczajne podpalenie. Człowiek, który to zrobił, próbował zabić wszystkich, którzy znajdowali się w domu. Ursula, moja matka, w porę wyczuła niebezpieczeństwo. Nie sądzę, aby strażacy zdawali sobie z niego sprawę, gdy ją wynieśli. Najwyraźniej aby stworzyć zaporę dla kwasu, na rzuciła sobie na twarz ścierkę do naczyń i skropiła ją lemoniada. Przypuszczalnie tylko dlatego jeszcze żyje.

Mówił automatycznie, z klinicznym spokojem cechującym medyków, ani na chwilę nie odrywając wzroku od monitora. Stella wzięła go za ramię, zaprowadziła do krzesła i posadziła.

— Czy jej stan się poprawi? — zapytała.

— Jeśli przeżyje noc, pewnie się z tego wygrzebie. Być może będzie musiała stale nosić ze sobą pojemnik z tlenem przyczepiony do chodzika rehabilitacyjnego, lecz będzie żyła. Nie jestem pewny, czy będzie nam wdzięczna za to, że skazaliśmy ją na taką egzystencję.

— Nie jest wcale tak źle, jak sądzisz. Nadzieja czyni cuda.
Zapadła chwila trudnego, niezręcznego milczenia. Davy Law po raz pierwszy odwrócił wzrok od monitorów i spojrzał na łóżko. Miał podkrążone oczy. Spod brązowej opalenizny, będącej wspomnieniem po kurdyjskim lecie, wyłaniała się żółta skóra. Ręce dygotały mu od nikotynowego głodu, żalu z powodu nieszczęścia, które spotkało jego matkę, obecności Kita lub wszystkiego naraz.

— Słyszałem o tym, co wydarzyło się w jaskini. Przykro mi — powiedział.

— Mnie również — odparł Kit. — Mimo to wolę być powszechnym obiektem współczucia, niż w ogóle przestać istnieć.

Zapadła krótka przerwa, w której pozostali mogli mu się sprzeciwić, zaprzeczyć, że mu współczują, lecz tego nie zrobili.

Stella czuła jego kolano przy swoim. Choćby z tego powodu nie odezwała się ani słowem. Obserwowała, jak Davy Law bierze wdech, wstrzymuje powietrze i powoli wypuszcza je z płuc, kręcąc głową.

— Wolałbym, żeby ludzie mnie nienawidzili, niż żalowali — zauważył po chwili. — Najgorzej gdy masz do czynienia z obiema rzeczami równocześnie.

— Nigdy nie było mi cię żal, Davy.

— Ale nienawidziłeś mnie, prawda?

— Cóż innego mi pozostało?

Kiedy spojrzeli sobie w oczy, przeszłość powróciła z całą siłą.

Zasłony chroniły ich przed światem, sprzyjając, żeby nieporozumienia między nimi zaczęły się zablźniać. Stella nie

potrafiła tego stwierdzić. Klatka piersiowa Ursuli Walker unosiła się i opadała w rytm pracy respiratora. Poczula zmianę w dotyku jego kolana.

— Dlaczego nie powiedziałaś, że Ursula jest twoją matką?

Davy Law uśmiechnął się krzywo, odsłaniając zepsute zęby.

— Nie rozmawialiśmy o tym, a ty nie dostrzegłeś rodzinnego podobieństwa.

— Podobieństwo nie istnieje.

— Mylisz się.

Pochylił się nad łóżkiem w taki sposób, że jego głowa znalazła się obok spoczywającej na poduszce głowy matki, szeroko otwierając oczy nabiegłe krwią. Delikatnie unióś jej powiekę, żeby mogli zobaczyć stalowoszarą tęczę. Nie było wątpliwości, że gdyby jego oczy nie nabiegły krwią, byłyby takie same, jak oczy matki.

— Mamy identyczne oczy — powiedział.

— Powinniśmy byli to zauważyć — przytaknęła Stella.

— Nikt nie zwrócił na to uwagi. — Davy wzruszył ramionami. — Jeśli chcecie się tym dołować, jakby brakowało wam powodów, nie będę protestował. — Przerwał na chwilę i usiadł. — Macie rację, byłem jej koszmarem. Pragnęła mieć piękne, inteligentne dziecko, żeby nasza linia trwała nieprzerwanie od czasu rzymskiej inwazji. A co dostała? Chuchro z zębami jak nutria karmiona sterydami i włosami przypominającymi szczurze ogony.

Skrzywił twarz, kiedy Stella na niego spojrzała.

— Sam to wymyśliłem. Jeśli Kit powtórzył ci te słowa, popełnił zwyczajny plagiat.

— Przyznaję się do winy — szepnął Kit.

Davy zignorował go.

— Mimo to przyjęła mnie do domu, gdy schrzałem sprawę w Cambridge i nie mogłem kontynuować studiów medycznych. Umożliwiła mi naukę na wydziale antropologii i w ten sposób w końcu podążyłem jej śladem.

Wyciągnął rękę i wygładził palcem jej policzek.

— Zabrała mnie ze sobą do Laponii. To jedyne miejsce na świecie, w którym ludzie nie oceniają książki po okładce. Właśnie tam, pośród lodu, śniegu i moczu reniferów, zaczęliśmy się darzyć szacunkiem. Bardziej niż wcześniej. Nie chciałem tak szybko jej stracić.

Pod wpływem ironii i żalu profil jego twarzy uległ zmianie.

— Mam kamienne serce — powiedziała Stella przez zaciśnięte gardło. — Jeśli możemy go użyć...

Pokręcił głową.

— Możecie jedynie odnaleźć serce świata i zanieść tam kamień o wyznaczonym czasie. Podporządkowała temu całe swoje życie.

— Wyznaczony czas nadejdzie jutro o świcie, nadal jednak nie znamy miejsca. Jeśli ktoś nie pomoże nam przetłumaczyć dwóch ostatnich tomów, będziemy skończeni.

Za głową łóżka Ursuli znajdowało się okno.

— Mógłbym to zrobić pod warunkiem, że dysponowałbym słownikami matki, a wszystkie zostały w domu. Inne egzemplarze są w Bibliotece Bodlejańskiej, lecz otworzą ją dopiero rano.

Woreczek z moczem był niemal pełny. Davy sięgnął po pusty cylinder miarowy i napełnił go. Przez krótką chwilę za zasłoną panowała ostra woń.

Odczytał poziom płynu, zapisał na karcie i podniósł cylinder.

— Pójdę to wylać. Gdy wrócę, zaplanujemy kilka następnych... — Przerwał mu dźwięk telefonu komórkowego. — Tylko nie mówcie, że któreś z was zapomniało wyłączyć komórkę. Nie wiecie, czym jest zemsta, jeśli nie widzieliście pielęgniarki z OIOM-u, która podejrzewa, że jej monitory mogły zostać uszkodzone przez zakłócenia elektroniczne. Jeśli nas zaszlachtuje, w pełni na to zasłuży my... Stello!

— To nie mój — odpowiedziała. — To twoja komórka. Masz wiadomość. — Telefon był w kurtce, którą zdjął i po wiesił na oparciu jej krzesła. Kiedy mu go podała, dostrzegła, że pobladł.

— Davy? — Ujęła go za ramię.

Ciężko usiadł.

— To od matki. Nie wiedziałem, że zna mój numer.

— Czy ktoś mógł użyć jej telefonu?

— Nie sądzę. — Zaczął przeglądać menu. — Wiadomość wysłano ostatniej nocy o dwudziestej drugiej dwadzieścia siedem. Zadzwoiłaś po straż pożarną o dwudziestej drugiej dwadzieścia trzy, a z domu wyciągnęłaś ją o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt jeden. Musiała to napisać, kiedy jeszcze była w środku. — Powiedział głucho, bez zastanowienia, spoglądając na matkę, której skórę oświetlały upiorne cienie rzucane przez zielone światelka monitorów.

— Co napisała, Davy? — zapytał delikatnie Kit.

— „Nadszedł czas, aby wydobyć to, co zostało zamknięte we wnętrzu ognia”. — Davy nie zauważył, że płacze. — Muszę wrócić do domu.

— Nie możesz. Panuje tam istne piekło. Kiedy wyjeżdżaliśmy, roiło się od strażaków.

— Na pewno już pojechali. W drodze do szpitala słu chałem, jak rozmawiają na falach krótkich. — Sięgnął po kurtkę. — Muszę pojechać.

— W takim razie pojedziemy z tobą.

Niebo nad domem Ursuli Walker nie było już pomarańczowe, płomienie wygasły, a strażacy odjechali. Zabudowania spowijał nocny mrok oświetlony jedynie promieniami półksiężyca i gwiazd. Wszędzie unosił się swąd dymu i spalenizny. Stella zaparkowała samochód tam, gdzie kiedyś i wspólnie z Davym pomogła Kitowi wysiąść. Zaczęli schodzić ze wzgórza. W miarę jak zbliżali się do domu, powietrze stawało się coraz bardziej gęste i gorące.

Na pobielanych wapnem ścianach widać było smugi sadzy i ślady popiołu, lecz główna konstrukcja nie została naruszona. Zatrzymali się przy bramie przed pojedynczą żółtą taśmą zagrządzającą drogę. Tam gdzie kiedyś widniała informacja o konferencji poświęconej rokowi 2012, teraz umieszczono napis: ZAGROŻENIE POŻAROWE, ZAKAZ WSTĘPU.

— Czy naprawdę musimy tam wejść? — zapytała Stella.

— Ja wchodzę — odparł Davy. — Jeśli chcesz, możesz zostać. Będiesz tu bezpieczniejsza. — Nie widziała go jeszcze tak spiętego. — Czy ktoś nas śledził? — zapytał, spoglądając w mrok.

Kit stanął między nimi, żeby móc się oprzeć na ich ramionach.

— Nie, cały czas obserwowałem drogę — powiedział. — Kiedy strażacy ją znaleźli, była w kuchni.

— Spróbujmy wejść tylnymi drzwiami. — Na twarzy Davy'ego pojawił się słaby uśmiech. — Gdybyśmy szli przez pokoje, strop mógłby runąć nam na głowę.

Ruszyli wolno ścieżką, przestępując przez coś, co jeszcze niedawno było ogrodowym parkanem.

— Podejrzewam, że żadne z was nie zabrało latarki — szepnął w ciemności Davy.

— Użyj światła komórki — powiedziała Stella, wyciągając i włączając własną.

W dwóch słabych promieniach światła przeszli przez spalone i zalane wodą róże, a następnie ominęli zaścielające ziemię dachówki, obchodząc dom z boku. Tylnych drzwi nie było. Framuga została odkształcona i spalona.

Davy Law przesunął dłonią po zniszczonym drewnie.

— Ten, kto tego dokonał, doskonale wiedział, co robi. — Wytarł dłonie o dzinsy. Jego twarz była twarda jak kamień. — Starajcie się płytko oddychać. Jeśli poczujecie się źle, natychmiast wyjdźcie na zewnątrz.

Stella przeszła za nim przez próg. Słabym światłem komórki omiotła resztki dębowego stołu, osmolone, podziurawione ściany i rozbity kominek.

Kit podążał za nimi w swoim tempie, uważnie stawiając stopy wśród gruzowiska. Po chwili zatrzymał się w księżycowej poświacie.

— Davy, nie musisz na to patrzeć. Powiedz nam, czego szukasz, i wróc do samochodu. Znajdziemy to.

— Nie ma mowy. Zapomniałeś, że spędziłem pięć lat w strefie działań wojennych.

— Ci ludzie spalili dom, w którym dorastałeś.

— Nawet jeśli... Nie możecie mnie zastąpić. — Wszedł do

kuchni i stanął obok stołu. — Nie wykorzystałem jak należy lat spędzonych w tym miejscu — powiedział słabym głosem. Zbyt szybko wyjechałem. — Odwrócił się na pięcie, jakby czegoś szukał. — Możecie tu poczekać? — poprosił nieobecny głosem.

Chwilę później zniknął jak zjawą. Czekali w ciemności, słysząc dźwięk zapadających się desek, które trzaskały wokół jak petardy.

— Boisz się? — zapytał Kit.

— Jestem przerażona. Ufasz Davy'emu?

— Tak. A ty?

— Zawsze mu ufałam. Od chwili gdy się poznaliśmy. Od strony otworu w drzwiach doleciał jakiś dźwięk. Podniosła głowę.

— Davy? Co to było?

— To młotek. Jest w altanie ogrodowej od chwili, gdy ją zbudowano, czyli od tysiąc pięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Pierwszą altanę wzniosła Martha Walker, kobieta, która poślubiła Francisa Walkera i założyła naszą dynastię. Jest jednym z moich pierwszych przodków. W swoim testamencie zostawiła dziwne polecenie, żeby w pobliżu kuchni zawsze znajdował się młotek. Kiedy byłem nastolatkiem, wpadłem na pomysł, jak można go wykorzystać. Matka nie była tym... zachwycona. Właśnie tego dnia wyprowadziłem się i zamieszkałem u kuzyna Mereditha.

— Mereditha Lawrence'a? — zapytała zdumiona Stella. — Pomagał nam odczytać księgi.

— Nie jestem zdziwiony. To rodzinna obsesja. Musiałś to zauważyć. — Davy obrócił młotek w dłoni. W świetle telefonów metalowa głownia nabrała matowego, niebieskawego

połysku. — Dorastanie w jego towarzystwie było przyjemnością. Szybko doszliśmy do porozumienia. Myślałem, że matka nigdy mi tego nie wybaczyła. Może się myliłem. Przez całe życie o nic mnie nie poprosiła.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytał Kit.

— Znaleźć to, co jest ukryte we wnętrzu ognia. Jej polecenie nie ma sensu, trzeba jednak znać historię naszej rodziny, żeby je zrozumieć. Właśnie dlatego kryjówka była bezpieczna. Jeśli go nie odnajdę, nikt inny na to nie wpadnie. — Podniósł głowę i uśmiechnął się. — Możecie oświetlić komórkami kamienie w tylnej części niszy kominowej?

Mówiąc to, zamachnął się młotkiem. Zrobił to niezbyt mocno, lecz z ogromną precyzją, celując tam, gdzie kamień podłogi stykał się ze ścianą w sercu paleniska.

Młotek odbił się trzykrotnie od kamienia. Za czwartym razem usłyszeli dźwięk kamienia uderzającego o kamień. Davy użył rączki, aby skruszyć zaprawę, a następnie kilka razy delikatnie uderzył w szczelinę.

Pomiędzy kolejnymi uderzeniami mówił:

— To druga... tajemnica ognia. Księgi Cedrica Owena zostały znalezione... w piecu chlebowym sto lat po jego śmierci, lecz... nikt nie znalazł tego... bowiem, jak powiadano w mojej rodzinie, miało to nastąpić dopiero przed... ostatecznym sądem, który zdaniem matki... Cholera. Możecie tu poświecić?

— Nie — zaprzeczyła Stella. — Baterie się kończą. Kit, wyłącz swoją. Będziemy jej jeszcze potrzebować. — Posłuchał jej i cała trójka pograżyła się w mroku, oświetlanym jedynie przez wiszące na niebie gwiazdy.

— Davy, czy w kuchni są świece? — zapytała.

— Pod zlewem. Z lewej strony obok ścierek do kurzu. Na półce u góry powinno być pudełko zapalek. Mam nadzieję, że kamienny zlew oparł się działaniu ognia. Jeśli nie, jesteśmy w kropce.

Stella znalazła po omacku paczkę, zawierającą sześć odkształconych świeczek i zapalki, które oparły się żarowi.

— Mamy szczęście — powiedziała. Ustawiła trzy na podłodze i zapaliła. — Widziałeś coś takiego w Laponii?

— Nie sądzę. — Po raz pierwszy poczuła, że Davy Law jest powściągliwy.

Uniosła kamienną czaszkę, czując mrowienie, mocniejsze niż wtedy, gdy trzymała ją w promieniach słońca. Kiedy umieściła kamień pośrodku trzech płomieni świec, światło wychodzące z oczodołów nabrało błękitnego zabarwienia.

— Boże — szepnął z podziwem Davy Law.

Stella uważała, by promień nie padł na niego lub na Kita, lecz na odłupany kawał kamiennej podłogi w miejscu uderzenia młotka.

— Do roboty — powiedziała. — Dokończ, co zacząłeś. Szybko poszerzył szparę.

— Gotowe.

Czuł zapach cegieł i dymu. Drżał na całym ciele. W miejscu, gdzie pracował, w najgłębszej tylnej części paleniska ukazał się prostokątny otwór. Ostrożnie pchnął krawędź kamienia.

— Powinienem być gentlemanem i puścić damy przodem, lecz w tych warunkach... Mogę prosić o więcej światła? — Usłyszeli dźwięk kamienia, padającego na kamień. Davy pochylił się ostrożnie, kierując światło komórki w stronę otworu.

— Tak, tak, tak!



Z ciemnej niszy, z pyłu i popiołu oraz kawałków popękanych płytek wydobył zwinięty pergamin przewiązany kawałkiem tasiemki, oraz niewielki notatnik.

— Czy to mapa? — spytała Stella, odkładając kamienną czaszkę. Żółte płomienie świeczek zmieniły barwę nocy.

— Tak mi się wydaje. Mam nadzieję. — Davy ukląkł, odgarniając z podłogi popiół i gruz. — Możecie mi pomóc oczyścić kawałek podłogi? Sprawdź w spiżarni. Pod kamienną półką przy podłodze były plastikowe worki. Gdyby któryś był cały, moglibyśmy go tu rozłożyć. Mam wrażenie, że to... — mówiąc to, uniósł zwinięty pergamin — To było stare już w czasach Cedrica Owena. Jeśli nie jest to mapa lub wskazówki, dokąd się udać, zjem kuchenny stół. To... — wskazał książeczkę — zostało ukryte z powodów, których wolałbym się nie domyślać.

Stella znalazła rolkę plastikowych worków w rogu spiżarki, tam gdzie nie dotarł ogień. Oczyszczyła kawałek podłogi i rozwinęła je, żeby mieli gdzie ułożyć pergamin.

Sięgnęła po zwinięty dokument.

— Powinnaś założyć rękawiczki — zauważył Kit. — Jeśli ten dokument jest taki stary, nie wolno zatłuścić go palcami.

— Ale...

— Rękawice gumowe — powiedział Davy. — Są pod zlewem. — Wszyscy drżeli z podniecenia.

Znalazła je i wróciła, usiłując rozwiązać lnianą tasiemkę oplatającą zwój. Pękła z trzaskiem, wznosząc w górę obłok starych włókien. Próbowwała rozwinąć pergamin drżącymi rękami.

— Boję się, że go rozerwę.

— Stello, do świtu zostało niecałe sześć godzin — szepnął

w ciemności Davy Law. — To nie ma żadnego znaczenia, jeśli dowiemy się, o jakie miejsce chodzi.

Rozerwała go, lecz tylko w jednym miejscu. Dwa kawałki ułożone obok siebie tworzyły całość: naszkicowaną kawałkiem węgla drzewnego mapę upstrzoną plamami starego, wysuszonego barwnika. Linie były słabo widoczne, choć na tyle wyraźne, by można było dostrzec krajobraz: krąg kamieni i porośnięty trawą kopiec z kamiennym wejściem. Za nim kołysały się drzewa, a na niebie widniała ćwiartka księżyca. Słońce tworzyło łuk widoczny na horyzoncie. Stella przy-mrużyła oczy i spojrzała na Davy'ego Lawa, który pobladał jak ściana. Jego twarz przypominała plastik, jakby wszystkie uczucia spłynęły mu w koniuszki palców.

— Wiesz, gdzie to jest? — zapytała.

Ledwie ją słyszał, odchrząkując nerwowo.

— To Kuźnia Weylanda — powiedział cicho Kit. — Wzniesiono ją, zanim przyszli Rzymianie. Sasowie wierzyli, że jeśli na noc zostawisz tam konia ze sztuką srebra, boski kowal Weyland podkuje go do rana.

— To także kopiec grobowy — dodał chrapliwym głosem Davy Law. — Gdzież indziej mogłabyś umieścić kamień, przypominający głowę twoich przodków?

— Czy to niedaleko stąd?

— Dziesięć minut drogi. — Jego oczy błyszczały. — Zdamy tam dotrzeć przed świtem. Bez problemu. Możemy zajrzeć do księgi.

Położył książkę obok zwiniętych krawędzi pergaminu. Podobnie jak księgi Cedriea Owena, notatnik był oprawiony w matową, czerwoną skórę. W przeciwieństwie do nich na przedniej okładce widniał napis *BT, Yule, 1588* nakreślony



dużymi, cienkimi literami. Davy otworzył go, dotykając rogu czubkiem palca. W środku znajdowało się przesłanie nakreślone w poprzek kartki pochyłym pismem, równie mało czytelne, jak piktogramy Majów.

— Odnaleźliśmy dziennik Barnabasa Tythe'a — powiedział. — Przeczytaj go nam, Stello. Masz wprawę w odszyfrowywaniu pisma z epoki elżbietańskiej.

Zaczęła wolno czytać w świetle trzech świeczek, klęcząc wśród popiołu i sadzy w zrujnowanym domu jego matki. Zaczęła od pierwszej notatki:

Dwudziestego szóstego grudnia, roku Pańskiego 1588, trzydziestego roku panowania Jej Wysokości królowej Elżbiety, władczyni Anglii, Francji i Irlandii.

Tego dnia ja, Barnabas Tythe, zostałem mianowany dziekanem College 'u św. Bedy w Cambridge, obejmując najbardziej zaszczytny urząd na naszej ziemi. Ku swemu zawstydzeniu pierwszą rzeczą, jaką uczyniłem po jego objęciu było oszustwo.

Niech mi Bóg i koledzy wybaczą, że pochowałem człowieka, który nie umarł. Cedric Owen żyje.



27

Mieszkanie przy ulicy Trinity, Cambridge, 27 grudnia roku 1588

*Dzielny starszy syn córki króla
odrzuci daleko Celtów, miotając
gromy blisko i daleko, a później
głęboko w Hesperydę.*

Czterowiersz 99, Centuria IV, Nostradamus

*Napisano 26 dnia grudnia, roku Pańskiego 1588. Do
sir Francisa Walsinghama od sir Barnabasa Tythe'a,
dziekana College 'u św. Bedy. Pozdrowienia.*

*Z ogromnym żalem zawiadamiam o śmierci nie tylko
twego wiernego sługi, sir Roberta Maplethorpe 'a, lecz
również owego zdrajcy, Cedrica Owena.*

*Tak jak mnie uprzedzałeś, Panie, przybył on do mego
mieszkania, błagając o nocleg. Niezwłocznie udałem się
do dziekana college 'u, prosząc o pomoc w jego ujęciu.
Profesor Maplethorpe zjawiał się w otoczeniu zbrojnych,
licząc, że uda mu się wziąć go żywcem, co się wszakże nie
udało. Owen walczył z dziką gwałtownością tak, jak go*

nauczono. Mąż, który go zabił, został ukarany za swoją lekkomyślność, nie przez nas jednak—zmarł od ran w tym samym czasie, gdy Cedric Owen wykrwawił się na śmierć.

Hiszpan, o którym pisałeś, został ciężko ranny. Jego ciało wydobyto z Cam i spalono. Na polecenie władz college 'u, którego jestem teraz dziekanem, zwłoki Owena pochowano w mogile dla ubogich przy rozstaju dróg wMadingley. Osobiście je przeszukałem, lecz nie znalazłem niczego, co rzuciłoby światło na cel jego przybycia, a nawet potwierdzało jego tożsamość. W torbie przytroczonej do siodła odnalazłem jednak pewien przedmiot, który Ci przesyłam, abyś mógł go zbadać osobiście. To rzecz wyjątkowej roboty, jak sądzę wykonana ze szczerego złota.

Ponieważ ten nędzny zdrajca, Owen, zginął, walcząc z wiernymi sługami Jej Wysokości, cały jego dobytek przechodzi na własność Korony. Przesyłam ci ów przedmiot, przekonany, że będziesz wiedział, jaki zeń zrobić użytek.

Z uwagi na dobro naszego college 'u pokornie proszę, aby dla przyszłych pokoleń Cedric Owen pozostał znany jako człowiek zacny. Nie byłoby dobrze, gdyby ludzie dowiedzieli się, że nieświadomie wyhodowaliśmy zdrajcę. Wolalbym nie dostarczać amunicji, której nasi wrogowie mogliby użyć w przyszłości.

Oczekuję na Twoje rozkazy we wszystkich sprawach.

Pozostaję Twym najpokorniejszym i najwierniejszym sługą w obliczu Boga,

*Profesor Barnabas Tythe, dziekan College 'u św. Bedy,
Cambridge*

— Jesteś pewien, że chcesz mu to dać?

Odlana ze szczerego złota maska pogrzebowa leżała w fałdach peleryny Cedrica Owena. Barnabas Tythe przesunął palcami po diamentach.

— Walsingham jej nie oczekuje, a już z pewnością nie jest mu potrzebna. Mogę napisać list od nowa, powiadając, że w torbach przy siodle było jedynie kilka złotych monet z Nowej Hiszpanii.

Siedzący przy ogniu, Cedric Owen potrząsnął głową.

— Przyznaję, że to ryzykowne. Z drugiej strony, gdyby pomyślał, że miałem coś więcej, mógłby zacząć sprawdzać, jak dotarliśmy do Anglii ze Sluis i natrafić na pewnego holenderskiego przemytnika pływającego pod flagą Portugalii. Zbyt wiele jestem winien Janowi de Groot, żeby ściągać mu na głowę ludzi Walsinghama.

Owen mówił słabym głosem. Bandaże, opasujące jego czoło, skutecznie chroniły mózg, jednak gdy próbował mówić normalnie, ból głowy stawał się nie do zniesienia.

— Maską dostarczy Walsinghamowi mnóstwa informacji. Mam nadzieję, że teraz całą swoją energię skupi na wydawaniu pieniędzy, które uzyska z jej sprzedaży, zamiast zabiegać o więcej. Jak jego zdrowie? Słyszałem, że kiepsko się czuje.

Tythe wzruszył ramionami.

— Jest umierający, nie inaczej niż my wszyscy. Jediną pociechą dla tych, którzy jęczą pod jego rządami, jest to, że kamienie w nerkach nieprzerwanie mu dokuczają, a wiara nie pozwala sięgnąć po szybkie i bezbolesne rozwiązanie z własnej ręki. Niektórzy dostrzegają w tym karę boską za zło, które wyrządził.

Tythe sprawiał wrażenie słabego, jakby nadal lękał się, że

prawda o masakrze w dniu Bożego Narodzenia wyjdzie na jaw.

W zamieszaniu, które zapanowało po walce przed budynkiem college'u, Tythe był pewien, że Owen nie żyje. Odmiennego zdania był jedynie Fernandez de Aguilar, którego rany na szczęście okazały się powierzchowne. Nie pozwolił wszakże, by troska o przyjaciela wzięła górę nad tym, co trzeba było pilnie wykonać. To on rozbił na miazgę twarz drugiego ze zbirów Maplethorpe'a jego własną pałką, a następnie podał ją Barnabasowi Tythe'owi, nakazując, by wymierzył trzy ostatnie ciosy. Dzięki temu na jego dłoniach i rajtuzach znalazła się krew, nadając ich bajeczce „pozór prawdy”.

Później ułożył ciała w taki sposób, aby każdy, znajdujący się na sztuce walki, mógł odgadnąć, jak Owen, wprawny szermierz, zabił Maplethorpe'a i jednego z jego zbirów, zanim stracił miecz w wyniku uderzenia pałką. Później ów zdrajca podniósł z ziemi inną broń, którą położył ostatniego ze sług Maplethorpe'a, zanim Barnabas Tythe bohatercko dobył noża i zadał mu śmiertelny cios.

Tak się szczęśliwie złożyło, że trzeci z mężów nosił ślady podobieństwa do Owena. Kilka uderzeń pałką wystarczyło, aby uniemożliwić bliższą identyfikację. Szybko przebrali go w pelerynę i buty Owena, a coraz silniej padający śnieg pokrył miejsce walki, zasłaniając wszelkie ślady, które mogłyby ujawnić nieprawdziwość ich opowieści.

Kiedy skończyli, de Aguilar zaniósł Owena w bezpieczne miejsce i wysłał Barnabasa Tythe'a, aby przekazał kolegom dwie dobre nowiny: że w końcu uwolnili się od Maplethorpe'a i że Cedric Owen, wróg Walsinghama i Korony, został zabity.

W Boże Narodzenie, gdy Barnabas Tythe umacniał swoją władzę w umiłowanym college'u, Fernandez de Aguilar zdjął fircykowane szaty oraz złoty kolczyk i zabandażował nogę, a później opatrzył nieprzytomnego Owena.

Jak na mężczyznę jednorękiego, pozbawionego wiedzy medycznej, zabandażował pęknięte żebra i czaszkę tak zreżnie, że wzbudził tym zazdrość Tythe'a, gdy ten w końcu powrócił do domu i strząsając śnieg z butów oznajmił, że bez sprzeciwu wybrano go dziekanem i że udało się przedstawić jednego ze zbirów Maplethorpe'a jako Cedrica Owena.

Trzeba przyznać, że szczęście im sprzyjało. Świąteczne obchody trwały w najlepsze, chór przygotowywał się do występu w kaplicy College'u św. Bedy, a rada uczelni miała na głowie ważniejsze sprawy niż badanie ciał w kostnicy w dzień Bożego Narodzenia.

Obejrzeni jedynie Maplethorpe'a, zasłaniając twarz, by nie czuć smrodu panującego w trupiarni. Uczynili to z poczucia obowiązku wobec zmarłego i potrzeby opowiedzenia innym, z jaką precyzją miecz przeszył klatkę piersiową i utkwiał w sercu, kładąc go trupem. Kiedy zbadali ciało jego sługi, mieli dosyć. Kolejne zwłoki leżały w głębokim mroku cuchnącej kostnicy, gdzie ledwie sięgało światło pochodni za- tkniętych po obu stronach drzwi.

Obejrzeni zmasakrowaną twarz szermierza Cedrica Owena, dziwiąc się bogatej tkaninie, z której uszyto jego szatę, żaden nie chciał jednak ubrudzić sobie butów, by dokładniej badać zdrajcę lub człowieka, którego ten pobił na śmierć. Kiedy Tythe, jedyny medyk w ich gronie, zasugerował, że istnieje niebezpieczeństwo zakażenia z powodu kontaktu z ciałem

zmarłych, wszyscy z wdzięcznością przyjęli jego propozycję, że to on zajmie się stosownym pochówkiem.

Pozostawała jeszcze sprawa brakującego sługi Maplethorpe'a, oprócz zwłok Cedrica Owena i Maplethorpe'a znaleziono bowiem jedynie dwa ciała. Na szczęście w mieście rozeszła się plotka, że na krótko przed śmiercią Maplethorpe wyznał prodziekanowi, iż łajdaka podejrzewano o kradzież zaginionych sreber i że pewnie skorzystał ze sprzyjającej okazji, by zbiec z nieuczciwie zdobytym łupem. Oczywiście, w imię obrony dobrego imienia uczelni nie wszczęto wrzawy z tego powodu. Jeśli chodzi o współnika Owena, Tythe wziął sprawę na siebie, mówiąc, że przeszuka Cam ze sługami, a gdy wrócili z ciałem — co Tythe łatwo przewidział — osobiście zidentyfikował go jako Hiszpana, towarzyszącego Owenowi. Nie znaleziono miecza, lecz nie miało to większego znaczenia.

Dwunastu członków rady wydało głośnie westchnienie ulgi, że ponura sprawa znalazła tak pomyślne zakończenie, a następnie uzgodniło treść oświadczenia na pamiątkę „wielce umiłowanego, nieodżałowanego” dziekana i jednomyślnie zagłosowało na splamionego krwią bohatera, Barnabasa Tythe[^], czyniąc go nowym dziekanem.

Chociaż to, że Tythe nie miał w college'u swych popleczników ani walka z pijaństwem nie należała do jego priorytetów, nie było głównym powodem, który wzięto pod uwagę, dokonując wyboru, jednak oba czynniki przemawiały jednoznacznie na jego korzyść. Członkowie rady wzniesli toast za nowego dziekana, przyznając mu jednocześnie profesorski tytuł, który powinien był otrzymać dawno temu. Później rozeszli się do domów w słabo padającym śniegu, w samą porę, by zjawić

się na czas z rodzinami na porannym nabożeństwie dziękczynnym w kaplicy College'u św. Bedy. Ksiądz wyciągnięty z łóżka o tak wczesnej porze zdążył przygotować kilka wzruszających słów o drogich zmarłych, by mocje powtórzyć na pogrzebie.

— Co teraz zrobimy? — zapytał swych gości nowy dziekan św. Bedy.

— Będziemy czekali — odparł Owen. — Będziemy jedli, milczeli na widok ludzi przechodzących ulicą pod twoimi oknami i żywili nadzieję, że obaj odzyskamy zdrowie na tyle, by móc wsiąść na konia i odjechać, kiedy śnieg przestanie padać. Ile gęsi nam zostało?

Na twarzy Tythe'a pojawił się grymas.

— Wystarczy na trzy obfite posiłki i bulion dla twojego przyjaciela. Jej Wysokość może nakazać, abyśmy jedli gęsi dla uczczenia zwycięstwa nad Niezwyciężoną Armadą, nie może jednak żądać, abyśmy czynili to przez cztery noce z rzędu, chyba że pragnie śmierci każdej gęsi i gąsiora w chrześcijańskim świecie.

— Może właśnie o to jej chodzi. Może nakazała, żebyśmy jedli gęsi w święta Bożego Narodzenia, ponieważ pragnie uwolnić kraj od tego ptactwa. Czy wiesz, że sprowadzamy gęsi z Holandii, żeby wierni poddani Jej Wysokości nie głodowali, gdyby ich zabrakło?

— Nic już mnie nie zaskoczy — odparł kwaśno Tythe.

Pomyślał, że nie uzyskał odpowiedzi na swoje pytanie i że taka sytuacja często powracała w rozmowach z Owenem.

— O czym mielibyśmy rozmawiać, jeśli nie o drobiu?

Jako nowy dziekan College'u Świętego Bedy będę musiał zacząć prowadzić dziennik, zostałbym jednak powieszony, gdybym napisał prawdę, która dzięki temu wyszłaby na jaw. Co zamierzasz uczynić, gdy śnieg przestanie padać?

— Nie wiem.

Cedricowi Owenowi trudno przyszło to wyznanie. Odchylił się do tyłu, splótł palce na kolanie i skierował wzrok na migoczące zimnym blaskiem cienie na palenisku, rzucane przez błękitne kamienne serce.

— Mam do wykonania pewną misję — zaczął przytomnie. — Pierwszym moim zadaniem było odbycie podróży do Nowego Świata i poznanie sekretu błękitnej czaszki, a następnie opisanie go w taki sposób, aby mógł to pojąć jedynie człowiek prawdziwie poślubiony kamieniowi. Wspólnie z Fernandezem wykonaliśmy to zadanie dzięki czarom ludzi-jaguarów. W kryjówce w Harwich pozostawiliśmy księgi, które umożliwią zaślubiny przeszłości z przyszłością. Niebawem trzeba będzie znaleźć dla nich bezpieczną kryjówkę.

— Myślę, że... — zaczął Tythe.

— Nie tutaj, przyjacielu. Nie możemy nadużywać twojej gościnności. — Owen zacisnął pięść, oddalając tę możliwość. — Zajmiemy się tym we właściwym czasie, przede wszystkim jednak musimy żyć, dopóki nie odnajdziemy pewnego pradawnego miejsca, które było uważane za święte przez naszych przodków na długo przed czasami Chrystusa. Wstyd mi i wielce cierpię, że nie wiem, gdzie go szukać. Miałem nadzieję, że kamień mi je wskaże, lecz tak się nie stało. Bez pomocy będziemy jak statek, pozbawiony steru i miotany przez fale.

— Po czym je rozpoznasz?

— Widzę je we śnie, od trzydziestu lat. — Owen podniósł się z miejsca i kosmyk włosów zasłonił mu oczy. — To odludne miejsce, płaska, pokryta lasem równina z kręgiem stojących kamieni, wokół których hula wiatr. We śnie widzę czarne cienie pozbawionych liści drzew kołysanych porywami burzy i błyskawice przecinające niebo. Na obszarze rozciągającym się od południowego krańca Kornwalii po północną część Nortumbrii można znaleźć setki podobnych. Nie zdołamy ich wszystkich przeszukać.

Tythe położył palec na wargach. Pamięć wykonywała swój taniec poza zasięgiem jego świadomości, ulotna jak mgła, nieuchwytna jak pstrąg latem. Próbował odgadnąć jej formę i materię, kiedy dostrzegł błękitny kamień stojący elegancko na kominku i oświetlający całe pomieszczenie. Nim zdążył dwa razy odetchnąć, konsystencja błękitnego światła uległa zmianie — granice błękitu poczęły się poszerzać, rozciągając w jego stronę.

Barnabas Tythe obserwował ową alchemię, czując gęsią skórkę na przedramionach. Zauważył, że Cedric Owen odwraca się niepewnie jak pies, który usłyszał dalekie echo gwizdu swego pana, a następnie spostrzegł, że dawny przyjaciel zadrżał, jakby sygnał rozległ się ponownie, tak blisko, iż stał się ogłuszający.

Tythe'owi wydawało się, że coś usłyszał — ledwie rozpoznawalną melodię, dobiegającą z krańców jego wyobraźni, nieprzypominającą dźwięku znanego instrumentu ani głosu, który kiedykolwiek słyszał.

— Barnabasie? Coś sobie przypomniałeś? — zapytał Owen.

— Sam nie wiem — odparł Tythe. — Jest coś... ktoś... nie mogę sobie jednak przypomnieć, kto lub...

Odniosł wrażenie, że błękitny kamień odwrócił się i utkwił w nim swe płonące ogniem oczy. Zamarł pod tym niezemskim spojrzeniem, a jego myśli rozproszyły się jak obłoki przed burzą, odsłaniając jasne, błękitne niebo tam, gdzie wcześniej były jedynie pajęczyny i rupiecie. Pieśń kamienia przypominała wezwanie. W jego umyśle otworzyły się drzwi i ulotne wspomnienie weszło do środka, aby się z nim przywitać, jasne, wyraźne i określone.

W milczeniu, przenikniętym pieśnią kamienia, powiedział:

— Mam kuzyna, który niedawno owdowiał. Mieszka w wiejskim domu niedaleko Oksfordu. Nie widzieliśmy się od czasu śmierci królowej Marii, lecz pisujemy do siebie dwa razy do roku, omawiając sprawy rodzinne. Jestem z nim spowinowacony od strony matki. Zanim król zniszczył klasztor, opat Glastonbury Richard Whiting, dziś już nieżyjący, Panie świeć nad jego złamaną duszą, za sztukę złota rocznie zatrudnił ojca mego kuzyna, by dbał o pradawne szlaki i święte ścieżki naszych przodków, które przecinały opactwo i opłatały inne kościoły i klasztory. Kościół katolicki wiedział o tych miejscach w przeciwieństwie do purytanów, którzy woleli udawać, że nie wiedzą. Ojciec kuzyna należał do ludzi najlepiej znających dawne wierzenia.

Owen utkwiał w twarzy Tythe'a oczy jak spodki.

— Czy ojciec twojego kuzyna nam pomoże?

— Jeśli żyje, zrobi to z pewnością. W czerwcu skończyłby dziewięćdziesiąt trzy lata, nie wiem więc, czy jeszcze jest na tym świecie. Gdyby żył, posiadałby największą wiedzę o kamiennych kręgach i prastarych ścieżkach.

Tythe wstał energicznie, uwalniając się jednym ruchem od pieśni kamienia i ciężaru, którym byli jego goście.

— Jeśli chcecie do niego pojechać, dam wam list polecający, prosząc, aby kuzyn pomógł wam we wszystkim. Będziecie mogli wyruszyć, gdy tylko śnieg przestanie padać, najlepiej jeszcze dzisiejszego wieczoru. Jeśli będziecie szybko jechać, znajdziecie się w Oksfordzie, zanim mój list do Walsinghama dotrze do Londynu.

**Wiejski dom w dolnym Hayworth,
Oxfordshire, 30 grudnia roku 1588**

*Dwaj zadowoleni rywale zjednoczą się ze sobą,
kiedy ich losy połączą się z Marsem. Potężny
mąż z Afryki zadrży w bojaźni, gdy Duumvirat
zostanie opuszczony przez flotę.*

Czterowiersz 23, Centuria V, Nostradamus

Anglia tonęła w topniejącym śniegu. Drzewa pochylały się nad szarymi, pokrytymi bieżą ścieżkami. Konie potykały się i ślizgały na łatach ukrytego lodu. Nawet w samo południe było ciemno jak o zmierzchu. Podróżowanie nocą było bardzo niebezpieczne, dlatego Owen liczył, iż dotrą na miejsce niezauważeni, nikt bowiem nie wyruszał w taką pogodę bez wyjątkowego powodu.

Przybyli do wiejskiej zagrody wczesnym wieczorem, tuż przed nocą. Dom był nowy i sprawiał wrażenie zamożnego. Wykonany z dobrego drewna i kamienia, miał strzechę najnowszej konstrukcji. Wiejski krajobraz, który zostawili za sobą, okrywała szara mgła. Z pobliskiej psiarni dobiegało

głośne ujadanie posokowców. Mastiff warknął, ale jeszcze nie na nich.

Kamienna ścieżka rozciągająca się przed nimi wiodła do bramy, a dalej do dębowych drzwi tak solidnych, że mogłyby odeprzeć całą armię. Z komina unosiły się czarne wstęgi dymu, w wilgotnym powietrzu zaś czuć było woń pieczonego mięsiwa.

Cedric Owen z trudem zsiadł z konia. Był mokry i trząsał się z zimna. De Aguilar tkwił w siodle z posiniałymi wargami. Owinął się szczelnie peleryną, aby ukryć brak ręki, a jednocześnie się ogrzać. W dłoni trzymał prosty miecz jednego z pachołków Roberta Maplethorpe'a.

— Zapukaj — powiedział. — Nie mamy nic do stracenia. Umrzemy, jeśli kuzyn Tythe'a nas wyrzuci i spędzimy jeszcze jedną noc na dworze. — Uśmiechnął się słabo. — Po tym, cośmy przeżyli, piekielny żar wyda się błogosławieństwem. Chyba nie sądzisz, by istniało lodowe piekło przeznaczone dla tych, którzy umarli zimową porą?

— Nie po to przebyliśmy tak daleką drogę, by umrzeć — odparł Owen, próbując uwierzyć we własne słowa. Uniósł rączkę sztyletu i zakłatał nią o nowe drzwi wiejskiego domu kuzyna Barnabasa Tythe'a.

Było zbyt zimno, żeby mógł uskoczyć, mokre włosy zaś zbyt mocno zasłaniały mu oczy, by w porę dostrzegł pałkę i uchylił się przed uderzeniem. Usłyszał przenikliwy krzyk de Aguilara i tupot konia szarpiącego się na ścieżce pokrytej topniejącym śniegiem. Próbował właściwie zareagować, lecz runął prosto w kałużę, a kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

Zaraz po przebudzeniu zauważył, że jest mu ciepło w stopy i że ma suche ubranie oraz że jest mu gorąco, czego nie doświadczył w ciągu trzech ostatnich dni, gdy stracił wszelką nadzieję, że kiedykolwiek będzie czuł coś innego oprócz zimna i wilgoci.

Leżał przez chwilę, ograniczając uwagę do dolnej części ciała, aby zapomnieć o bólu potłuczonej głowy oraz powracającej falami świadomości.

W chwilach przytomności wydawało mu się, że słyszy melodyjny dźwięk hiszpańskiej mowy, którą rozbrzmiewały dwa głosy, co było jawnie niemożliwe. Kiedy odzyskał przytomność po raz drugi, usłyszał je ponownie. Z trudem uporządkował myśli, poczuł na nowo własne ciało. Otworzył oczy i usiadł.

— Widzę, że señor Owen się zbudził. W samą porę.

Człowiek, który wypowiedział te słowa, to nie był Fernandez de Aguilar. Trzydzieści wspólnie spędzonych lat sprawiło, że głos Hiszpana splótł się z jego duszą, powodując, że Owen znał go lepiej niż własny. Mimo sprzeciwu ciała ponownie otworzył oczy i zwrócił głowę w stronę, z której dolatywały słowa.

Był w dużej wiejskiej kuchni o kamiennej posadzce i rozległej niszy kominkowej, w której płonęły ogromne dębowe kłody. Pomieszczenie promieniało ciepłem. Przy długim dębowym stole, pachnącym nowością, siedział Fernandez de Aguilar wyraźnie mniej zbolały niż wtedy, gdy był ranny w nogę. Obok niego Cedric Owen dostrzegł postać ubraną w stosowną czarną szatę. „Mam kuzyna, który niedawno owdowiał”...

Owa postać podniosła się i podeszła do Owena leżącego na wysuwanym łóżku obok ognia.

— Wybacz, panie. Mieszkam sama z owdowiałym ojcem. W Anglii ludzie uczciwi nie podróżują w taką pogodę. Wzięłam was za bandę zbójów, którzy przyszli po marnych kilka sztuk srebra, które udało się nam zaoszczędzić. Gdyby twój przyjaciel nie zawołał po hiszpańsku, mogłabym wam wyrządzić jeszcze więcej szkody. To, że nogi masz całe, zawdzięczasz jego wyczerpaniu. Gdyby nie był tak zmęczony i przemarznięty, pewnie zdołałby wydobyć z siebie okrzyk po angielsku. Obawiam się, że mógłby to być wasz koniec.

Owen osłupiały próbował zrozumieć świat, który stanął na głowie. Twarz, na której z takim wysiłkiem skupił uwagę, była mądra i ogorzała, o szerokich brwiach i policzkach, ponad smukłą szyją, zwążająca się ku dołowi w owalną brodę zdradzającą siłę woli. Oczy nieznajomego były stalowoszare i kocie, jednocześnie żartobliwe i pełne dzikości. Wargi miały doskonały kształt. Były otoczone głębokimi zmarszczkami od śmiechu, wskazującymi, że przekroczył czterdziestkę i był człowiekiem pogodnym.

W sumie była to sroga, inteligenta twarz obramowana kręconymi włosami tej samej barwy co włosy Barnabasa Tythe'a, choć nie tak siwymi jak jego. Właśnie po tym rozpoznał ponad wszelką wątpliwość kuzyna Tythe'a, dziecko siostry jego matki, którego ojciec był geomantą opatów Glastonbury przed nastaniem reformacji.

Nie wiedzieć czemu, Tythe zapomniał wspomnieć, że jego „kuzyn” jest kobietą i że owa niewiasta jest niezwykle piękna. Fernandez de Aguilar, który przeżył całe dorosłe życie, szczęśliwie ignorując wdzięki płci pięknej i mając po temu doskonałą wymówkę, sprawiał wrażenie zakochanego.

— Jak długo spałem? — zapytał całkiem przytomnie.

— Niedługo — odparł de Aguilar. — Mamy noc, tego samego dnia, którego przybyliśmy. Martha rozmawiała ze swoim ojcem. Wie, że uciekamy przed zbirami Walsinghama i że nasze przebywanie w jego domu naraża go na niebezpieczeństwo. Mimo to nalega, abyśmy zostali, i prosi, żeby pokazać mu błękitny kamień. Czekaliśmy, kiedy się zbudzisz i osobiście to uczynisz.

Martha... My... Największa zmiana zaszła nie w słowach de Aguilara, choć i ta była ogromna, lecz w barwie jego głosu, który stał się miękki, śpiewny i potoczysty, jak małmazja pita w letni wieczór nad brzegiem morza.

Nie powinien był poczuć się tym zraniony. Nie po trzydziestu latach, które spędził z Najakmul, i to jak ważna była dla niego ani razu nie przeszkodziło w stosunkach z Hiszpanem, któremu ocalił życie.

Mimo to...

— Mogę wiedzieć, z kim mówię? — zapytał, siadając zbyt pospiesznie i natychmiast zamykając oczy z bólu.

Kobieta siedząca po prawej stronie zawahała się. Odniósł wrażenie, że skierowała milczące pytanie do de Aguilara, spoglądając na niego swymi stalowoszarymi oczami. Hiszpan odpowiedział skinieniem.

— Przepraszam — powiedziała aksamitnym głosem po hiszpańsku. — Nazywam się Martha Huntley. Jestem córką Edwarda Wainwrighta, który siedzi tutaj przy ogniu, i żoną sir Williama Huntleya, który zginął tego lata na morzu, broniąc Anglię przed jej wrogami.

Owen otworzył oczy. Niewiasta stała przed nim na wyciągnięcie ręki, uważnie go obserwując. Wolałby nie być tak bezbronny.

— Mówisz jak rodowita Hiszpanka. Czy nie przeszkadzało ci to w kontaktach z sąsiadami, gdy do brzegów Anglii płynęła Niezwyciężona Armada?

Przypominała Najakmul. Jej oczy zapłonęły nowym ogniem.

— Sąsiedzi wiedzą, że nie jestem zdrajczynią, lecz wierną poddaną Anglii i królowej. Kiedy na tronie Anglii zasiadła Elżbieta, moja rodzina uciekła z Hiszpanii. Byłam młoda, a moja matka nie cieszyła się najlepszym zdrowiem. Rodzice obawiali się, że ponownie zapłoną stosy, tym razem podpalone przez katolików, a nie protestantów.

— Przybyliście tu, ponieważ pobłądziliście w wierze?

Rozłożyła dłonie w sposób, którego mogła się nauczyć od de Aguilara, chociaż pewnie знаła ten gest z czasów dzieciństwa.

— Byliśmy Anglikami mieszkającymi w Hiszpanii. Tam stalibyśmy się zdrajcami, przynajmniej w sercu. Wróciliśmy do ojczyzny, gdy królowa dowiodła, że nie ma zamiaru zaglądać w ludzkie dusze. Ojciec tęsknił za ziemią, w której się wychował, a matka chciała na niej umrzeć. Jej życzenie się spełniło.

— Przykro mi — odrzekł Owen. — Po śmierci matki i męża jesteś podwójnie osierocona.

Szczerym spojrzeniem zakomunikowała, że przyjmuje współczucie, a jednocześnie zaprzeczyła, by go potrzebowała.

— Matka umarła wiele lat temu. Martwię się ojcem, który wkrótce stanie przed Stworzycielem. Jediną rzeczą, która trzyma go przy życiu, jest to, że nie chce zostawić mnie samej. Pragnie mnie skłonić, abym ponownie wyszła za mąż, zachowując dobre imię.

Owen spojrział na nią, na de Aguilara i ponownie na nią.
— Lękasz się jego bliskiej śmierci? — zapytał naturalnie.
Poczerwieniała, lecz nie spuściła wzroku.

— Tak, lecz z innego powodu, niż sądzisz. Trzyma go przy życiu także inny powód. We śnie widzi kamień, który musi ujrzeć, zanim rozstanie się ze światem. Błękitny kryształ w kształcie ludzkiej czaszki odartej z ciała.

Owen nie odpowiedział, czekając, by kamień przemówił do niego. Czekał na próżno, kamienna czaszka bowiem z niewyjaśnionych przyczyn milczała. Od chwili, gdy opuścili Cambridge — a właściwie Nową Hiszpanię — prowadziła Owena i de Aguilara do tego miejsca. Podczas podróży jej pieśń nieustannie im towarzyszyła, nasilając się, kiedy wybierali właściwy zakręt na rozstaju dróg i słabnąc, gdy chcieli wybrać zły. W chwili śmierci Maplethorpe'a krzyknęła z uznaniem, skłaniając zaś Barnabasa Tythe'a, by ich tu skierował, przeszła samą siebie. Teraz ucichła, czyniąc świat uboższym.

Ryzykując przeszywający ból głowy, Owen odwrócił się i obejrzał pomieszczenie.

— Cedricu, twoje torby są tutaj — szepnął z lewej de Aguilar.

Od trzydziestu lat Fernandez de Aguilar bez pytania odgadywał pragnienia Owena. Teraz stał u jego boku, trzymając torby, które woził przytroczone do siodła, ubrany w brązowy aksamitny kaftan z falbanami i przystrojony złotem. Jego długa, smukła twarz nie była już sina od chłodu i bólu, lecz pełna czujnego ożywienia. Linie zmarszczek wyżłobione przez słońce Nowej Hiszpanii rozpromieniał uśmiech i nowa nadzieja, a oczy przesyłały milczące przesłanie wyrażające

przeprosiny, poczucie niepewności i ponowne zapewnienie. Chciał, aby Owen wiedział, że nic się nie zmieniło, że wdowa Martha Huntley ich nie rozdzieli, że w jego życiu wzeszło słońce i że pragnie być wolny, aby móc się nim cieszyć. Cierpliwie, jakby zwracał się do dziecka, Owen powiedział:

— Fernandezie, jesteś Hiszpanem. Anglia jest w stanie wojny z Hiszpanią. Gdy tylko otworzysz usta i ujawnisz, kim naprawdę jesteś, będziesz martwy.

De Aguilar uśmiechnął się.

— Przecież już nie żyję. Znaleziono i spalono moje ciało. Fernandez de Aguilar musiał umrzeć, abyśmy byli bezpieczni przed zbirami Walsingham. Jeśli pofarbuję włosy i znajdę nowy, patriotyczny powód, dla którego straciłem rękę, stanę się taki jak inni i nikt nie zdoła temu zaprzeczyć.

— Chcesz pozostawić za sobą całą przeszłość?

— Czy chcę? Muszę to uczynić, lecz jeszcze nie teraz. Nadal jestem człowiekiem, któremu ocaliłeś życie. Czuję się z tobą związany i wypełnię swój obowiązek.

Owena ogarnęło nieprzyjemne uczucie.

— Sądziłem, że chodzi o coś więcej niż obowiązek.

— Tak też jest. — De Aguilar położył mu dłoń na ramieniu. Ciemne oczy Hiszpana spotkały się z jego wzrokiem. — Za pewniam. Jesteś dla mnie ważniejszy niż inni ludzie i takim będziesz dla moich synów, więcej...

W ciągu minionych trzydziestu lat Hiszpan ani razu nie pogubił się w słowach. Nowość tego doświadczenia pomogła mu wybrnąć z niezręcznej sytuacji, chociaż Hiszpan dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie potrafi opisać spokoju, który odnalazł.

— Wyjmijmy błękitne kamienne serce, a może dowie my się, dlaczego zamilkło — powiedział bardziej delikatnie Owen.

Można było pomyśleć, że kamień pogrążył się we śnie. Wydawał się ciężki i bezwładny, gdy Owen wyjmował go z torby, jak kot siedzący na piecu, który pod wpływem ciepła staje się śpiący i niechętnie otwiera oczy.

Kiedy kamienne serce się nie przebudziło, Cedric Owen pomyślał, że pewnie czuje się wyczerpane. Uważał je za nieśmiertelne, odporne na ból i ludzkie choroby, gdy jednak trzymał je nad ogniem w wiejskim domu Marthy Huntley i milcząco do niego przemawiał, jak to czynił od kilkunastu lat, zaklejone snem oczy ponownie spojrzały na świat ludzi. Pieśń kamienia przypominała ciekawą wstęgę dźwięku powracającą z niezmierzonej dali, w której znalazła schronienie.

Nigdy nie uważał się za pana kamienia, zdolnego zmusić go do czegoś wbrew jego woli. Kamienna czaszka leżała nieruchomo w jego dłoniach, a ogień z pieca ledwie przez nią przenikał, bardziej bursztynowy niż błękitny.

— Przepraszam, jest tu ktoś, z kim musisz się spotkać — rzekł Owen, nawiązując do myśli snujących się w jego głowie. Muszę ci przerwać odpoczynek.

— Dziękuję. — W odpowiedzi na cichą myśl usłyszał wyraźny głos. Odwrócił się szybko i zastygł, czując przenikliwy ból głowy.

Płomienie skrywały postać Edwarda Weinwrighta. Siedział on tak blisko paleniska, że języki ognia, po uporaniu się z dębową kłodą pewnie i jego by strawiły. Przypominający szkielet, ledwie trzymający się życia mężczyzna, siedział

w fotelu wysłanym tkanymi pledami. Pod cienką skórą widać było sine żyły. Ściągnięte sterczały jak dźwignie, powodując, że na przykładzie jego ledwie oddychającego ciała Barnabas Tythe mógłby przeprowadzić lekcję anatomii bez konieczności wykonania dysekcji. Starzec miał zaćmę, spuchniętą spojówkę i ropę na dolnej powiece tam, gdzie córka zapomniała ją otrzeć lub może nie chciała zrobić mu krzywdy. Owen pomyślał, że dodało mu to jeszcze większego dostojństwa.

Starzec był mocniejszy, niż się wydawał. Chwycił nadgarstek Owena silnymi palcami, jak wąż, który owija się wokół zdobyczy, by ją zmiążdżyć.

— Czy mogę obejrzeć twój klejnot? — zapytał.

— Oczywiście. — Kamień nie sprzeciwił się, nie wysłał żadnego sygnału ostrzeżenia. Owen umieścił czaszkę na kościstych kolanach okrytych żółtym pledem. — Możesz wziąć ją do rąk, jeśli tego pragniesz.

Starzec spojrział na nią po krótkiej chwili. Przypatrywał się kamieniowi w podziwiewie, jak dziecko, które otrzymało dar, oczekiwany daremnie przez długie lata.

Czaszka spoglądała na niego — puste oczodoły znajdowały się naprzeciw jego twarzy, patrząc w otchłań jego spojrzenia. Była spokojna, sennie chłonąc światło płomieni i jeszcze sennie wysyłając je na zewnątrz. Dłonie Edwarda Wainwrighta w powolnym zadziwieniu objęły idealne, gładkie skronie.

W czasie tego spotkania kamień zapłakał, a przynajmniej Owen odniósł takie wrażenie. Poczuł, jak w spokojnym świetle ognia topnieje ze wzruszenia, czego nie doświadczył nigdy wcześniej.

Starzec także płakał. Łzy spływały po jego złocistych policzkach, jakby zatrzymał na tę chwilą wszystkie płyny życia, które mu pozostały.

Mimo to jego oczy pozostały suche, kiedy spojrzał ponownie na Owena.

— Na tej ziemi jest miejsce, które zostało dla niej przygotowane. Trzeba to uczynić u kresu czasu. Czy wiesz, gdzie się znajduje?

Serce Owena zamarło, a po chwili zaczęło niespokojnie łomotać.

— Widzę je w snach każdej nocy, od trzydziestu lat, nigdy tam jednak nie byłem i nie wiem, gdzie się znajduje. Wysłano mnie do Anglii, abym je odnalazł.

— W takim razie ostatni rok mojego życia nie poszedł na marne.

Na twarzy Wainwrighta pojawił się wyraz serdeczności, usuwając brzemień wieku.

— Czekałem na radość córki i na wasze przybycie. Dziś oba pragnienia się spełniły. Mimo to twoje poszukiwania nie będą proste, nam bowiem, strażnikom pradawnych ścieżek, nigdy nie powiedziano, która spośród pięciu, których pilnujemy, jest najważniejsza. Czy mógłbyś mi narysować miejsce, które widzisz w snach?

Krew w żyłach Owena zaczęła szybko krążyć, jak fala przyływu.

— Spróbuję, jeśli dasz mi pióro i papier.

Martha wzięła świeczkę i poszła na górę, aby po chwili wrócić z gęsim piórem, czarnym atramentem i arkuszem dobrego, równego papieru, który znakomicie pochłaniał inkaust.

— Używam tych narzędzi do sporządzania map gwiazd — wyjaśnił Edward Wainwright. — Jeśli dożyję poranka, podasz mi czas i miejsce twych narodzin, abym mógł sporządzić twój horoskop.

Owen podziękował mu z grzeczności, nie dodając, że sam potrafi to zrobić i że robił to już wielokrotnie.

Siedział przy ogniu, trzymając na kolanach drewnianą tacę zamienioną w podkładkę. Z na wpół przymkniętymi powiekami, w płomieniach tańczącego, pomarańczowego ognia, naszkicował miejsce, które widział w przesyconym dymem śnie, jaki miał w dżungli, ponad trzydzieści lat temu.

— Kiedy ujrzałem je pierwszy raz, wokół była mgła — zaczął opowiadać, rysując. — Widziałem jedynie niewyraźne kształty buków po jednej stronie. Później całą scenę oświetliły promienie księżyca, któremu brakowało tygodnia do pełni, powodując, że cienie stojących kamieni stały się wyraźne.

— Są tam kamienie? Potrafisz je opisać?

— Sam nie wiem. — W trakcie rysowania Owen odkrył miejsca, które we śnie były niewyraźne. Na kartce były już nakreślone niejasne zarysy buków i kamiennego kręgu przezniknięte magią, której nie musiał opisywać, nie znał jednak szczegółów, o które pytał Edward Wainwright.

Owen przechylił podkładkę, aby mieć więcej światła.

— Kiedy podszedłem bliżej, ujrzałem rząd czterech ustawionych pionowo kamieni, wyższych od człowieka, u podstawy dwukrotnie szerszych od niego, spiczasto zakończonych u góry. Bloki owe otaczały długi, niski kopiec w kształcie misy, przed którym ułożono inne, okrągłe i niższe kamienie. Kopiec usypano z głazów pokrytych ziemią, darń zaś ukrywała

tunel biegnący do wnętrza. W wejściu było kamienne nadproże, z bloków o kwadratowych krawędziach dopasowanych do siebie, jak obrobione przez stolarza kawałki drewna tworzące ramę drzwi. — Podrapał się w brodę gęsim piórem. — Muszę ze wstydem przyznać, że nie wiem, ile kamieni znajdowało się w kręgu. Próbowałem je policzyć, lecz za każdym razem otrzymywałem inną liczbę.

— Nie ma się czego wstydzić — odezwał się Edward Wainwright z przeciwnej strony niszy kominkowej. — Nikomu nie udało się policzyć kamieni w pradawnych kręgach. Nie ustawiono ich dla oczu takich, jak nasze. Czy we śnie wszedłeś do środka kopca grobowego?

Owen podniósł głowę.

— To grobowiec? Tak podejrzewałem. W środku były kości ludzi i koni. We śnie idę przez tunel w całkowitej ciemności, a mimo to widzę jak w dzień; błękitny kamień bowiem obdarza mnie niezwykłą zdolnością widzenia.

Zaczął kolejny szkic przedstawiający wnętrze kopca.

— Komora grobowa jest długa i wąska, jeśli nie liczyć dwóch ślepych korytarzy po obu stronach wejścia. Gdyby spojrzeć na nią z góry, przypominałaby krzyż z krótkim poprzecznym ramieniem. Nisza przeznaczona na kamienne serce znajduje się na końcu, w jednej ze ścian. Nigdy wyraźnie jej nie widziałem, choć jestem przekonany, że ma rozmiary pozwalające na umieszczenie kamiennego serca we wnętrzu ziemi i jest wykuta w skale.

Skończył rysować zewnętrzny i wewnętrzny rzut kopca, zaznaczając niszę strzałką i krótkim opisem. Odwrócił deskę i pokazał rysunek Edwardowi Wainwrightowi.

— Żadną miarą nie chciałbym przyspieszyć twej śmierci, jeśli jednak rysunek ten pomoże ci wypełnić misję, oznacza to, że został dobrze wykonany.

— Dobrze narysowałeś. — Oczy Wainwrighta były pełne nowego życia. Spojrzał ponad Owenem tam, gdzie siedziała Martha Huntley. — Ta chwila jest celem naszego życia. Pora odsłonić tajemnicę.

Nie mówiąc ani słowa, Martha opuściła Hiszpana i zbliżyła świecę do paleniska, w którym kłoda gruba jak udo mężczyzny wydzielala ogromne ciepło.

Rozebranie takiego ogniska wymagało wprawy, której człowiek nabywa wraz z ćwiczeniem. Odłożywszy polana na bok, Martha owinęła spódnicę wokół kostek i przyklękła z tyłu paleniska, dokonując małego cudu, polegającego na przeciśnięciu dłoni przez gruby kamień do wgłębienia znajdującego się poniżej. Owen przysunął świeczkę, aby przekonać się, że nie był to cud, lecz zręczność dłoni. Jeden z kamieni w środku paleniska balansował na krawędzi — wystarczyło go jedynie lekko pchnąć, by wpadł do środka, tworząc przestrzeń, w której mieściła się ręka.

Z wgłębienia Martha wyjęła kilka zwojów pergaminu, zapieczętowanych i przewiązanych końskim włosiem. Trzymała je tak, jakby były kośćmi dawnych świętych, mogącymi w każdej chwili rozsypać się w pył. Przyklęknęła i położyła je z czcią na kolanach ojca.

Ten posegregował je końcem gęsiego pióra i uniósł jeden, który następnie podał Owenowi.

— Wyświadczysz mi przysługę i otworzysz to?

— Mogę to zrobić? Ten dokument wygląda na bardzo stary, boję się go dotykać, żeby go nie zniszczyć.

— Sporządzono go dla ciebie. Nawet jeśli pięknie pod wpływem twojego dotyku, spełni swoje przeznaczenie. Oczywiście, lepiej, abyś obchodził się z nim ostrożnie — w ten sposób przetrwa dla tego, kto przyjdzie po tobie.

Owen nieświadomie wstrzymał oddech. Drżącymi palcami rozwiązał włosie i rozwinął pergamin, który okazał się bardziej miękki niż sądził i nie uległ złamaniu na pęknięciach. Karta, na której nakreślono mapę cienką, wyblakłą linią narysowaną węglem drzewnym, miała długość jego przedramienia i szerokość dłoni.

Pierwszy rozpoznał je Fernandez de Aguilar, pochylający się nad jego ramieniem.

— To ono... miejsce, które widziałeś we śnie, Cedricu!

Rysunek został naszkicowany węglem drzewnym, pokolorowany ochrą, wapnem i tlenkiem miedzi, a następnie utrwalony za pomocą wody, kurzego białka lub czegoś, co spowodowało, że odcienie wypłwiałały wraz z upływem czasu.

Widział to miejsce, lecz nadal nie mógł zliczyć kamieni, jakby płomienie paleniska powodowały, że chwiały się za każdym razem, gdy na nie spojrzał. Rysunek kopca przykuł jego uwagę, nie był bowiem pusty i cichy jak wówczas, gdy ujrzał go po raz pierwszy, lecz stanowił centralne miejsce dużego zgromadzenia, pośrodku którego stał mężczyzna, wskazując kijem wejście do środka. Pochylił się nad ogniem, zbliżając do niego pergamin, a następnie ponownie go opuścił.

— Ile lat liczy ten rysunek? — zapytał suchym głosem.

— Jest w naszej rodzinie od ponad stu pokoleń — wyjaśnił Edward Wainwright. — Potrafię wymienić wszystkich po

imieniu, lecz obawiam się, że mógłbym umrzeć, zanim dotarlibyśmy do końca. Któregoś dnia, gdy będziesz miał czas i pragnienie, Martha zrobi to za mnie.

— W naszej rodzinie też potrafimy wymienić kolejne pokolenia strażników błękitnego kamienia. To pierwsza rzecz, której nauczyłem się od babci. Recytowanie imion przodków zajmuje ponad pół dnia.

— Nie ma w tym niczego dziwnego, jeśli jesteś strażnikiem kamienia i linia twego rodu jest nieprzerwana jak nasza. Jesteśmy strażnikami pradawnych ścieżek. Przypadło nam w udziale sprawowanie opieki nad świętymi miejscami. Dlaczego zapytałeś o wiek rysunku?

Owen jakimś cudem zdołał przemówić: mimo zaschniętego gardła.

— Pomyślałem, że wśród ludzi na rysunku rozpoznałem siebie. Teraz, gdy przyjrzałem się dokładniej, widzę jedynie mężczyznę o siwych włosach. Mógłby być nim każdy o podobnym wzroście i karnacji. Przepraszam.

Umieścił obok siebie oba rysunki, ten swój i ten pradawny.

— Nie ma wątpliwości, że przedstawiają to samo miejsce, nadal nie wiem jednak, w jakiej części Anglii się znajduje.

Wainwright spojrział na niego zaszokowany:

— Pewnie, że nie wiesz! Gdybyś wiedział, mógłbyś zdradzić jego nazwę. Tylko dzięki oddzieleniu kamienia od wiedzy jesteśmy bezpieczni w świecie, gdzie ogniem i torturami wydobywa się prawdę z opornych umysłów.

Starzec wziął rysunek i zaczął go zwijać.

— Nawet dziś nie musisz tego wiedzieć, minie bowiem wiele lat, zanim trzeba będzie umieścić w nim kamień, aby

dać serce bestii, która powstanie z ziemi. Od narodzin Chrystusa, my, którzy pilnujemy odwiecznych ścieżek, zachowujemy tę wiedzę bezpiecznie do czasu, aż ludzkie zło sprawi, że trzeba ją będzie ujawnić dla ocalenia ziemi. Twoje zadanie polega na ukryciu czaszki w tajemnym miejscu, aby nie odnaleźli jej ludzie, którzy chcą ją zniszczyć, a jednocześnie żeby mogła trafić w ręce tego, który ma ją zanieść w wyznaczone miejsce.

Oczy Edwarda Wainwrighta nabrały takiej samej stalowej szarości, jak oczy jego córki. Użył ich tak jak szermierz używa floretu, by pochwycić i przytrzymać Owena.

— Czy wiesz, że kamienne serce musi zostać ukryte daleko stąd?

— Tak, w białej wodzie. Babcia opisała mi to miejsce, a pewien uczony Francuz wspomniał o nim ponownie, dawno temu, w czasach mojej młodości, żebym wiedział, dlaczego to zrobiła.

— Czy można tam dotrzeć? Czy możesz wyruszyć natychmiast?

— Tak, chociaż potajemna podróż nie będzie łatwa. Miejsce, o którym mówisz, znajduje się w Yorkshire, w moich rodzinnych stronach, dobre dziesięć dni jazdy stąd.

— W takim razie każdy z nas zdoła wypełnić swoją misję. Ukryję mapę, której strzegła moja rodzina, a ty pojedziesz do Yorku, aby dopełnić umowy zawartej z kamieniem. Martho? Ukryjesz zwój?

Córka wykonała prośbę, zamykając schowek i ponownie układając polana na palenisku. Ciepło, które rozlało się po pomieszczeniu, nie było już tak silne jak wcześniej, lecz całkiem wystarczające.

— Dziękuję ci. — Edward Wainwright stanął na starych, chwiejnych nogach. Z żalem zwrócił kamienne serce Owonowi, składając głęboki ukłon jemu, a następnie de Aguilarowi. — Panowie, obdarzono mnie niewypowiedzianą przyjemnością, pozwalając ujrzeć kamień i was w ostatnich dniach mojego życia. Nie potrafię wyrazić mej wdzięczności. Powiniennem odprawić cię jak najszybciej, abyś zakończył swoją misję, lecz dzisiejsza noc nie nadaje się na podróż, sądzę też, że wystarczy, jeśli wyruszysz jutro rano. Tymczasem poscielimy wam i zagrzejemy łoża. Mamy też dość jadła dla czterech osób, jeśli nie macie powyżej uszu pieczonej gęsi.

***Wiejski dom w dolnym Hayworth,
Oxfordshire, 31 grudnia roku 1588***

*Walczący nocą dzielny kapitan
ucieknie, pokonany, z garstką ludzi.
Jego naród się wzburzy, wezwanie do buntu nie będzie daremne,
obiegnie go jego własny syn.*

Czterowiersz 83, Centuria IV, Nostradamus

Kościelny dzwon wybił północ.

Cedric Owen leżał, wpatrując się w ciemny sufit. Pościel była chłodna i wilgotna i tak mocno wykrochmalona, że nie dało się nią okryć. Pokój pachniał stęchlizną i pajęczynami gęsto udrapowanymi wśród belek sufitu. Materac wykonano z szorstkiego końskiego włosia, które kłuło go przez koszulę. W porównaniu z miejscami, w których nocowali podczas drogi z Cambridge, sypialnia ta wydawała się pałacem i Owen nie krył swej radości z tego powodu. Dotykając stopami w wełnianych skarpetach stygnącej cegły do ogrzewania pościeli, wsłuchiwał się w spokojne, powolne bicie serca nowego domu i oddech mężczyzny leżącego na sąsiednim łóżku.

Znał ten oddech równie dobrze jak własny. Sypiał w towarzystwie przyjaciela, chociaż nie w tym samym łożu, od trzydziestu lat.

— Fernandez, czemu do niej nie pójdziesz, skoro nie możesz zasnąć? — zapytał w ciemności. — Pewnie nie śpi jak ty.

Oddech Fernandezego uległ zmianie. De Aguilar odpowiedział:

— Jest damą. Nie narazi na szwank swego dobrego imienia.

— A jeśli ludzie Walsinghama zjawią się jutro i zostaniemy zabici? Pozwól jej zdecydować, co chce uczynić ze swoją reputacją. Możecie się pobrać w ciągu kilku dni, jeśli oboje tego chcecie.

— A jeśli ona nie zechce?

— W takim razie otrzymasz jakąś odpowiedź. Idź do niej, człowieku. Nie masz nic do stracenia.

Łóżko zaskrzypiało w ciemności. Usłyszał szelest nakrochmalonych prześcieradeł i odsuwanego pledu, a następnie ciche odgłosy ubierającego się de Aguilara, które zostały na krótko przerwane.

— Nie musisz zmieniać kaftana — zauważył z rozba-wieniem Owen. — Jeśli nie pokocha cię w kaftanie z płowego aksamitu, nie uczyni tego, gdy przywdziejiesz niebieski. Poza rym nie będziesz go nosił zbyt długo, jeśli czuje to samo co ty...

— Chciałem znaleźć jakieś mniej zabłocone ubranie. Masz słuszość, niczego nie zyskam, tając swoje uczucia. — W gło-sie zwykle pewnego siebie de Aguilara dało się wyczuć cień wątpliwości. — Jeśli mnie nie zechce, będziemy musieli wyruszyć przed świtem.

— W takim razie nie będziemy musieli jeść gęsi. Idź i miej nadzieję, że nie wrócisz przed świtem.

De Aguilar wyszedł po cichu. Owen leżał w ciemności, słysząc stłumione głosy oraz szuranie w palenisku, towarzyszący rozniecaniu ognia. Po chwili poczuł dym i cynamonową słodycz świeżo nagrzanego wina. Zapadł w drzemkę, aby nie urazić umiłowanego przyjaciela podsłuchiwaniami jego załotów.

Obudził się jakiś czas później, słysząc ujadanie posokowców. Szczekanie psów sprawiło, że księżyc zboczył ze swego toru. Towarzyszyła mu pieśń kamiennego serca — ostrzegawczy sygnał, który przeniknął przez obłoki jego snów, oświetlając je pasmami żółtego światła, jakich nie widział od czterdziestu wspólnie spędzonych lat.

Usiadł w ciemności, szukając jedną ręką noża, a drugą de Aguilara. Gdy nie znalazł ani jednego, ani drugiego, przypomniał sobie, dokąd i dlaczego udał się Hiszpan.

Stoczył się z łoża, przypominając sobie wydarzenia ostatniego wieczoru. W końcu przypomniał sobie, gdzie może znaleźć de Aguilara i w jakim stanie umysłu znajduje się jego przyjaciel.

Kiedy się rozstawali, Barnabas Tythe dał mu miecz. Teraz przypiął go do boku, na pokaz, i pobiegł korytarzem do pokoju we wschodniej części domu, gdzie spała córka gospodarza.

— Fernandez? Fernandez, gdzie jesteś? Znaleźli nas!

— Zaczekaj na mnie na dole. — W głosie Hiszpana można było wyczuć lekkie niezadowolenie.

Spotkali się na schodach przed paleniskiem, na którym był jeszcze żar. Fernandez był całkiem rozbudzony, a jego oczy płonęły niedawnym miłosnym uniesieniem. Jedną ręką przypiął do pasa miecz.

— Walsingham? — zapytał.

— Tak sędzę. Kamienne serce wysłała sygnały ostrzegawcze równie głośne jak ujadanie psów.

— Któż inny wałęsałby się tak wczesnym rankiem ostatniego dnia roku? — Mówiąc to, de Aguilar rozejrzał się po pokoju. — Dom jest solidnie zbudowany. Możemy podeprzeć drzwi i zamknąć okiennice, lecz nie wytrzymamy dłuższego oblężenia. Może lepiej, abyśmy wyszli na zewnątrz i stawili czoła wrogom na otwartym polu. Dzięki temu nasz gospodarz i jego córka będą bezpieczni...

— Nie...

Edward Wainwright i jego córka przemówili jednym głosem. Staruszek był zdumiewająco dziarski jak na swój wiek i porę. Oparł się o framugę kuchennych drzwi i powiedział:

— Nie wątpię w twoją odwagę i umiejętności, jesteśmy jednak zbyt blisko wypełnienia misji, aby ryzykować niepowodzenie. Błękitne serce nie może wpaść w ręce nieprzyjaciela. Wróg nie może się też dowiedzieć o potrzebie jego umieszczenia we wnętrzu ziemi. Gdyby tak się stało, byłoby po nas.

— Co radzisz? — De Aguilar uprzejmie słuchał, szukając naczynia na wodę do gaszenia ognia i drewna, aby zawrzcąć nim okiennice.

— Zostanę tu. Ty i strażnik czaszki musicie odejść. Moja córka może udać się z wami, jeśli zechce. Może pójść z wami

lub zostać. Każde rozwiązanie jest najeżone niebezpieczeństwem, a nie chcę jej narzucać rodzaju śmierci, jaką ma umrzeć.

— Ojciec... — Martha była wewnętrznie rozdarta.

Błękitne kamienne serce w dalszym ciągu wysyłało ostrze gawcze sygnały.

Owen zebrał się na odwagę i powiedział:

— Uciekaj z Fernandezem. Zadba o twoje bezpieczeństwo, Wyruszę pierwszy, udając się na północ, aby ich odciągnąć. Kiedy podążą za mną, będziecie mogli wrócić bezpiecznie do ojca.

— Nie. — Tym razem przemówił de Aguilar. Podeszedł do Marthy i powiedział: — Cedricu, masz błękitne kamienne serce, a ja nadal jestem związany przysięgą. Ostatniej nocy powiedziałeś, że chodzi o znacznie więcej. Odpowiadam za twoje życie i bezpieczeństwo błękitnego kamienia, a tym samym za wieczną nadzieję dla świata. Dlatego powierzę Martha i jej ojca twojej opiece... albo lepiej powierzę jej opiece was obu, podejrzewam bowiem, że władza mieczem lepiej od ciebie. Ja posłużę za przynętę. Martha i jej ojciec powiedzą mi, którą ścieżką podążyc, aby zmylić pogoń. Zrobię wszystko, aby ich odciągnąć, podczas gdy wasza trójka uda się na północ. Błagam, nie ma czasu do stracenia. To nasza jedyna nadzieja.

Uniósł dłoń, uciszając głosy sprzeciwu. W mgnieniu oka ponownie stał się człowiekiem, jakiego zapamiętał Owen — kapitanem „Aurory”, prowadzącym statek przez burzę do nieznanej ziemi — pewnym siebie, zorganizowanym aż do granic arogancji, nieznoszącym sprzeciwu. Zaczął przemierzać kuchnię, wydając rozkazy. Tak jak dawniej Cedric posłusznie

wykonywał polecenia, zbyt zajęty, aby myśleć o innych rozwiązaniach.

— Spakujcie tylko tyle, ile trzeba. Resztę pozostawcie. Weźcie wystarczającą ilość diamentów, aby przeżyć wygodnie pół roku, a pozostałe ukryjcie. Zostawcie trochę złota tak, aby wydawało się, że zostało pośpiesznie schowane. Jeśli je znajdą, być może kupimy za nie wolność. Jeśli przeżyjemy, wrócimy po resztę. Cedricu, weź mojego konia. Ja wezmę twego. Wyprowadzimy ich w pole, jeśli zostaliśmy rozpoznani podczas podróży. Pojadę na siwku, który będzie dobrze widoczny w świetle poranka. Wezmę wszystkie luzaki, które da mi Edward, i będę zmieniał wierzchowce. — Ruszyli, aby wykonać jego rozkazy. Kiedy skończył mówić, Owen i Martha stali obok siebie. De Aguilar objął ich oboje, jedno po drugim, przytulając zdrowym ramieniem.

— Nie szukam śmierci. Zaufajcie mi. Oboje.

Martha okazała się odważniejsza z nich dwojga. Wzięła kwadratowy kawałek płótna, by zawinąć chleb, twardy ser i — o dziwo — mały plaster miodu ze spiżarni w kącie kuchni. Później rzuciła się w objęcia de Aguilara, składając na jego ustach krótki, pośpieszny pocałunek. Odstąpiła na bok i powiedziała do Owena:

— Wskaż miejsce, w którym się spotkamy, gdy Fernandez zgubi pogoń.

W ten sposób decyzja została przypieczętowana.

Poruszali się szybko, przynaglani nasilającym się ujadaniem psów i przeraźliwymi sygnałami kamiennego serca. Świeczka nie wypaliła się nawet o centymetr, kiedy pożegnali się ostatni

raz. Diamenty i złoto ukryli w skrytce za paleniskiem, a reszta kosztowności została schowana tak, by przeszukujący dom mogli je bez trudu znaleźć i pomyśleć, że trafili na skarb. Owen zapakował się i był gotów do drogi wraz z Edwardem Wainwrightem i jego córką. De Aguilar zapamiętał miejsce spotkania, lecz nie zapisał jego nazwy.

Dosiadł siwego wałacha, którego od chwili wyjazdu z Cambridge używał Owen. Cedric położył rękę na uździe. W ciemności postać przyjaciela rysowała się niewyraźnie na tle skrzypiącej mrozem nocy.

— Będziemy na ciebie czekać za dziesięć dni od dziś. Przez miesiąc, co drugi dzień. Później będziemy wracali co miesiąc. Jeśli przybędziesz i nas nie zastaniesz, zawiąż kawałek lnu na krzaku głogu niedaleko potoku, a będziemy przychodzić codziennie o świcie. Jeśli cię złapią i zmuszą do mówienia, powiedz im, aby zawiązali kawałek białej wełny, a będziemy wiedzieli, że trzeba uciekać.

De Aguilar pochylił się w siodle. Jego oddech tworzył białą mgiełkę w szarzącym powietrzu poranka.

— Nie wezmą mnie. Czekać. Przyłączę się do was najszybciej, jak to będzie możliwe.

Jego rozstanie z Martha było krótkie i serdeczne. Owen odwrócił się, aby im nie przeszkadzać. Stali razem, on i Martha, słysząc, jak de Aguilar hałasuje, by zmylić pogoń.

Posokowce ujadły, a kamienne serce zawodziło cichą pieśń pożegnania, która rozdzierała Owenowi serce bardziej niż śmierć Najakmul w dżungli niedaleko Zamy. Martha Huntley nie mogła jej usłyszeć, on zaś nie wyjaśnił, dlaczego płacze. W migotliwym blasku świecy dostrzegł na palcu serdecznym jej odsłoniętej lewej dłoni drogocenny złoty pierścień.

Wkrótce usłyszał krzyki i nawoływania wielu jeźdźców oraz świst, którym de Aguilar dał znak, że został wykryty. Stukanie podków przeszło w grzmiące uderzenia żelaza o kamień. Odgłosy pogoni nasiliły się, a następnie osłabły, niknąc w mroku nocy.

— Powinniśmy wyruszyć — powiedział szorstko do Marthy i jej ojca. — Przed nami dziesięć dni drogi do Yorku, a musimy jechać ostrożnie, by nie zwrócić niczyjej uwagi.

Oxfordshire, Anglia, czwarta rano, 21 czerwca roku 2007

*Wszyscy przypominamy kipiący wulkan, który
niebawem wybuchnie. Nikt nie wie jednak, czy
ta chwila jest bliska, czy daleka.*

Fryderyk Nietzsche

— Ktoś nas śledzi — oznajmiła Stella, wyglądając przez tylne okno. Za nimi w mroku nocy widać było dwa małe punkciki. Przez chwilę czuła zapach wilgotnej skały, smak ziemi i przenikliwy lęk, jakiego doświadczała w jaskini. Później gniew wyparł te wrażenia, nabierając błękitnej barwy za sprawą kamienia. — To łowca pereł — powiedziała miękko i z przekąsem. — Poluje na nas.

Kit siedział na tylnym siedzeniu.

— Davy, możesz prowadzić bez świateł? — zapytał, pochylając się do przodu.

— Nie, chyba że chcesz, abyśmy nie dożyli świtu. — Davy znał drogę do kopca grobowego, więc to on prowadził. I tak jechali za szybko.

- Dużo nam zostało? — zapytał Kit.
- Cztery, pięć kilometrów.
- W takim razie zatrzymaj samochód. Idźcie beze mnie.

Dogonię was.

— Kit? — Stella odwróciła się, chwytając jego rękę. — Przecież nie możesz chodzić.

— Mogę chodzić, nie mogę biegać. Wy możecie i to wy powinniście tam się znaleźć. Davy zna miejsce, a ty masz kamień. Zostawcie mnie. — Czującym gestem, jakiego wcześniej nie widziała, dotknął nadgarstka Davy'ego. — Wiesz, że mam rację. Nie pleć bzdur. Zrób, co trzeba.

Davy nie odwracał oczu od drogi. Po chwili powiedział:

— Przed nami skrzyżowanie. Za zakrętem będziemy mogli zaparkować wóz pod żywoplotem. Stello, w prze-grodzie na rękawiczki jest latarka. Będziemy musieli jej użyć, żeby znaleźć drogę. Kit, jeśli chcesz iść, trzymaj się drogi. Przejdź przez wzgórze do parkingu obok Białego Konia, a następnie skręć w prawo do Ridgeway. Później idź w stronę linii buków. Są w odległości pół kilometra dalej. Nie za-błądzisz.

— Dzisiejszej nocy niczego nie przeoczę — powiedział Kit. — W najgorszym razie spodziewam się niezłych fajer-werków lub nadejścia smoka.

— Mam nadzieję, że to się nie stanie — odparł ponuro Davy. — Ki'kaame, strażnik czaszki z ludu Saamów, powie-dział, że jeśli ujrzymy smoka, to będzie znak, że już jesteśmy martwi. Trzymaj się. Dojeżdżamy do zakrętu.

Wyłączył światła i mocno skręcił kierownicę w lewo. W gęstym mroku mogli jedynie liczyć na szczęście i mieć nadzieję. Stella znalazła latarkę i oświetliła nią drogę. Davy

wyłączył silnik. W milczeniu ruszyli pooraną koleinami ścieżką na pole.

— Schowaj się! Szybko! — szepnął.

Po sposobie, w jaki się poruszał, widać było, że przebywał kiedyś w obszarze działań wojennych. Trzymał się linii żywopłotu, unikając bladego światła gwiazd.

— Jest ciemno jak w jaskini, lecz tym razem ty gnasz przed siebie — powiedział Kit.

— Tu nie można spać. — Poczowała, że Kit słabnie, i usiadła. — Kit...

— Nic mi nie jest. Posiedzę chwilkę i dogonię was. Idźcie. Dzisiaj to sprawa między tobą a kamieniem. Później postaramy się odzyskać równowagę.

Odszukała w ciemności jego ramiona, a po chwili twarz i usta. Pocałowała go.

— Czy wspomniałam, że cię kocham?

— Dzisiaj, nie. — Miał wilgotne oczy. Uśmiechnął się z trudem. — Dziękuję.

— Nie dokonałam wyboru między tobą a kamieniem.

— Nigdy tak nie sądziłem. Idź już, proszę. — Jego głos stał się bardziej pewny. Cofnął się w mrok, aby nie mogła dojrzeć jego twarzy. Odwrócił ją i lekko pchnął do przodu. — Dogonię was. Obiecuję.

Davy dotknął jej ramienia.

— Musisz biec, w przeciwnym razie stracimy przewagę. Jak tam twoja forma?

— W ubiegłym roku biegłam w paryskim maratonie.

— Świetnie. Wyznacz sobie tempo. Nie zrobiliśmy rozgrzewki, a przed nami spore wzgórze.

Zaczęła biec. W ciemnościach oświetlonych jedynie blas-

kiem gwiazd czuła na twarzy chłodny nocny powiew i pierwsze kropelki porannej rosy. Jej oddech był coraz bardziej gorący. Poczowała smak krwi pod językiem, kolkę w boku i pot spływający po plecach oraz kamienne serce kołyszące się w plecaku. Biegła coraz szybciej, podążając śladem Davy'ego po niekończącym się zboczach wzgórza. Po pewnym czasie skręcili w prawo, na szlak prowadzący do Ridgeway. Ich śladem nie podążały żadne światła samochodu.

— Davy... — Musiała na chwilę przystanąć. Pochyliła się do przodu, opierając dłonie na kolanach i plując na kępę darni śliną z krwią. Wrócił do niej i stanął w takiej samej pozycji, oddychając ze świstem. — Jak daleko jeszcze? — zapytała.

Wskazał ręką bez słowa. Przed nimi na polu pszenicy krąg drzew przesłaniał gwiazdy.

— Tam — powiedział. — Nie musimy biec. Do świtu została godzina.

Przeszli ostatnie pół kilometra wąską ścieżką porośniętą darnią, która prowadziła przez pustynię pszenicy do oazy drzew i zielonej trawy. Stella ze zmęczenia widziała jedynie czarne plamy na czerwonym tle, wyczuwając w ciemności grunt pod nogami. Stopniowo noc odzyskała wszystkie odcienie czerni i szarości, z jasnymi punkcikami gwiazd na niebie. Pole pszenicy falowało jak szare morze. Krąg buków szeptał w ciemności. Nad ścieżką przeleciała sowa, gdzieś w oddali szczechnął lis. W leżącej u ich stóp dolinie zapiał pierwszy kogut. Nie słyszała żadnego samochodu.

— Jesteśmy na miejscu. — Stanęli pośród drzew, spoglądając na miejsce przedstawione na pradawnym rysunku Cedrica Owena, wykonanym węglem drzewnym, ukrytym w samym sercu ognia. Wspomnienie rysunku sprawiło, że po plecach

przeszedł jej dreszcz. Miejsce, w którym się znalazła, sprawiło, że poczuła napięcie i zawrót głowy. Świat nagle się postarzał, a delikatny szept kamieni stał się tak realny, jak poranny śpiew ptaków.

Przed nią przycupnął płaski ziemny kopiec, okrągły i porośnięty darnią. Otaczały go kamienie, z przodu zaś stały cztery wysokie, ostro zakończone bloki wrzynające się w mrok nocy. Między nimi wiodła niska, wyłożona kamieniami ścieżka prowadząca do ociosanego kamiennego wejścia. Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność.

W widoku kopca nie było nic niezwykłego. Nie miał majestatycznego wyglądu Stonehenge ani zgrabnej elegancji biegnącego konia z Dragon Hill, jednak w jego prostocie kryła się moc, której tamtym brakowało.

— Na rysunku było więcej stojących kamieni — zauważyła przytomnie.

— Myślę, że rysunek sporządzono bardzo dawno temu, kiedy usypano kopiec. Kamień jest zbyt cennym materiałem budowlanym, żeby go marnować, a Kościół nie zamierzał chronić miejsca poświęconego diabłu.

Davy wstrzymał oddech. Jego głos odzyskał dawną ostrość. Stał na ścieżce prowadzącej do niskich drzwi — doskonałej konstrukcji składającej się z dwóch pionowych kamieni i zwieńczenia — oddalonych od kopca i zabezpieczonych na tysiące lat przed wiatrem, deszczem i burzą.

Cztery pionowe kamienie, pełniące po obu stronach rolę strażników, oznaczały przednią część kopca grobowego. Były one rozmiarów człowieka, ale uwagę Stelli przykuł mniejszy rzeźbiony kamień umieszczony nad wejściem. W świetle gwiazd linie i cienie poruszały się na nim, falując jak pole

pszenicy w dole. Kamień przemawiał do niej tym samym językiem, co błękitne serce, choć nie potrafiła zrozumieć słów.

— Myślałam, że będzie tu coś w rodzaju tunelu — rzekła. — Korytarz wydaje się bardzo krótki.

— Otworzy się, gdy będzie trzeba. — Davy zagroził jej drogę. — Jest za wcześnie, żeby umieścić kamień na miejscu. W Laponii zrozumiałem, że decydujące znacznie ma czas — powiedział. — Gdybyś umieściła kamień przed świtem lub po nim, niczego byśmy nie osiągnęli. Nie możemy tam wejść wcześniej. Drogę zamyka duży blok. Kiedy byłem dzieckiem, próbowałem go odsunąć. Grobowiec ma kształt krzyża, z dwoma krótszymi ramionami, lecz to zwyczajna skała.

— W takim razie nie możemy wejść do środka — westchnęła Stella. — Wszystko na nic.

— Nie, grobowiec sam się otworzy. Musisz w to uwierzyć. Jest pusty w środku.

— Jak się wydostaniemy, gdy wejdziemy do środka? — zapytała.

— Podobnie jak weszliśmy. Jest tylko jedno wyjście.

— W takim razie to śmiertelna pułapka. — Poczula niepokój, mniejszy niż w samochodzie, ale wciąż zauważalny. Czowała się jak pies podążający tropem. Kamienna czaszka zamieniła się w polującego kota, który przysiadł i czeka. Nie wyczuwała żadnych sygnałów grożącego niebezpieczeństwa, miała jedynie wyraźną świadomość upływającego czasu.

— W dalszym ciągu nas śledzą — powiedziała. — Jeśli wejdziemy do kopca i nie zdołamy się wydostać, będziemy martwi. Nie pytaj, skąd to wiem.

— Co chcesz zrobić? — zapytał łagodnie Davy Law.

— Znaleźć miejsce wśród drzew, z którego będziemy mogli widzieć, sami nie będąc widzianymi. Tam poczekamy do nadejścia świtu.

Wrócili między szepczące buki. Davy odgarnął z kamienia stare liście i położył się na nim, podpierając ramieniem. Stella oparła się o drzewo i przycisnęła kolana do piersi, aby się ogrzać. Wyjęła kamienne serce z plecaka i przytuliła je do brzucha.

Kamień przycupnął w jej umyśle, uważnie obserwując i czekając. Od strony kopca dochodziło to samo pulsowanie pradawnego życia, które przebudziło się na nowo. Gdyby mogła, przyglądałaby się uważniej, nasłuchiwałaby bacznie, czuła, jak rosną drzewa, nazwała po imieniu małe stworzenia żywiące się kłosami pszenicy i połączyła gwiazdozbiory tak, by utworzyły dające się odczytać słowa.

Zamrugła oczami i ostry obraz zniknął. Pozostał jedynie kamień i kopiec, w dalszym ciągu przemawiające do siebie. Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na nieruchome konstelacje gwiazd.

— Czemu tu przyszliśmy, Davy? Przecież oboje jesteśmy naukowcami. Nie wierzymy w historyczne nonsensy Rosity Chancellor, że za pięć i pół roku Słońce zstąpi do podziemnego świata, a Ziemia wyparuje, zamieniając się w obłok pary o ogromnej temperaturze. Wiem, że tak się nie stanie.

Z ciemności doleciał głos pełen ironicznego humoru.

— Możemy w to nie wierzyć. Saamowie mają inną opowieść. Nie wspomnieliby o obłoku pary podgrzany do ogromnej temperatury. Ki'kaame może całymi nocami opowiadać o tym, jak dziecinny biały człowiek zniszczy całą planetę, wiedziony pragnieniem posiadania wszystkiego.

— Co się stanie?

— Nie mam zielonego pojęcia, mogę się jednak założyć o emeryturę, której nie posiadam, że wkrótce wydarzy się coś wielkiego. Coś, czego nie będziemy potrafili przewidzieć, ponieważ jesteśmy zbyt ślepi.

— Chodzi ci o kulturowy imperializm?

— O kulturową arogancję. — Chociaż mówił cicho, był wyraźnie rozgniewany, jakby zapomniał o nadciągającym niebezpieczeństwie. — Saamowie uważają, że rozwścieczyliśmy nieprzyjaciela. Powiadają, że bogowie obdarzyli nas zdolnością samopoznania, abyśmy mogli podziwiać ich mądrość i piękno stworzenia, my jednak wykorzystaliśmy ten dar, by zamienić ziemię w piekło. Kiedy dziewięć czaszek wszystkich ludzkich ras połączy się z czterema bestiami, aby obudzić smoka, bardziej prawdopodobna będzie nuklearna zima i za głada wszystkich ludzi. Saamowie pogodzili się z zagładą swojego ludu, jeśli ma to uwolnić planetę od naszej obecności. Pytanie, czy jest to prawdopodobne. Szczerze mówiąc, za każdym razem, gdy włączam radio i słucham wiadomości, myślę, że będziemy mieli szczęście, jeśli dotrzemy do dwutysięcznego dwunastego roku.

Stella zaczęła gryźć koniec paznokcia.

— Nie można ot tak, po prostu, przekreślić całego rodzaju ludzkiego. Większość z nas to przyzwoici, spokojni i uczciwi ludzie, którzy chcą żyć tak, by nikogo nie krzywdzić.

Wzruszył ramionami.

— Nie zrozumiałaś, o co chodzi. W porównaniu z innymi kulturami kultura zachodnia cuchnie. Nie opiekujemy się starszymi, nie szanujemy ziemi i wyznajemy kult młodości, udając, że śmierć nie istnieje, chociaż tylko ona jest pewna.

Niszczymy pradawne miejsca kultu, które mogłyby nas ocalić. Gdybyś posłuchała niektórych co dziwniejszych przyjaciół mojej matki, dowiedziałabyś się, że specjalnie zbaczamy z drogi, aby budować stacje benzynowe w miejscu węzłów linii łączącej prehistoryczne miejsca obdarzone właściwościami magicznymi, by w ten sposób je zniszczyć. Ki'kaame powiedziałby ci, że upadliśmy, kiedy jego lud nadal jeszcze przebywał w Edenie. Przyznałbym mu rację, gdyby w Laponii nie było tak przeraźliwie zimno.

— Wolałbyś mieszkać w namiocie ze skór renifera niż w wiejskim domu matki?

— Wolałbym żyć wśród ludzi, którzy nie uważają, że masowe groby to przykra konieczność, nieunikniony skutek uboczny równie nieuniknionej przemocy. Albo że zabicie mojej matki jest smutnym, lecz koniecznym krokiem na drodze do świętości.

Jego głos się zmienił. Ton smutku nie zniknął, lecz u jego podłoża pojawiła się odraza, której wcześniej u niego nie słyszała.

— Davy, czy wiesz, kto na nas poluje? — zapytała powoli.

Robiło się coraz jaśniej. Świt jeszcze nie nadszedł, lecz szare światło, które oświetliło jego oczy i wygładziło dziwny zarys twarzy, sprawiło, że stał się podobny do matki. Nie odrywał wzroku od towarzyszki.

— Mogę się mylić — odparł.

Stella poczuła się chora. Kamień się przebudził, drażniąc jej zmysły ponad miarę. Miała bardzo wrażliwą skórę. Słyszała zbyt wiele dźwięków nocy.

— Kto to jest, Davy?

Wzruszył ramionami.

A/f,



— Czy jego nazwisko jest takie ważne? Każdy masowy grób, który ekshumowałem, został wykopany przez kogoś, kto przekroczył granicę, uznając, że cel uświęca środki. Uznał, że życie jednego człowieka, dziesięciu czy tysiąca jest uczciwą ceną za to, co uważa za słuszne. Popatrz na ludzi, którzy nami rządzą, a zrozumiesz, co się dzieje z tymi, którzy słuchają złych podszeptów. Ten, komu zaprzędali duszę, nie przejmuje się dobrem ludzkości. Mimo to klną się na Boga, że mają rację.

— Zapoznałam się z przekładem ksiąg Owena sporządzonym przez twoją matkę — powiedziała Stella. — Jeśli wykonała go poprawnie, Nostradamus powiedział to samo Cedricowi Owenowi podczas ich spotkania w Paryżu. Siły, które karmią się śmiercią i zniszczeniem, strachem i cierpieniem, pragną trwać aż do kulminacyjnego punktu Armagedonu. — Zamknęła oczy, próbując sobie coś przypomnieć. — „Ta siła łamie ludzi swoją wolą — inteligentnych, rozumnych ludzi, którzy wierzą, że mogą przyjąć władzę im ofiarowaną i wykorzystywać dla samego dobra. Niestety, natura władzy jest całkiem odmienna: zawsze ich łamie, a jej najwyższym pragnieniem jest to, aby trzynaście kamieni nigdy nie połączyło się ze sobą i nie wybawiło naszego świata z niedoli”.

— Nauczyłaś się tego na pamięć? — Stella nie widziała jego twarzy, więc nie mogła stwierdzić, czy maluje się na niej wyraz ironii.

— Te słowa robią wrażenie, prawda? Nie przybliżają nas jednak do odkrycia, kto za tym stoi.

— Daj spokój. — Odwrócił głowę, uważnie się jej przypatrując. — Kto wiedział, że szukacie czaszki? Kto wiedział, że chcecie się ze mną zobaczyć? Kto znał moją matkę tak dobrze, żeby wiedzieć, że ona nie będzie go podejrzewać

o zabieganie przez całe życie, by kamienne serce pozostało w ukryciu? — Oparł się na łokciu, przysuwając do niej twarz tak blisko, że poczuła od niego zapach papierosów. — Kto zawsze unikał światła jupiterów choć jest grubą rybą w małym stawie? Kto służył w Irlandii Północnej? Kto doradzał udział w interwencji w Iraku i wiedział, jak zrobić ładunek wybuchowy z chlorem, który zniszczył dom mojej matki, a ją samą posłał do szpitala? Kto...

— Kto idzie teraz od strony Ridgway, zmierzając w naszą stronę? — zapytała Stella. Nie potrzebowała przeszywającego ostrzeżenia kamiennego serca, żeby wiedzieć, że ścigający ją odnalazł. Cały kopiec wydawał się krzyczeć w milczącej agonii. Z nieoczekiwaną przejrzystością ujrzała, jak przeszłość, teraźniejszość i przyszłość stapiają się ze sobą. — Davy, czy byłbyś gotów podjąć ryzyko dla kamiennego serca Cedrica Owena?

— Oddałbym za nie życie — odpowiedział, a ona mu uwierzyła.

— W takim razie udaj się do wejścia i poczekaj, aż tunel się otworzy. Ja zostanę na zewnątrz i spróbuję ich odciągnąć. Świt nadejdzie za pół godziny. Wiesz, co robić, równie dobrze jak ja.

— Nie. — Uśmiechnął się w sposób, który zmroził jej krew w żyłach. Przez ułamek sekundy myślała, że popełniła śmiertelny błąd i że to on ją ściga. Chwyciła plecak —jedyną broń, jaką-miała pod ręką. —Nie rób tego, Stello! — zawołał, unosząc dłoń. — Powiedziałem, że jestem gotów oddać za nie życie. Mówiłem serio. Ale tylko ty możesz położyć kamień na jego miejscu. Czaszka ma twoją twarz i przemawia wyłącznie do ciebie. Ki'kaame powtórzył mi osiem, może nawet

dziewięć razy: „Tylko strażnik czaszki może umieścić kamień w sercu ziemi, kiedy nadejdzie koniec”. Musisz wejść do kopca. Zrobię, co będzie trzeba, żeby go odciągnąć. Idź. Nie czas się kłócić.

— To mnie szukają. Miną cię, a ja znajdę się w potrzasku. Do świtu pozostało pół godziny.

— Oni?

— Jest ich dwóch. Mają broń. Jeśli nie weźmiesz czaszki, schowaj się wśród drzew za kopcem. Powiem im, że odszedłeś. Jesteś naszym jedynym atutem.

— Dobrze. — W tej niezwyklej chwili równie niezwyklej nocy Davy Law przytulił ją i zniknął. Poruszał się ciszej, niż oczekiwała. Ruszyła przed siebie, wzdłuż kręgu buków, do wąskiej zielonej ścieżki wiodącej przez pole pszenicy i do postaci, która nią kuśtykała.

— Kit! — Wyciągnęła rękę, uśmiechając się.

— Hej! — Oparł się na jej ramieniu i zwichrzył włosy. Widziała dwie części jego twarzy tak wyraźnie, jakby miała do czynienia z dwoma ludźmi. — Gdzie jest Davy?

Jeszcze nigdy wypowiedzenie kłamstwa nie przyszło jej równie łatwo.

— Wrócił do szpitala. Martwi się o Ursulę. Nie potrzebo wałam go, kiedy dotarłam na miejsce. Kopiec jest tam, pośrodku polany. Jest niezwyklej. Chodź i zobacz. — Od wróciła się, ciągnąc go za sobą. Szedł powoli, podpierając się dwiema laskami. Kamienne serce nie przestawało jej ostrze gać. — Kiepsko idziesz. Zraniłeś się, wchodząc na wzgórze?

— Nie. Nie musiałem wchodzić. Ktoś mnie podwiózł. — Staął, opierając się o pierwszy z pionowych kamieni, żeby złapać oddech. — Tony mnie zabrał. Wiem, co sobie pomys-



lisz, lecz musisz mu zaufać. Przyjechał, aby nam pomóc. Właśnie parkuje samochód. Będzie tu lada chwila.

— Już go widzę — powiedziała.

Na porośniętej trawą ścieżce pojawił się cienki snop światła latarki. Postać, która ją trzymała, powoli wyłaniała się z mgły, otulającej pole przed świtem. Postać wydawała się zdeformowana i skurczona, nie przypominała sir Anthony'ego Booklessa. Stella zrobiła krok do przodu, czując, że kamienne serce zamilkło w napięciu.

— Tony?

— Nie jestem Tony — odparł ponuro Gordon Fraser. Zatrzymał się na krawędzi polany — mała, zwalista i karłowata postać. Jej przyjaciel, najlepszy grotolaz Anglii. Był nieogolony i zmęczony. Potargane rude włosy przypominały żywopłot.

Stella uniosła błękitne kamienne serce w geście powitania. Gordon zamarł w bezruchu. W jego oczach pojawiło się takie samo przerażenie, jak wówczas w laboratorium, gdy kamień został oczyszczony z wapiennego osadu.

Zapomniała o tym.

— W porządku — powiedziała. — Czaszka jest przyjacielem. Pomoże nam.

— Czyżby? — Mały człowieczek potrząsnął sceptycznie głową. Powlókł się w jej stronę i usiadł na kamieniu. — Takim samym przyjacielem jak Tony Bookless, który niebawem przyjdzie nam z pomocą? Szedł tuż za mną. Kiedy wszędzie słońce, szykuje się wielkie spotkanie po latach. Będą fajerwerki?

31

Wioska Skirwith, niedaleko Ingeborough Fell, Yorkshire, kwiecień roku 1589

*Skala ma w głębi białą glinę,
Która wypłynie ze szczeliny mlecznobiałym strumieniem.
Zaniepokojeni ludzie będą bali się jej dotknąć,
Nie wiedząc, że z gliny są fundamenty ziemi.*

Czterowiersz 21, Centuria I, Nostradamus

Minęła Wielkanoc, a wraz z nią niedostatek Wielkiego Postu. Owieczki bielily się na polach, a pierwiosnki zakwitaly żółtym kwieciem na obrzeżach pól.

Późny szron leżał na kopcu ziemi, pod wpływem promieni słońca zamieniając się w rosę. Cedric Owen, obecnie Francis Walker, kupiec i niedoszły rolnik, schylił się i położył wieniec z bazi na grobie ojca swojej żony. Dźwięk pękniętego dzwonu kościoła w Skirwith niósł się echem po wrzosowiskach Yorkshire.

Obok niego stała Martha Huntley, obecnie Martha Walker, w czwartym miesiącu ciąży, od niedawna widoczna. Pochyliła

się jak on i położyła wiązanek świeżo zerwanych stokrotek na gołej ziemi, spełniając życzenie staruszka wypowiedziane w chwili, gdy nadeszła jego ostatnia godzina.

Stali razem przez chwilę, wsłuchując się w odgłosy poranka — mężczyzna i jego żona, z którą nie sypiał i nie miał takiego zamiaru.

Wreszcie niewiasta powiedziała:

— Nie żyje już od tygodnia. Daliśmy słowo, że kamienne serce zostanie umieszczone w bezpiecznym miejscu w ciągu dziesięciu dni od jego śmierci. Nic nie zyskamy, czekając.

— Fernandez może nadejść.

— Nie przyjdzie. — Wypowiedziała te słowa ostro, próbując nieporadnie ukryć cierpienie, które powodowało, że płakała po nocach. — Nie powinniśmy na niego czekać.

— Droga do wejścia jaskini wiedzie obok krzaku głogu.

Zajrzemy tam po drodze.

Owen trzymał cisawego wałacha, na którym miała jechać. Z trzech dobrych koni, które zabrali ze sobą na pomoc, jeden zdechł od kolki zaraz po przybyciu na miejsce, gniada klacz zaś, dar Barnabasa Tythe'a, niespodziewanie wydała na świat cherlawego źrebaka w ostatni dzień wiosennych śniegów, na tydzień przed śmiercią Edwarda Wainwrighta.

Martha poprawiła suknię i cmoknęła, dając wierzchowcowi znak, by ruszył. Cedric szedł obok w milczeniu. Nie wybrali się nawzajem, lecz wspólny ból po stracie Fernanda i czuła opieka, jaką Owen otaczał Edwarda Wainwrighta w ostatnich dniach jego życia, zbliżyły ich do siebie, jak brata i siostrę, powodując, że znali się wzajemnie bez zadawania pytań.

Droga wiodła wzdłuż małego przykościelnego cmentarza, obok dworu wzniesionego z ociosanych bloków i grupki

krytych strzechą wiejskich domów z polnych kamieni. Minęli studnię i mały zajazd z jednym pokojem gościnnym stojący na skraju wioski, wkraczając na szarozielone wrzosowiska, gdzie jedynie owce potrafiły przeżyć.

Owen w dalszym ciągu oswajał się z widokiem krajobrazu. Zapamiętał miejsca, gdzie wzdłuż potoku rosły wierzby i świeże nory wskazywały na obecność króliczej kolonii. Trzy młode, grubiutkie króliki rozbiegły się na ich widok. Odnotował to w pamięci, pozwalając sobie na odrobinę radości, której dostarczyła myśl o polowaniu. Nie chodził na króliki od czasów swojego dzieciństwa, lecz dopiero gdy je ujrzał, przypomniał sobie, jak bardzo mu tego brakowało.

Z tyłu doleciał go głos Marthy:

— Powinniśmy zacząć powoli sprzedawać diamenty, po wiadając, że otrzymałam je w spadku po ojcu. W ten sposób nie wzbudzimy niczyich podejrzeń.

— Dopóki nie zainteresuje się nimi Walsingham, będzie my bezpieczni. Wolałbym już więcej nie uciekać tak, jak owej nocy.

— Masz rację. — Martha wzdrygnęła się i szczerzej owinęła peleryną. — Byłoby to trudne na jednym koniu.

Podróż zabiła jej ojca. Edward Wainwright nigdy w pełni nie ozdrowiał po przeziębieniu i trudach trwającej dziesięć dni podróży przez styczniowe śniegi. Żadne z nich o tym nie wspomniało. Chociaż unikali wzajemnego oskarżania, stało się to jedną z dwóch rzeczy, które ich oddzielały.

Niezależnie od tego, co spotkało Fernandeza, Owen nie sądził, aby fikcyjne małżeństwo stało się dla nich obojga czymś więcej niż wygodnym rozwiązaniem. Myślał o jej

dziecku, które będzie musiał wychowywać jak własne w nadziei, że pewnego dnia opowie mu o jego prawdziwym ojcu.

Ścieżka zaczęła się wznosić ku Ingeborough Fell. Natrafili na nowy potok i szli jego brzegiem aż do ostrego zakrętu i brodu, który Owen zapamiętał z czasów dzieciństwa. Ich drogowszakem był sękaty i pochylony głóg. Niestety, na żadnej gałęzi nie dostrzegli kawałka lnu ani białej wełny sugerujących los, jaki spotkał Fernandeza de Aguilara.

Owen obserwował, jak cień nadziei znika z twarzy Marthy, jak zaciska zęby i dzielnie znosi ciężar kolejnego rozczarowania. Obawiał się, że pewnego dnia może ją to złamać, i ubolewał, iż nie potrafi sprawić, aby było inaczej.

Uśmiechnął się do niej nieznacznie, zastanawiając się, czy dostrzegła w nim podobne uczucia. Pomyślał, że to bardzo prawdopodobne.

Odwróciła konia od ciemnego krzewu.

— Powinniśmy pojechać do jaskini — powiedziała. — Zabrałam świece i motek wełny oraz smolną pochodnię. Potrzeba ci czegoś więcej?

— Jedynie odwagi — odpowiedział. — Nigdy nie lubiłem ciemności.

Wypowiedział te słowa do jej oddalających się pleców. Zmusiła konia do szybszego kroku, więc Owen musiał zacząć biec, aby za nią nadążyć. Po chwili szli obok siebie w rosnącym gwarze poranka.

— Kiedy ten dzień dobiegnie końca, nigdy tu nie wrócimy — powiedziała przytomnie, ponad wysokimi trelami skowronków. — Możemy pójść na zachód w stronę wybrzeża. Od czasu pobytu w Hiszpanii lubię morskie powietrze.

— Na zachód stąd leży Ulverston. Moglibyśmy kupić tam



ziemię i zacząć ją uprawiać. Morskie powietrze powoduje, że bywa to trudne, lecz wczesnym rankiem jest tam wspaniale.

Rozmawiali tylko po to, aby słyszeć swoje głosy, i niebawem umilkli. Koń stapał pewnie, więc Owen pozwolił zwierzęciu podążać własną ścieżką na szczyt wzgórza. Ponad głowami leniwie krążył myszołów. Z prawej strony, w odległości około kilometra, stado wron wleciało z gąszczy kolcolistów, wzbijając w powietrze kawałki wełny.

— Martwa owca — powiedział bez zastanowienia. — Albo owieczka... — Zatrzymał się.

— Pewnie padła podczas porodu — dokończyła za niego Martha. — Sama o tym pomyślałam. Czy to nie dziwne, że ptaki porzuciły żerowisko, gdy jesteśmy tak daleko?

— Pewnie nie jesteśmy sami na wzgórzu, chociaż ranek jest wczesny. — Owen zatrzymał konia. Błękitne kamienne serce spoczywało ciepłe i ciężkie w torbie u jego boku. Nie słyszał najmniejszego ostrzeżenia, a jedynie sygnał nakazujący, by miał się na baczności. — Może to pasterz, nie wolno nam jednak ryzykować. Powinnaś zawrócić. Jeśli zostaliśmy zdradzeni, nie powinni nas dopaść na otwartym polu.

— Jeśli zostaliśmy zdradzeni, wolę, aby nas osaczyli w otwartym polu, niż umrzeć w nocy na łóżku albo skończyć w Tower ku uciesze Walsinghama. — Marthę przeszedł dreszcz. Owen pomyślał, że mogła poczuć mdłości tak jak po przebudzeniu. — Obiecuj, że jeśli zostaniemy osaczeni i uznasz, że możemy wpaść w ich ręce, zabijesz mnie szybkim ciosem, zanim będzie za późno. — Wyczuła jego wahanie. — Fernandez z pewnością by to dla mnie zrobił. Powiedział to tamtej nocy...

Była dumną kobietą. Owen nigdy nie słyszał kłamstwa z jej ust.

— Daję ci słowo, że jeśli nas dopadną, uczynię wszystko, co w mojej mocy, abyś zdołała uciec. Jeśli nie będzie to możliwe, nie pozwolę, aby zabrali cię do Londynu — odparł wbrew sobie. — Czy w zamian poczekaś tu na mnie i pozwolisz, abym poszedł pierwszy i zbadał sytuację?

Zacisnęła zęby z uporem.

— Masz kamienne serce, jesteś narażony na większe niebezpieczeństwo.

— Kamienne serce nigdy nie pozwoliło mi wpakować się w tarapaty. Proszę... nosisz dziecko Fernandez, powinniśmy je chronić. Koń nie może iść dalej. Od tego miejsca trzeba wspinać się pieszo.

— W takim razie oboje pójdziemy. Fernandez powierzył cię mojej opiece tak samo jak mnie twojej.

Podczas czterech miesięcy, które ze sobą spędzili, raz lub dwa próbował się z nią spierać i odkrył, że jest nieprzejednana. Ustąpił jej z całym wdziękiem, na jaki potrafił się zdobyć, pomógł zsiąść z wałacha, następnie spętał mu przednie nogi, aby nie odszedł zbyt daleko, gdy będą go potrzebować.

— W takim razie chodźmy. Wejście do jaskini jest w górze, po prawej stronie. Gdy ujrzysz wysoki krzak żółtego kolcolistu, a za nim ostrą szarą skałę, będziemy na miejscu. Wspinając się, pochyl głowę. Nie możemy uniknąć tego, by nas zobaczono, lecz przynajmniej może nie będą pewni, ile nas jest.

Było oczywiste, że kamienne serce nie chce, aby wszedł do jaskini. Owen wyczuwał jego cichy smutek podobny do tego,

który odczuwa kobieta umierająca w położu. Kamienne serce wiedziało, że ich rozstanie przyniesie coś dobrego, lecz żałowało, że nie dotrwają, żeby to ujrzeć.

Zupełnie inne uczucie towarzyszyło śmierci dwojga ludzi, których darzył przyjaźnią. Edward Wainwright i Najakmul dotarli do kresu dobrego życia i ruszyli na spotkanie śmierci w nastroju bliskim entuzjazmu.

Oboje w ostatnich słowach przypomnieli mu o absolutnej konieczności pozostawienia błękitnego kamiennego serca w wyznaczonym miejscu. Oboje ostrzegali, że nie będzie tego chciało.

Dopiero teraz, gdy szedł do wnętrza jaskini, zdał sobie sprawę z jego oporu. Pokonując ostatni odcinek drogi na szczyt wzgórza, czuł siłę pchającą go w dół niczym siłą ciężenia, słyszał ostrzeżenie przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, a może to było rozpaczliwe wołanie pełne bólu — nie potrafił ich bowiem odróżnić.

— Poczekajmy tu chwilę — powiedział. — Jeśli ktoś nas śledzi, ujrzymy go, zanim on nas dostrzeże.

Stali w ukośnej szczelinie skały wiszącej ponad nimi, na wpół zakrytej przez ciernie. Owen ujął Marthę za łokieć i wciągnął do środka, na suche, płaskie miejsce, z którego mogli obserwować okolicę, sami nie będąc widziani pod osłoną drzew. Stali w półmroku, ciężko dysząc po wspinaczce.

Kredowa skała za ich plecami tworzyła wysokie sklepienie. Po lewej stronie słońce sunęło nad wrzosowiskiem, wydobywając jaśniejsze cienie z wrzosu i paproci. Po prawej tunel nikał w mroku, początkowo wystarczająco szeroki, aby oboje mogli wejść do środka, później, o ile pamiętał, zwężający się u końca.

Czekał, aż oczy przywykną do szarego światła. Powoli z ciemności zaczęły się wylaniać stare jaskółcze gniazda przyklejone do sufitu. Strzyżyk szybko wlatywał i wylatywał z pieczary, mieniając się w mroku kolorami. Ponieważ nikt nie szedł ich śladem, nie było powodu, aby opóźnić wejście. Owen uczynił to samo, co w młodości, gdy badał to miejsce: przypomniał sobie babcię i troskę, jaką otaczała błękitne kamienne serce.

Ożywił scenę z wczesnej młodości, kiedy babcia zaczęła odsłaniać przed nim tajemnicę kamienia. W łagodny, jesienny wieczór, gdy w niebo wznosiły się obłoki dymu z rudobrunatnych liści palonych po sadach, a do nozdrzy dostawała się woń agrestu przyrządzanego na wieczorne ciasto, babcia zabrała go do cichego pokoju w północnej części domu i pokazała, jak umieścić świeczki, by w oczodołach czaszki pojawiły się promienie.

Ćwiczył pod jej czujnym okiem, aż nauczył się to robić, czując narastającą więź z kamieniem, przypominającą związek z prowadzonym na smyczy psem czy raczej z jastrzębiem, który dobrowolnie siadał na jego dłoni. Powoli miejsce skupionej uwagi zajęło uniesienie powodujące, że cały świat nagle ożył.

W końcu skierował błękitne promienie na babcię, lecz ta dała mu znak, by tego nie czynił. Powiedziała, że lubi swoje siwe włosy i nie chce, aby ponownie stały się czarne. Zrozumiał to jako żart i odłożył czaszkę. Zamiast niej podniósł świeczki, trzymając po jednej w każdej dłoni, i oświetlił twarz babci. Była piękna i spokojna.

Tego samego wieczoru opisała mu jaskinie, które znała, i wyjaśniła, jak znaleźć drogę do katedry ukrytej we wnętrzu

ziemi. Nie prosiła go, by tam poszedł, a jedynie wspomniała ojej istnieniu, wierząc, że mimo wielkiego lęku przed małymi i ciasnymi pomieszczeniami, będzie chciał ją zobaczyć.

Bał się bardziej, niż sądziła. Nie poszedł tam owej jesieni, lecz poczekał do nadejścia wiosny. Było już za późno, aby mógł jej opowiedzieć o pięknie tego miejsca, w tym czasie bowiem już nie żyła.

Dla niej podążył labiryntem tuneli.

W obronie przed ciemnością przywoływał w pamięci wspomnienie jej twarzy w złotym blasku świateł.

Teraz postąpił podobnie, bez pociechy kamiennego serca, chociaż nie był pewien, czy twarz oświecająca jego umysł należała do babci, czy do Najakmul, obie te twarze bowiem zaczęły w jego pamięci zlewać się ze sobą. Niezależnie od tego, czyją była, dodawała mu odwagi, podobnie jak sznurek, który przywiązał u wejścia jaskini, dawał mu pewność, że bezpiecznie wróci na światło dzienne.

Martha stała obok, obserwując, jak przywiązuje koniec kłębka do pękniętej skały, aby się nie wysunął. Podobnie jak wszystkie ciężarne, trzymała dłoń na lekko powiększonym brzuchu.

— Jeśli tu pozostaniesz, wrócę do ciebie tak szybko, jak pozwoli tunel — powiedział Owen.

— Z chęcią przyjąłabym twoją propozycję, lecz obiecałam ojcu, że będę patrzeć, gdzie położysz kamienne serce — odparła ponuro. — Strażnicy pradawnych ścieżek mają do wypełnienia własną misję.

Martha miała odwagę jego babki. Kiedy skierowali się w stronę mroku, po raz ostatni ujrzał barwną plamę jej policzka i delikatne zmarszczki wokół oczu.

Przytulił ją pospiesznie i szybko ruszył do przodu.

— Kiedy dotrzemy na miejsce, przekonasz się, że było warto — rzekł. — Pierwszy odcinek jest prosty. Wyobraź sobie, że idziesz korytarzem swojego domu w nocy, bez świeczki.

Choć droga nie była tak straszna, jak ją zapamiętał we wspomnieniach z dzieciństwa, wolałby nie iść nią ponownie.

Wreszcie stanęli obok siebie na równej powierzchni, ze sklepieniem zbyt wysokim, by mogli je wyczuć ponad głową.

— Możemy zapalić świeczkę i latarnię — powiedział Owen, a po chwili dodał głosem dziecka lubiącego tajemnice: — Zamkniesz na chwilę oczy?

Wyciągnął hubkę i krzesiwo oraz podpałkę z trawy. Choć wcześniej widział to miejsce, był do głębi poruszony jego niezwykłym widokiem i na chwilę zapomniał o zapaleniu latarni. Uniósł ją w górę i powiedział z nieoczekiwaną nieśmiałością:

— Teraz otwórz oczy.

— Och, Cedricu...

Widok, który mieli przed oczyma, wart był znoszenia ciemności, zimna i lęku. Był niemal szczęśliwy, że byli tam we dwoje, a nie we troje, w chwili bowiem, gdy jego żona, Martha Walker, odwróciła się ku niemu, a jej oczy wyrażały wszystko, czego nie mogła wyrazić słowami.

Objął ją ponownie, jednym ramieniem, tak jak uczyniłby to Fernandez.

— Nic nie mów. Popatrz i zapamiętaj, aby przyszłe pokolenia wiedziały, że katedra ukryta we wnętrzu ziemi warta jest trudów drogi, która do niej prowadzi. — Podał jej latarnię

i ruszył do przodu ze świeczką tylko. — Zostań tu i poczekaj, aż umieszczę kamień w jego miejscu.

— Powinam...

— Nie. — Jego serce przeniknął bolesny skurcz. — Muszę zrobić to sam.

Zapalił cztery kolejne świece i ustawił je na skalnych półkach ponad łukowato wygiętym wejściem, by miała dość światła, a następnie odszedł, licząc kroki jak kiedyś. Wykonał dwadzieścia kroków na wschód, przeszedł podziemną rzekę, stąpając po kamieniach, które kołysały się pod jego stopami, a następnie skręcił na zachód i poszedł wzdłuż brzegu ku wspaniałemu, zapierającemu dech w piersi podziemnemu wodospadowi.

Spływająca kaskadami woda w świetle pokrytej sadzą latarni przypominała płynne złoto wlewające się do szerokiego kamiennego tygla u stóp wodospadu, gdzie biała skała zamieniła ją w żywe srebro.

Babcia opisała to miejsce jako studnię wody żywej i Owen nie potrafił znaleźć lepszych słów na jego określenie.

Umieściwszy latarnię na kolanie, usiadł na krawędzi i nie zwracając uwagi na wilgoć, wyciągnął kamienne, serce ze skórzanej torby, w której przemierzyło świat tam i z powrotem.

Leżało cicho w jego rękach, świadome, że nadszedł koniec. Owen czuł jego smutek niczym ciężar w okolicy serca — ciężar ciągnący go w dół i sprawiający, że w końcu uklęknął na chłodnej kredowej posadzce.

Opuściła go wszelka radość, wszelkie poczucie piękna i satysfakcja z osiągniętego zwycięstwa. We wnętrzu jaskini świat był pozbawiony światła i koloru, woni i dotyku, pieśni

i miłości. Po raz pierwszy ogarnęła go tępa świadomość, że wraz z kamieniem opuści go życie. Nie potrafił tego znieść.

— Dlaczego musi tak być?!

Krzyknął, lecz jego głos pograżył się w studni białej wody. Siedział bez słowa, zatopiony w mrocznej przestrzeni duszy, wspominając własne życie z pełnym gorzki zadziwieniem, że nie pomyślał o zadaniu tego pytania, dopóki samo nie pojawiło się na jego wargach.

W dzieciństwie babcia opowiadała mu o miejscu spoczynku kamienia, lecz wówczas przyjął jej słowa bez pytania, jak wszystkie inne rzeczy, o których mu mówiła. Kiedy był młody, Nostradamus wspominał o przeznaczeniu, lecz w owym czasie Owen zastanawiał się jedynie, jak obcy człowiek mógł się o nim dowiedzieć. Najakumul powtarzała te słowa dobitniej i przez trzydzieści lat, które spędził z nią w raj, przygotowywała go do czekającej go misji. Dziękował jej za to codziennie i wrócił do Anglii jedynie po to, aby odnaleźć to miejsce i pozostawić wskazówki dla tego, który przyjdzie po nim.

Wspominał z bólem Fernandesa de Aguilara, człowieka, który mimo iż miał po co żyć, poświęcił się, by czaszka mogła zostać złożona w bezpiecznym miejscu, a przyszłe pokolenia zdołały ją odnaleźć, gdy świat będzie w największej potrzebie.

Cedric Owen nie myślał o potrzebach świata. Płakał z powodu własnego bólu, z powodu Fernandesa, Marthy i kamienia.

— Czy cofnąłbyś to, czego dokonaliśmy?

Ten głos był mu dobrze znany, w przeciwnym razie nie podniósłby głowy. Najakumul stała w nurcie wodospadu.

Wyciągała do niego ręce. Czy osłodziłoby ci chwilę rozstania, gdybym powiedziała, że kamień będzie tam, gdzie ja? Wkrótce się z nim połączysz. Poczłł kropelki wody lżejsze od kropli deszczu.

— Czy zapytałeś kamień, czego pragnie?

Nie uczynił tego, sądząc, że wola kryształowej czaszki, podobnie jak serce, jest jego wolą. Błękitny kamień przemówił z cichego miejsca jego duszy. Był pogrążony w smutku, jednak nie sprzeciwiał się swojemu przeznaczeniu ani przeznaczeniu Owena — przeciwnie, potwierdzał słowa Najakmul.

Przemówiła ponownie, poprzez plusk spływającej kaskadami wody.

— „Powierz go żywej wodzie, synu mojego serca. Dzieło twojego życia jest niemal zakończone”.

„Synu mojego serca”. Tak nazywała go w ostatnich dniach swojego życia. Teraz słowa te dodały mu odwagi, aby powstać i unieść kamienne serce — spojrzeć na nie po raz ostatni w blasku świec i płynnego srebra opadającego kaskadami wodospadu.

Studnia białej wody zakipiała i otworzyła się tak, jak otwiera się serce, ukazując swoje ciemne wnętrze.

— Cedricu!

Przenikliwe żółte światło przeszło jego umysł. Pobrzmiwał w nim głos Marthy dobiegający z odległej części jaskini. Po drugiej stronie rzeki, w świetle czterech świec ujrzał, jak walczy z jednym lub dwoma napastnikami.

Przez chwilę nie wiedział, co robić, rozdarty między dwiema powinnościami. Z nieznaną wcześniej odwagą cisnął kamień, przechowujący jego duszę, do kamiennej misy poniżej katarak-



r

ty. Biała woda uniosła się wokół niczym korona. Ostatni rozbłysk błękitnego światła zapadł mu w pamięć na długo po jej zniknięciu.

Zaczął biec, w jednej ręce trzymając latarnię, a w drugiej bezużyteczny kuchenny nóż. Przeskoczył na drugą stronę rzeki, gdzie Martha Walker szamotała się z mężczyzną, który chciał odebrać jej życie, a wraz z nim życie jej nienarodzonego dziecka.

Kuźnia Weylanda, Oxfordshire, piąta rano, 21 czerwca roku 2007

*Wyrzeczenie się przemocy prowadzi do
najwyższego poziomu etyki, która jest celem
całego procesu ewolucji. Dopóki nie
przestaniemy wyrządzać krzywdy wszystkim
istotom żywym, pozostaniemy dzikusami.*

Thomas Edison

Nad polami Oxfordshire powoli wstawał świt. Jako pierwsze ukazały się kolory kamiennych bloków stojących w pobliżu grobowego kopca. Szare plamy porostów nabrały delikatnej zielonej barwy. Kogut zaczął pisać z większą pewnością siebie. Nad ich głowami rozległo się krakanie wrony, która przysiadła na najwyższej gałęzi buka. Po chwili na jej wołanie odpowiedział strzyżyk.

Stella usłyszała trzask gałązki w pobliżu drogi. Tony Bookless był początkowo niewyraźną postacią zmierzającą aleją w stronę Kuźni Weylanda i oznajmiającą wołaniem swoje przybycie.

— Stello! Jesteś tu! — Przebiegł ostatnie metry, przedzierając się przez drzewa i wpadając zasapany na otwartą przestrzeń przed kopcem. — Widzę Kita, Gordona i kamienną czaszkę. Znakomicie. — Wymienił ich wszystkich, jakby mieli stanąć do apelu, nie odrywając oczu od Stelli i błękitnego kamienia, który oświetlał przestrzeń wokół niej. Prawą rękę trzymał niezdarnie w kieszeni. Mogła policzyć płaskie krawędzie jego knykci. — Gdzie jest Davy?

Po prawej stronie zamarła poruszająca się gałązka.

— Wrócił do Oksfordu — odpowiedziała Stella. — Kiedy pokazał mi kopiec, nie był dłużej potrzebny. Martwił się o matkę. — Mogła go teraz okłamać z czystym sumieniem, co dodało przekonania jej słowom.

— Rozumiem. — Skinął głową jak dziekan, który słyszy złe wieści. — Kit opowiedział mi o wypadku.

Wypadku? Stella spojrzała na Kita. Jego oczy przesyłały gwałtowne, milczące ostrzeżenie. „Zaufaj mi, jesteś w niebezpieczeństwie! Czy mi wierzysz?”.

— Rzeczywiście, zdarzył się wypadek — odparła bez namiętnie.

Nie wiedziała już, komu ufać. Gordon był najbliżej, prawie w zasięgu jej ręki. Choć jego lęk przed kamieniem był wyczuwalny, podniósł się, gdy na polanie pojawił się Tony Bookless, i ruszył opiekuńczo w jej stronę.

Kit nie był zły. Sprawiał wrażenie nieszczęśliwego, zniewolonego przez coś, nad czym nie ma kontroli. Stał daleko od niej, na otwartym polu oddalonym od kopca, chwiejąc się na nogach.

Mimo milczącego błagania, najwyraźniej łączyło go coś z Tonym Booklessem. Obaj poruszali się w dziwnym roztarg-



nieniu, okrążając pole, jakby sami nie wiedzieli, dokąd zmierzają. Mimo to z każdym krokiem Bookless był coraz bliżej Stelli i kamiennej czaszki, a Kit coraz dalej.

Kamień nie udzielił jej żadnej pomocy. Chociaż byli tak blisko kresu, wyrażał jedynie rozpaczliwą potrzebę dostania się do tunelu w Kuźni Weylanda. Kopiec grobowy pragnął tego równie mocno jak wzdychający kochanek, stojący po niewłaściwej stronie więziennego muru, niemogący objąć ukochanej.

Spiralne znaki na kamieniu zagradzającym wejście stawały cię coraz bardziej wyraźne. Była tak blisko, że mogłaby wsunąć palce w wyżłobienia. Chociaż czar tego miejsca wydawał się słabnąć, przyciągało ją do siebie z równą siłą, jak wcześniej. Jak dwa kawałki magnesu, dokładnie wiedziała, dokąd pójść i kiedy to zrobić. Bez spoglądania na zegarek potrafiła obliczyć minuty pozostałe do świtu — sześć, może pięć.

Tony Bookless był najwyżej o dziesięć kroków od niej. Nie wiedziała, czy ręka ukryta w kieszeni trzyma pistolet, lecz w coraz jaśniejszym świetle coraz dokładniej widziała jego twarz. Patrzył na nią bezbarwnym, twardym wzrokiem, oczami szarymi jak poblądłe niebo. Nie było w nich przyjaźni, lecz groźne ostrzeżenie.

Przypomniała sobie słowa Davy'ego: „Ten, komu zaprzędali duszę, nie przejmuje się dobrem ludzkości. Mimo to klną się na Boga, że mają rację”. I inne, które wypowiedział, kiedy się jeszcze nie znali: „Kamienna czaszka kryje w sobie serce świata. Czy istnieje człowiek, który nie byłby gotów zabić, aby ją posiąść?”.

Stella obejrzała się za siebie, w przestrzeń po drugiej stronie

buków, gdzie gałąź ocierała się o gałąź, poruszana porannym wiatrem. Była pewna, że Davy Law czołga się w ich stronę.

Uniosła czaszkę na wysokość głowy. Szare światło wokół niej stało się błękitne. W gardle Gordona uwiązał cichy pisk bólu. Tony Bookless nagle przystanął.

— Co ty wyprawiasz, Tony? — zapytała, udając zacieka wienie.

— Próbuję cię ocalić. — Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który dobrze знаła. Nie sprawił jednak, że jego oczy złagodniały. — Powiedziałem ci, że strażnik czaszki musi umrzeć. Przez całe życie sądziłem, że strażnikiem jest Ursula i że będę mógł ją ochronić. Myliłem się, więc przybyłem tu, aby naprawić błąd.

Wykonał kolejny leniwy krok w jej stronę, wskazując ręką kopiec grobowy.

— Wiem, że uważasz, iż los świata zależy od tego, czy kamień znajdzie się w środku. Uważam, że nie jest wart tego, by oddać za niego życie. Obiecałem Kitowi, że cię ocalę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by dotrzymać słowa.

Był taki przekonujący. Kruche bezpieczeństwo tego poranka zależało od jej umiejętności udawania, że mu wierzy. Zbyt późno wzięła oddech, aby odpowiedzieć i podtrzymać kłamstwo przy życiu. Stojący z prawej strony Gordon Fraser zaczął tracić zimną krew.

— Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, zabijając Ursulę Walker, ty zakłamany draniu! Nie udawaj, że przyszedłeś tu, aby pomóc!

— Co? — Głos Booklessa stał się lodowaty, gasząc wściekłość Gordona. Był taki wysoki, taki chłodny i opanowany.

Przy nim słowa małego Szkota sprawiały wrażenie bezładnej, chaotycznej gadaniny.

Tony Bookless zignorował go. Ze znakomitą dykcją zapytał:

— Stello, co się stało z Ursulą?

— Nie udawaj, że nie wiesz, ty cholerny Anthony Booklessie. Rozszyfrowałem cię wiele dni temu. Jesteś działającym z zimną krwią zabójcą, który ukrywa się pod pozorem oszu kańczego czaru. Ty...

— Przestań, Gordon.

Kiedy mały Szkot zaczął mówić, nie sposób było go zatrzymać. Splunął na ziemię i wściekły ruszył ku Stelli, stając jak mur pomiędzy nią i Booklessem. Był jej przyjacielem, opiekunem, człowiekiem, który wykazał się odwagą w ciemnych jaskiniach. Podziękowała mu w milczeniu, a jednocześnie wyciągnęła rękę, by chwycić go za ramię i uciszyć.

— To uprzemie z twojej strony, lecz nie musisz staczać za mnie moich bitew. Sama to załatwię.

Uśmiechnęła się do Tony'ego Booklessa najchłodniej, jak umiała.

— Ursula leży podłączona do respiratora na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej szpitala w Redcliffe. Poparzyła się, wdychając dym. Została w domu po tym, jak Kit i ja wybiegliśmy na zewnątrz. W dymie był chlor. Policja prowadzi dochodzenie w sprawie usiłowania zabójstwa.

— Chlor?!

Bookless był znakomitym aktorem. Stella zauważyła, że źrenice jego oczu rozszerzyły się, powodując, że tęczówka niemal zniknęła. Uniósł głowę i spojrzał ponad nią:

— Kit, dlaczego nie powiedziałeś mi o tym w samo chodzie?

Przez chwilę nie zwracał uwagi na Stellę. Nadszedł odpowiedni moment. Stella dała cichy znak, słysząc w odpowiedzi ten sam ruch liści w drzewach za sobą. Głosy ptaków nagle umilkły.

— Stello, idź do Kita. Natychmiast.

Zaskoczona stwierdziła, że Tony Bookless stracił cierpliwość. W jednej chwili zniknęło dobre wychowanie i wyrafinowane poczucie humoru. Ujrzała człowieka, który służył w Irlandii Północnej i pracował jako doradca wojskowy w Iraku — mężczyznę, który wydawał rozkazy i był słuchany. Uczciwe postawienie sprawy sprawiło jej pewną ulgę.

Czas udawania dobiegł końca. Nie poruszyła się.

— Dlaczego? — zapytała. — Żebyś mógł zamordować nas oboje tak, jak próbowałeś zamordować Ursulę?

— Wręcz przeciwnie, abym mógł cię ocalić. Davidzie Law, nie rób tego! To nie on!

Bookless wyciągnął dłoń z kieszeni. Nie trzymał w niej pistoletu, lecz pęk kluczy. Rzucił je z całej siły w kierunku Stelli, która wykonała unik z szybkością, o jaką siebie nie podejrzewała, i poturlała się w bok, nie wypuszczając kamienia.

Tocząc się, widziała Tony'ego Booklessa, przysuwającego się do niego Gordona i w końcu Davy'ego Lawa, który biegł pochylony od strony otaczających polanę drzew, z innego miejsca, niż ona lub pozostali mogli się spodziewać.

Poranek przerwało brutalne zderzenie dwóch ciał, odgłos pękającej kości, a następnie strzał. Jakaś ręka sięgnęła po kamienną czaszkę. Stella objęła kamień i zaczęła kopać. Ktoś szarpnął ją za łokieć.

Nad nią stał Davy Law pachnący nikotyną i gniewem. Jedno ramię zwisało mu bezwładnie wzdłuż tułowia. Lekko pchnął ją w stronę wejścia.

— Nadszedł świt. Kopiec czeka. Biegnij!

— Zostań tam, gdzie jesteś! — zawołał Gordon Fraser z przeciągłym akcentem mieszkańców Aberdeen.

— Nie słuchaj go, Stello. Biegnij!

Chociaż powierzyłaby Gordonowi swoje życie, wiedziała, że teraz się nie zatrzyma. W głosie Kita wyczuła ogromne przerażenie potwierdzone przez głos kamienia. Stała w odległości ramienia od wejścia do kopca i odwróciła się.

Kit zastygł w bezruchu. Podobnie jak pozostałych, zatrzymał go pistolet przyłożony do skroni. Trzymał go Gordon Fraser, jego przyjaciel w świecie pozbawionym przyjaźni.

— Odejdź od tunelu — powiedział, gdy na niego spojrzała. — Odłóż kamień, a nikomu nie stanie się krzywda.

— Gordon? — Stella patrzyła na niego, nie wierząc własnym oczom. Jego rude włosy były potargane. Twarz pobladła, nabierając ziemistozielonej barwy. Nie odrywał oczu od czaszki. W jego wzroku nie było lęku, lecz gwałtowne pożądanie, jakiego nie widziała u niego ani u żadnego innego człowieka. — To jakiś żart? — wydusiła.

Jęk dochodzący z ziemi sprawił, że spojrzała w dół. Tony Bookless leżał, obejmując ręką tułów. Krew sączyła się wąskim strumykiem, plamiąc darń. Jego oczy płonęły. Wzruszył ramionami w geście, który mógł wyrażać przeprosiny.

— Pierwsza zasada wojny nakazuje słuchać człowieka, który ma broń — powiedział oschłym głosem.

— Racja. — Gordon skinął wolną ręką. — Odłóż czaszkę i odsuń się.

Nie mogła tego zrobić. Kamień nie pozwoliłby na to, nawet gdyby jej umysł wyraził zgodę.

— Sądziłam, że przyszedłeś tu, żeby nam pomóc — powiedziała tępo.

— Czasami jest to niemożliwe. — Uśmiechnął się szyderczo. — Nie ocalisz w ten sposób świata, niezależnie od tego, co ci nagadał Davy Law. Od dawna jest już na to za późno. Każdy żyje tylko dla siebie, zawsze tak było.

— Czego chcesz? — zapytała.

— Kamienia, a czegoż by innego?

Gapiała się na niego z otwartymi ustami.

— Przecież się go boisz. Kiedy oczyściłeś go z wapiennego osadu, nie chciałeś się do niego zbliżyć. Chciałeś go rozbić pod kafarem.

— Nie wyczułaś żadnego niebezpieczeństwa, prawda? Nie pomyślałaś, że mogę chcieć go zabrać, kiedy powiedziałem, iż chcę go rozbić w drobny mak.

— Daj spokój, Gordon. Wiem, że nie udawałeś. Byłeś śmiertelnie przerażony.

Poczerwieniał z wściekłości.

— Potrzebujemy jedynie trochę czasu, aby poznać się wzajemnie, kamień i ja. — Jego dłoń była pewna, choć głos drżał. — Sytuacja ulegnie zmianie, gdy świt przeminie i czas ka straci nadzieję. Wtedy nie będzie taka dzika. Trzymaj się z daleka od wejścia, dopóki słońce nie wzejdzie wyżej, a wszyscy będziemy szczęśliwi.

Zaczęło świtać. Ptaki ucichły od huku wystrzału, lecz słońce niczym świetlista brzytwa zaczęło roztapiać horyzont.

— Dlaczego sądzisz, że gdy przeminie świt, kamień będzie czymś więcej niż kawałkiem szafiru? Jeśli uniemożliwisz mu

dostanie się do kopca, złamiesz jego duszę. Co ci wówczas pozostanie?

Gordon uśmiechnął się pogardliwie.

— Będę miał największy klejnot na Zachodzie, nie sędzę jednak, aby tak się stało. Kamień nie utraci swojej mocy. Davidzie Law, nie udawaj, że na moim miejscu postąpiłbyś inaczej. Potrafisz się cieszyć pięknymi rzeczami i znasz moc kamiennej czaszki. Zrobiłbyś to samo, gdybyś miał odwagę.

— Nigdy nie zepchnąłbym nikogo ze skalnej półki, żeby posiadać kamień. — Mówiąc to, Davy przysunął stopę w kierunku Stelli.

Gordon roześmiał się, całkowicie opanowany.

— Szukałem błękitnego kamiennego serca Cedrica Owena od trzydziestu lat. Od czasu gdy przybyłem do college'u. Zbadałem każdą jaskinię w Anglii i kilka poza jej granicami. Więcej razy narażałem życie, niż ty byłeś z kobietą. Kit O'Connor w całym swoim życiu nie był w prawdziwej jaskini. Czy miał prawo znaleźć kamień w ciągu pół dnia? Ekipa ratownicza to banda mięczaków. Nigdy nie znaleźliby kamienia, gdyby spadł razem z nim. Sam musiałem tam zejść. Nie miałem z tym problemu, chociaż nie dokonałby tego żaden grotolarz w Europie oprócz mnie. Teraz wezmę czaszkę i sprawiedliwości stanie się zadość.

Jakby na potwierdzenie tego, promień słońca przebił się na wschodzie przez cienką warstwę chmur. Gordon spojrzął na słońce i ponownie zwrócił wzrok na nich. Lekko skinął głową i rozprostował ramiona. Stella wiedziała, że robił to wielokrotnie w jaskiniach przed trudnym zejściem.

Oстрым, wojskowym głosem rozkazał:

— Davy, jeśli ruszysz choć jednym mięśnieniem, Kit zginie, a po nim ty. Jeśli mi nie wierzysz, spróbuj. Stella, odłóż kamień, zanim doliczę do trzech, w przeciwnym razie twój mąż będzie trupem. Raz...

— Nie słuchaj go, Stello. — Twarz Kita nagle nabrała kolorów. Nie zważając na pistolet, odwrócił głowę. — Nie zdoła zabić nas obojga, żeby zdążyć cię powstrzymać.

— Wypróbuj mnie. Dwa...

— Stello, masz wybór: ja albo kamień. Przez cały czas zmierzaliśmy do tego. Wiesz, co jest ważniejsze.

Nagle, nieoczekiwanie to uczyniła.

— Trzy...

Mimo ogromnego strachu, pochyliła się i położyła błękitną kamienną czaszkę Cedrica Owena na ziemi przed kopcem. Gdy się wyprostowała, hałas nie ucichł, lecz został zagłuszony kakofonią ptasich głosów, które obwieściły nadejście świtu.

Pożądanie w oczach Gordona Frasera stało się trudne do zniesienia. Wołanie kamiennego serca przeszywało jej umysł. Przeciwstawiła mu całą siłę swojego serca.

— Weź ją, skoro tak bardzo tego pragniesz. — Odstąpiła 0 krok. — Nie da ci tego, o czym myślisz... Kit! Nie!

Chwiejący się, na wpół kaleki mężczyzna dokonał wyboru, na który ona nie potrafiła się zdobyć. Ujrzała, jak szarpnął się w lewo, usłyszała huk wystrzału i dostrzegła krew. Nie wiedziała, czy to krew Kita, czy Gordona, obaj jednocześnie upadli.

— Stello, biegnij! — krzyknął do niej z ziemi.

Żył. Nie potrzebowała niczego więcej. Sięgnęła po kamień i wystrzeliła jak zając z nory, wślizgując się ponad pokrytym

runicznym pismem kamieniem, który blokował wejście do kopca, w dół krótkiego tunelu, w ogarniające ją zewsząd ciemności. Tak jak powiedział Davy Law, skała rzeczywiście się otworzyła, wpuszczając ją do wnętrza.

Usłyszała kolejny wystrzał, odgłos uderzenia i krzyk, była już jednak w mroku, a kamień i kopiec nucili jej pieśń, nie mogła się więc zatrzymać i nie iść dalej ku światłu na końcu tunelu.

Ingeborough Fell, Yorkshire Dales, kwiecień roku 1589

*Odnajdzie się to, co zostało zgubione, choć leżało
w ukryciu przez wiele wieków. Pasterz będzie
czczony niczym bóg. Stanie się to, gdy księżyc dokończy
swego wielkiego cyklu, lecz przez inne pogłoski zostanie
zbezczeszczoney.*

Czterowiersz 25, Centuria I, Nostradamus

Owen nie wiedział, że Martha ma przy sobie nóż, lecz przekroczył wodę w samą porę, i zobaczył, że zrobiła zeń dobry użytek.

Napastnicy byli niewątpliwie ludźmi Walsinghama, trzeba było jedynie ustalić, ilu ich było oraz czy widzieli, jak błękitny kamień wpadł do stawu.

Wcześniej musiał jednak dotrzymać obietnicy: dopilnować, aby Martha Walker nie została pojmana i doprowadzona żywcem do Londynu, by zginąć w Tower ku ucieście Walsinghama.

To właśnie złożona obietnica sprawiła, że przeskoczył rzekę,

dokonując wyczynu, który wcześniej uznałby za niemożliwy. W jednej chwili znalazł się na drugim brzegu i skoczył naprzód, wydając taki sam wysoki krzyk jak błękitny kamień. Dźwięk ten przeszywał mu głowę i odbijając się od ścian.

Z początku pomyślał, że przybył za późno. Dwóch mężczyzn z Marthą szamotało się, lecz tylko jednego zdołała ranić nożem. Człowiek ten ciągnął ją zdrową ręką za włosy, wpychając do tunelu. Drugi próbował ją chwycić za nogi, lecz uniemożliwiła mu to wierzganiem. W słabym świetle świeczek Owen dostrzegł, że mężczyzna poniechał tego zamiaru i sięgnął do pasa po miecz.

— Martho!

Dźwięk własnego imienia lub bliskość miejsca, z którego doleciał okrzyk sprawiła, że na chwilę przestała się opierać, ratując dzięki temu życie. Mężczyzna trzymający miecz zwrócił się w stronę nowego niebezpieczeństwa. Na widok Owena i jego krótkiego noża parsknął śmiechem.

— Powiadali, że kiepski z ciebie szermierz. Nie liczyłem na to, że będę miał okazję się o tym przekonać.

Mężczyzna miał czarne włosy i brodę, i przemawiał z akcentem mieszkańca Devonshire. Trzymał miecz podobny do tego, który przez tak wiele lat był własnością Fernandeza de Aguilara. Tyle przynajmniej Owen zdołał dostrzec, próbując zatrzymać się na śliskiej wapiennej posadzce.

— Rzuć nóż, doktoru. — Czarnobrody użył tego określenia jako obelgi. — Bądź rozsądny, a ujdiesz z życiem.

— W Tower? Wolę raczej śmierć.

Tamten uśmiechnął się, jego białe zęby błysnęły pośród brody. Był podobnie zbudowany i z podobną łatwością władał bronią jak wszystkie mastiffy Maplethorpe'a.

— W takim razie dołącz do swojego przyjaciela. Tego jednorękiego Hiszpana, choć tamten konał wolno. Potrzebujemy tylko jedno z was. Skoro nie możemy mieć męża, weźmiemy żonę.

Na wzmiankę o Fernandezie Martha utraciła wolę walki. Owen usłyszał to, chociaż nie mógł zobaczyć. Zanim Czarnobrody zdążył się odwrócić, rzucił nóż. Szum wodospadu zagłuszył brzęk upadającego noża. Wyciągnął obie dłonie, pokazując, że nic w nich nie ma.

— Puść ją, pójdę z wami.

Mężczyzna podszedł bliżej, unosząc brwi.

— W takim razie weźmiemy was oboje, skoro tak grzecznie się ofiarowałeś. Wydobędziemy z was to, co chcemy, a następnie porównamy wasze odpowiedzi.

Owen kopnął na bok nóż i tak już bezużyteczny. Ruszył szybko i wskoczył do wody, odwracając na chwilę uwagę Czarnobrodego. Dzięki temu zdołał podnieść z podłogi kamień wielkości dłoni.

Nie był szermierzem, lecz spędził trzydzieści lat w Nowej Hiszpanii, bawiąc się z kilkoma pokoleniami dzieci w „złap i rzuć”. W Anglii mogłaby to być dobra zabawa, pozwalająca czymś zająć dzieci, lecz w Zamie stanowiła przygotowanie do łowów. W dodatku okazało się, że Owen jest uzdolniony w tej dziedzinie.

Kamień, który trzymał w ręku, był lekki, lecz odpowiednio wyszczerbiony. Zważył go w dłoni. Za Czarnobrodym ponownie zaczęło się kotłować. Owen pomyślał, że Martha na nowo podjęła walkę, lecz nie był tego pewny.

— Co się stało z Fernandezem? — zapytał. — Powiedział, abyście tu przyszli?

Czarnobrody ryknął szyderczo.

— Powiedział wszystko, o co go zapytaliśmy.

Owen chciałby mu nie wierzyć, lecz po tym, co Barnabas Tythe mówił im na temat Walsinghama, był jednak w stanie uwierzyć, że każdy człowiek odsłoni przed nim swoją duszę, jeśli zostanie o to poproszony.

— Kiedy umarł? — zapytał, czując pustkę w sercu. Nie odważył się spojrzeć na Marthę.

Czarnobrody zaczął ostentacyjnie odliczać na palcach.

— W lutym, pod koniec miesiąca. — Wiedział, że Owen ma kamień i zaczął krążyć wokół, odsuwając go od światła świec i spychając na nierówną posadzkę w tylnej części jaskini. Miecz podązał przed nim, rzucając matowe światło, które znaczyło jego obecność, nawet gdy oddalali się od wylotu tunelu.

Owen zszedł w bok i znalazł się pod skalną wychodnią. Prawą ręką wyczuł, że ma za sobą ścianę. Ruszył w lewo, lecz okazało się, że i tam nie ma wyjścia.

— Chodź, doktorku. Po cóż miałbym podcinać ci ścięgna, skoro możesz wygodnie pojechać do Londynu?

Poczuł luźne kamyki pod stopami. Zatrzymał się, nabrał garść i cisnął Czarnobrodemu w oczy. Czubek miecza wystarczająco się obniżył. Cisnął kamień tak, jak to czynił kiedyś.

Niezbyt celne.

Był to trudny rzut. Czarnobrody robił uniki, sądząc, że za chwilę nadleci więcej kamieni. Na dodatek światło świeczek wyczyniało dziwne sztuczki, przesuwał cienie to w jedną, to w drugą stronę. W rezultacie Owen trafił w cień Czarnobrodego, nie zaś w niego samego. Kamień uderzył go w ramię, wbijając się głęboko w ciało, ścięgno i kość. Nie trafił jednak w głowę i nie zabił.

Niektórzy ludzie wycofują się z powodu odniesionych ran, inni dostają ataku furii. Czarnobrody należał do tych ostatnich. Uniósł miecz niczym kopię i ruszył na Owena z rykiem, który zagłuszył szum rzeki.

Wolno, jak we śnie, Cedric Owen ujrzał nadchodzącą śmierć. W oddali, u wyjścia z tunelu, usłyszał, jak Martha woła jego imię, chwilę później dał się słyszeć krzyk. Czarnobrody był tuż przy nim. Usłyszał, jak żelazo przecina jego koszulę, skórę i ciało, jak wdziera się do płuc. Poczł tryskającą krew na długo, zanim przeszył go potworny, palący ból.

Napastnik rzucił go o wapienną ścianę, rozrywając lewy łokieć. Z oddali, w chłodny, obiektywny sposób ocenił obrażenia, wiedząc, że nie uda się ich wyleczyć. Poczł, że kolana się pod nim ugięły i że jego plecy zsuwają się po ścianie. Ku swemu zaskoczeniu zauważył, że Czarnobrody zwałi się w drugą stronę.

Był pewny, że umiera, przed nim bowiem z wyrazem bólu na twarzy stał Fernandez de Aguilar, trzymając czarny, mokry miecz Roberta Maplethorpe'a.

Wspomnienie było bardzo wyraźne.

— Nie opłakuj mnie, przyjacielu — powiedział Owen z ponurym humorem. — Śmierć nie jest rzeczą złą, gdy poprzedziła ją radość. — Próbował unieść dłoń, lecz mu się to nie udało. — Twoja obecność dostarcza mi wielkiej radości. Nie wiedziałem, że śmierć będzie tak łaskawa, by nas ze sobą połączyć...

— Cedricu... — Owen nigdy nie widział go w takim stanie. De Aguilar płakał. Uniósł dłoń Owena. Jego skóra wydała mu się zdumiewająco ciepła jak na nieboszczyka. — Staralem się

przybyć tak szybko, jak mogłem. Od czterech miesięcy śledzę Jacka Dempseya i jego brata, a oni śledzili mnie. Bawiliśmy się w kotka i myszkę jak Anglia długa i szeroka. Nie mogłem pozostawić skrawka lnu, naprowadziłby bowiem tych łotrów na twój ślad. Straciłem ich z oczu, gdy weszli do jaskini. Usłyszałem jedno rozpaczliwe wołanie błękitnego kamienia. To ono sprowadziło mnie do ciebie. Tak mi przykro.

Świat wokół zaczął falować. Proste linie stały się zakrzywione, a powietrze nabrało gęstości wody. Owen zmarszczył czoło. Próbował zrozumieć znaczenie majaczących w jego głowie słów, pochwycić je. Jedno z nich pozostało w jego rękach.

— Fernandezie? Ty... żyjesz?

— Jestem cały i zdrow, wbrew wszystkim przysięgom, że będę cię bronić.

— Chciałem się przekonać... czy potrafiłbym... choć raz stanąć do walki. — Próbował się uśmiechnąć, lecz zamarł, widząc reakcję Fernanda. Chwycił kolejną majaczącą myśl. — Co z Martha?

— Jest lekko ranna. Zajmę się nią. Tobie nie potrafię pomóc, przyjacielu. Jakże mi przykro. Nie powinienesz umierać, nie wypełniwszy misji swojego życia.

Obok przepłynęła większa ryba, zatrzymując się na dłużej.

— Nie wypełniłem... Muszę... dokończyć księgi. Trzeba zostawić wskazówki... dla tych, którzy przyjdą.

— Dokończę pracę nad księgami, przysięgam. Martha mi pomoże. Zrealizuję wszystko, co zaplanowaliśmy z Barnabaszem. Uczelnia otrzyma dziedzictwo, a świat ujrzy księgi i je zrozumie. Nie stanie się to jednak za życia Walsinghama. Dokończę twoje dzieło.

— Dziękuję. — Owen zaczął tracić czucie w palcach. Jego głowa przechyliła się do tyłu i uderzyła o wapienną ścianę. Nie czuł bólu. Wiedział, że czeka na niego błękitne kamienne serce. Odniósł wrażenie, jakby unosiło się pomiędzy życiem i śmiercią, jakby mogło go przewieźć na drugą stronę. Jego dusza podskoczyła z radości niczym łosoś.

Uderzyła go niezwykła przejrzystość tej chwili. Uścisnął ponownie dłoń Fernanda. Odniósł wrażenie, że postać przyjaciela uległa rozdwojeniu. Skupił wzrok i zrozumiał, że jedną z postaci była Martha. Na jej twarzy dostrzegł ciemne siniaki, suknia była poplamiona krwią. Chciał jej powiedzieć, jak opatrzyć rany, lecz nie zdołał. Zamiast tego rzekł:

— Sprzedaj diamenty... dla siebie. Uczyni swoją... córkę... zamożną kobietą.

— Będzie nią. W twoim imieniu rodzina Walkerów będzie strzegła ścieżek. Przysięgam. Żegnaj, przyjacielu. Wspomnij mnie tam, dokąd pójdziesz. Spotkamy się ponownie, jeśli to będzie możliwe.

Nie mógł mówić. Poczł ciepłą dłoń na czole i palce dotykające jego powiek, które sprawiły, że cały świat zasnuł się mrokiem, i obdarzyły go spokojem. Odwrócił się i ujrzał rozszczerzone kredowe wzgórze, na którym czekał barwny łuk i cztery bestie, które stały się jednym.

Była tam majestatyczna Najakmul, tak jak mu obiecała. Rozpostarła powitalnie ramiona, składając ostateczną prośbę.

***Kuźnia Weylanda, Oxfordshire,
piąta dwanaście rano, 21
czerwca roku 2007***

*Ziemia to igrzyska zwątpienia. Przychodzimy
tu, aby uczyć się ufać.*

Christopher Hansard, tybetański nauczyciel religii bon

Tunel wiodący do wnętrza kopca nie był długi. Nie tłumił też dźwięków dochodzących z polany. Odgłosy walczących mężczyzn rozlegały się na tle śpiewu ptaków.

Usłyszała jeden strzał, a po nim kolejny. Jakaś część jej umysłu nie była zdolna do jasnego myślenia, mając świadomość, że Gordon Fraser jest wolny i może ją ścigać. Ta sama częśćka opłakiwała Kita, chociaż inna trzymała się błękitnego kamienia, wiedząc, że dokonał właściwego wyboru, gdy ona nie była w stanie tego uczynić. Od ich życia ważniejsze było, aby kamień znalazł się o świcie we wnętrzu ziemi.

Nie miała czasu, żeby opłakiwać Kita. Słońce oświetliło złotym blaskiem wschodni horyzont. Czowała to z mrocznego

wnętrza kopca. Śpiew kamienia stopił się ze śpiewem ptaków w jednym crescendo. Mogła mierzyć upływ czasu uderzeniami serca.

Na końcu tunelu płonął ogień, wokół którego gromadziły się cienie postaci. Jedna z nich była bardziej wyraźna od pozostałych — szczupły mężczyzna o dziwnym uśmiechu i złotym kolczyku w uchu. Skłonił się i powiedział:

— Pani, jesteśmy strażnikami, którzy przybyli cię strzec, wkrótce jednak będziemy musieli odejść. Znasz to miejsce. Czy umieścisz w nim kamień? — W jednej ręce trzymał miecz, który natychmiast rozpoznała. Spojrzała na medalion zawieszony na szyi, lecz nie dostrzegła go w ciemnościach.

Przypomniała sobie napisane dawno temu słowa, które przywiodły ją w to miejsce. Wypowiedziała je na głos:

— „Podążaj ścieżką, którą ci wskażę. Staw się wraz ze mną w wyznaczonym miejscu i czasie. Uczyni, jak przepowiedzieli strażnicy nocy. Idź za głosem swojego i mojego serca, stanowią bowiem jedno. Nie zawieź mnie, ponieważ gdybyś to uczynił, zawiódłbyś samego siebie i wszystkie czekające światy”.

— Zaiste. — Na twarzy mężczyzny pojawił się boski uśmiech wolny od ziemskich trosk. Kolczyk w jego uchu był perłą słonecznego światła, posłanego, by ją prowadzić i strzec.

Wnęka w kamiennej ścianie promieniowała błękitnym światłem. Stella powoli przysunęła kamienne serce do wnęki, którą wykuto u zarania czasu. Czaszka nie ostrzegała jej ani nie przynaglała. W jej umyśle nie pojawiły się żadne barwne rozbłyski, a jedynie potrzeba, której nie można było wyrazić słowami. Kamienna czaszka była kochanką, a kopiec ukocha-

nym, pragnącym i oczekującym. Zatrzymała tę chwilę, by móc się nią rozkoszować.

Za jej plecami zakrwawiony mężczyzna blokował wejście do tunelu.

Z ziemi rozległ się głos, którego nigdy wcześniej nie słyszała.

— Nie zwlekaj.

Stella Cody przeszła nad ogniem i umieściła czaszkę 0 rysach własnej twarzy w miejscu, które oczekiwało na nią od ponad pięciu tysięcy lat.

Usłyszała strzał. Nie wiedziała, kiedy to się stało, wcześniej, czy później. Zrozumiała jedynie, że jej świat eksplodował, rozszepiając się na ranne ciało, błękitne światło i przenikliwy niebieski ból.

Na chwilę oślepił ją ogień i blask kolczyka w uchu nieznanego. Gordon Fraser stał bok, spoglądając w zadziwieniu. Stella ujrzała starca, którego skóra przypominała korę dębu, o nosie niczym dziób okrętu, unoszącego kij w niemym wezwaniu. Wszyscy byli martwi, co wyjaśniało, dlaczego ujrzała smoka zimowych śniegów wznoszącego się ze zbocza wzgórza Uffington, rozwijającego skrzydła, obracającego łeb 1 oznajmującego pragnienie powstrzymania fali zła oraz ocalenia świata.

Mimo to smok nie wznosił się w górę. Jego kształt utworzyło jedynie siedem kolorów. Brakowało błękitu kamiennego serca.

Stella spojrzała w dół. W krainie umarłych niosła kamień, tak jak to czyniła za życia. Teraz kamień wydawał się bardziej ożywiony od niej, tętniący życiem w sposób, który zawsze czuła, lecz nigdy wcześniej nie widziała.

Smoka stojącego na wzgórzu otaczało łukiem dwunastu

ludzi. Na czele stał starzec z rogami renifera na głowie. Rozpoznała jego twarz.

— Czy przyłączysz się do nas, ostatni strażniku, i po wrócisz do wnętrza ziemi? — zapytał Ki'kaame.

— Tak — odpowiedziała, idąc w ich stronę.

Z drugiej połowy jej serca doleciał słaby głos Kita:

— Stell? Błagam, nie rób tego.

Zatrzymała się. Przystanął także Ki'kaame.

Powietrze rozdzieliło się, a następnie połączyło ponownie. Po lewej stronie stał nie tylko smok, lecz mężczyzna średniego wzrostu o siwych włosach. Na szyi miał medalion taki, jak ona. Jego uśmiech był mądry i pradawny jak czas. Wyglądał dokładnie tak, jak jej dziadek.

— Jesteś ostatnia i najmłodsza z nas — powiedział. — Nie jesteś jeszcze gotowa. Jeśli chcesz, zaniosę kamień do serca smoka. Wybór należy do ciebie.

Smok zawołał, budząc wszystkie pragnienia kamienia. Z innego, nie tak jasnego miejsca, usłyszała szept Kita:

— Stella?

— Kit. — Jego imię wydobyło się z głębi jej duszy, a wraz z nim odpowiedź i wybór.

Poczuła, jak ogarnia ją chłód.

— Dziękuję. Podążaliśmy za głosem naszego serca, ty i ja. Zawsze musi istnieć zarówno miłość, jak i obowiązek. — Cedric Owen pochylił się nad nią i kamienną czaszką. Jego dłoń miała barwę jasnego, błękitnego nieba.

Pieśń błękitnego serca rozpuściła lód w sercu Stelli. Jej świat rozpadł się na niebieskie, czarne i szkarłatne kawałki.

— Stell?

Leżała na trawie, w promieniach słońca, słysząc cichy śpiew ptaków.

Czuła piekący ból ramienia.

Na twarzy pochylającego się nad nią Kita malowało się dziwne połączenie żalu i zdumienia.

— Stell. Boże, Stell...

— Jesteś cały! — zauważyła przytomnie, nie wierząc własnym oczom. — Możesz chodzić. — Rzeczywiście szedł, niosąc ją w miejsce, gdzie promienie słońca padały na niską trawę.

— A ty żyjesz — powiedział.

Jego uśmiech był nieco asymetryczny, niepasujący do pięknego poranku. Uśmiechnął się ponownie. Tym razem obie połowy jego twarzy były identyczne.

— Zostałaś postrzelona, lecz krwawienie ustało. Otwór po kuli zniknął, a twój medalion się zmienił.

Podniosła go. Na płaskiej powierzchni widniała postać smoka. Zniknął człowiek, który stał z mieczem naprzeciw niego. Po drugiej stronie nie było już słońca i księżyca umieszczonych na szalach wagi.

— Jako naukowiec wolałbym nie pytać, w jaki sposób do tego doszło — rzekł niepewnie. Po chwili, widząc, że Stella nie wie, co powiedzieć, dodał: — Gordon nie żyje. Tony go zastrzelił. Davy ma złamaną rękę, lecz poza tym nic mu nie jest.

— Co z Ursulą?

— Nie wiemy. Davy dzwoni do szpitala.

Kit pomógł jej usiąść. Wygląd kopca nie uległ zmianie, lecz kamienie przestały śpiewać.

— „Idź za głosem swojego i mojego serca, stanowią bowiem jedno”. Był tam Cedric Owen. Dał mi wybór. Poszłam za głosem swojego serca. Wróciłam do ciebie.

— Czuję, że to zrobisz. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę.

Otumaniona bólem i promieniami słońca, ujęła jego rękę:

— Nie zawieź mnie. Jeśli to zrobisz, zawiedziesz samego siebie i wszystkie oczekujące światy. Nie wiem, jakie nadejdą, lecz my nie zawiedliśmy. Żadne z nas.

Jego uśmiech sprawił, że świat stał się jasny i doskonały.

— Wiem — powiedział Kit.

Epilog

*Kiedy przeminie dwadzieścia lat panowania Księżycy,
Inny powstanie, aby objąć panowanie na siedem tysięcy lat.
Kiedy wyczerpane Słońce dokona swego cyklu, Moje
proroctwo i ostrzeżenia wykonają się.*

Czterowiersz 25, Centuria I, Nostradamus

*A kiedy tak mówił ze zrozumieniem, podniosłem
oczy i dostrzegłem w górze tęczę płonąca
wieloma barwami.*

Black Elk

Do profesora Barnabasa Tythe'a, dziekana College'u św.
Bedy w Cambridge. Pozdrowienia.

Dziękuję Ci, Panie, za życzliwy list i perły, które posłałeś
naszej córce, Frances Elizabeth, z okazji jej chrztu. Wspaniale
się rozwija, choć od dnia narodzin jest bardzo spokojnym
dzieckiem. Martha odzyskała siły i ponownie prowadzi gos-
podarstwo. Dokończyliśmy księgi zgodnie z naszym zamiarem
i starannie je zapieczętowaliśmy, wiedząc, że zostaną otwarte
po upływie wielu lat. Jak radziłeś, złożyłem list u twojego
prawnika w Oksfordzie.

Poza tym nie wydarzyło się nic szczególnego, prócz tego, iż nasz zmarły przyjaciel prosił, abym przekazał ci załączony kamień, który jak mniemam, znajdzie Cię w dobrym zdrowiu. Jeśli go sprzedasz, uzyskasz około stu funtów, jest bowiem bez skazy i ma piękny szlif. Gdybyś chciał go podzielić na mniejsze, znam człowieka w Sluis, który może ci w tym pomóc. Często bywa w Harwich i miał zaszczyt poznać milorda Walsinghama przed jego przedwczesną śmiercią w ostatnim miesiącu, z powodu której wszyscyśmy przekazali wyrazy współczucia rodzinie zmarłego i Królowej.

Raz jeszcze wyrażam nadzieję, że mój list znajdzie Cię w dobrym zdrowiu i że Twa uczelnia będzie się nadal rozwijać.

Twój etc.

Wielmożny Francis Walker. Dan dziesiątego maja roku Pańskiego tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego, na farmie w Lower Hayworth, Oxford-Shire.

Przekład z języka elżbietańskiego dokonany przez Anthony'ego Booklessa i Ursulę Walker, zob. *New Comprehensive Biography of Cedric Owen*, Cambridge University Press, 1972. Fragmenty w Internecie pod adresem <http://www.bedes-cambridge.ac.uk>.

Posłowie

Dziekan i członkowie kolegium College'u św. Bedy w Cambridge z żalem zawiadamiają o śmierci profesora Gordona Frasera po krótkiej chorobie. Na prośbę zmarłego jego ciało zostało spalone, a prochy rozsypane w jaskini Gaping Ghyll na wzgórzu Ingleborough w Yorkshire Dales.

Nabożeństwo żałobne otwarte dla wszystkich obecnych i byłych członków college'u odbędzie się w kaplicy pod wezwaniem św. Bedy w piątek, 3 sierpnia 2007 roku. Serdecznie zapraszamy. Wszystkie datki zostaną przekazane kwestorowi.

Podpisano, sir Anthony Bookless, MA PhD OBE, dziekan College'u św. Bedy w Cambridge.

Davy i Ursulo, możecie przyjść? Stella wyjdzie ze szpitala, a Tony nie planuje innych zajęć po uroczystościach. Miło będzie spotkać się ponownie. Przyjechała Jess. Chce was poznać. Odezwijcie się, Kit.

Od Autora

Książka ta powstała i została przeczytana w „czasach ostatecznych” — w okresie, gdy światu grozi zagłada z rąk człowieka.

Chociaż przekład Kodeksu Drezdeńskiego wzbudza pewne wątpliwości w kwestiach szczegółowych, ogólny obraz, który się z niego wyłania, zyskał powszechną akceptację: dawni Majowie, lud o zdumiewających osiągnięciach w dziedzinie astronomii/matematyki, którego kultura kwitła od 200 do 900 roku n.e., wyznaczyli początek swojego kalendarza na 11 sierpnia 3114 p.n.e., aby jego data końcowa przypadła za 13 baktunów (jednostka miary czasu odpowiadająca okresowi naszych 5125 lat), 21 grudnia 2012 roku.

Tego dnia zimowe przesilenie powróci do pełnej koniunkcji z centralnym punktem galaktyki, czarną dziurą Drogi Mlecznej. Miejsce to nosi nazwę Sagittarius A*. Majowie nazywali go *Xibalba be*, Drogą do podziemnego świata, i uznawali za jądro naszej galaktyki.

Stworzyli swój kalendarz w taki sposób, aby wyznaczał chwilę, w której Słońce umrze i odrodzi się ponownie w łonie galaktyki.

Miało do tego dochodzić raz na 26 000 lat. W wierzeniach Majów będzie to piąty i ostatni okres istnienia ludzkości.

Ze wspomnianą datą wiąże się szereg mitów, prorocत्व i legend, nie tylko w kulturze Majów. Jeśli Geoff Stray ma słuszość (zob. *Beyond 2012* w bibliografii zamieszczonej na końcu książki), I Ching można odczytywać jak kalendarz księżycowy, który także wskazuje na koniec — lub przemianę świadomości tak głęboką, że jest z nim równoznaczna — w roku 2012. Inni dopatrują się podobnych aluzji w tradycji wedyjskiej i egipskiej, jeszcze inni zaś łączą zrównanie Wenus z Plejadami z przepowiadaniem w teologii judaistycznej i chrześcijańskiej Armagedonem.

Wśród całej różnorodności mitów i legend związanych z rokiem 2012 najbardziej barwne są te, w których pojawiają się kryształowe czaszki — podania te są zaledwie bladym odbiciem tego, jak przedmioty te wyglądały w rzeczywistości.

Moja książka powstała z zadziwienia piękną, fascynującą i inspirującą kryształową czaszką naturalnej wielkości, która przechowywana jest w British Museum. Wystawiono ją w zacisznym rogu głównej sali, naprzeciw poruszającej rzeźby przedstawiającej chłopca na koniu (pewnego dnia opowiem jego historię). Oglądając ją, milkniemy z podziwu, niezależnie od tego, w co postanowiliśmy wierzyć o jej pochodzeniu i celu.

Spośród wielu relacji o powstaniu czaszki wybrałam tę, która opowiada, że narodziła się ona w piramidach Majów i że jest jedną z trzynastu, których zgromadzenie zapobiegnie końcowi świata lub dostarczy sposobu, jak przetrwać to wydarzenie.

Chociaż nie wiemy, kto i kiedy ją stworzył, kryształowa czaszka odznacza się niezwykleym kunsztem. Wyrzeźbienie z jednej bryły kryształu czaszki naturalnej wielkości, o tak niezwyklej wierności anatomicznej, jest wyczynem nawet w obecnym stanie technologii. Jeśli rzeczywiście wykonano ją w czasach Majów, polerując kryształ coraz drobniejszymi ziarenkami piasku, świadomość, że każdy najdrobniejszy błąd mógłby zniszczyć pracę wielu pokoleń, czyni ją zupełnie wyjątkową.

Czaszka z British Museum nie jest jedyna. Najbardziej znana z pozostałych, czaszka Mitchell-Hedges, znajduje się w Kanadzie. Podobnie jak błękitne kamienne serce Cedrica Owena, wyrzeźbiono ją z jednego kawałka kryształu i zaopatrzone w ruchomą żuchwę, tak by światło wpadające od strony kości potylicznej wychodziło przez oczodoły.

Próby zrekonstruowania twarzy na podstawie kształtu tej i innych czaszek wskazują na łatwo rozpoznawalne główne typy ras. Wszystkie czaszki wytwarzają stałą, spokojną aurę cichej obecności i zmieniają życie tych, którzy ich dotykają. (Zob. bardziej szczegółowy opis zawarty w książce Chrisa Mortona i Ceri Louise Thomas pt. *The Mystery of the Crystal Skulls*).

Takie są zatem dwa punkty oparcia powieści: data końca świata wyznaczona na rok 2012 oraz podania o trzynastu czaszkach. Dla wzbogacenia narracji wplotłam do opowieści powszechnie znane fakty historyczne: krwawy okres panowania Marii Tudor, który osiągnął apogeum w roku 1556, kiedy na stosie spalono Thomasa Cranmra, byłego arcybiskupa Canterbury.

W czerwcu tego samego roku Katarzyna Medycejska, niesławna królowa Francji, urodziła bliźnięta, z których jedno umarło

podczas porodu, a drugie zdołało przeżyć do połowy sierpnia. Michel de Nostradame, lepiej znany jako Nostradamus, sławny medyk, został wezwany na dwór i przebywał w Paryżu w okresie śmierci drugiego z bliźniąt.

Historia nie wymienia powodu jego wezwania, lecz uznają za wielce prawdopodobne, że królowa wezwała nowego, lepszego medyka, by ocalić życie dziecka.

Wspomniane lata były okresem ogromnego postępu w dziedzinie medycyny, chociaż w krajach Europy Zachodniej chirurgicy — w przeciwieństwie do medyków kształconych na uniwersytetach — cieszyli się uznaniem niewiele większym niż rzeźnicy.

Inaczej niż na Zachodzie, Arabowie i Maurowie od stuleci mieli podręczniki szczegółowo opisujące skomplikowane zabiegi chirurgiczne, znali też działanie środków znieczulających, które takie operacje umożliwiały. Jako anestezjolog mogłabym zagubić się w opisach amputacji, mastektomii i enukleacji, dziwiąc się wiedzy i zręczności naszych przodków i biadać nad obłąkaną ślepotą naszej własnej kultury, która przez stulecia ignorowała wiedzę Arabów jako nieczystą i niegodną uwagi. Jako pisarka postanowiłam tchnąć życie w dawne teksty bez przesadnego wdawania się w techniczne szczegóły.

Pozostali bohaterowie to postacie fikcyjne, chociaż rzekomy przodek Fernandeza de Aguilara Geronimo de Aguilar został w 1511 roku wzięty do niewoli przez Majów wraz z Gonzalem de Guerrero. Ten ostatni przeszedł na stronę Indian i stanął na czele długotrwałego oporu przeciwko konkwistadorom. Zginął w roku 1535 podczas bitwy z Hiszpanami. De Aguilar uległ swoim prześladowcom. Zdołał uciec w roku 1519, by jako tłumacz przyłączyć się do hiszpańskiej wyprawy dowodzonej

przez Cortesa. W latach późniejszych osiadł na stałe w Nowej Hiszpani, biorąc sobie za żonę Indiankę. Nie zbił fortuny na handlu sznurami z sizalu, chociaż udało się to wielu jego potomkom mieszkającym w estancjach na ziemiach, które obecnie należą do Meksyku.

Jeśli chodzi o miejsca opisywanych wydarzeń, Zama zmieniła nazwę na Tulum, lecz dawne świątynie i mury pozostały. Widok wschodu słońca z wierzchołka świątyni/latarni morskiej jest wyjątkowy.

Znajdujący się w angielskim Uffington Biały Koń i Kuźnia Weylanda (lub Waylanda) stanowią fragment szlaku Ridgeway, który stanowił kręgosłup Brytanii znacznie wcześniej niż współcześni biurokraci. Chociaż jednego miejsca nie można zobaczyć z drugiego, odnoszę wrażenie, że są ze sobą związane pod każdym innym względem, dlatego dla potrzeb narracji stało się to możliwe w ostatnich scenach powieści. Nic nie wiadomo o tunelu wiodącym do wnętrza kopca grobowego w Kuźni Weylanda, chociaż z zapisków archeologicznych wynika, że na terenie wykopalisk znaleziono jego ślady. Obydwa miejsca są warte odwiedzenia z szacunku dla naszych przodków, którzy je zbudowali.

College św. Bedy to fikcyjna uczelnia, w mojej książce mająca siedzibę nad brzegiem rzeki Cam, w miejscu, gdzie obecnie znajdują się nowoczesne, drogic domy. Byłoby znacznie lepiej, gdyby ich miejsce zajmowały kamienne gmachy dawnego college'^ Jego dzieje wzorowałam na historii XIV-wiecznych uczelni. Na przykład Clare został założony w roku 1326 przez wnuczkę Edwarda I Trinity Hali, zaś w roku 1350 przez biskupa

Norwich dla „krzewienia kultu Bożego, kanonu Pisma Świętego oraz nauk świeckich i umiejętności wiodących ku dobru wspólnemu”. Chcę podkreślić, że żadnej z uczelni Cambridge nie można nazwać „drugorzędnym przedsięwzięciem Plantagenetów”, żadna też nie została uratowana przez ogromną darowiznę przekazaną przez człowieka oskarżonego o zdradę. Z realiów życia akademickiego zaczerpnęłam pojęcia: Master's Lodges, Courts oraz zasady wewnętrznej kultury uczelni — szczególnie postawy wierności absolwentów swojej Alma Mater.

Inne szczegóły dotyczące Cambridge, jego uczelni, studentów i szczegółów miasta, pochodzą ze wspomnień kilku szczęśliwych dziesięcioleci, które w nim przeżyłam.

Czytelników zainteresowanych astrologią zapewniam, że dołożyłam starań, by właściwie przedstawić aspekty i kulminacje planet. Naszkicowałam horoskop każdego z głównych bohaterów i trzymałam się wytyczonych przez niego granic.

Na koniec, to, czy starożytni mieli słuszność w swoich przepowiedniach, jest kwestią do dyskusji. Jeśli dotrwamy do Hogmanay 2012 (w Szkocji trwające kilka dni uroczystości obchodów Nowego Roku), wówczas być może będziemy mogli śmiać się z przepowiedni, podobnie jak z histerii związanej z wirusem Y2K, mającym uaktywnić się w roku 2000. Osobiście uważam, że data rzekomego końca świata jest raczej pewnym przybliżeniem wskazującym ogólny okres niż konkretnym terminem. Nie ma wątpliwości, że żyjemy w czasach, gdy światu grozi zagłada z rąk człowieka.

Chociaż codziennie słyszymy o nowych, ogromnych osiągnięciach ludzkości, uważam, że jeśli jest to wszystko, na co nas

stać, to jesteśmy w bardzo głębokich tarapatach. Mam nadzieję, że słusność mają ludzie wierzący, iż kolejny krok w procesie ewolucji będzie miał charakter duchowy. Jeżeli rzeczywiście tak jest, powinniśmy podjąć próbę jego przyspieszenia.

Jeśli trzynaście czaszek miałyby doprowadzić do przemiany świadomości, prowadzącej do pełniejszego, szanującego równowagę ekologiczną rozwoju, będę pierwsza, która ustawi się w kolejce po zmianę paradygmatu.

Letnie przesilenie, 2007

Shropshire

Zjednoczone Królestwo